

Jason Hartley

Po prostu żołnierz

30 kwietnia 2005

Prawdziwy amerykański bohater

W pustynny mundur ubierałem się setki razy, ale teraz, zakładając go po czterech miesiącach, czułem się dziwnie. Odkąd mój oddział Gwardii Narodowej wrócił z Iraku, nie mieliśmy ani jednej musztry. W weekendy odbywa się zwykle trening piechoty, ale tym razem mieliśmy się stawić w Camp Smith, który leży niecałą godzinę jazdy samochodem od mojego mieszkania, odbębnić trochę papierkowej roboty, wziąć udział w ceremonii wręczenia odznaczeń i zjeść obiad. Na tę okazję założyłem jeden z mundurów, które nosiłem w Iraku. Jest wygodny i dobrze leży, buty są odpowiednio rozchodzone i wydają się stworzone dla moich stóp. Nic dziwnego, przez ostatni rok chodziłem tylko w jednej parze. Matt, mój współlokator i kumpel z oddziału, także wbił się w mundur, w którym chodził w Iraku. Kiedy tak spoglądałem na nas, paradujących po mieszkaniu w New Paltz w pustynnym kamuflażu, poczułem się głupio. Zupełnie jakbyśmy szli na bal przebierańców w Halloween.

Służę w Gwardii Narodowej od czternastu lat i jest to dla mnie powód do dumy. Jednak od powrotu do domu opuścił mnie zapal do wojska. Prawda jest taka,

że ze wszystkich sił starałem się być przeciwieństwem żołnierza. Nie strzygłem się przez bite cztery miesiące, a do fryzjera poszedłem dopiero kilka dni temu. Wyglądałem idiotycznie z tą szopą na głowie, jak nowobogacki, który powinien chyba *jeździć* odpicowaną bryką i na cały regulator słuchać muzyki. Od lat nie nosiłem takich długich włosów; teraz chciałem sprawdzić, jak to jest nie być ostrzyżonym na jeża. Zapuściłem także kocią bródkę i wąsy, przez co chyba wyglądałem bardziej jak pedofil niż hipis. Kiedy przyszedł moment, aby na powrót stać się żołnierzem, musiałem je z żalem zgolić.

Zanim trafiłem do Iraku, służyłem w kompanii piechoty, która stacjonowała w okolicach Manhattanu. Gwardia Narodowa stanu Nowy Jork składa się z wielu oddziałów, ale tylko nieliczne stacjonują w samym mieście. Kompanie, których bazy znajdują się w Nowym Jorku, diametralnie różnią się od tych spoza miasta. Linia podziału wyznaczona jest przez czynniki etniczne i osobowościowe, co powoduje, że rywalizacja oparta jest na resentymentach, a nie współzawodnictwie.

Urodziłem się i wychowałem w Salt Lake City w stanie Utah. Tak, nie mylicie się, byłem mormonem. Przez dziewięć lat służyłem w tamtejszej Gwardii Narodowej, która w 99 procentach składa się z białych ludzi mieszkających w suburbiach. Kiedy w 2000 roku przeniosłem się do Nowego Jorku, miałem sporo problemów w kontaktach z ludźmi, którzy wyrosli na ulicach wielkiego miasta. Byłem jednym z dwóch białych żołnierzy w oddziale, który składał się prawie z samych

Latynosów oraz przedstawicieli kilku innych mniejszości etnicznych. Tym drugim był jowialny, wielki jak niedźwiedź Irlandczyk, gliniarz z Bronksu imieniem Willy. Bardzo szybko się zaprzyjaźniliśmy i teraz jesteśmy prawie nierozłączni. Po pewnym czasie zdałem sobie sprawę, że od

towarzystwa żołnierzy, którzy wychowali się w suburbiach, wolę tych z miasta.

Kiedy mój batalion wylądował w Iraku, przyłączono do niego kilka innych kompanii, aby osiągnął pełny stan osobowy. W ten sposób oddział miejskich chłopaków znalazł się obok koleśków pochodzących z innych części stanu. Nawet po dwunastu miesiącach walk ramię w ramię nie udało się zatrzeć dzielących nas różnic. Podczas weekendowych manewrów miałem ich zobaczyć po raz pierwszy od czterech miesięcy.

Wyciągnąłem mundur z marynarskiego worka, w którym tkwił od opuszczenia Iraku, i ubrałem się weń bez prasowania. Skróciłem włosy, ale i tak ledwie mieściły się w wojskowych standardach oraz zwyczaju, jaki panuje w piechocie. Z powodu fryzury kapelusz nie za bardzo chciał pasować do mojej czaszki. Przez ostatnie kilka lat służyłem w stopniu sierżanta, ale przedostatniego dnia mojego pobytu w Iraku zostałem zdegradowany. Kiedy wylądowaliśmy w Fort Drum opodal Nowego Jorku i oczekiwaliśmy na wypuszczenie nas do cywila, nosiłem oznaczenia specjalisty. Kiedy jechałem do domu, odpiąłem je od munduru i wyrzuciłem przez okno. Nie zamierzałem szukać nowych oznaczeń ani ich przyszywać. Zostałem zdegradowany z powodu, o którym przeczytacie

w tej książce, oraz dlatego, że odważyłem się zamieścić moje przemyślenia w Internecie.

Matt i ja nie zamierzaliśmy traktować ćwiczeń ani trochę poważnie. Zanim wjechaliśmy na autostradę, zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej i kupiliśmy skrzynkę piwa. Wrzuciliśmy puszkę do pojemnika z lodem, który leżał na tylnym siedzeniu, i sącząc browar, ruszyliśmy do Camp Smith.

Wszystkie opowieści, które słyszałem od weteranów powracających do domu, brzmiały podobnie: „Walczysz nie dla siebie, ale dla faceta obok ciebie”, „Tylko kumple z wojska są prawdziwymi przyjaciółmi”. Generalnie to stek bzdur. Zasadniczo wojna bardzo mi się podobała. Uwielbiam służyć w piechocie, miałem szczęście do dobrych żołnierzy w plutonie i odpowiedzialnych dowódców. Walki w Iraku były dla mnie niesamowitym doświadczeniem, kulminacją tego wszystkiego, co chciałem osiągnąć jako żołnierz. Niestety, musiałem znosić towarzystwo zbyt wielu dupków, jak na mój gust. Kiedy dotarliśmy do Camp Smith, ucieszyłem się, widząc ich wszystkich, ale jednocześnie przypomniałem sobie, jak bardzo ich nie znosiłem, kiedy byli w grupie.

Kompania manhattańska, w której służyłem, została rozwiązana podczas mojego pobytu w Iraku, dlatego, czy tego chciałem czy nie, stałem się częścią nowej jednostki. W Camp Smith zamierzałem przywitać się ze wszystkimi, uściskać ich serdecznie, a potem poprosić dowództwo o przeniesienie do innego oddziału stacjonującego w pobliżu miasta.

W Camp Smith spędziliśmy tylko dwie godziny, po czym dostaliśmy przepustkę na noc. W tym czasie musieliśmy wypełnić kilka kwestionariuszy, podać adres zamieszkania i podpisać te papiery. To zadziwiające, na ilu wojskowych dokumentach musiałem podać moje dane. Wiem, że w dowództwie kompanii je znają, bo bez przerwy przysyłają mi pocztą jakieś śmieci. Wszystkie te formularze drukowane są edytorem tekstów, więc Gwardia Narodowa mogłaby oszczędzić miliony dolarów i wiele roboczogodzin pracowników biurowych, gdyby pozwolono mojej szesnastoletniej siostrze poprowadzić szkolenie z funkcji „wyslij przez e-mail” dostępnej w Wordzie Microsoftu. Tym razem w ogóle nie przejąłem się wypełnianiem formularzy, bo w głowie szumiało mi piwko.

Kiedy tylko zwolniono nas ze służby, tuzin chłopaków z miejsca wrócił do New Paltz, żeby przez całą noc dalej wspólnie pić. Zwykle i tak trzymali się razem, ale taka popijawa bardziej łączy ludzi niż wspólny pobyt na wojnie. Wszyscy przebraliśmy się w cywilne ubrania, tylko Willy pozostał w mundurze, wzbudzając sporą sensację w New Paltz. Z wolna zachodziło słońeczko,

podkreślając linię klifów nad miastem. Jego główną atrakcją jest wieża obserwacyjna, którą Bob Dylan opisał w utworze *Ali Along the Watchtower*. Poza tym do Woodstock jest rzut kamieniem.

Ku mojej ucieście w New Paltz spotkałem Raya, snajpera naszej kompanii. Uwielbiam tego faceta. Jeżeli istnieje lista dziesięciu cech, które definiują seryjnego mordercę, i aby stać się psychopatą, należy posia-"(dać siedem, to Ray ma ich sześć. Gdyby nie wrodzone

wycucie duchowości zeń, które z niego emanuje, Ray byłby drugim Travisem Bickle^m¹. Zawsze potrafi rzucić, powiedzieć coś, co jest jak najbardziej odpowiednie w danej chwili, i rozbawić wszystkich dookoła. Jeżeli dodać do tego legendarną celność i umiejętności, to nie ma się co dziwić, że był gwiazdą naszej kompanii w Iraku.

Willy ego także nie sposób nie kochać. Jest głośny, dobrotliwy i chamski. Popelniałem kiedyś błąd, mówiąc matce, że przy nim czuję się bezpiecznie. Od tamtej pory zastanawiam się, którego z nas kocha bardziej, mnie czy jego? Mógłbym do niej zadzwonić i powiedzieć: „Mamo, mój hunwee wjechał dzisiaj na minę i urwało mi obydwie nogi”. Jej pierwszym pytaniem byłoby: „A czy Willy emu nic się nie stało?”. Ray i Willy byli w tej samej kompanii z Manhattanu co ja.

Matt i Sean, nasz kolejny współlokator, służyli w kompanii stanowej, którą połączono z moją. Chłopaki znają się i przyjaźnią od lat. Sean jest ulubieńcem kompanii. To ujmujący, śliczny dzieciak, którego wszyscy traktują jak ukochanego syna. Nigdy niczemu nie jest winien i w pełni zasłużył na miano, jakim ochrzczili go Dominikańczycy i Portorykańczycy: „Złote Dziecko”. W trakcie naszej misji byłem dowódcą drużyny, co oznaczało, że rozkazywałem trzem ludziom, w tym Mattowi. Cwany i zdolny chłopak, który w cywilu był doświadczonym lekarzem pogotowia, nie mógł pogodzić się z faktem, że to ja dowodzi-

łem, przez co miałem z nim trochę kłopotów. Dopiero pod koniec naszej zmiany w Iraku zaczęliśmy się jakoś § dogadywać. Skutek jest taki, że jesteśmy z Matteni (i Seanem) całkowicie nierozłączni. Przez dziewiętnaście miesięcy moje łóżko stało nie więcej jak trzy metry i od pryczy Matta i pięć od Seana. Jeżeli z jakichś przyczyn nie widzieliśmy się dłużej niż pięć dni, zaraz po , spotkaniu gadaliśmy jeden przez drugiego, jak bardzo l za sobą tęskniliśmy. W zasadzie posttraumatyczne za-A burzenia na tle nerwowym mnie nie obchodzą, ale ro-• dzące się z nich pytanie: „Czy jestem gejem?” działa mi na nerwy.

W jednostce musieliśmy pojawić się około południa następnego dnia, co było wspaniałym zrządzeniem losu, zważywszy na kaca, jaki nas męczył. Ceremonia odbywała się w restauracji zdolnej pomieścić kilkuset żołnierzy i gości. Swoją obecnością *zaszczycili* nas kongresmani oraz wysocy stopniem oficerowie, z których większości nie znałem. Każdy z żołnierzy miał dostać flagę oraz kilka innych drobiazgów, takich jak pamiątkowe medale czy spinki do mankietów. Mnie szczególnie zależało na fladze. Mój dziadek służył we flocie i kiedy umarł, dostałem flagę, którą przykryta była jego trumna. Wymyśliłem sobie, że powieszę obydwie na ścianie mojego pokoju. Niestety, pomysł upadł, kiedy okazało się, że na mojej ; znajduje się napis: „Dla prawdziwego bohatera Ame-I ryki”. Wszystkie flagi miały taką plakietkę, a w zasadzie nawet dwie. Doceniam gest, jakim jest darowa-, nie komuś flagi narodowej, ale nie ma sposobu, żeby m l wyszyte na niej słowo „bohater” traktował poważnie.

Ceremonia była bardzo przyjemna i spokojna, podobnie jak wiele innych, w których brałem udział. Ta jednak przepełniła mnie dziwną mieszaniną smutku, poczucia winy i żalu. Wokoło widziałem wielu żołnierzy wraz z bliskimi im osobami, którzy cholernie poważnie podchodzili do tej uroczystości. Dręczyło mnie przekonanie, że ja też powinienem się nią przejmować, ale w żaden

sposób nie mogłem się do tego zmusić. Willy i ja spóźniliśmy się i dlatego usiedliśmy przy pierwszym lepszym stoliku, przy którym były dwa wolne krzesła. Pozostałe miejsca zajął jakiś młody żołnierz, jego dziewczyna i rodzice. Kiedy się dosiedliśmy, spojrzeli na nas zaniepokojeni. Pijaństwo minionej nocy pozostawiło na nas swój ślad, a w takim stanie Willy potrafi być bardzo głośny. Głupio mi się zrobiło, że psujemy naszym sąsiadom całą uroczystość.

Zagajenie i kilka przemówień stanowiły wstęp do wręczenia flag i prezentów. Każdy wywołany musiał podejść do długiego szeregu polityków oraz oficerów i uścisnąć im wszystkim dłonie, aby na końcu trafić do dowódcy kompanii i starszego sierżanta. Tego pierwszego nie widziałem od chwili, kiedy zostałem zdegradowany. W zasadzie stał się dla mnie wrogiem publicznym numer jeden. To dobry oficer i zawsze darzyłem go głębokim szacunkiem, ale wkurzył mnie nie na żarty, kiedy mnie ukarał. Poszło o to, że opisywałem moje wrażenia i doświadczenia z Iraku w dzienniku, który zatytułowałem: „Po prostu kolejny żołnierz”. Mój dowódca bardzo się zdenerwował, kiedy sprawa wyszła na jaw. Twierdził, że stawiam wojsko w bardzo złym świetle oraz że *zdradzając* tajemnice operacyjne, na-

razam moich kolegów na niebezpieczeństwo. Pamiętnik (albo blog, jak się to teraz nazywa) był dostępny w Internecie przez pięć miesięcy przygotowań do misji w Iraku. Sprawa wyszła na jaw tuż przed wyjazdem i zostałem poproszony o usunięcie go z Sieci. Niechętnie na to przystałem, ale będąc w Iraku, cały czas pisałem listy do kilku przyjaciół. Na dwa miesiące przed powrotem do domu ponownie go uruchomiłem, uaktualniając o refleksje z pobytu w Iraku. Kiedy armia się zorientowała, zakazano mi udziału w misjach, a ja zostałem przeniesiony do plutonu dowodzenia, gdzie gniłem beczynnie, podczas kiedy przeciwko mnie toczyło się dochodzenie. Mój awans na sierżanta sztabowego został wstrzymany do wyjaśnienia.

Teraz nasz dowódca znajdował się kilka metrów ode mnie, a każdy uścisk dłoni przybliżał nas do siebie. Wiedziałem, że nie ma ochoty oglądać mnie na oczy, tak samo jak ja jego. Ciekawe, czy ktoś z tu obecnych też uważał, że dopuściłem się przestępstwa? W armii bardzo silną rolę odgrywa element stadny, dlatego ludzie myślą tak, jak uważa większość. Chciałbym móc powiedzieć, że nie obchodzi mnie zdanie innych chłopaków, ale byłoby to kłamstwo.

Jedną z najlepszych *rzeczy* w wojsku jest poczucie przynależności. W czasie uroczystości za grosz nie mogłem się nim nacieszyć. Nie wiedziałem na przykład, czy służę nadal w plutonie dowodzenia, czy w moim „normalnym” oddziale. Jeżeli nadal należałem do HQ, to jaka była moja funkcja? Kto był moim dowódcą? Jaki miałem stopień? Decyzja o mojej degradacji nie przeszła jeszcze przez tryby maszyny biurokratycznej i nadal

dostawałem żołd sierżanta. Kiedy *zaczęło* się dochodzenie, wstrzymano mój awans. Pomyślałem sobie, że będzie niezłym żartem, kiedy decyzja o moim awansie zapadnie przed degradacją albo, co będzie jeszcze zabawniejsze, po niej. Najśmieszniejsze było, że taka sytuacja rzeczywiście mogła mieć miejsce. Papiery w wojsku krążą z prędkością marszową ślimaka.

Uścisnąłem dłonie wszystkich oficjeli. Jeden z oficerów zauważył, że nie mam żadnych insygniów stopni, i spytał mnie, dlaczego tak się stało. Odparłem, wyjaśniając:

- Właśnie awansowałem na specjalistę, sir. Nie miałem czasu przypiąć oznak.

- Moje gratulacje - powiedział.

Dowódca mojej kompanii nie jest człowiekiem, który zachowuje się miło, bo tak wypada, lub robi dobrą minę do złej gry. Byłem przekonany, że nie będzie chciał mi podać ręki. Kiedy z powrotem umieściłem blog w Sieci, wziął to do siebie, traktując moje poczynania jak zdradę. Kiedy

stanąłem z nim twarzą w twarz, spojrzał mi w oczy i uściśnął dłoń.

- Jak leci, Hartley? - spytał.

Z tego, co widziałem, był zupełnie szczery. Takie zachowanie wiele dla mnie znaczy, dlatego nie mogłem go dalej nienawidzić.

Kiedy tylko skończyliśmy dziękować i gratulować, Willy i ja wyszliśmy, kierując się do samochodu. Schowaliśmy flagi i pamiątki, po czym na chwilę wróciliśmy na przyjęcie. Zamieniliśmy kilka słów z chłopakami i wyszliśmy. Kiedy stałem na zewnątrz i paliłem

papierosa, podszedł do mnie jeden z sanitariuszy batalionu i powiedział:

- Czytałem twój blog w Internecie. Naprawdę mi się podobał. Jest taki... Nie wiedziałem, że mogłeś coś takiego napisać. To jest naprawdę... szczerze aż do bólu.

Szczere. Ciekawe słowo, zwłaszcza u kogoś, kto przez lata witał mnie: „Cześć, Nina!”, jakby to był najlepszy żart pod słońcem. Chodziło mu o zbieżność mojego nazwiska i nazwiska aktorki porno Niny Hartley. Nigdy nie miał dość, ale doceniłem jego słowa. Fajnie, że nie będzie już tylko gościem o irytującym poczuciu humoru.

Kiedy wróciłem do siebie, jeden z chłopaków z mojego oddziału przysłał mi wiadomość: „Chłopie, po tym jak wyszedłeś, dali ci jeszcze jedną nagrodę”.

Przyznano mi medal za zwycięstwo. Miałem go otrzymać, jak uporają się z papierkową robotą.

FORT DRUM

30 września 2003

W lipcu 2003 zostałem ustnie poinformowany, że mój oddział Gwardii Narodowej został wytypowany do udziału w misji w Iraku. W drugim tygodniu września dostaliśmy „sygnał ostrzegawczy”, wedle którego w stan gotowości zostaniemy postawieni 29 września. W ciągu dwóch tygodni wszyscy żołnierze mieli przygotować się do wyjazdu, nie otrzymawszy nawet jednego dokumentu dla pracodawcy, rodziny czy kogokolwiek innego. 23 września otrzymaliśmy wiadomość, że „zostaniemy powołani” w październiku, jednak dokładna data nie została jeszcze ustalona. Sześć dni do spodziewanego terminu wyjazdu, a dowództwo nie potrafi sprecyzować rozkazów? Każdy z nas musiał rzucić pracę, wszyscy wydawali przyjęcia pożegnalne, aż tu nagle

kazano nam siedzieć na tyłku i czekać do... nie wiadomo do kiedy.

W niedzielę, 28 września, zostałem telefonicznie poinformowany, że zostaniemy zgrupowani 1 października, kiedy to powinienem się zgłosić do zbrojowni. No pięknie, pomyślałem, ostatecznie 1 października to faktycznie niesprecyzowana data w październiku.

Zachowanie ludzi z Biura Gwardii Narodowej (czy kogokolwiek, kto jest odpowiedzialny za szerzenie informacji) sprawiło, że poczułem się jak dziecko, które pfiatka zabrała na spacer w wózeczk, a jakiś dobot-sąsiad podszedł i zawołał: „A kuku!”. Z jednej rony byłbym podekscytowany, z drugiej - nie na fżarty przerażony. Kiedy już opanowałbym strach, Ja ten cymbał znów wyskoczył jak Filip z konopi, poła-Iskotał i jeszcze raz wrzasnął: „A kuku!”, pewnie sam } bym nie wiedział, czy histerycznie się rozplakać, czy zrywać boki ze śmiechu.

Nim uznacie mnie za mazgaja, pozwólcie powiedzieć jedną bardzo ważną rzecz: narzekanie jest niezbywalnym prawem każdego żołnierza. Uwielbiam armię i kocham mój kraj, ale to wcale nie oznacza, że lubię być robiony w balona. Oprócz tej zasady jest jesz-', cze wiele innych aksjomatycznych prawd o wojaczce, którymi się z wami podzielę, ale niezbywalność prawa do marudzenia jest dobra na początek.

1 października 2003

W piątek, 26 września, wyprawilem imprezę pożegnalną. Na weekend z Salt Lake City przylecieli moi rodzice, młodsza siostra i jeden z przyjaciół. Dwóch innych, którzy mieszkali w Nowym Jorku, było tak miłych, że użyczyli mi swego mieszkania na imprezę i odwalili kawał porządnej roboty w kuchni. Martwiłem się trochę, że moi rodzice będą się czuli nieswojo. Jako mormoni nie piją alkoholu ani nie zadają się z osobami, które mają do niego skłonności. Na szczęście bawili się nieźle, podobnie jak reszta gości. Poszczęściło mi się

i prawie wszyscy z zaproszonych mogli się pojawić. Impreza bardzo się udała, co strasznie mnie ucieszyło.

Następnego wieczoru odbyło się kolejne przyjęcie i w trakcie zabawy Willy złamał nogę w kostce. Stał się tym samym najbardziej smutnym i przygnębionym żołnierzem na świecie. Byliśmy pewni, że nie pojedzie z nami do Iraku. Ale takie głupie sytuacje, kiedy żołnierzy wysyła się na front w ostatniej chwili, można obrócić na swoją korzyść. W tym przypadku zbyt późno było na zmianę listy zaciągowej. Lekarz powiedział mu, że w ciągu miesiąca kość się zrośnie, więc Willy dostał sześć tygodni lekkiej służby. Nie musiał nawet nosić całego oporządzenia. Oto cały Willy: szalenie odważny, głupi i silny.

Zjadłem ostatni obiad w domu (składała się na niego ogromna ilość sushi) i pożegnałem się z *przyjaciółmi* z New Paltz. Muszę przyznać, że perspektywa wyjazdu bardzo mnie ekscytowała. Śniło mi się nawet, że jestem już w Iraku, ale numer seryjny mojego karabinu nie zgadza się z tym, który mi przydzielono. Najgorszym snem, jaki może mieć żołnierz, jest koszmar pod tytułem: „Gdzie jest moja broń?”. Mój sen był jedną z jego odmian, nie najgorszą chyba, bo jednak miałem jakąś giwerę.

4 października 2003

Zostaliśmy poinformowani, że w Iraku spędzimy przynajmniej rok, co oznacza, że

zostaniemy rozlo-

kowani na mniej więcej półtora roku do dwóch lat. W swej nieskończonej mądrości sztabowcy zdecyd-

owali, że będziemy trenować w Fort Drum, na północy

» stanu Nowy Jork, takim mroźnym piekle na ziemi. Zakrawało to na lekką ironię, że w mrozie mamy przygotować się na pustynne upały. Najlepiej określił to Ray:

l „Przecież mięso na steki, zanim rzucisz je na grilla, i trzymasz najpierw w lodówce, prawda?”.

7 października 2003

Jesteśmy już w Fort Drum i dzisiaj mieliśmy szkolenie ABC (atomowe, biologiczne, chemiczne), na szczęście na sucho. Gorszych warunków do nauki nie jestem chyba w stanie sobie wyobrazić. Żołnierze z dwóch kompanii siedzieli w jednym audytorium, oglądając godziną za godziną prezentacje w PowerPoincie instruuujące, jak wstrzyknąć sobie antidotum przeciwko środkowi paraliżująco-drgawkowemu. Trzeba pamiętać, że od tygodnia żadnemu z nas nie było dane spać więcej niż cztery godziny na dobę. Na koniec kursu mieliśmy „egzamin”. Instruktor pytał nas: „Czy po pierwszym zastrzyku czekamy z wyciągnięciem igły przez dziesięć sekund?”. Cała sala kiwała głowami. Na myśl przyszło mi pasowanie Danny'ego Kaye'a na rycerza w *The Court Jester*:

RYCERZ

Kandydat musi wspiąć się na mury w pełnej zbroi!

BŁAZEN, *ubrany w pełną zbroję, zostaje wyrzucony przez okno i spada na ziemię.*

RYCERZ

Kandydat zdał.

Najlepszą częścią szkolenia była komora z gazem. Zostaliśmy wprowadzeni do pomieszczenia wypełnionego gazem łzawiącym. Wszyscy mieliśmy na twarzach maski przeciwgazowe. Kazano nam przez kilka minut robić rozgrzewkę, a potem ochotnicy mieli zdjąć maski. Obecnie, kiedy armia jest milusia i kochana, nie wolno nikomu kazać zdjąć maski przeciwgazowej, tak samo jak nie można krzyczeć na żołnierza, bo urazi się jego uczucia. Takie łagodne podejście nie przeszkadza jednak nikomu, by wstrzykiwać nam nietestowane i potencjalnie niebezpieczne szczepionki. Byłem jednym z tych, którzy zdjęli maski. Zapakowałem ją z powrotem do przybornika, padłem na podłogę i zacząłem robić pompki. Kilku innych chłopaków poszło moim śladem. Kiedy miałem już dość, spokojnie poszedłem do drzwi, starając się nie dać mieszaninie gazu łzawiącego i cielęciny, którą podali na obiad. Mój żołądek buntował się przeciwko glutom, które spływały doń przez gardło, i w brzuchu wrzała mała rewolucja. Gaz powoduje nie tylko łzawienie, ale piecze jak cholera. Zupełnie tak, jakbym wciągał nosem wasabi². Kiedy uporałem się z gilami i łzami, poszedłem na papierosa.

J października 2003 | Willy - opowieść o złamasie

Odkąd Willy złamał nogę w kostce, przechodził okropne katusze. Najpierw powiedziano mu, że

nie może jechać do Iraku, ale zaraz potem usłyszał, że nie może się wycofać, bo już za późno na zmiany na listach za-i ciągowych. Biedny facet, przez kilka dni kompletnie nie wiedział, co się z nim będzie działo. W końcu roz-i poczęły się obowiązkowe badania mające potwierdzić zdolność żołnierza do odbycia służby. Sprawdzano nam zęby (jeżeli okazało się, że są chore, wrywano je bez leczenia; jednemu gościowi usunięto trzynaście), przeprowadzano badania ogólne, sprawdzano karty pacjentów, by upewnić się, że żołnierze mają wolę i możliwości do wykonywania rozkazów. Następnie wydano nam nowe identyfikatory i zaaplikowano masę szczepionek; mnie między innymi prze-ciwko ospie i wąglikowi. Byłem szczerze zdziwiony, że zastrzyk przeciwko temu ostatniemu tak bardzo bolał. Prawda była taka, że zaaplikowano nam osłabioną odmianę wirusa. Śladem po tych zabiegach były obrzęki. Dodatkowo usłyszeliśmy pogadankę na temat, dlaczego nie wolno drapać krost powstających po szczepionce na ospę.

Kiedy Willy stawiał się o kulach przed komisją, ogromna siwa lekarka o wyglądzie więdźmy z bajki złapała go pod ramię i kazała sprowadzić dowódcę jednostki oraz starszego sierżanta. Kiedy przyszli, zmyła im głowy za to, że dopuścili do badań żołnierza, który nie był zdolny do aktywnej służby w Iraku.

Oznajmiła, że Willy nie może nigdzie jechać, i kazała mu... odejść.

W tym momencie Willy popadł w *czarną rozpacz*. Czterystufuntowa gorylica zdawała się być w siódmym niebie, odbierając bezceremonialnie żołnierzowi jedyny powód do życia. Potem dumnie wróciła na swoje miejsce (nie wiem, czy tak się pyszniła, czy po prostu grube, złośliwe i gburowate babochłopy tak chodzą) i oznajmiła: „Jednego mniej”. Przez chwilę myślałem, że ją uduszę. Następne cztery godziny Willy siedział bez ruchu, usiłując pogodzić się z tym, co było dla niego nie do pomyślenia - był totalnym złamasem, żołnierzem, który nie nadaje się do walki. Prawie się popłakałem. Myśl, że pojedę do Iraku bez niego, była nie do zniesienia.

Podczas gdy Willy pogrążony był w niewesołych rozmyślaniach, podsłuchiwał rozmowę oficera z żołnierzem, który został uznany za niezdolnego do służby ze względu na kłopoty z kręgosłupem. Oficer wyjaśnił mu, że do zwolnienia z misji potrzebna jest opinia głównego chirurga. Willy bez pardonowo wciął się w dyskusję, pytając, kto pełni tę funkcję. Kilka chwil później wparował do gabinetu lekarza, już tym samym wprawiając go we wściekłość. Jakby tego było mało, palnął: „Tutaj aż się roi od koleśków, którzy za wszelką cenę chcą uniknąć wyjazdu, a nie mogą. A ja mam zostać w domu tylko dlatego, że chodzę o kulach i noszę bandaże na nodze?”. Poruszony tą przemową konował rozkazał zawieźć swoim samochodem Willy'ego na prześwietlenie. Kiedy zrobiono zdjęcie jego stopy i wywołano klisze, wrócili do gabinetu. Nim chirurg obej-

ił zdjęcia, Willy zaczął go urabiać. Opowiedział mu, że ta więdźma objechała dowódcę i jaką zrobiła aferę i jego badań. To musiało rozsierdzić lekarza do końca, bo krzyknął: „Jestem majorem. To ja oceniam, czy żołnierz jest zdolny do służby, czy się do niej nie nadaje, [nie będzie mi tu bruździł żaden kapitan czy cywilny linistrator!]. Potem rzucił pobieżnie okiem na rent-en, stwierdził, że stopa Willy'ego jest cała, i zaordynował: „Masz ciasno obwiązać palce bandażem i zapadać but! Ze stopą wszystko jest w porządku!”.

Następnego dnia Willy musiał używać sztuczek jedi³, żeby tylko do południa dokończyć proces reje-racji, który innym zajmował cały dzień i noc. Nocą ułamał kule i porzucił ich resztki po całym saraku.

10 października 2003 | Pielgrzymi Zakon Piechoty

Ostatnie dwa dni mordowano nas prezentacjami z PowerPointa. Oglądaliśmy je jedną za drugą, próbując śnie zasnąć z otwartymi oczyma. Od dziesięciu dni nie sypialismy więcej niż parę godzin na dobę. Wczoraj mieliśmy zajęcia z medycyny, na których uczono nas, i jak radzić sobie z oparzeniami, odmrożeniami i złamaniami. Instruktor potraktował to szkolenie jako [pretekst do pokazania najbardziej popieprzonych

zdjęć, jakie można było sobie wyobrazić. Obejrzelismy ludzi rozjechanych przez czołgi, podżganych nożami, rany postrzałowe, odmrożenia, poparzenia oraz fotkę gościa, któremu coś wybuchło w ustach. Facet był żywy i przytomny, ale od oczu w dół zamiast szczęki i policzków miał krwawą masę, z której wystawał tylko zwisający bezwładnie język. Rana była tak głęboka, że można było *zajrzeć* gościowi do gardła. Moim zdaniem nie było powodu, dla którego instruktor miałby pokazać nam choćby połowę tych zdjęć. Ale zrobił to i mieliśmy darmowy pokaz obrzydliwego porno. Chorego, ale fascynującego.

Ostatnio sporo czasu spędzam z moim kumplem Johnem. Rozmawiamy głównie o tym, że jesteśmy typowymi żołnierzami singlami. Żaden z nas nie ma żony, dzieci, ani nawet stałej dziewczyny. John powiedział, że przynależymy do subkultury, którą nazwał „zakonem piechoty”. Idealnie ujął sprawę. Zaczęliśmy myśleć, kto by do nas jeszcze pasował, i uznaliśmy, że byliby to: Willy, Ray, Ernesto i paru innych chłopaków. Najzabawniejsze jest, że każdy z nich to równy gość: nie są brzydki ani głupi, mają poczucie humoru i są całkiem sympatyczni. Tylko jakoś żaden z nich nie może się ustatkować. Muszę przyznać, że buddyjski Tyler Durden⁴, który gdzieś tam we mnie siedzi, był z tego faktu bardzo zadowolony. *To, czego mi brakuje, daje mi siłę. Nie mam nic, więc nie mogę tego stracić.* Nie jest to do końca prawda, ale znajduję pociesze-

w tym, że nie mam żony, dzieci czy dziewczyny, której musiałbym regularnie dzwonić. Widzę, jak podzie męczą się nocami, spacerując wokół koszar z te-onem przy uchu, człapiąc noga za nogą jak zombie pmrucząc pod nosem czułe słówka przeznaczone dla dziewczyn, które musieli zostawić. Żal mi ich. W prze-jjwieństwie do nich mogę się skupić na chwili obecnej, nie zadręczać tęsknotą za bliskimi. Kiedy wracam fiysłami dziesięć lat wstecz, do tego, co wydarzyło się H Fort Bragg i Fort Benning, kiedy przez telefon pró-owałem ratować rozpadający się związek, to aż się ocę. Telefon to problemy z dostawą do domu. Nie-awidzę odbierać telefonu, kiedy jestem w mundu-e, czuję się, jakbym przykładał sobie lufę pistoletu lo skroni.

Lubię sobie czasem pożartować z tematów, które pwiększość ludzi omija szerokim łukiem. Uważam, że to flobre dla zdrowia, pośmiać się z czegoś, co jest przy-jbyną nieszczęść. Weźmy na przykład jednego z żoł-iiierzy z mojego plutonu, Joeya. Ze swoją drugą żoną Plha czwórkę dzieci, a z poprzedniego małżeństwa jesz-Jfcze dwójkę. Któregoś dnia w autobusie rozmawiali-I śmy o zaletach bycia „żołnierzem zakonnikiem”. Po-i; Wiedziałem Joeyowi, że przez niego siedem osób musi i nauczyć się żyć bez ojca i męża, nie wiedząc, czy go l jeszcze na oczy zobaczą. Matt z niesmakiem pokręcił |; głową i mruknął:

- Stary, to, co mówisz, jest okropne.

Matt jest jednym z naszych liberałów, a oprócz tego ma piękną dziewczynę. Zacząłem się z nim droczyć, proponując zakłady, czyja rodzina pierwsza dostanie

list z kondolencjami od Wuja Sama. Ten pomysł też nie przypadł Mattowi do gustu. Powiedział:

- Daj sobie spokój. Ludzie nie chcą słuchać takich rzeczy.

Wtedy wtrącił się kapral Damion, facet, od którego zaczęła się cała rozmowa:

- Chcesz sobie narobić wrogów jeszcze przed rozpoczęciem misji?

Zrobiło mi się trochę głupio, ale potem pomyślałem: pieprzyć ich wszystkich. Nie będę się nimi przejmował. To banda ciot. Odwróciłem się do Matta i powiedziałem:

- Słuchaj, każdego tygodnia w Iraku ginie od trzech do sześciu naszych żołnierzy, a czterdziestu zostaje rannych. Dziennie przeprowadzanych jest piętnaście, czasem dwadzieścia ataków na nasze siły. Szansę na to, że ktoś, kogo znamy, zginie, są dość duże. Prawdopodobieństwo tego, że iluś naszych kumpli zostanie rannych, ze statystycznego punktu widzenia jest prawie stuprocentowe. Skoro nie chcesz na ten temat żartować, ani nawet o tym myśleć, to jak sobie poradzimy, kiedy ktoś naprawdę zginie?

Ugłaskać dali się dopiero wtedy, kiedy ustalili, że będę chodził na szpicy, bo nie mam żadnej rodziny, której by mnie brakowało.

imi i bąblami, ale przynajmniej przestałem odczuwać skutki zastrzyku uodporniającego przeciwko wąglikowi.

Jest zaskakująco ciepło jak na tę porę roku. To jak finiesiąc miodowy przed rozwodem. Przed Halloween |powinien spaść śnieg. W tym roku przebiorę się za zmiernika.

Od dziś przez kolejne dwa dni będę się uczył obsługi karabinu maszynowego M240B, który zastąpił | Znany z filmów o Wietnamie M60 (zwany piechotliwie „świnia”). M240 jest doskonałą bronią, ale zdecydowanie za ciężką. Bez amunicji waży 12,5 kilograma, wystrzeliwuje 950 pocisków na minutę, maksymalny i zasięg efektywny to 1100 metrów, ale pociski lecą na ponad 3700 metrów. Tak, to ponad dwie mile.

Dla potrzeb tej misji zostaliśmy „piechotą zmotoryzowaną”. To nowość w naszej armii, jakiej próżno szukać od czasów drugiej wojny światowej. Jesteśmy częścią zupełnie nowego podejścia do taktyki. Innymi słowy - wszelkie zasady i doktryny dla piechoty zmotoryzowanej będą pisane na podstawie naszych doświadczeń. Będziemy królikami doświadczalnymi, ale przynajmniej zamontują w naszych hunwee masę fajnych zabawek.

12 października 2003

Miejsce, w które wstrzyknięto mi szczepionkę przeciwko ospie, swędzi mnie jak diabli. Pokryte jest stru-

14 października 2003

Nie powiem wam, ile razy jechałem samochodem i spotykałem na drodze idiotów, których z miejsca bym rozjechał i zepchnął z drogi. Każdy, kto siada

za kierownicą, miewa od czasu do czasu takie myśli, prawda? Ja osobiście zwykle marzę o karabinie

maszynowym zamontowanym na dachu samochodu, którego komputer celowniczy został tak zaprogramowany, aby namierzać i ostrzeliwać samochody prowadzone przez idiotów. Z radością nacisnąłbym spust karabinu i zasypał takiego cymbała lawiną pocisków kaliber 7.62 mm. Najzabawniejsze, że już wkrótce będę mógł zrealizować tę fantazję.

Jak już wcześniej wspomniałem, pomysł „piechoty zmotoryzowanej” nigdy wcześniej nie był wypróbowany, dlatego armia będzie musiała improwizować. Naszą taktykę oparto na rosyjskiej doktrynie walk oddziałów zmechanizowanych w mieście. Najfajniejsze było to, że miałem dowodzić moim własnym humvee. W pojeździe mieści się do pięciu osób, w tym jeden strzelec na górnym obrotowym stanowisku. Jego uzbrojenie miał stanowić karabin maszynowy M2 kalibru 12.7 mm albo M240 kaliber 7.62 mm, zdolny do obrotu o 360 stopni i osadzony mniej więcej pośrodku pojazdu. Dodatkowo mieliśmy dysponować jeszcze drugim M240, znajdującym się z tyłu pojazdu (to na wypadek, gdybyśmy musieli opuścić samochód), przynajmniej jeden z żołnierzy miał być uzbrojony w karabinek z podczepianym granatnikiem M203, inny w maszynowy M249 kaliber 5.56 mm (zwykle nazywa się go SAW, co jest skrótem od *squad automatic weapon*). Ostatni z naszej piątki powinien być uzbrojony w M16. Gość, który obsługuje wieżyczkę z M240, ma do dyspozycji straszną giwerę, jednak aby być efektywnym, musiałby być urodzonym mordercą. Nie wiedzia-

i, kto będzie strzelcem w moim humvee, ale modli-łem się, aby był to Ray. Jak mówiłem, od tytułu kolej -iftego psychopaty światowej klasy dzieli go tylko jeden rok. Nie zmienia to faktu, że gość wie, jak i do kogo strzelać. Wychodziło na to, że po Iraku będę jeździł bryką, o jakiej marzy każdy chłopak, który oglądał GJ jfoe. Wiem, że nie powinienem porównywać wojny do reskówek, ale powiedzmy sobie szczerze: ten samo-ma na dachu prawdziwą armatę.

Pogoda w Fort Drum jest cudowna, ale, niestety, ma się jutro zmienić na gorsze. Założę się, że jeszcze w tym tygodniu spadnie śnieg. Prawie zapomniałem, że powinienem ponarzekać na szczepionkę przeciwko ospie. Mnie kluto na szczęście tylko trzy razy, ale ci, którzy byli powtórnie szczepieni, dostali po piętnaście zastrzyków. Chłopaki wyglądają okropnie.

Za kilka dni egzamin strzelecki. Wreszcie przekonamy się, którzy żołnierze są w stanie wypełnić jedyny obowiązek, jakiego się od nich wymaga: celnie strzelać do celu.

17 października 2003 Eliasz kontra Barnes

Środa to ważny dzień, bo mieliśmy sprawdzian strzelecki. Każdego z nas czekała przeprawa z czterdziestoma tarczami strzeleckimi w formie ludzkich sylwetek. Do dwudziestu trzeba strzelać z płytkiego okopu, do pozostałych z pozycji leżącej, bez podpórek. Cele

będą się znajdowały w odległości od dwudziestu pięciu do trzystu metrów. Nie wolno używać żadnych celowników optycznych, tylko muszki i szczer-binki. Trafienie trzydziestu sześciu celów daje rangę eksperta. Ja trafiłem trzydzieści siedem tarcz, dwóch gości z mojego plutonu trzydzieści osiem, jeden trzydzieści pięć. Jeden z dowódców drużyn, Chris, który poza wojskiem był policyjnym snajperem, trafił trzydzieści trzy, a mój nowy wróg, Kirk, strażak z Nowego Jorku, trzydzieści sześć. Tak, jestem z siebie dumny. Pamiętacie, co w autobusie mówił kapral (a w zasadzie już sierżant) Damion? Spytał mnie, czy chcę, aby ludzie mnie znienawidzili. Kirk już wtedy mnie nie znosił, a teraz nie mógł się powstrzymać przed wieszaniem na mnie psów, bo strzelałem

lepiej od niego. Cóż, ludzie okazują szacunek na wiele różnych sposobów. W moim oddziale dochodziło do spięć na tle tego, jak dowodzę. Teraz mogłem malkontentom spokojnie spojrzeć w oczy i kazać się zamknąć.

Wielu ludzi w moim batalionie, w tym Kirk i Chris, dowodzi w znacznie bardziej surowy sposób niż ja. Obydwaj służyli w tej samej kompanii i przywykli do dowodzenia chłopakami spoza miasta. Zwykle się o takich mówi, że to posłuszni biali chłopcy z północy stanu. Ich przeciwieństwem są żołnierze, którzy wychowali się w mieście. Dowodzenie nimi to inna para kaloszy, co najlepiej ujął John, mówiąc, że „spaghetti nie dasz rady przesunąć w jednym kawałku. Makaron się rozleci”. Willy z kolei powtarzał do znudzenia, że dowodzenie w Gwardii Narodowej jest trudniejsze niż gdziekolwiek indziej. Nie można tak po prostu bandy

cywilów ustawić do pionu i potraktować, jakby byli zwykłymi rekrutami. Będą się sprzeciwiać i stawiać, a koniec końców wyjdiesz w oczach wszystkich na „skończonego dupka”. Co więcej, do Gwardii Narodowej zostałem przeniesiony z sił specjalnych, w których ceni się „cichy profesjonalizm” i z pobłażaniem spojrzą na wojskowe machanie szabelką. W ciągu czterech lat styczności z typowymi mieszkańcami Bronksu czy Brooklynu wypracowałem sobie taki styl dowodzenia, przy którym mogłem się obejść bez ciągłego musztrowania ludzi i gnębienia ich, jeśli buty nie są wyglansowane do przepisowego połysku. W mojej starej kompanii pewnie byłbym uważany za porządnego gościa i dobrego dowódcę. Przez pięć miesięcy pełniłem obowiązki sierżanta plutonu. Miesiąc po zmianie mój nowy oddział i pluton uznał, że jestem mydłkiem bez wyrazu. Czy to nie zabawne, jak wiele zależy od punktu widzenia?

22 października 2003 Wasza pedalska muzyka

Sprawy przybierają dobry obrót. Zamiast ćwiczyć od piątej rano do północy, jesteśmy zwalniani z zajęć około czwartej po południu. Możemy przebrać się w cywilne ciuchy, pójść na pocztę i wysłać listy lub robić cokolwiek innego, pod warunkiem, że wrócimy do koszar przed dwudziestą trzecią. Skutek jest taki, że nie kładę się spać przed północą. Treningi także nie należą do najcięższych: głównie słuchamy wykładów

z nawigacji lądowej, wzywania ostrzału artyleryjskiego (wsparcie mózdzierzy i dział), pierwszej pomocy oraz podstaw CQB (*close quarters battles* - walki w terenie zabudowanym). Najgorszą rzeczą jest pobudka o piątej rano i poranna „gimnastyka na wietrze, który potrafi odmrozić jaja.

W naszym baraku mamy niewielki magnetofon z odtwarzaczem CD. Pożyczyłem od Johna płytę, na której znajdowała się kompilacja hitów muzyki alternatywnej z lat osiemdziesiątych. Mój pluton już dawno uznał, że jestem pedałem. Złożyło się na to wiele powodów: to, że wyglądam na młodszego, niż jestem w rzeczywistości, że siadając, zakładam nogę na nogę, że jestem wykształcony, nie noszę obciachowych tenisówek i jestem bardziej świadomy swego wnętrza niż przeciętny trep z piechoty. Oliwy do ognia dolałem, słuchając tej płyty. Kirk zaczął mi dogadywać na temat pedalskiej muzyki, ale do pokoju wszedł Chris. Przeglądając spis utworów na kopercie, powiedział, że sam miał kiedyś taką płytę i bardzo ją lubił. Kirka i mnie zamurowało. Niezrażony Chris powiedział: „Moi ludzie muszą wiedzieć, że dla mnie piosenkarzem wszech czasów jest Morrissey”. Potem zaczął przełączać poszczególne utwory, komentując każdy z nich. Kiedy dotarł do kawałka New Order, z latryny dobiegł nas okrzyk: „Nie zmieniaj tego!”. Jak się

okazało, krzyczał Tommy, gliniarz z Brooklynu, do niedawna nasz zły sierżant i nemezis Willy'ego. Zaczęliśmy gadać o różnych piosenkach, wspominając, kiedy usłyszeliśmy je po raz pierwszy i jakie się z nimi wiążą wspomnienia, aż tu nagle do pokoju wchodzi Joey,

sierżant z innego plutonu, niosąc w ręku pudełko na płyty, i mówi:

- Słyszałem, chłopaki, że słuchacie tutaj przygnębiającej muzyki. No to przyszedłem do was.

Kolejny sierżant piechoty, który lubi muzykę lat osiemdziesiątych! Dyskusja rozgorzała na nowo, aż w pewnym momencie Tony zapytał:

- Jest taka piosenka, która od lat chodzi mi po głowie, ale nie wiem, jaki ma tytuł. Szła jakoś tak: „heey nów, hey nów nów...”.

- To Sisters of Mercy, a kawałek nazywa się *This Corrosion* - odpowiedział Joey, przerzucając CD w kołpach, jakby to był nowy numer „Tiger Beat”⁵. - Jest na tej płycie.

Wkrótce obydwaj z Tonym wertowali płyty, a ja przez cały czas nie mogłem opanować narastającego we mnie śmiechu. Oto banda wytrenowanych morderców, która zachowywała się jak dziewczynki z ogólniaka rozprawiające o swoich ulubionych boysbandach. Podobnie musiał się czuć Kirk, który z niedowierzaniem i niesmakiem stwierdził, że kompania piechoty, w której służy, składa się w większości z ciot.

23 października 2003

Oto moja broń, oto mój Gerber...

Pierwsza i druga drużyna mojego plutonu dzielą ze sobą parter jednopiętrowego budynku. Właściwie jest

to jedno otwarte pomieszczenie, gdzie odbywa się większość kursów z działań na poziomie drużyny. Kilka dni temu ćwiczyliśmy rozkładanie i składanie karabinu maszynowego M249. Osiągnąłem drugi czas, plasując się tuż za Danem. Jestem pewien, że mogłem go prześcignąć, ale uważałem, że mądrym posunięciem jako dowódcy oddziału będzie dać mu fory. Będę miał z niego więcej pożytku, jeżeli będzie się uważał za lepszego ode mnie, niż kiedy dam mu wycisk. A może po prostu chrzanię głupoty i próbuję *znaleźć* wymówkę, bo nie potrafiłem go prześcignąć? Zapewne prawda leży gdzieś pośrodku.

Kiedy chłopakom znudziło się zwykle rozkładanie broni, zaczęliśmy ćwiczyć z zawiązanymi oczyma. Swoją drogą, to bardzo niewdzięczne zadanie. Jimmy, kolejny gliniarz w cywilu, rozłożył karabin, ale miał kłopoty ze złożeniem go na powrót do kupy. Nie mogąc dać sobie rady z jedną częścią, zapytał: - Czy któryś z was ma Gerbera? Gerber to narzędzie uniwersalne, pomocne w takich sytuacjach. Jimmy wyciągnął dłoń, a w tym momencie Sean rozpiął rozporek i mówiąc: „Jasne, bierz”, włożył mu do ręki swojego ptaka. Wszyscy ryknęli śmiechem i ze łzami w oczach zaczęli się zwijać na podłodze. Przez jakieś dziesięć sekund Jimmy nie wiedział, co ze sobą począć. Złożył w końcu karabin, zerwał opaskę z oczu i postanowił się zemścić. Cała ta sytuacja spowodowała gorącą dyskusję i do tej pory nie zdecydowaliśmy, kto jest większym pedałem: gość

obmacujący ptaka innego faceta czy ten, który dał go do obściski-wania.

O homofobicznych i homoerotycznych podtekstach w piechocie można napisać wiele książek, a i tak nie wyczerpie się tematu.

27 października 2003

Na długo przed tym, jak Fort Drum stał się Fort Drum, *, nazywany był Camp Drum. Po Camp Drum pozostawało tylko kilka popadających w ruinę budynków, nazywanych Starą Poczta. W tych zapuszczonych barakach trzyma się żołnierzy Gwardii Narodowej, którzy trenują w Fort Drum. Trzy dni temu ostatecznie je zamknięto i nakazano zburzyć, więc zamiast mieszkać w głównianej wspólnej sali, śpimy w głównianych czteroosobowych pokojach.

Moją ulubioną częścią koszar są latryny. Podłogę pokrywają cztery warstwy farby, spod której w większości miejsc prześwituje goły beton. To zjawisko najbardziej widoczne jest pod prysznicem, gdzie tworzy niemożliwą do opisaną mozaikę z wojskowych kolorów. Największym zdumieniem przepełnia mnie ergo-nomika konstrukcji latryny. Trzy sedesy ustawiono tak blisko siebie, że gdyby wszystkie były zajęte, żołnierze sraliby, ocierając się o siebie tyłkami. W rogu znajduje się niewielkie pomieszczenie o ścianach z betonu, gdzie mieszczą się natryski. Nie wiem, jakim cudem miałyby się tam zmieścić pluton umorusanych i spoconych facetów. Faktem jest, że rzadko kiedy wszystkie cztery prysznice działają, a nawet jeśli, to temperatura wody oscyluje pomiędzy wrzątkiem a płynnym lodem.

Dysponujemy także toaletami, ale te są przez cały czas zajęte przez ludzi, którzy usiłują pozbyć się obiadu lub po prostu bezwstydnie trzepią kapucyna. Wydaje mi się, że gorzej trafić nie mogłem: zamiast znaleźć się w nowoczesnym ośrodku wojskowym, utknąłem w ruderze z czasów drugiej wojny światowej.

W sobotę mieliśmy ćwiczenia z nawigacji lądowej. Standardowy test polega na tym, że każdy żołnierz musi w ciągu trzech godzin odnaleźć pięć ośmiocy-frowych koordynat. Jedyną pomocą, z jakiej może skorzystać, jest mapa i kompas. Zamiast tego musieliśmy odszukać jeden punkt terenowy, którego nie przeoczyłby nawet dwunastoletni harcerz. Potem przeprowadziliśmy krótki zwiad, polegający na odnalezieniu trzech punktów terenowych na podstawie różnych kierunków i dystansów. Kiedy już znajdziesz się na miejscu, musisz odszukać znak lub wiadomość z zapisanym na niej szyfrem. Przepisujesz go i odkładasz na miejsce, a potem biegniesz dalej. Kiedy odnalazłem trzeci z wyznaczonych punktów, usłyszałem, jak z pobliskiego wzgórza ktoś wzywa pomocy. Na początku myślałem, że ktoś sobie ze mnie żartuje, ale wołania się powtarzały. Wspiąłem się na pagórek (podobnie jak inny sierżant, który był w okolicy) i znalazłem jakiegoś żółtodzioba, którego stopa utknęła pomiędzy kamieniami. Jakby tego nie dość, chłopak stracił równowagę i spadł, a jego kolano było paskudnie wygięte pod nienaturalnym kątem. Musiał się zdrowo nacierpieć i nie potrafił wydostać się z potrzasku o własnych siłach.

kały nie były zbyt twarde, więc w końcu jakoś go wyciągnęliśmy. Wtedy okazało się, że chłopak nawet nie I Skręcił kostki. Fakt, poobijał się trochę, ale poza tym ftic mu się nie stało. Przez chwilę nie byłem w stanie W to uwierzyć. Kadetów robią teraz chyba z gumy. Później chłopak opowiedział mi, że kiedy spadł i nikt nie (odpowiadał na jego wołania, zdrzemnął się na kilka ! minut. To kolejny dowód na to, że żołnierz potrafi zasnąć dosłownie wszędzie.

' 3 listopada 2003

Treningi weszły w fazę „zaznacz kratkę z odpowiedzią”. Nasi instruktorzy chcą się upewnić, że dokładnie wiemy, jak narazić młodych ludzi na każde niebezpieczeństwo. Pierwsza pomoc - zdana; sprawdzian z bronią - zaliczony; prezentacja w PowerPoincie (tu wpisz temat) - obejrzana. Chciałbym móc powiedzieć, że szkolenia były ciężkie i owocne, ale prawda jest taka, że okazały się zupełną, jeśli nie kompletną, stratą czasu. Dowódca mojej drużyny, Chris, zna się na CQB i ten temat przerobiliśmy od podstaw. Jednak kiedy nie ćwiczyliśmy poruszania się przez tereny zabudowane czy zdobywania pomieszczeń, nauka szła w las.

John, Willy i ja zastanawialiśmy się, kogo jeszcze można wciągnąć do Pielgrzymiego Zakonu Piechoty (PZP). Zdecydowaliśmy, że pierwszymi nowicjuszami będą Ray i Ernesto. We trójkę uznaliśmy też,

że ceremonia przystąpienia do naszego związku musi *wiżać* się z bólem i publiczną nagością. Zakładając, że dysponowalibyśmy śniegiem, goły nowicjusz musiałby zrobić w nim kilka aniołków na oczach jednego z braci i co najmniej jednego Bogu ducha winnego przechodnia. Jak na złość, śnieg *jeszcze* nie spadł, więc musimy wymyślić coś innego. Po dłuższym namyśle uznaliśmy, że Ernesto może przystąpić do nas bez żadnych ceregieli, jako że jest ucieleśnieniem żołnierza zakonnika. Facet liczy sobie trzydzieści osiem lat i jest pozbawiony jakichkolwiek więzi rodzinnych, które mogłyby stanąć na drodze do przyjęcia go w poczet zakonu: nie ma żony, dzieci czy nawet dziewczyny. Ray udowodnił nam, że nie potrzebuje żadnych ceremonii.

Z okazji Halloween ogłoszono konkurs na najlepszy kostium. Mogli wziąć w nim udział wszyscy *żołnierze* stopnia E-4 lub niżej, a nagrodą było zwolnienie z obowiązków pozasłużbowych. Zakładając, że znajdowaliśmy się w jednym z najzimniejszych rejonów Ameryki i nie wydano nam jeszcze zimowego obuwia, zrobienie sobie kostiumu i paradowanie w nim na balu było nie lada wyczynem. Nagroda jednak była kusząca: zwycięzca przez miesiąc miał być zwolniony z obowiązków *czyszczenia* latryn, sprzątnięcia itp. Spora część kostiumów była łatwa do przewidzenia: karykatura starszego sierżanta, dowódcy kompanii, gość ubrany w *czarne* okulary narciarskie, bokserki i glany (niech ktoś sprowadzi medyka!) i tak dalej. Wszystkich przyćmił Ray. Od stóp do czubka głowy wymalowany był zieloną farbą maskującą, tylko usta i oczy zaznaczył ciemniej-

szym odcieniem. Na sobie miał jedynie bikini, wyko-me z bandan i linki 550. Publiczna nagość? Wystar-Ifcająco blisko. Fizyczne cierpienie? Ray: „Cholera, jest zimno, że mi jaja zaraz odpadną. Linka wrzyna się w tyłek, że nie mogę usiąść!”. Uznałem, że Ray eszedł obrzęd inicjacji. Następnego dnia, kiedy po liku godzinach szorowania zmył z siebie farbę, zabra-fcm go z Ernestem na bok, nauczyłem tajnego uścisku Jłoni i wręczyłem nieśmiertelniki PZP. Ray powiedział: |Super! Jeszcze nigdy nie byłem w żadnym zakonie, jdko co, do cholery, oznacza, że jest «pielgrzymi»?”.

Ray nie przestaje napawać nas dumą. Zeszłego |;Wieczoru dowódca naszego batalionu zakończył swoją przemowę, komunikując, że nie będzie ukrywał, iż spodziewa się strat po naszej stronie. Wszyscy dosko- nale wiedzieliśmy, że chciał zacytować sierżanta Hart-mana z *Fuli Metal Jacket*, który powiedział w filmie: „Większość z was pojedzie do Wietnamu, ale niektórzy z niego nie wrócą”.

Jakkolwiek by było, kończył swoje przemówienie i zbliżał się do momentu, kiedy żołnierze *zaczynają zadawać* głupie pytania. I wtedy postanowił nas uczulić na kontakty z Irakijczykami oraz

pomarudzić o trudnym okresie, w jakim znalazł się ich kraj. Nagle Ray, jak przystało na pozbawionego uczuć i sentymentów snajpera, krzyknął:

- Sir, niech mi pan da M24, furę dobrego żarcia i dużo amunicji, a wszystko pójdzie jak po maśle!

Boże, chciałbym myśleć w tak bezpretensjonalny sposób.

13 listopada 2003 Nów w rzeźni

Nasz pierwszy dzień na poligonie spędziliśmy w budynku do ćwiczeń szturmowych. Do niedawna był to „magazyn”, ale został zastąpiony przez budynek z ogromnych żelbetonowych bloków i nazywany jest pomiędzy żołnierzami „strzelnicą”, a niekiedy po prostu „rzeźnią”. Ilekroć któryś z instruktorów wspominał o „strzelnicy”, miałem wrażenie, że mówi „srał-nica”. W każdym razie budynek składa się z typowych pomieszczeń, na jakie możemy się natknąć w trakcie naszych misji: niewielkie pokoje, wąskie korytarze i zamykające je drewniane drzwi. Podłoga wysypana jest piaskiem, a zamiast dachu mamy rusztowanie. Z jego wysokości instruktorzy obserwują tę wojnę na niby. Cały budynek znajduje się pod ogromnym balonem, ale najciekawszym rozwiązaniem jest sposób mocowania i zastosowania manekinów. Zawieszane są za pomocą drutu, który przyczepiony jest do balonu z powietrzem umieszczonego w klatce piersiowej celu. Jeżeli manekin zostanie trafiony, balon pęka, a figura opada na ziemię.

Każdy oddział musiał przebić się przez dwa takie same pokoje. Prawdę mówiąc, robiono to do upadłego: najpierw bez naboju, potem ze ślepakami, a na końcu z ostrą amunicją. Oddział dzielony był na dwie drużyny i prowadzony przez dowódcę. Drużyna Alfa zajmowała pierwszy pokój, drużyna Bravo, którą dowodziłem ja, drugi. W chwili, w której pierwsze pomieszczenie zostaje opanowane, mój oddział do niego

raczał, zbierał się pod ścianą obok drzwi do dru-|lego i czekał. To nazywamy „zgrupowaniem”. W tym zypadku grupowaliśmy się po lewej od wejścia, plzłowiek numer jeden sprawdzał drzwi i meldował, mamy do czynienia z zamkniętymi. Ja miałem imer trzy i musiałem krzyknąć do czwórki, że ma wywazać. W trakcie ćwiczeń miał je tylko otwo-yc kopniakiem, ale na polu walki musiałby je prze-|ć, wysadzić w powietrze lub po prostu rozwalić. Ciedy tylko drzwi zostały otwarte, grupa wchodziła pdo środka. Prowadził człowiek numer jeden, idąc po śihajprostszej dla siebie drodze. Zwykle wybierał kieru-j bek przeciwny do strony, na którą otwierają się drzwi. f W tym przypadku drzwi otwierały się do wewnątrz t; i na lewo, więc numer jeden wszedł do pokoju i stanął pod prawą ścianą, numer dwa pod lewą, numer trzy pod prawą, a cztery pod lewą. W pokoju znajdowały się dwa manekiny, w tym jeden z wyciętym z kartonu zarusem AK-47.

Kiedy przyszła pora symulacji z ostrą amunicją, l muszę przyznać, że zacząłem się trochę denerwować. Wbrew pozorom nie mamy zbyt wielu ćwiczeń z prawdziwymi nabojami. Armia obsesyjnie wręcz boi się wypadków, co nie może być dziwne, jeśli weźmie się pod uwagę, że większość strat, jakie ponosi, to efekt nieszczęśliwych zdarzeń. Stąd mała liczba ćwiczeń z ostrą amunicją. W przypadku oddziałów elitarnych nie jest to regułą, ale kiedy chodzi o zwykłych ludzi, którzy niekiedy spadają ze schodów czy potykają się o własne nogi, jestem w stanie zrozumieć obawy dowódców przed oddaniem w ręce takich oferm niebezpiecznej

broni. Ubrano nas w pancerze rangersów, ponadczter-dziestofuntowe kamizelki, które sprawiają wrażenie kowadła przerobionego na pancerz, wydano amunicję i kazano czekać. Ćwiczenia poszły

bez problemu, jeśli nie liczyć Matta, który zastrzelił „cywila”.

Następnej nocy mieliśmy odbyć ten sam trening co za dnia, ale z ostrą amunicją. Niby nic wielkiego, ale w goglach noktowizyjnych wszystko wygląda jak pod wodą albo w grze wideo, zwłaszcza że szlag trafia poczucie perspektywy. Kiedy człowiek się do tego przyzwyczai, można dać sobie radę. Oczywiście zaczęły się jednak problemy. Próbując usunąć zaklinowany ślepek w magazynku karabinu Matta, Dań nadwerżył lewy nadgarstek. Ręka bolała go tak mocno, że nie mógł utrzymać karabinu. Kłopot w tym, że Dań był naszym numerem jeden, czyli facetem, który najwięcej strzela. Aby nasz oddział zaliczył sprawdzian, musieliśmy działać jako pełna grupa. Chris, nasz dowódca, zdecydował, że Dań będzie numerem czwartym, jako że praktycznie nie musi strzelać, wyważa jedynie drzwi. Ja zostałem numerem jeden, a Matt numerem trzy. Dodatkowo miał on na czas ćwiczeń pełnić funkcję dowódcy. Peter, zasadniczo numer cztery, przeskoczył na pozycję drugą. Z tego powodu zacząłem się trochę denerwować. Jak do tej pory Peter nie musiał w ogóle strzelać. Kiedy pomyślałem, że będzie stał niecały metr ode mnie i w ciemności pruł z ostrej amunicji, poczułem lekki dyskomfort. Peter to dobry chłopak i będzie z niego świetny żołnierz, ale jest młody i niedoświadczony, a czasem w gorącej wodzie kąpany. Zmusiłem go, aby założył gogle i przy-

yczał się do widoku przez nie, a potem raz za razem starzałem przebieg akcji, co wszystkim nam wyszło flyba na dobre.

Przez całą noc księżyc świecił jasno. W jego promieniach wszystko było wyraźnie widoczne, jak za dnia, jrlko że dziwnie zielone. Oczywiście były to zbyt dobre irunki, żeby się miały utrzymać. Kiedy czekaliśmy na jasną kolej, światło księżycy zaczęło słabnąć. Gdy na-eszła nasza pora, ledwie było co widać. Gogle nadal działały w ciemności, ale podczerwone lasery naszych fkarabinów wyglądały niczym miecze świetlne. Wyob-I; rażcie sobie, stoję na czele zgrupowanego oddziału tuż i przy drzwiach, za chwilę mam je wykopać i wejść do f pierwszego pokoju, serce wali mi jak młotem i rozmy-ślam o tym, że z zimna odpadną mi palce u stóp, a broń z magazynkiem pełnym ostrej amunicji jest cięższa od tej ze ślepakami. Co więcej, zaczynam odpływać. To niesamowite, ilu wspaniałych rzeczy może doświadczyć człowiek odwalający tak paskudną robotę. Kilka nocy wcześniej po raz pierwszy w życiu widziałem zorzę polarną. Była niesamowita. Fale światła zalewały czasem połowę nocnego nieba. Przez dobrą godzinę nie mogłem K oderwać od niej wzroku, a teraz oglądałem zaćmienie księżycy. Niebo było całkowicie czyste, a odkąd zniknął księżyc, gwiazdy świeciły tak wyraźnie jak nigdy dotąd. Bez światła czy zanieczyszczeń unoszących się nad miastem mogłem spoglądać w czerń kosmosu. Mało się nie udusiłem, próbując objąć jego ogrom. Spoglądałem na Drogę Mleczną i miałem świadomość, że widzę moją własną galaktykę. Poczułem się głupio, kiedy zdałem

sobie sprawę, jak niewiele znaczę. Nawet uzbrojony po zęby w szczytowe osiągnięcia ludzkiej cywilizacji -byłem niczym. Spojrzałem na ścianę, wspominając, jak kilka minut temu fascynowałem się uderzającymi w nią kulami, które wytraciwszy całą energię, bezwładnie upadały na piasek, i nagle słyszę:

- Zamknięte drzwi po lewej!

Odkrzykuję zatem:

- Wyłam je, człowieku. Stań przed nimi i z kopa!

Kiwam głową, a on kopie. Wchodzę do pokoju,

powoli i spokojnie, rzucam okiem na pierwszy róg. Jest pusty, przenoszę wzrok na drugi i widzę tam manekin, ale bez broni. Szybko spoglądam na trzeci i widzę kolejną kukłę, tym razem uzbrojoną. Naciskani spust PAQ4 mojej broni i promień zielonego lasera rozświetla pokój. Jeszcze dwa razy pociągam za cyngiel.

Wszystko poszło jak po maśle. Peter spisał się na medal, podobnie jak reszta oddziału. Zaćmienie księżyca znikło tak samo, jak się pojawiło, a mój pluton przespał noc jak susły.

CYTATY TYGODNIA

Juan miał niezłego pecha. Najpierw podczas ćwiczeń szybkiego reagowania rozwalili sobie wargę o celownik SAW, a potem zemdlali z odwodnienia podczas ćwiczeń z obsadzania punktu obserwacyjnego. Jeden z instruktorów, najwidoczniej rozbawiony przypadkami, jakie spotkały Juana, powiedział o nim:

- Gdyby z nieba zamiast deszczu padały cipki, ten gość dostałby w twarz kawałem kutasa.

Zdając sobie sprawę z braku funduszy w armii na odpowiednie wykupowanie nas do misji, Jimmy znalazł:

- Nie dostaniemy żadnych DCU. Dowództwo jznało, że taniej będzie pozostawić nam zielone mun-|j|ury i zasadzić drzewa w Iraku.

•18 listopada 2003

Nasze ćwiczenia na poligonie wiążą się teraz z działaniami w terenie miejskim i wykorzystaniem humvee. Obydwie te rzeczy przerabiamy po raz pierwszy. Wiem, że dla partyzantów samochód jest znacznie bardziej kuszącym celem niż pojedynczy żołnierz, ale to niesamowite uczucie jechać do walki, a nie drałować na piechotę z plecakiem wrzynającym się w ramiona. Wjechaliśmy do (fałszywego) miasteczka, wypakowaliśmy się z samochodu i zaatakowaliśmy wyznaczony budynek. To było główne zadanie mojego oddziału. Rozprawiliśmy się z martwymi i schwytanymi wrogami, a potem zaopiekowaliśmy się naszymi rannymi. Na koniec załadowaliśmy zatrzymanych do samochodów i odjechaliśmy, rozdzielając nasze siły.

Nocna powtórka ćwiczeń była jeszcze ciekawsza. Budynek, który był naszym celem, krył w sobie kilka niespodzianek. Jako że Dań i Peter zostali w samochodzie (pierwszy był kierowcą, drugi strzelcem), mój oddział znacznie się skurczył. Tworzyłem go ja, Matt i Yanko, bardzo fajny gość z oddziału wsparcia.

Bez problemów przemknęliśmy od domu do domu, szukając naszego celu. Do wejścia prowadziły wąskie schodki, bardzo dogodny punkt do szturm. Nasze zgrupowanie otwierał Matt na szpicy, potem byłem ja i Yanko na końcu. Plan był taki, że zaraz po wyważeniu drzwi oczyszczamy pierwsze pomieszczenie i wtedy wchodzi Chris z drugim oddziałem. Nie zdążyliśmy się przebić, kiedy dostaliśmy się pod ostrzał z okien. Matt uciszył przeciwnika, odpowiadając ogniem. Aby zaoszczędzić na czasie, wyważył drzwi, a ja i Yanko weszliśmy do środka. Ja prowadziłem. Przebiegliśmy kawałek otwartej przestrzeni do schodów, gdzie się zgrupowaliśmy. Przez cały czas odpowiadaliśmy na ogień od strony okna. Matt napał na drzwi, a ja szykowałem się, aby wskoczyć tuż za nim, kiedy... Co jest, do cholery?

Drzwi były zablokowane od wewnątrz! Kopnąłem je kilkakrotnie ze wszystkich sił, ale moje wysiłki na nic się zdały. Pomiędzy jednym a drugim dudniącym uderzeniem słyszałem kobiece krzyki dochodzące z pokoju. Kopnąłem drzwi kilkanaście razy i nie zdołałem ich wyważyć. W końcu Matt krzyknął: „To nic nie da! Idziemy naokoło”. Kiedy teraz o tym myślę, wiem, że sam powinienem tak zdecydować po drugiej nieudanej próbie wyważenia. Zawiązałem się jednak, że wykopię drzwi. Zapamiętałem sobie tę lekcję, aby nie popełnić takiego

błądu drugi raz. Następne drzwi też były zabarykadowane, ale po kilku uderzeniach się poddały. W środku zobaczyłem *krzyczącą* kobietę siedzącą na krześle w moim polu ostrzału. Chwilę później ostrzelał mnie jakiś facet

Tjlrzający się w ciemnym korytarzu. Matt, który miał mieć baczenie na tamtą część pomieszczenia, odpowiedział ogniem. Do pokoju wpadł Yanko. Wtedy Ostrzelał nas gość ukryty pod sufitem, na krokwi. Cała nasza trójka zaczęła do niego prażyć, ale skoro żaden z nas nie zamontował baterii w MILES-ie (wojskowy odpowiednik karabinu laserowego do zabawy w wojnę), ciężko było stwierdzić, kto „żyje”, a kto nie. Kiedy do pokoju wpadł oddział Kirka, strzelec z poddasza uznał, że znowu żyje, i zaczął do nas strzelać. My znowu odpowiedzieliśmy ogniem i wywaliliśmy w jego stronę chyba z setkę wyimaginowanych naboju. Chris się wściekł: „O, więc chcesz grać w taga⁶, co?”. Gdyby gość był na ziemi, Chris poszatkowałby go bagnetem na plasterki. Nim cała sytuacja przerodziła się w kłótnię spod znaku: „Jesteś martwy! Nie, to ty nie żyjesz!”, obserwator-kontroler zainterweniował, ogłaszając, że strzelec z poddasza nie żyje. Przeszukaliśmy resztę parteru i zeszliśmy do podziemi. Schody zasłane były krzesłami porozrzucanymi jako przeszkody. Wciąż wściekli z powodu incydentu z kuloodpornym Quasimodo, wyrzuciliśmy wszystkie przez okno. Reszta ćwiczeń minęła bez kłopotów, jeśli nie liczyć Kirka, który podczas przeszukiwania dość obcesowo potraktował jednego z zatrzymanych i dopiero później zorientował się, że to kobieta.

Członkowie mojego oddziału coraz lepiej współpracują ze sobą. Nie znoszę rangersów i ich sztywniaczkiej mentalności, ale muszę przyznać, że większość sukcesów naszej drużyny to zasługa Chrisa, który do niedawna służył w Drugim Batalionie Rangersów, Dziesiątej Dywizji Górskiej. To bardzo zabawny i przyjemny gość, z którym dobrze się pracuje. Przyznaję, że były takie chwile, kiedy jego obsesja na punkcie ćwiczeń, zwłaszcza CQB, potwornie mnie wkurzała. Jest mi teraz głupio z powodu mojego zachowania, bo widzę, że ustawiczne ćwiczenia po prostu się opłaciły.

Nasze szkolenie składa się z serii różnych scenariuszy, zwanych ścieżkami, które każdy oddział musi zaliczyć. Prawie za każdym razem po ukończeniu któregoś z nich instruktorzy przeprowadzają AAR (*after action review* - podsumowanie działań), mówiąc: „Jesteście jak dotąd najlepszym oddziałem” albo „Jako jedyni zdołaliście zakamuflować się przed zasadzką”. Członkowie naszego oddziału to świetni żołnierze, ale to za sprawą Chrisa jesteśmy więcej wari niż suma naszych umiejętności. Zdecydowanie, gość zna się na zawodzie żołnierza. No i jest gadzeczniarzem. Grube ryby przemysłu zbrojeniowego, takie jak Blackhawk czy Light-fighter, nie muszą bać się o przyszłość, skoro mają takiego klienta. Zwykle uwielbiam stroić sobie z Chrisa żarty, ale pozwólcie mi powiedzieć, jak bardzo jestem zadowolony, że dowodzi moim oddziałem.

Nasza sprawność w CQB zyskała nam renomę wśród plutonu, a nawet kompanii. To oznacza, że kiedy trzeba będzie naprawdę komuś przetrzepać skórę, to wezwą nas. Dowódca naszego batalionu za-

ecydował, że należy utworzyć jednostkę powietrzną Ilzybkiego reagowania (QRF), w której skład będzie wchodził jeden pluton z każdej kompanii. Plotka głosi, mój pluton prawie na pewno znajdzie się w jej składzie. To bardzo zabawne, zwłaszcza kiedy mówię do siebie: „Super! Będziemy prawdziwymi bohaterami... g) Ej, chwila moment. Co robi QRF? Jest wysyłana do Walki, ilekroć nasi dostają w skórę? Odkąd to dodatkowe niebezpieczeństwo uznawane jest za nagrodę?”.

Niebawem znowu jedziemy na poligon, więc może i upłynąć trochę czasu, zanim znowu coś napiszę. Naj-prawdopodobniej zacznę od narzekania: a to że nadal _ nie mam odpowiedniego wyposażenia, nie płacą mi i tyle, ile bym chciał, czy (z bardziej osobistego życia) że muszę znosić konflikty osobowości w moim plutonie. Większość innych dowódców drużyn została niedawno awansowana do stopnia sierżanta. Choć będą | się tego wypierać, jestem pewien, że muszą sobie coś udowodnić, a to będzie źródłem problemów. W większości znają się na swojej robocie, ale im odważa i wszyscy uważają, że dowodzić - oznacza krzyczyć. Jeszcze nie połknąłem tego bakcyła i mam nadzieję, że tak się nie stanie. Zdołałem rozwiązać problemy, jakie miałem z moimi podwładnymi. Z Kirkiem jestem w całkiem dobrych stosunkach, choć nadal przynajmniej trzy razy dziennie nazywa mnie ciotą. Z poważniejszych kłopotów: musiałem uciąć sobie pogawędkę z Danem. Innymi słowy, zabrałem go na odludzie i objechałem jak nikogo w moim życiu. Wyobraźcie sobie żyjące w śniegach północnego stanu Nowy Jork stado

wilków, w którym dwie trzecie samców chce zająć pozycję alfy. Wiecie w takim razie, jak wygląda mój pluton. Teraz, kiedy piszę te słowa, wilki polazły do klubu ze striptizem (nie żartuję). Ja się wykręciłem sianem i piszę. Pewnie już mnie obgadują. Jest jedna rzecz, której instynkt stadny nie toleruje: odmienność. Cholera, gdybym był którymś z nich, pewnie też bym się z siebie nabijał.

24 listopada 2003

Właśnie wróciliśmy z kilkudniowych ćwiczeń na poligonie. Przez cały ten czas dopisywała nadzwyczajna pogoda. Ostatniej nocy spałem nawet pod gołym niebem. Pogodziłem się z myślą, że wstanę oszroniony lub zasypany śniegiem, ale ku mojemu zdziwieniu przywitał mnie niespodziewanie ciepły dzień. Ćwiczenia były wyjątkowo udane, tym bardziej że naprawdę przygotowywały nas do irackiej rzeczywistości. Musieliśmy sformować konwój, przejechać nim kilka kilometrów, rozbroić IED, dać sobie radę z ostrzałem z granatników lub inną formą ataku. Nasze misje nie były trudne: musieliśmy przeszukać kilka budynków, między innymi wyłamując prowadzące do nich drzwi. Od czasu do czasu mogliśmy sobie postrzelać, ale w większości przypadków obywalo się bez użycia broni, a my ograniczaliśmy się do przeszukań i rewizji. Znaleźliśmy parę depozytów materiałów wybuchowych i zatrzymaliśmy kilka osób. Potem wsiedliśmy do samochodów i wróciliśmy, przebijając się przez ko-

„ne zasadzki. Raz musieliśmy odnaleźć i zniszczyć |zeciwnika, innym razem staranować blokadę, strzegąc ze wszystkiego, co fabryka dała. To niesamowite rzeźzycie, siedzieć w hurrwee, kiedy karabin maszy-pwy na dachu grzeje do wrogów. Łuski sypią się na dzenie pasażera jak konfetti. Dzień przed tym, jak wyruszyliśmy na poligon, ydano nam mundury z kamuflażem pustynnym oraz _T,yposażenie. Chłopaki zachowywali się jak banda liozchichotanych dziewczyn wracających z wyprawy Ido supermarketu. Nikt nie mógł się doczekać założe-Inia nowych ciuchów. Przyznaję szczerze, że gorączka |1| udzieliła się także mnie. Bezwstydnie mizdrzyłem się | do lustra w latrynie, nie mogąc zdecydować, jak powinienem nosić kapelusz: normalnie, po kowbojsku czy P „na Krokodyla Dundee". Podejrzewam, że większość |1| chłopaków musiała być poważnie zawiedziona, kiedy |1| okazało się, że nie wolno nam nosić nowych mundu-

rów do chwili, kiedy zostaniemy wysłani do Iraku. Na

szczęście wydano nam także zimowe buty, więc nie-łiśmy ich już po dwie pary. Zmuszeni chłódami Fort I Drum, pierwszą kupiliśmy sobie na własną rękę. Nie przesadzę, jeśli powiem, że połowa ekwipunku, który posiadam, została kupiona za moje prywatne pieniądze. Żołd za misje obrony cywilnej w większości przeznaczamy na oporządzenie: kabury, szelki, pasy amunicyjne, sztucce czy koce. Każdy szanujący się żołnierz za wszelką cenę chce uniknąć noszenia łańchmanów z czasów wojny w Wietnamie. Jeżeli dodać do tego tandetę, którą zwykle kupują żołnierze, to armia dysponuje jednostkami wyposażonymi za pół ceny. Cholera,

Ray ma nawet tomahawk! Stwierdził, że *przyda* mu się do rozłupywania głów czarnuchom. Co najśmieszniejsze, mówił całkowicie poważnie i na serio.

Kilka ważnych informacji dotyczących mojego oddziału. Chris nie jest już naszym dowódcą. On i Ray tworzą teraz oddział snajperski podległy bezpośrednio naszemu dowództwu. Chris bardzo niechętnie podporządkował się rozkazom (nie żeby miał jakiś wybór), ale teraz jest bardzo podekscytowany swoją nową rolą. Ray też jest w siódmym niebie. Od kilku dni wycina z worków jutowych pęki materiału, które wespół z kawałkami siatki maskującej mają stanowić jego kamuflaż. Obserwowanie pracy Raya jest fascynującym zajęciem. Całkowicie pochłonięty swoją pracą, wycina z karimaty owalne kawałki materiału, które mają stanowić poduszki na kolana i łokcie. Jeżeli Wuj Sam w końcu zapłaci mi zaległy dodatek na mieszkanie, kupię aparat cyfrowy i zrobię mu kilka zdjęć.

W zasadzie nie chcę nikogo zabijać (dla samej przyjemności zabijania) ani nie życzę nikomu śmierci. Cholera, jestem przeciwnikiem kary śmierci, ale muszę *przyznać*, że mam nadzieję, iż Ray znajdzie sposobność, aby wreszcie zrobić to, do czego jest stworzony. Parafrazując dyskusję przytoczoną przez Dave'a Grossmana w *On Killing*⁷, niewielki procent ludzi rodzi się z naturalną zdolnością do zabijania bez skrupułów. To właśnie te nieliczne jednostki są odpowiedzialne za większość strat ludzkich po stronie przeciwnika. Z[^]ego, co

liętam, nasza skuteczność ognia wynosi sześćdziesiąt procent, ale jestem pewien, że niebagatelny wpływ flaków mają warunki. Nie można zapomnieć, że strzelimy do manekinów, które nie są żywymi ludźmi. 'każdym razie uważam, że Ray jest jednym z urodzonych morderców. Opanowany i spokojny, nie można wyprowadzić z równowagi. Wyobraźcie sobie Johna Malkovicha z *Na linii ognia*, tyle że obdarzonego większym poczuciem humoru i pochodzącego z Portoryko. [Gdybym modlił się do Boga, każdej nocy dziękowałbym Mu, że mamy Raya po naszej stronie.

To, że Chris nie jest już naszym dowódcą, stanowi • dla nas spory problem. Był jednym z najlepszych i naj-ł bardziej profesjonalnych żołnierzy, jakich poznałem. Jego obecność dawała nam poczucie pewności. Nasz nowy dowódca, Whiskey, też jest nie lada żołnierzem i tylko dzięki jego wpływowi nie rozlecieliśmy się jak ł domek z kart. Mimo to wszyscy tęsknimy za Chrisem.

Moja drużyna nieźle daje sobie radę. Dań okazał się istnym czarodziejem piechoty. Obecnie pełni obowiązki kierowcy humvee, którym dowodzę. Zna się na swojej robocie i doskonale ją wykonuje. Jak się ostatnio okazało, ma też smykałkę do strzelania. Sporą część ostatnich tygodni spędziliśmy w centrum szkoleniowym, grając w strzelanki na ogromnym ekranie. Wyobraźcie sobie *Polowanie na kaczki* z Nintendo, gdzie strzela się z prawdziwych karabinów zaopatrzonych w laser zamiast kul. Na dodatek doczepiono do nich pneumatyczne silniczki imitujące odrzut broni. Po każdej rundzie następował odczyt wyników, który

za każdym razem wyglądał tak: „Sierżant Hartley -oddano dwadzieścia dwa strzały, cztery

trafienia, trzy cele zabite. Peter (nasz operator SAW-a) - dwadzieścia dwa strzały oddane, cztery trafienia, jeden cel wyeliminowany. Matt - oddano czternaście strzałów, dwa trafienia, w tym jedna ofiara po naszej stronie. Dań - oddano osiem strzałów, siedem trafień, siedem celów zabitych, w tym cztery na miejscu". Jeżeli stopień wojskowy byłby przyznawany na podstawie doświadczenia i wyników ćwiczeń, to Dań dowodziłby naszym oddziałem. Jako że tak nie jest, uważam za słuszną pochylić czoło przed jego umiejętnościami i przyznać, że do jego poziomu nigdy się nie zbliżę. Mam nadzieję, że będziemy mieli sposobność wykorzystać je dla dobra całego oddziału. Jedyne, co muszę teraz zrobić, to wymyślić jakiś sposób na zmotywowanie reszty moich chłopaków. W przeciwieństwie do mnie cała trójka nie ma najmniejszej ochoty jechać do Iraku. Jeżeli uda mi się wykrzesać z nich trochę entuzjazmu, to będę miał niesamowity oddział. Dań twierdzi, że uszczęśliwia go strzelanie lub wysadzanie różnych *rzeczy* w powietrze. Peter z kolei cieszy się jak dziecko, kiedy trąkocze przez telefon ze swoją narzeczoną. Nie odkryłem jeszcze, co uszczęśliwia Matta, co samo w sobie jest dziwne, bowiem z nim mam chyba najwięcej wspólnego.

Jest już po pierwszej w nocy, a mnie czeka pobudka o piątej rano i pięciomilowa przebieżka z resztą kompanii. Teraz, kiedy mam własnego laptopa, bawiłem się nim przez cały dzień, zaniedbując obowiązki, nie wyczyściłem należycie broni. Niedobry dowódca. *Zbliża się Święto Dziękczynienia*; chcę pojechać do

Mnu, pospać we własnym łóżku i wstać wtedy, kiedy Hę wyśpię, czyli pewnie około południa. Mam ochotę czytać „New York Timesa”, pójść na małą czarną do fłojnej ulubionej kawiarni, wcześniej zjeść obiad, strzelić kolejkę Jima Beama z przyjaciółmi, odrobinę się po-iwygłupiać, a potem spokojnie wrócić do łóżka, które !Oprócz książek i kilku płyt Jeffa Buckleya jest moją (jedyną własnością materialną na tym świecie.

10 grudnia 2003

Właśnie skończyłem się pakować. Wyjeżdżamy na poligon na czterdziestoośmiogodzinne ćwiczenia, które mają być sprawdzianem tego, czego się do tej pory nauczyliśmy. Będziemy musieli rozbijać IED, szukać zasadzek, przeszukiwać budynki, odwalać CQB i ustawiać blokady drogowe... Jednym słowem: robić wszystko, co należy do zadań piechoty oraz piechoty zmotoryzowanej. Kiedy skończyłem pakować plecak, Peter spojrzał na mnie i spytał:

- Sierżancie, dlaczego wasz plecak ma dwa prawe naramienniki?

Jedyne, co w tej sytuacji mogłem zrobić, to uśmiechnąć się tajemniczo jak kot z *Alicji w krainie czarów* oraz uświadomić mojemu małemu, zagubionemu w wielkim świecie szeregowca:

- Bo taki mi wydano, żołnierzu - odparłem.

Właśnie wróciliśmy z sześciodniowego szkolenia. Było tak zimno, że nawet myśli zamarzały po drodze.

Większość czasu spędziliśmy, siedząc w walącym się, ale na szczęście ogrzewanym budynku, czekając na rozkaz wymarszu. Nawet jeżdżenie hunwee po okolicy i strzelanie do celów było nudne. Siedząc na miejscu pasażera, przepraszam - dowódcy pojazdu, kierowałem ogniem reszty oddziału:

- Jeden-sześć, tutaj jeden-pięć. Czterech wrogich żołnierzy na piechotę. Teren otwarty, na

jedenastej, odległość trzysta metrów. Strzelać. Bez odbioru.

Niestety, było potwornie zimno. Kiedy temperatura spada do ledwie kilku stopni, człowieka nie cieszą nawet duże karabiny.

Przez ostatnie cztery dni dwa pełne plutony (około siedemdziesięciu ludzi) mieszkały w budynku, który miał być tylko stołówką dla odbywających ćwiczenia. Czekać na rozkaz wymarszu, jeść, spać lub beczynnie siedzieliśmy. Wyobraźcie sobie, że przez cztery dni z rzędu jesteście uziemieni w jednym miejscu i ruszacie się jedynie po to, aby do kogoś podejść, zamienić kilka słów, pójść do łazienki lub wyskoczyć na papierosa. Hałas i jazgot, które panowały w sali, były nie do zniesienia. Kiedy przyszła pora położyć się spać, okazało się, że każdy centymetr podłogi (a nawet blaty stołów) zasłany jest ludźmi. Czuję się jak w ładowni statku niewolniczego. John spytał naszego dowódcę:

- My tu jesteśmy stłoczeni jak bydło. Widział pan *Amistad**?

Pierwsze dwie noce przespałem pod gołym niebem. Ilość temperatury spadała poniżej zera, to umościłem obie postacie na betonowej wylewce pod karabin mapowy. Znalazłem też drewnianą paletę, na którą na-zuciłem koc; ustawiłem ją tak, aby zasłaniała mnie od atru i śniegu. Służba w wojsku dobrze przygotowuje Ido bycia bezdomnym. Nic dziwnego, że pośród wó-lczków jest tyłu weteranów. To profesjonaliści, świet-fnie przygotowani do takiego życia. Przez sześć dni | mieszkaliśmy w warunkach będących połączeniem 'przytułku dla bezdomnych i pijackiej meliny z deli-katnym akcentem rodem z męskiego burdelu. Które-, goś dnia Sean, który spał na stole, obudził się i powiedział na przywitanie:

- Człowieku, nie mogę wyjść ze śpiwora. Jestem goły, a pała sterczy mi jak zdechłemu psu łapa.

Życie w takiej ciasnocie może spowodować, że faceci z byle powodu zaczną sobie skakać do oczu. Na kilku stołach stały duże termosy z wrzątkiem oraz słoiki z kawą. Wokół tych ostatnich wały się poroz-sypywane resztki zmielonych ziaren. Genialny sierżant, który przyniósł kolejne termosy z wodą, uznał, że trzeba przemyć blaty. Skutkiem tego na podłodze zebrały się kałuże wody. Niektórzy z naszych trochę się zdenerwowali i ktoś krzyknął: „Ej, dupku, my tutaj śpimy!”.

Kiedy sprawca zamieszania się oddalił, powstały dwa obozy spierające się, jak osuszyć podłogę. Jedni uważali, że należy otworzyć drzwi i poczekać, aż woda wyparuje, drudzy chcieli postąpić wprost przeciwnie i pozwolić temperaturze osuszyć plamy. Osobiście

byłem zdania, że otwarcie drzwi nie da nic oprócz wpuszczenia do wnętrza zimnego powietrza. Plamy na podłodze niewiele mnie obchodziły, bowiem całe nasze oporządzenie jest wodoodporne. Problem nie został ostatecznie rozwiązany, bowiem co jedni otworzyli drzwi, to drudzy je zamykali. W pewnym momencie dwóch chłopaków dało sobie po pyskach. I oto jest prawdziwa przyczyna, dla której walczą żołnierze: otwierać drzwi czy pozostawić je zamknięte.

19 grudnia 2003 Wybaczenie mi ten wybuch

To był dla mnie trudny dzień. Prawda jest taka, że dzisiaj wybuchłem gniewem, czyli zrobiłem coś, czego świadkiem do tej pory nie był nikt oprócz mojego ojca albo którejś z dziewczyn, z jakimi się spotykałem. Gdyby człowiek mógł eksplodować, ja zrobiłbym to dzisiaj. Gdzieś tam wewnątrz mnie jest gen wściekłości, który odziedziczyłem po moim biologicznym ojcu. Ta zła supersiła drzemała od jakiegoś czasu, ale właśnie zdałem sobie sprawę, że czując zbliżający się wyjazd do Iraku, chyba się przebudziła.

Zeszłej nocy wróciliśmy z poligonu. Wszyscy się zgodzili, że były to najgorsze ćwiczenia, w jakich braliśmy udział. Chcąc ulżyć moim ludziom, tak podzieliłem służbę wartowniczą, że czterech chłopaków miało ją pełnić przez dwie godziny, a potem trzech innych i ja przez kolejne dwie. W ten sposób chciałem dać im jak najwięcej odpoczynku, unikając trzymania ich

wszystkich na nogach przez cztery godziny. Niestety, ludzie zauważyli tylko to, że czterech moich podkomendnych trzymało wartę, podczas gdy ja spałem. Patrząc z perspektywy czasu, to był wielki błąd. Powinienem być stać na straży z obydwoma zmianami. Ech! i Plotka o tym, że ja śpię, podczas gdy moi ludzie stoją na warcie, rozeszła się lotem błyskawicy. Z samego rana napadł na mnie Kirk, mówiąc, że usłyszał, iż robię moich ludzi w trąbę. Kirka nie było z nami tej nocy, bowiem jako podoficer plutonu odpowiedzialny i za materiały wybuchowe nadzorował załadunek wy-t posażenia, które miało być wysłane do Kuwejt. Rozmowa skończyła się pyskówką, jest to bowiem jedyny sposób, w jaki możemy ze sobą rozmawiać; jesteśmy chyba najbardziej niepasującą do siebie parą sierżantów w całej Armii Stanów Zjednoczonych.

Obserwowanie naszych kłótni jest ulubioną rozrywką całego plutonu. Nie upłynęła godzina, jak Whiskey wezwał mnie na słówko. Tym razem miałem już dość, zwłaszcza że po raz drugi z rzędu musiałem wyjaśniać tę nonsensowną sytuację. W wojsku jest tak, że kiedy człowiek zostanie o coś oskarżony, z miejsca uznawany jest za winnego. Żadna próba obrony nie ma najmniejszego sensu. Na szeregowych żołnierzy można bardzo łatwo wpłynąć, co oznacza, że opinia wyrażona najgłośniej lub najwcześniej zwykle jest obowiązująca dla całego oddziału. Stąd: spałem, kiedy moi podkomendni wartowali? Jestem dupkiem. Mogłem się tłumaczyć i narzekać, mogłem wyjaśniać tę sprawę do usranej śmierci. Fakt jest taki, że ludzie coś widzieli i w jakiś sposób to zinterpretowali. Interpretacja

jest podstawą „kultury wojowników”. Mogłbym poprowadzić krucjatę w imię prawdy, ale i tak liczyliby się, jak ją ludzie widzą, a nie jak się sprawa ma w rzeczywistości. Można by tutaj rozpocząć długą dyskusję pod tytułem: „Co jest prawdą, a co złudzeniem”, ale w przypadku wojska nie ma to sensu. Wsadzenie sobie w dupę kilku pawich piór nie zrobi z ciebie ptaka. Ale jeśli przekonasz wszystkich dookoła, że jesteś pawiem, to, cholera, za takiego cię uznają.

Kiedy nagadałem się z Kirkiem i Whiskeyem, napatoczył się John i powiedział: „Słyszałem, że cały twój oddział cię znenawidził po tym, jak sam sobie spałeś, a chłopaki sterczeli na warcie”. Pamiętajcie, że John jest RTO naszego dowódcy (innymi słowy: radiotelegrafistą szefostwa), skoro takie pogłoski doszły do niego, to równie dobrze mógł obejrzeć w CNN następujący spot: „Dzisiaj w Fort Drum, obozie wojskowym na północy stanu Nowy Jork, wyszło na jaw, że sierżant Hartley, dowódca drużyny Bravo, oddziału drugiego, spał, podczas gdy jego koledzy w śniegu i temperaturach bliskich zeru pełnili służbę wartowniczą. Dobrze poinformowane źródła twierdzą, że sierżant Hartley jest skończonym dupkiem”.

Miarka się przebrała, a ja byłem na krawędzi wybuchu. Jak burza wpadłem do swojego pokoju, gdzie ku mojemu zdumieniu znalazłem kolejny odcinek w niekończącej się paradygejowskich dowcipów. Do mojej szafki przyczepiono zdjęcie nagiego, wytatuowanego marynarza. To była kropla, która przepełniła kielich goryczy. Zerwałem kartkę. Na jej margi-

się wydrukowany był numer strony i skrót tytułu isopisma „FHM”. Otworzyłem drzwi do kwatery izyny Alfa, która już wkrótce miała zaznać biblij-liego gniewu Jasona, ale okazało się, że nikogo nie ma 'domu. Lecz cóż to? Oto na biurku leży sobie „FHM”. Szybko przewertowałem

czasopismo i okazało się, że jrakuje w nim sześćdziesiątej strony. Zrobiłem przy-Isługę tajemniczemu wielbicielowi pornografii i zabra-ilem świerszczyk ze sobą, a potem wydarłem z niego ('Wszystkie zdjęcia, aby oszczędzić mu wysiłku. Muszę Izaznaczyć, że było to międzynarodowe wydanie „FHM”, a jego zniszczenie złamało mi serce. Straciłem okazję do obejrzenia tyłu fajnych dziewczyn... Pozostało mi tylko czekać. Kiedy drużyna Alfa wróciła do swoich kwater, poszedłem za nimi, zatrzasnąłem za sobą drzwi i zasunąłem skobel. Cisnąłem podarte kartki na podłogę i wrzasnąłem: „Jeśli któryś z was, cioty, ma coś do mnie, to niech to powie prosto w twarz!”.

To zawstydzające, ale kiedy człowiek jest wściekły, wtedy cała jego polityczna poprawność i dobre wychowanie lądują na śmietniku. Bez namysłu zaczyna rzucać inwektywami, zwykle opierającymi się na odniesieniach do orientacji seksualnej.

Kiedy się wyrzeszczałem, wyjaśnili mi, że tym razem to nie oni stroili sobie żarty. Jak się później okazało, to sierżant mojego plutonu stał za tymi kawałami. Jednym słowem, wyszedłem na idiotę, ciskając się bez powodu i niszcząc czasopismo, które nie należało do żadnego z nich. Kirka, który stał za całą sprawą i który był jego właścicielem, ominęły największe atrakcje:

„Sierżancie - usłyszałem - czyja to gazeta? To pan ją zniszczył? Zupełnie nie wiem, co powiedzieć”.

Czułem się jak ktoś, kto namalował graffiti na murze sądu, który wydał niesprawiedliwy dla niego wyrok, a chwilę później okazało się, że pomylił budynki.

24 grudnia 2004 Kocham Rudi Bakhtiar

Jest Wigilia, a ja znajduję się na pokładzie lotu rejsowego JetBlue do Salt Lake City i na niewielkim tele-wizorku oglądam wiadomości CNN. Patrę pożądlivie na Rudi Bakhtiar. Mam na nią chrapkę od 11 września, kiedy to stałem się maniakiem wiadomości. Mijał wtedy ósmy miesiąc mojej pracy na lotnisku Kennedyego. Do moich zadań należało pilnowanie pasażerów, którzy naruszyli zasady bezpieczeństwa w punktach kontrolnych, i do hotelu wracałem o nieprzyzwoitych godzinach. Pomimo to mogłem oglądać Rudi bez przerwy, kiedy zdawała mi relację o wydarzeniach minionego dnia. Z każdą nocą stawała się dla mnie coraz piękniejsza. Te cudowne perskie oczy, szlachetny irański nos i piersi zbyt małe, aby zaliczyć ją do grona klasycznych piękności. Przed mobilizacją mogłem oglądać wiadomości w ciągu dnia i moje myśli zaprzętała Soledad O'Brien oraz jej hipnotyczny uśmiech. Niestety, CNN nadaje z Atlanty, więc nie było szans, żebym odwiedził moją ukochaną prezen-terkę. Dlaczego nie nadają z Nowego Jorku? Gdzie, do

”

Icholery, leży Atlanta? Pracując na lotnisku, napisałem |do CNN kilka e-maili z zapytaniem, czy nie mogliby fjinformować fanów, w co Rudi będzie ubrana dnia na-s Stępnego. Nie dostałem żadnej odpowiedzi. Dlatego / musiałem cierpliwie czekać, aż pasek z wiadomościami dnia zniknie na chwilę przed reklamami, od-I slaniając choć fragment ciała prezenterki. Willy, który mieszkał ze mną od ośmiu miesięcy, traktował moją fascynację Rudi z mieszaniną rozbawienia i zakłopotania.

2 stycznia 2004

Jutro wyjeżdżamy do Fort Polk w Luizjanie. To będzie nasza ostatnia noc w Fort Drum. Nie, to kłamstwo. Chciałem tak po prostu napisać, ale prawda jest taka, że jeszcze tu wrócimy. Dopiero z Fort Drum przerzucą nas do Kuwejtu.

Przez ostatnie kilka dni kompletnie nic się nie działo. Jedynym wydarzeniem było uroczyste sylwestrowe przyjęcie. Zasadniczo jest to obiad dla całego batalionu, na którym gościem honorowym jest jego dowódca. Można powiedzieć, że są to uroczystości z długimi tradycjami, pełne ceremonii, okolicznościowych toastów i określone sztywnymi zasadami towarzyskimi. Pięćdziesiąt lat temu pewnie taka impreza byłaby fajna, ale w przypadku pokolenia fascynującego się *Jackassem* mijałaby się z celem. Nie mogę winić moich wychowanych na Nintendo kolegów, że zachowywali się tak, jak się zachowywali. Bo jak tu zmusić

do przestrzegania etykiety gości, którzy od pięciu godzin żłopiają piwsko? To jak próba wprowadzenia dyscypliny w grupie przedszkolaków. Wszyscy byliśmy cholernie rozbawieni, a obiad przemienił się w komedię na żywo. W pewnym momencie, kiedy jakiś kapral po raz czwarty wstał ze swego miejsca i krzyknął do mistrza ceremonii: „Wszystko w porządku, panie wice!”, nie wytrzymałem i odwrzasnąłem:

- Zamknij się wreszcie, do kurwy nędzy!

Nagle, siedząc przy stole z kumplami, wyobraziłem sobie mojego dziadka, komandora porucznika marynarki wojennej, który w bazie Alameda lub w San Leandro wraz ze swoimi towarzyszami broni świętuje podczas drugiej wojny światowej nadejście Nowego Roku. On zapewne podporządkował się zasadom etykiety, w milczeniu słuchał przemówienia dowódcy, z całego serca wznosił toasty i poddał się nastrojowi chwili. Lubię o sobie myśleć jako o człowieku, który nie obawia się „dorosnąć” do poważnych sytuacji, ale pomimo alkoholu szumiącego w głowie nie mogłem znieść tej uroczystości. Głupio mi z tego powodu, przecież ten obiad miał nas do siebie zbliżyć. Zamiast tego odsiedzieliśmy swoje i wróciliśmy do własnych zajęć.

FORT POLK

7 stycznia 2004

Oto jestem, siedzę na mojej pryczy w ogromnym magazynie przerobionym na koszary w Fort Polk w Luizjanie. Tym razem pozwoliłem gościowi, który śpi pode mną, zatrzymać dolną pryczę. Rzucił się na nią jak wygłodniały wilk, nim miałem okazję cokolwiek powiedzieć. Właśnie zastanawiałem się, co by tutaj napisać, kiedy chłopaki zaczęli chichotać. Zainteresowany rzuciłem okiem na dolne łóżko. Zajmujący je facet spał jak zabity. Przykrywał go koc, który w połowie zsunął się na ziemię. Pomyślałem sobie, że facetowi musi być... Hej, poczekajcie no chwilę! O mój Boże! Gość ma wzwód jak pół stanu Floryda! Wacek wystawał mu dokładnie przez rozcięcie w bokserkach (które my nazywamy pieluchami z poliestru). Fuj! Coraz więcej chłopaków schodziło się i chichotało jak dziewczynki, a potem biegło po kolegów i wszystko zaczynało się od nowa. To był obrzydliwy i odrażający spektakl nagości, porażający swoim widokiem każdego heteroseksualnego mężczyznę. Nagle wszyscy, w tym i ja, zaczęli robić zdjęcia. Jeśli jakaś dziewczyna pokaże cycki na imprezie, sfotografuje ją może dwóch kolesiów. Śpiącemu facetowi ze wzwodem zdjęcia zrobi dwudziestu. Sami

pomyślcie, co to może znaczyć. W końcu ktoś

obudził nieszczęśnika, okładając go koszulą, jakby był wioskowym trędowatym. Facet wymamrotał coś przez sen i odwrócił się na bok, chowając swoje przyrodzenie pod kocem.

Jacy takie zagrywki byli po prostu dupkami, którzy pod przebraniem jowialnej opiekuńczości desperacko usiłowali zapewnić sobie pozycję samca alfa w naszym stadzie. Teraz jednak wiem, że po prostu cytowali nowe motto kompanii: „Ty nic nie wiesz?”.

14 stycznia 2004 Wczoraj się urodziłeś?

Motto mojej kompanii brzmi: „Do dzieła!”. Tak przynajmniej nam wmawiano. Wykrzykujemy je raz po raz, kiedy stoimy w szyku lub na zbiórce. Ilekroć je słyszę, zawsze skręca mnie ze śmiechu. Większy ubaw wzbudzała we mnie tylko sentencja Delta Green: „Śmierć przez druty”. Nie wiem dokładnie, jaki jest jej sens, ale wydaje mi się, że ma *oznaczать* rozwalanie przeciwników sterowanymi elektronicznie pociskami TOW. A może to zapowiedź samobójczej śmierci przez powieszenie na strunie fortepianowej, kiedy wezwą ich do Iraku? A może w przypadku niewierności żony mają zadzwonić do niej (kable telefoniczne) i potem strzelić sobie w łeb. Jako że zdanie „Do dzieła!” jest naszym mottom, używamy go na co dzień, nawet w codziennych rozmowach, niestety, głównie w sarkastycznym znaczeniu.

Ostatnio zauważyłem, że kilka innych sentencji używanych jest z równie nabożną czcią. Królują pomiędzy nimi: „Nic nie wiesz?”, „Co ty, wczoraj się urodziłeś?”, „Jesteś tu od miesiąca i wciąż nic nie wiesz?”, „Jak zostałeś dowódcą, skoro nie masz o tym bladego pojęcia?”. Przez cały czas uważałem, że ludzie stosu-

1 lutego 2004

Kilka dni temu ja i paru moich kumpli wyszliśmy do baru i wpakowaliśmy się w niezłe tarapaty. Na parkingu przed knajpą doszło do bijatyki pomiędzy żołnierzami, a wszystko to działo się, kiedy powinniśmy z powrotem być w koszarach. Nie zdawałem sobie sprawy, że tam byłem, dopóki ktoś nie opowiedział mi całej historii następnego dnia. Ledwie pamiętałem trzecią knajpę, do której poszliśmy. Mniejsza o to, wszyscy wpadliśmy jak śliwka w kompot. Jedyne, co zdołałem sobie przypomnieć, to że któryś z chłopaków zdejmował koszulę, szykując się do bójki. Dziś zostałem w tej sprawie przesłuchany przez XO. Nie wiem, o co im chodzi, ale śledztwo jest w toku.

Sprawa wydaje się prosta: kilkunastu gości wyszło z terenu koszar poza dozwolonymi godzinami (dzieje się tak od czterech miesięcy), upili się i doszło do bijatyki. Dręczy mnie inne pytanie: XO będzie się biedził nad przypadkiem złamania regulaminu przez miesiąc, nie ma ważniejszych rzeczy do roboty przed wyjazdem do Iraku? No i teraz za karę muszę wraz ze wszystkimi przyłapanymi na łamaniu dyscypliny przez dwadzieścia cztery godziny pilnować składu amunicji na

strzelnicy. Zaczynam o ósmej rano. Mają się stawić wszyscy, którzy brali udział w nielegalnej wyprawie na piwo. Upiekło się tylko facetowi, który rozpoczął bójkę; był poza bazą, kiedy my mieliśmy karną służbę. Jednak to nie wszystko, sprawy znacznie bardziej się skomplikowały.

Wieść gminna niesie, że mają nam odebrać część lub cały wolny czas, jaki pozostał nam do wykorzystania przed wyjazdem do Iraku. Teoretycznie od siódmego do dziewiątego lutego powinniśmy być zwolnieni ze służby, podobnie jak w cztery dni walentynkowego długiego

weekendu.

Ceremonia uświetniająca nasz wyjazd ma się odbyć siódmego lutego, a ja zdążyłem już kupić bilety lotnicze dla moich rodziców i zarezerwować im pokój w hotelu. Nie widziałem się z ojcem od miesiąca, czyli od chwili, kiedy powołano nas do jednostki, i to będzie ostatnia szansa, abym spędził z nimi choć trochę czasu przed wyjazdem. Jeśli siódmego nie będę miał wolnego, to cały ich *przyjazd* jest bez sensu. *Przecież* nie będą tłuc się z drugiego końca Stanów, żeby słuchać nudnych przemówień lokalnych polityków, którzy dobrze nam życzą. Hej, panie gaduła! Chce pan zrobić coś dobrego dla żołnierzy? Mów krótko i zwięźle. Nikt cię tu nie zna, więc im krócej będziesz się produkował, tym krócej będziemy musieli stać na baczność.

Przeżyję to jakoś, jeżeli nie spotkam się z rodziną. Dla mnie to żaden problem. Obawiam się jednak, że mój tata i moja mama mogą mieć na ten temat odmienne zdanie. Oni naprawdę chcą mnie zobaczyć jeszcze raz, zanim trafię w ogień walki. Co się będę przeje-

mował, jeśli wylecę w powietrze na minie? *Przecież* będę trupem. Ale jeśli rozerwie mnie na strzępy IED, który będę musiał rozbijać w ramach kary za nie dość dokładne wyczyszczenie broni, moja rodzina może się zdenerwować. A szczególnie wkurzeni będą, jeśli nie zobaczą mnie przed wyjazdem, bo nie wróciłem do łóżka na jedenastą, jak na grzecznego chłopca przystało.

Cholera, jestem trzydziestoletnim żołnierzem, który już wkrótce będzie mógł strzelać do każdego, kogo uzna za zagrożenie, a tymczasem muszę wracać do domu jak uczeń z gimnazjum. Wiem, że łatwo tak mówić, a moje argumenty nie są oryginalne, ale *przeraza* mnie, i mówię to najzupełniej serio, że nasz dowódca robi z tego ogromną aferę. Kilku gości nie wróciło do koszar o wyznaczonej porze. Skoro to taki problem, to co się będzie działo, kiedy zaczną śmigać kule? Za każdym razem będę przesłuchiwany, ilekroć użyję broni? Będę musiał tłumaczyć się, kiedy spojrzę na kogoś krzywo?

Nasz dowódca w cywilu jest śledczym. To istny pit-bull wymiaru sprawiedliwości. Zna się na tym, co robi, nie poddaje się i jest zawzięty. Uwielbia Hemingwaya i Melville'a. Jego zasób słów przewyższa mój. Uwielbiam go jako dowódcę, ale w tej chwili równie mocno się go boję. Gdyby chciał dobrać nam się do skóry i rozdmuchać aferę, byłibyśmy udupieni. Ten gość żyje ze ścigania zorganizowanych przestępstw w Nowym Jorku. Uczciwie mówię, że nie pamiętam, co się stało tamtej nocy. Byłem zbyt pijany. To niekoniecznie może przemawiać na moją korzyść. Jeśli dowódca postanowi się wnieść w tę sprawę, to zrobi z nami, co będzie chciał, i nikt nawet nie piśnie.

Drodzy czytelnicy, mam bardzo smutną informację. Blog zostanie zdjęty z Sieci. Zostałem powiadomiony, że jego istnienie narusza tajemnicę operacyjną oraz że szkaluję mój oddział i całą armię. Oczywiście nie zgadzam się z tą opinią.

Zgodnie z życzeniem dowódcy mojej kompanii muszę zaprzestać prowadzenia bloga. Robię to niechętnie, jako przysługę dla sierżanta plutonowego i starszego sierżanta.

Zamierzam pisać dalej, jednak nie będę upubliczniał moich komentarzy. Etos wojownika wymaga ode mnie, abym nigdy się nie poddawał. Dlatego teraz zamierzam działać z większym wyczuciem.

Kocham Amerykę bardziej, niż jestem to w stanie opisać. Kocham też służbę w armii i cieszę się, że dzięki niej mogę odplacić się mojemu krajowi. Jednakże na równi z miłością do wojska stawiam wolność wypowiedzi. Moje uczucia staram się wyrazić, pokazując idiotyzmy wojskowej rzeczywistości. Jeżeli czytacie te słowa, oznacza, że jesteście w gronie moich przyjaciół. Dzięki.

11 lutego 2004 Ray i medale

Jest taka tradycja w wojsku, wedle której jeśli dokonasz czegoś, za co należy ci się przynajmniej poklepanie po ramieniu, lub jeśli po prostu znajdziesz się w odpowiednim miejscu w odpowiednim czasie, to ktoś

wyższy rangą może podarować ci specjalną monetę, na której awersie wygrawerowany jest zwykle stopień, nazwa jednostki lub tego szczególnie ważnego miejsca. *Zdarza*, się też, że takie pamiątkowe monety dostaje cały oddział, na przykład gdy ukończy szkolenie w National Training Center w Kalifornii. Generalnie otrzymanie monety to sprawa prestiżowa. To, ile ich masz i od kogo je dostałeś, może zaowocować pewnymi przywilejami. Jeśli pijesz w kantine i ktoś położy medal na blacie, powinieneś wyciągnąć swój i mieć nadzieję, że tamtego przebijesz. Gość, którego medal jest najniższy rangą, lub taki bez żadnych - płaci za tę kolejkę. Nie ma oficjalnego rankingu monet, ale jeśli swoją dostałeś w Bośni od dwugwiazdkowego generała, to możesz być pewien, że facet chwalący się nadaną jego oddziałowi za ukończenie kursu Joint Readiness Training Center w Fort Polk (JRTC) będzie płacił za drinki. Gdyby się tak zdarzyło, że obydwoj dostaliście swoje od waszego starszego sierżanta, to oczywiście ta z Osiemdziesiątej Drugiej Dywizji Powietrznodesantowej przebiję otrzymaną w Trzystaktórejś Brygadzie Kwaternistrzowskiej z Toledo w Ohio.

Niektórzy goście bardzo poważnie podchodzą do całej sprawy z medalami. W mojej starej jednostce w Utah znałem kolesia, który zawsze nosił przy sobie mały woreczek z całą kolekcją na wypadek, gdyby ktoś rzucił mu wyzwanie w kantine. Nawet jeśli nie przebiłby stawki wyzywającego, to mógłby przynajmniej zrobić wrażenie liczbą zgromadzonych monet. No i oczywiście są też tacy, którzy całą tę aferę z monetami mają gdzieś. Ray jest właśnie jednym z nich.

Ostatniego dnia naszej zmiany JRTC w Fort Polk baza wypadowa (FOB) zaroila się od szarzy. Generałowie, pułkownicy, wszyscy sztabowcy duzi i mali musieli się na własne oczy przekonać, jak sobie daje radę najnowsza zmiana wysyłana do Iraku. Inspekcja tradycyjnie sprowadzała się do odwiedzenia namiotów dowództwa i rozdawania uścisków dłoni. Nasi snajperzy byli przydzieleni do sekcji dowodzenia, więc tego pięknego dnia generał dowodzący Gwardią Narodową stanu Nowy Jork natknął się na Chrisa i Raya. Chłopaki mieli na sobie akurat stroje maskujące i wyglądali na profesjonalnych, zimnokrwistych zabójców, więc kiedy generał pojawił się na horyzoncie, to właśnie im postanowił wręczyć pamiątkowe monety.

Ray nie jest kolesiem, który lubiłby bzdury. Tak samo jak nie lubi pochwał dawanych za nic. Otrzymać wyróżnienie tylko za to, że miał na sobie ghil-lie, akurat kiedy trafił się generał ze swoją inspekcją, było dla niego głupotą. Mimo to Ray przyjął monetę z kamienną twarzą, choć już od dawna czatował na podobną okazję. Schował medal do kieszeni i powiedział: „Sir, teraz ja mam coś dla pana”, a potem zrzucił z ramienia swój plecak i zaczął go przetrząsać. Chris, który wiedział, że Ray miewa czasem dziwne pomysły, zaczął się pocić z nerwów.

Po krótkich poszukiwaniach Ray wydobyl z plecaka monetę z wrytym na niej swoim stopniem, którą kupił w PX za cztery dolce. (W przeciwieństwie do tej błyskotki niektóre monety

są bogato zdobione i ich cena bywa dość wysoka). Podał ją generałowi i powiedział: „Chciałbym dać panu ten medal jako prezent

od wszystkich specjalistów w armii. Uważamy, że robi pan świetną robotę, sir. Tak trzymać”.

Generał przyjął medal, podziękował Rayowi, a tak się tym przejął, że w oczach stanęły mu łzy i zaczął się rozklejać. Ray, któremu głupio się zrobiło, że ktoś jego żart potraktował jak najbardziej serio, grał dalej i nie dał po sobie poznać, że to błaga.

Parę dni później staliśmy w równym szyku na boisku do koszykówki w lodowato zimnej hali sportowej w Fort Drum. Jak się można było spodziewać, uroczysta odprawa naszej jednostki wlokła się niemiłosiernie: oficer prowadzący przekręcał wyczytywane nazwiska, politycy wygłaszali niezliczone przemówienia, babki w formacji mdlały ze zmęczenia, bo zapominały o nieblokowaniu kolan. Na koniec przemawiał nasz generał. Zgadnijcie, o czym opowiedział? O Żołnierzu, Który Dał Mu Monetę. Do tego czasu chyba wszyscy zdążyli poznać tę historię, dlatego słysząc ją z ust generała, ledwie powstrzymywaliśmy się, żeby nie parsknąć śmiechem. Panie generale, dziękujemy za uczynienie tej ceremonii wartą zmarnowanego na nią czasu.

19 lutego 2004

Siedzę za obdrapanym, pamiętającym lata pięćdziesiąte biurkiem. Znajduję się w brudnym pokoju, w podobnym do garażu składzie, gdzie znajdują się magazyny naszej kompanii, zbrojownia oraz biuro CQ. Służę w armii już tak długo, że nie pamiętam, co oznacza ten

skrót. Moim zadaniem jest odbieranie telefonów. Kiedy zadzwoni, powinienem podnieść słuchawkę i powiedzieć coś w tym stylu: „Kompania Alfa, druga ze Sto Ósmej Piechoty, sierżant Hartley przy telefonie. Linia nie jest zabezpieczona. Jak mogę panu lub pani pomóc?”. Kiedy mam ochotę nacieszyć się nedorzecznnością sytuacji, mówię zdania wolno i wyraźnie. Jeśli mam dobry humor, trochę je skracam. W większości przypadków ludzie mamrocą coś pod nosem, tak samo jak mor-mońskie dzieci, które niecierpliwie kończą modlitwę: „wimiejojcaisynaiduchaświętegoamen”.

Goła, betonowa podłoga zasypana jest piaskiem, który doprowadza mnie do szału. Nieważne, jak usiądę, stopy z wolna przesuwiają się pod ciężarem bezwładnych nóg. To oznacza, że aby człowiekowi było wygodnie, trzeba co i rusz podciągać je do siebie. Dodatkowo nie można opędzić się od uczucia piasku chrzęszczącego w bucie. Na początku próbowałem uprzątnąć pod stolikiem, ale kiedy zamiotłem piasek, jego drobinki zaczęły się unosić w powietrzu. Biuro nie jest wentylowane, więc zebrała się całkiem pokaźna chmura kurzu, w której musiałem siedzieć. Oto jaka kara spotyka człowieka chcącego zapewnić sobie trochę wygod podczas służby: niekończące się uciążliwości.

Obok mnie siedzi Jose, sierżant od moździerzy, którego znam jeszcze z czasów mojej pierwszej kompanii. Jose ogląda *Życie Carlita* na DVD w laptopie. Odwraca się do mnie i mówi podekscytowany: „Hej, popatrz! Widzisz? To ja i babeczka!”. Zatrzymuje film i pokazuje mi na ekranie niewyraźną sylwetkę człowieka tańczącego w nocnym klubie. Mężczyzna wygląda jak młod-

sza wersja Jose ubrana w poliestrowy kostium i obtań-cowująca w rytm muzyki atrakcyjną Latynoskę. O tym, że Jose pojawia się w którejś ze scen filmu, wiedziałem od lat, ale na własne oczy zobaczyłem ją dopiero teraz. Jose i jego żona występują w filmie jeszcze kilka razy, co Jose z dumą mi pokazuje. Zupełnie jakby kupił tę płytę tylko po to, aby oglądać sceny ze swoim udziałem. Gdybym w jakimś filmie pojawił się obok Pacino, pewnie też bym oglądał w kółko tylko siebie.

Najzabawniejsze w Jose podziwiającym siebie na ekranie jest to, że udział w kręceniu filmu musiał być jednym z najlepszych momentów jego życia. Jak mówi, uwielbia tę scenę pokazywać dzieciom. Zupełnie jakby na celuloidowej taśmie (albo płycie DVD, jak w tym przypadku) utrwalono najważniejszy moment jego życia oraz wyidealizowany obraz tego, kim jest: młodszego, szczuplejszego, lepiej ubranego, ale w dalszym ciągu tego samego człowieka.

Jose nie jest jedynym żołnierzem, który szuka trwałości w życiu. Każdy, który przed poborem chodził z „dziewczyną”, teraz ma „narzeczoną”. W ciągu kilku przepustek, jakich nam udzielono, pożeniło się więcej ludzi, niż jestem w stanie policzyć. Podobnie ma się rzecz z chłopakami, którzy świadomie i z premedytacją przed wyjazdem zapłodnili swoje żony. Ludzie tatuują się na potęgę: w większości symbolami religijnymi (rózańce, krzyże) lub czymś, co ma przypominać o najbliższych (imiona żon lub dzieci). Ja z kolei ze wszystkich sił staram się zerwać więzi łączące mnie z przeszłością. No dobra, chrzanię. Przez ostatnie kilka lat usilnie starałem się odciąć od dawnego życia, ale

moja wewnętrzna potrzeba do pozostawienia po sobie jakiegoś dziedzictwa przejawia się chociażby przez pisanie tego dziennika. Nie mogę więc uczciwie powiedzieć, że nie ma niczego, co chciałbym zachować. Uważam, że absolutnie szczerze są tylko te historie, które nigdy nie zostały opowiedziane. Kiedy spisuje się jakąś, jej obraz zostaje wypaczony przez sympatie, oceny i motywacje autora. Nie tylko nie jestem inny od pozostałych dziejopisów, ale o tyle gorszy, bo próbuję jak najdokładniej i najobiektywniej opisać to, co widzę. W praktyce potrafię tylko przekazać to, co czuję.

Za kilka dni wylatujemy do Kuwejtu. Z tego, co słyszałem, jest on logistycznym bałaganem na skalę niespotykaną od drugiej wojny światowej. Obawa przed podróżą do miejsca, gdzie jacyś ludzie będą chcieli mnie zabić, jest uczuciem, którego nigdy wcześniej nie znałem. Ciągłe towarzyszy mi przeczucie, że powinienem ze sobą wziąć coś jeszcze, czego nie mam pod ręką. Gadzeczkarze, tacy jak Chris, dostają szajby, miotając się pomiędzy jednym celownikiem optycznym a drugim. Wziąć ACOG czy aimpoint? Moje mieszkanie zostawiłem czyste, choć zabałaganione, tak aby nie ułatwiać życia ludziom, którzy będą je porządkować po mojej śmierci. Jestem strasznym chomikiem: nie wyrzucam żadnego e-maila, SMS-a czy zdjęcia z cyfrowki. Mój dziadek od strony matki pomagał wychować mnie do czwartego roku życia i stał się moim wzorem do naśladowania. Niestety, już nie żyje, a ja bardzo żałuję, że nie mogłem go lepiej poznać. Może któregoś dnia mój wnuk powie to samo o mnie? Dlatego na użytek

przyszłych pokoleń staram się zachować każdy strzępek informacji o sobie. Tyle, jeśli chodzi o odcinanie się od korzeni.

Mam wrażenie, że zostawiam za sobą wiele niedokończonych spraw. Są przyjaciele, z którymi nie zdążę się spotkać przed wyjazdem. Rachunki muszę, niestety, zapłacić. Nie napisałem tyle, ile sobie zaplanowałem. Poza tym ciągną się za mną sprawy, które powinienem inaczej załatwić. Wiem doskonale, że takie myślenie nie ma końca. Kiedy umarła moja babcia, pozostawiła po sobie całą bibliotekę książek, których nie zdążyła przeczytać. Teraz czuję się podobnie. Nie wiem nawet, jak skończyć ten rozdział.

Gdzieś w tym wszystkim musi być tao. Nauczyć się, jak pozostawić sprawy niedokończone i zaakceptować ten stan. Przecież tak naprawdę nic nigdy się nie kończy, więc po co doprowadzać cokolwiek do finału? Czy to jest wytłumaczenie pędu ludzkości do samozagłady?

„Nie będzie podsumowania”. Ostatnia kwestia ze *Smillas Sense of Snow* Petera Hoega.

„To nie jest wyjście". Ostatnie słowa z *American Psycho* Breta Eastona Ellisa.

23 lutego 2004

Dzisiaj, na dzień przed lotem, który ma się okazać najdłuższym w moim życiu, czuję dziwną mieszaninę uczuć. Nie mogę opędzić się od myśli, że powinienem się bać, a zamiast tego niecierpliwie czekam na start. W pewnym sensie jestem podenerwowany

i zaniepokojony, ale z drugiej strony czuję przyływ ekscytacji i optymizmu. Boję się, że później uznam się za naiwnego głupca, i ciężko jest mi się do tego przyznać, ale z ufnością patrzę w przyszłość. Jak nigdy dotąd czuję, że moje szare życie jest dla mnie cenne. Nie jest mi też łatwo przyznać, że odczuwam ogrom absurdu, jakim jest to, co będę miał robić. Przecież tam czekają na mnie ludzie, którzy będą chcieli mnie zabić, a ja z kolei będę próbował ich załatwić. (Czy ci idioci nie zdają sobie sprawy, że zabijanie jest groźne i komuś może się stać krzywda?) Ale żądza walki jest tak naturalna dla ludzkości, że próba jej wykorzenienia z góry skazana jest na porażkę. Dwoistość jest podstawą moralności: z jednej strony do działania popycha nas instynkt samozachowawczy, a z drugiej ulegamy żądzy niszczenia wszelkiego życia. Zmienić ten cykl oznacza wpłynąć na naszą własną śmiertelność, a to nie lada zadanie. Nie przypuszczam, aby moja wiedza wpływała poza pierwszy etap tego procesu. Myślę, że dobrym początkiem byłoby proste współczucie i determinacja. Moje serce jest mężne, a broń wyczyszczona.

CAMP UDAIRI, KUWEJT

26 lutego 2004

Znajdujemy się w Camp Udairi w Kuwejcie. Dotarliśmy do niego przez Shannon w Irlandii i Sycylię. Spędzimy tutaj dwa następne tygodnie, a potem udamy się do Iraku. Większość batalionu poleci samolotami, ale ja i mój pluton pojedziemy jako część konwoju. Super!

Dostałem nową broń: to M4 z granatnikiem M203. Nazwałem ją Wazina. Jest czarna i piękna.

4 marca 2004

Ciężko mi teraz opowiadać o tym, jakie mamy życie w Kuwejcie. Zwykle nie robimy nic więcej, jak trzy razy dziennie spacerujemy do stołówki, czasem zaglądając do PX lub do centrum komputerowego. Prawda jest taka, że siedzimy pośrodku pustyni. Nic tutaj nie ma. Jest coś, co od jakiegoś czasu nie daje mi spokoju: czy siedzenie tutaj, pośrodku niczego w Kuwejcie, bardziej przypomina *Gwiezdne wojny* czy *Indianę Jonesa*. Analogia do *Gwiezdných wojen* jest bardzo silna: zaczęliśmy od śnieżnych pustkowi Hoth (Fort Drum, Nowy Jork), potem trafiliśmy na bagna Dagobah (Fort

Polk, Luizjana) i wróciliśmy na pustynie Tatoonie (Kuwejt/Irak). Jednak, jak zauważył Dań, *Powrót Jedi* kręcono w Afryce, w Tanzanii, dlatego czuję się bardziej jak na planie *Indiany Jonesa*. Spacerując pomiędzy namiotami i stąpając po piasku, nie można nie dostrzec siły tej analogii.

Kiedy w końcu przydzielono nam humvee, którymi mieliśmy pojechać w konwoju do Iraku, spór został rozwiązany i stanęło ostatecznie na *Mad Maksie*⁹. Gdybyście zobaczyli je na własne oczy, w mig zrozumielibyście, co mamy na myśli.

Nasz batalion wyposażono w nowe, „dodatkowo opancerzone” hunwee. Potworki mają klimatyzację, kuloodporne szyby i więcej pancerza, niż można sobie wymarzyć. Oczywiście, mój pluton nie dostał zbyt wielu takich samochodów; jeżeli przydzielono nam dwa, to jest dobrze. Mamy też opancerzone hunwee, do których przyspawano kilka płyt, przez co są minimalnie bezpieczniejszymi pojazdami. Tych mamy na stanie jedną, może dwie sztuki. Pozostałe humvee to zwykle, tradycyjne jeepy, których pancerz wzmocniono domowymi sposobami. Zagoniliśmy nierobów z Halliburton do pracy i pomogli nam przymocować worki z piachem, przemieniając humvee w pustynię na kółkach. Wyłożyliśmy nimi podłogi i osłoniliśmy owiewkę na dachu. Niektóre z siedzeń wyłożyliśmy płachtami blachy kewlarowej. Jeżeli dodać do tego cały nasz dodatkowy ekwipunek, zapasy żywności, wodę,

amunicję oraz objuczonych sprzętem ludzi siedzących w środku, otrzymujemy istic gigerowskiego potwora.

Wewnątrz humvee jest kurewsko niewygodnie i jeśli dotrzemy do Iraku bez strat własnych, to będzie istny cud. Stawiam na połamane nogi, bo ludzie siedzą powyginani jak składane ostrza noża armii szwajcarskiej. Nie żebym narzekał. Słowo honoru. Nie mam ochoty wylecieć w powietrze przez jakąś zasraną bombę podłożoną obok drogi. Każdy worek z piaskiem, jaki upchnąłem w samochodzie, umiejscowiłem tak, aby ochronił potencjalną ofiarę przed wybuchem szrapnela. Z drugiej strony muszę szczerze przyznać, że niektóre z naszych samochodów wyglądają bardzo śmiesznie.

Nasz humvee ma stanowisko karabinu maszynowego. Zrobiliśmy z dykty ścianki, które mają osłonić strzelca, a następnie wzmocniliśmy je workami z piaskiem. Choć ani ja, ani Kirk nie obsługujemy karabinu, to bardzo dokładnie dobieraliśmy worki. Widziałem już pięcotonowe półciężarówki, których wieżyczki były wzmocniane w ten sposób. Niektóre opancerzano dodatkowo grubymi blachami. Każdy pojazd, który wyposażony jest w broń na dachu, ma do niego przytwierdzony żelazny szpikulec. Pręt sterczy prosto do góry, a jego zadaniem jest zerwanie fortepianowej struny, którą ktoś mógłby rozpiąć w poprzek drogi, chcąc pozbawić strzelca głowy. Na pierwszy rzut oka te domowe zabezpieczenia wyglądają bardzo zabawnie. Moim ulubionym pojazdem jest samochód Dana i Kirka. To humvee, którego dach wzmocniono

płytami pancerza i sklejką. Wygląda dość głupio jak na pustynny gazik; dowódca naszego plutonu nazywa go Malibu Barbie Humvee.

Kilka dni temu odwiedził nas generał Pierwszej Dywizji Piechoty. Najbardziej zapadły mi w pamięć jego słowa, kiedy mówił o zasadach prowadzenia walki i o tym, jak powinniśmy „zdeptać węża, który szykuje się do ataku”. Potem zapytał: „Co powinniśmy zrobić, widząc Araba, który podnosi wyrzutnik pocisków? Wziąć go na muszkę i rozwalić jego pieprzony łeb!”. Chwalił się także, że terroryści nie ośmielili się zaatakować żadnego z naszych konwojów, które jechały w głąb Iraku. Dzisiaj to się zmieniło. Grupa żołnierzy z Pierwszej Dywizji Piechoty wpadła w zasadzkę zaraz po przekroczeniu granicy Kuwejtu z Irakiem. Z tego, co słyszałem, był jeden KIA oraz dwóch WIA. Jak na razie jeden punkt dla przeciwnika. Dali nam w nos dokładnie w chwili, w której frontowymi drzwiami weszliśmy do ich kraju.

Gdybym był rebeliantem, ze wszystkich sił atakowałbym nowo przybyłych żołnierzy. Staralbym się zadać im jak największe straty, oczekując, że to ich zdemoralizuje. W pewnym sensie mam nadzieję, że tak się stanie. Po cichu liczę, że zaatakują nasz konwój. Dzięki temu przestanę się obawiać pierwszego kontaktu z wrogiem. Jestem też pewien, że nie tylko ja żywię taką nadzieję. Co więcej, chciałbym otrząsnąć się z moralnych dylematów dotyczących zabijania innych ludzi i pomóc tylu skurwysynom iść do Allaha, ilu się tylko nawinie. Jeśli rzucą się na nas, to im dokopiemy i zmniejszymy ich szansę.

Odmawiani nazywania wojny w Iraku wojną. Pod tym terminem rozumiem drugą wojnę światową, gdzie miały miejsce prawdziwe, czasem nawet brudne walki. W Iraku mamy do czynienia z inną sytuacją. Nasz przeciwnik próbuje zabić tylu Amerykanów, ile możliwe, mając nadzieję, że ludzie oglądający reportaże w CNN uznają, iż straty są zbyt wysokie, i wpłyną na rząd, aby ten wycofał swoje wojska. Moim zdaniem to doskonała strategia, tania, ale jakże efektywna. Ma duże szansę powodzenia. Modlę się, aby tak się nie stało.

Zastanawiam się, jak do tego doszło, że Ameryka jest powszechnie uważana za wielkie imperium niewiernych. Kiedy próbuję sobie wyobrazić, co Jaś Fundamentalista wie o Stanach, to oczyma wyobraźni widzę Hollywood. Nasza Fabryka Snów na potęgę produkuje obraźliwe i niemożliwe do oglądania śmieci, które wciska potem reszcie świata. Czy nam się to podoba czy nie, ludzie postrzegają nas przez pryzmat *Bad Boys II*, a to fatalnie. Taki Jaś Fundamentalista widzi, jak Martin Lawrence naśmiewa się na ekranie z jego pełnej wielowiekowej tradycji i bogactwa kultury, więc nic dziwnego, że majstruje w domu bombę i staje się Jasiem Terrorystą.

Ameryka jest pełna wspaniałego piękna: zachwyca mnie ogrom jej miast, cuda natury parków narodowych, bawią śmiesznie gadający ludzie z Montany, którzy jeżdżą na śnieżnych skuterkach, i zajądający się kaszą mieszkańcy Georgii (którzy też zabawnie mówią). Uwielbiam dzieciaki, które jeżdżą na deskorolkach po bulwarach Kalifornii, i dziadków z babciami, którzy

emeryturę spędzają na Florydzie. Ale Jaś Terrorysta widzi tylko Jerryego Bruckeheimera i sprzedawców z Taco Bell, którzy ku ucieście widzów wycierają buty w jego dywanik modlitewny. W pewnym sensie was rozumiem, ale jest pewien problem. Otóż kilku waszych kumpli zaatakowało mnie w moim domu. Napadli na Nowy Jork i zabili wielu ludzi, których znałem. Jako że w nowojorskiej policji i straży pożarnej służy wielu narodowych gwardzistów, zabiliście moich towarzyszy broni. Dlatego zbierzcie swoich zagranicznych pomocników, ściągnijcie wojska antykoalicyjne i czekajcie, bo wielu wkurzonych nowojorczyków zamierza przyjechać i skopać wam tyłki.

9 marca 2004

Ostatni raz piszę z Kuwejtu. Za kilka dni nasz niemały konwój rusza w głąb Iraku.

Tak długo kontemplowałem sprawy egzystencjalne, że zupełnie zapomniałem ponarzekać na armię. Zawsze mnie uczono, że najważniejszym zadaniem żołnierza jest celnie strzelać. Jak się okazuje, nie takiego. Przez większość ostatnich dwóch tygodni siedzieliśmy beczynnie i w końcu zaprowadzono nas na strzelnicę. Obsługuję M203, ale nie mogłem się nim nacieszyć, kiedy byliśmy jeszcze w Fort Drum. Nie miałem nawet okazji, żeby go wyzerować (czyli zgrać ze sobą muszkę ze szczerbinką). Racja, rzadko kiedy ich używam, zamiast nich polegając na aimpoincie (system lustrzanek optycznych). Na strzelnicy okazało się, że brakuje amu-

nicji, aby ustawić obydwie systemy celownicze. Mogłem albo sprawdzić aimpoint, albo muszkę i szczerbinkę. Taka sytuacja była nie do pomyślenia. Jeśli w trakcie starć wyczerpie się bateria aimpointa, nie będę wiedział, jak celować. Chcę mieć zapasowy system namierzenia. W końcu udało mi się całkowicie wyzerować muszkę ze szczerbinką i na pół gwizdka ustawić aimpoint. Byłem zły. Powinienem spędzić na strzelnicy cały dzień, dopieszczając każdy z naszych karabinów i zapoznając się ze sposobem strzelania ze wszystkich systemów uzbrojenia.

Prawie nie załapaliśmy się na konwój do Iraku. Bardziej adekwatnym terminem byłby marsz forsowny, choć na szczęście nie będziemy musieli iść. Podczas ćwiczeń w hunwee mojego dowódcy zepsuł się alternator, dlatego zarekwirował samochód naszego sierżanta, który z kolei zabrał mój. Kilka godzin później wóz dowództwa został naprawiony, co dało nam bardzo mało czasu na zapakowanie ekwipunku. W zasadzie nie jest to nasz pojazd, ale sierżant, który wozi się naszym od kilku dni, stwierdził, że nie chce mu się przepakowywać sprzętu. W sumie wyszło to nam na dobre, bowiem używamy jego pojazdu, wyposażonego w superduper ultra komputer Blue Force Tracker. Strasznie fajna zabawka. Zasadniczo to GPS (*global positioning system*) podłączony do monitora umieszczonego przed siedzeniem pasażera, pozwalającego dowódcy śledzić pole walki w czasie rzeczywistym.

Skoro znowu jesteśmy przy temacie zabezpieczania hunwee... Mój pluton dostał blachy kewlarowe, którymi wyłożono siedzenia. Mój pojazd należał do

grona wybranych, co jest bardzo fajnym rozwiązaniem. Kewlar chroni mój tyłek przed minami, IED i innymi podobnymi niespodziankami. Jednak z jakiegoś powodu musieliśmy je oddać. Wszyscy w naszym hunwee uznali, że worki z piaskiem na podłodze są do dupy i wolimy *jeździć* bez nich. Humvee i tak jest wystarczająco niewygodny, a szansę na to, że eksplozja będzie miała miejsce dokładnie pod pojazdem, są minimalne. Poza tym wszędzie dookoła mamy tych worków aż nadto. Nie zrozumcie mnie źle, chciałbym zwyczajnie rozprostować nogi.

Droga na północ bardzo mnie ciekawi. Podróż będzie trwała kilka dni i na pewno trafią się takie do dupy, ale jak często mieliście okazję jechać do Iraku?

Nie potrafię przewidzieć, kiedy znowu coś napiszę. Spodziewajcie się za to kilku ciekawych historyjek. W końcu po co się wstępuje do wojska, jak nie po to, żeby móc opowiadać fajne anegdoty?

IRAK

12 marca 2004

Nasz konwój opuścił Camp Udairi w Kuwejcie 10 marca, a do bazy w Iraku dotarliśmy 12 marca. Większość czasu spędziliśmy w drodze, która zajęła nam bite trzy dni. Konwoje są powolne same z siebie, pogoda nam dopisywała i na szczęście obyło się bez poważniejszych incydentów. Monotonię podróży przerwało znalezienie w pobliżu drogi psiego truchła. Od bazy dzieliło nas ledwie kilka kilometrów, więc z początku uważaliśmy, że może to być IED zamaskowane padliną. Nasi EOD wysadzili ją w powietrze przy pomocy kilkunastu gramów C4. Jak się okazało, psi trup był tym, na co wyglądał, i nieszkodliwie poszybował w górę.

Obecnie mieszkamy w budynku, który kiedyś był składem amunicji. Wyobraźcie sobie modne

mieszkanie z Dolnego Manhattanu (idealnie by tam pasowało, gdyby miało okna), które nagle przeniesiono na Dziki Zachód. Wszystkie potrzebne nam do życia udogodnienia musimy sobie sprawić własnymi siłami z materiałów, które uda nam się znaleźć, przez co skojarzenia z *Mad Maksem* stają się nieodparte. Kuchnia wydaje gorący posiłek co drugi dzień, brak jest bieżącej wody i nie ma szaleatów, przez co musimy spałać

90

Jason Christopher Hartley

własne gówno. Odgłosy kanonady i wybuchy zdarzają się tak często, że już na nie zupełnie nie reagujemy.

Przejazd konwojem przez Irak był naszą pierwszą misją bojową, dlatego wydano nam ostrą amunicję. Dostałem 240 pocisków kaliber 5.56 mm. Każdy z trzydziestonabojowych magazynków załadowałem w ten sposób, że pierwszy, szesnasty i ostatnie trzy pociski są smugowe. Pomyślałem sobie, że widząc, dokąd lecą pociski, bez trudu będę w stanie skorygować celowanie (co jest znacznie łatwiejsze, kiedy się widzi, gdzie trafiają). Szesnasty pocisk smugowy powie mi, że opróżniłem już połowę magazynka, a pierwszy z ostatniej trójki oznajmi, iż czas przeładować broń. Dodatkowo wyposażony jestem w hybrydę karabinu i granatnika M4/M203, dlatego wydano mi spory zapas granatów. Dostałem siedemnaście pocisków HEDP, dwa zielone granaty dymne, jeden czerwony (do oznaczania celu lub sygnalizacji) oraz jeden biały, rozpryskowy (podobny w działaniu do fajerwerków, stosowany w sygnalizacji dymnej). Oprócz tego muszę mieć przy sobie 210 pocisków kalibru 5.56 mm do mojego karabinu, pięć granatów HEDP i jeden dymny, zielony. Resztę bagażu noszę w plecaku szturmowym (bardzo szumna nazwa dla niewielkiego chlebaka zarzucanego na plecy). Kewlarowa kamizelka kuloodporna Inter-ceptor składa się z dwóch masywnych płyt ceramicznych chroniących ciało od przodu i od tyłu, przez co nawet na co dzień dźwigamy na sobie ogromny ciężar. Objuczony amunicją i pancerzem czuję się jak mały, ludzki czołg.

Docierając do granicy Kuwejtu z Irakiem, napotkaliśmy ogromne zbiorowiska Beduinów. Czulem się tak, jakbym jechał przez Nevadę, całymi dniami nie widząc żywej duszy, i nagle natknął się na rodziny odpoczywające wraz ze stadami swoich wielbłądów na poboczu drogi. Im bliżej byliśmy granicy, tym więcej napisów na poboczach i blokach betonu mogliśmy odczytać. Jeden z nich obwieszczał: „Granica z Irakiem 1000 metrów. Uwaga, dzieci na drodze”. Nie potrafię opisać, jak bardzo byłem podekscytowany, że wreszcie docieramy na miejsce. Dojechaliśmy w końcu do wału ziemnego, który oddzielał ziemię niczyją od reszty kraju, i przecięliśmy go, kierując się ku granicy. Wszystkim chłopakom w wozie rozdałem cygara. Kiedy dotarliśmy do nadgranicznego miasteczka, wszyscy w jednej dłoni dzierżyliśmy zapalone cygara i kamery cyfrowe w drugiej. Może nie było to najmądrzejsze posunięcie z taktycznego punktu widzenia, ale kto by się tym przejmował. Jadąc przez Irak, co i rusz natrafialiśmy na idiotyczne graffiti pozostawione przez naszych żołnierzy. Zupełnie jakby obchodził nas 367. batalion obiboków. Idioci. Najbardziej wkurzali mnie kolesie, którzy na każdym pachółku przy autostradzie numer 1 musieli wypisywać, jak bardzo kochają swoje dziewczyny.

Pogoda była ładna, a powietrze ciepłe. Jeśli pominąć fakt, że byliśmy w kraju ogarniętym wojną, mógłbym powiedzieć, że była to miła wakacyjna wycieczka. Jedynym zgrzytem było to, że pogubiliśmy się po drodze i na skrzyżowaniu źle skręciliśmy, przez co o drugiej nad ranem znaleźliśmy się w centrum

Bagdadu, cudem unikając serii IED, o czym dowiedzieliśmy się później.

Chyba ktoś wysłuchał naszych pogańskich modlitw.

Mam nadzieję, że Bóg nie porazi mnie piorunem, ale jeden zero dla mnie.

17 marca 2004

Przez kilka dni musieliśmy pilnować mostu. Co i rusz oblegały nas dzieciaki proszące o coś do jedzenia: „Panie! Panie! Daj jeść!”. Z początku bawiła nas zabawa z nimi i w końcu oddaliśmy im nasze racje. Gnojki wyjadły słodczyce, a resztę wyrzucili.

21 marca 2004

Przeszukujemy wszystkie samochody, które stoją zaparkowane obok drogi. Mamy pomóc cywilom i przekonać się, czy przypadkiem czegoś nie kombinują. Z Irakijczykami praktycznie nie da się dogadać, dlatego pozostaje nam język gestów. Niestety, palec uniesiony do góry, że wszystko jest OK, tutaj oznacza, że można coś sobie w dupę wsadzić. Po kilku nieporozumieniach nauczyliśmy ich naszego znaczenia gestu. Jego dwuznaczność jest praktycznie nie do wychwycenia. Irackie dzieciaki i amerykańscy żołnierze mogą się bezkarnie obrażać, nie ryzykując żadnych konsekwencji.

27 marca 2004

Pewna część pieniędzy, którymi nasz rząd przepłaca Halliburton, zostanie wydana na nasze potrzeby. Pracownicy Kellogg Brown & Root mają ucywilizować naszą bazę, budując między innymi „jadalnię” i salę gimnastyczną. O bieżącej wodzie nie mamy co marzyć, ale będziemy mieli wolno stojące latryny, sła-wojki. Nigdy nie sądziłem, że będę się cieszył na myśl o sraniu w wygodce.

Swoją drogą, dzisiaj paliliśmy gówno. To niesamowite doświadczenie, robiliście to kiedyś? Kał skwierczy. Trzeba go polać i mieszać z benzyną, a następnie podpalić. Potem ktoś musi stać to szturchać, żeby się dokładnie wypaliło. Przetrawione przez żołnierzy resztki posiłków palą się całą wieczność. Co dziwne, cholernie mnie to bawiło. Kiedy skończyłem, popiół miałem wszędzie, nawet między zębami. Zabawnie pachniał, jak dobrze wysmażony stek.

Za źródło światła służy mi wisząca lampka, którą zrobiliśmy z części zepsutego wentylatora. Ba, mamy nawet szambo, które zmontowaliśmy z resztek przewodów wentylacyjnych.

4 kwietnia 2004 Cegły bez słomy?

W chwili obecnej Irak wydaje się bardzo podobny do dawnego Dzikiego Zachodu. W dużej części ziściły się wszystkie moje chłopięce fantazje zrodzone

pod wpływem oglądania przygód Indiany Jonesa. Żyjemy tak, jak musieli żyć nasi dalecy przodkowie. Jeżeli czegoś potrzebujemy, musimy sami to wymyślić i zrobić. Zbieramy dostępne surowce i wszystkie potrzebne rzeczy wytwarzamy własnymi rękoma. Nawet gdy chodzi o stan gotowości bojowej, musimy wykazać się sporą dozą pomysłowości, aby rzeczy miały się tak, jak powinny. Szwankujące humvee naprawiane są „na słowo honoru i gumę do żucia”, broń obwijamy taśmą, aby piach nie zatarł elementów mechanicznych. Ostatnio ktoś zrobił wytrychy z drutu, który zarekwirowaliśmy w jednym z przeszukiwanych domów; dzięki wytrychowi możemy otworzyć humvee, którego drzwi zostały zatrzęsnięte z kluczykami w środku. Pomimo cudów współczesnej techniki, w jakie nas wyposażono, kiedy dochodzi do walki, liczą się tylko siła i refleks. Ilekroć opuszczamy naszą FOB, broń trzymamy załadowaną i odbezpieczoną, jak rewolwerowcy na Dzikim Zachodzie, którzy nigdy nie ruszali się bez kolta, nie wiedząc, kiedy dojdzie do następnej

strzelaniny. Irak pod tym względem nie różni się od dawnej Ameryki ani na jotę. To dziwnie radosny sposób życia.

Kiedy coś już się dzieje, wszystko zdaje się ogromnie ekscytujące. Jeżeli masz szczęście i znajdujesz się na miejscu zdarzenia, napawa cię to niespotykaną radością. Jeżeli nie byłeś świadkiem, to z zapartym tchem będziesz wsłuchiwał się w każde słowo relacji. Czuję się tak, jakbym stale musiał przeproszać za entuzjazm, jaki mnie ogarnia. Podobno morale naszych żołnierzy w Iraku jest niskie. Pal ich lichu. Bawię się jak nigdy w życiu.

Czuję się wspaniale nie tylko dlatego, że jestem żołnierzem, ale i z powodu otoczenia. Tutejsza kultura jest wprost fascynująca. Mam wrażenie, jakbym wylądował w czasach biblijnych. Kiedy miałem cztery lata i mieszkałem w Spanish Fork, najbardziej zapadłej dziurze w całym stanie Utah, mój nowy ojczym zwykł czytywać mi ilustrowaną Biblię. Jeżeli do tamtych opowieści dodać rozpadające się samochody i ludzi z AK-47, to będziemy mieli kompletny obraz Iraku w roku 2004. Jako dziecko nie rozumiałem, kiedy Charlton „Kocham moją strzelbę” Heston w jakimś filmie wołał do faraona: „Cegły bez słomy? Jak mamy wypalać cegły, nie mając słomy?”. Cóż, teraz wiem, o co mu chodziło. A historia o świątyni, której zewnętrzne ściany trzeba było scalić, aby nie upadła? Też ją rozumiem. Moda męska nie zmieniła się od ostatnich trzech tysięcy lat. Nadal noszą chałaty, podobnie jak Chrystus, który pewnie chadzał do lokalnego Hajji-martu, żeby pooglądać wystawy. Widziałem dzieci, które zamiast na rowerach jeździły wózkami zaprzężonymi do osiołków, ludzi podcierających tyłki gołą dłonią z braku papieru toaletowego. Kiedy byłem mały, nie rozumiałem historii, w której zdrożonemu Jezusowi ktoś chce obmyć stopy. Nie mając okazji chodzić w sandałach w tak piaszczystym kraju jak Irak, nie mogłem pojąć głębi tej sceny. Teraz rozumiem jej znaczenie.

Cały ten rejon zdaje się zacofany, jakby na zawsze zatrzymał się na poziomie kamienia łupanego. Z tego powodu człowiek nie może wyjść z podziwu. Próżno szukać lśniących nowością centrów handlowych czy biur deweloperskich. Nie ma żadnego Super Target,

Starbucks czy Jiffy Lube¹¹. Pełno jest za to ludzi, którzy umrą dwadzieścia lat wcześniej niż Amerykanie i dla których przeżycie dnia jutrzejszego jest znacznie ważniejsze niż posiadanie PlayStation 2. Choć życie w biedzie nie jest niczym szczególnym, to coś, co prezentują swoją postawą ci ludzie, sprawia, że ich podziwiam. Chciałbym umieć mówić po arabsku, bo dręczą mnie tysiące pytań, których nie potrafię *zadać*.

Udział w pierwszych starciach przypadł drugiemu plutonowi, który został wysłany na rekonesans w okolice niewielkiego miasteczka położonego w pobliżu naszej FOB. Nasi ludzie z wywiadu dowiedzieli się dzięki bagdadzkim informatorom, że mieszkańcy tej wioski szykują atak na dużą FOB w naszym rejonie. Cała rzecz miała się wydarzyć tej nocy o tej i o tej godzinie. Kiedy nasi zbliżali się do miasta, ale nie zauważyli jeszcze szukanego budynku, wpadli pod ostrzał. Zwykła zasadzka. W misji brali udział Ray i John. Niektórzy z naszych odpowiedzieli ogniem, inni *zaczęli* ostrzeliwać domniemane pozycje wroga z SAW-ów. Większość żołnierzy tylko się kryła, nie wiedząc, co jest grane. Poniżej zrobiłem krótkie podsumowanie zebrane na podstawie zasłyszanych opowieści: Naszych zabitych: 0. Naszych rannych: 0.

Łopatki wybite na skutek nieudanego skoku w poszukiwaniu schronienia (po naszej stronie): 1.
Nastawione łopatki (po naszej stronie): 1.

Liczba wrogów zabitych przez Raya: 0 (może następnym razem będzie lepiej). Zabitych wrogów: 0.
Ranionych wrogów: 0.

Liczba kierunków, z których zostaliśmy ostrzelani: 3.

Obszczone gacie (po naszej stronie): 1. Żołnierze z obszczanymi gaciami, którzy nadal walczyli: 1.

Dezerterzy, którzy ukryli się w humvee: 2. Liczba żołnierzy, którzy zasnęli po drodze: 1 potwierdzony (zapewne było ich więcej). Liczba granatów odłamkowych, które wystrzelił John: 2. Liczba granatów, która wystarczyła do odstraszenia przeciwnika: 1.

Trzech młodych mężczyzn arabskiego pochodzenia o nieustalonej tożsamości zajęło pod siedzibę ICDC i cisnęło granat w kierunku drzwi frontowych, mając nadzieję, że wciągną policjantów w zasadzkę. ICDC zrobili jednak to, co potrafią najlepiej, czyli nic. Są całkowicie beużyteczni i nieprzygotowani do służby, jednak tym razem ich nieróbstwo popłaciło. Ludzie w samochodzie uzbrojeni byli w AK-47 i RPK (karabin maszynowy rosyjskiej produkcji). Rozzłoszczeni tym, że ICDC zignorowało ich wysiłki, trzech łobuzów podjechało do naszego hunwee, który stał z opuszczonymi szybami, i otworzyło ogień (zapewne nie przemyślawszy tego, co robią). Żołnierz za kierownicą zginął na miejscu, a dwóch pozostałych zostało

rannych. Działko kalibru .50 i M240 z miejsca odpowiedziały ogniem. Dwóch napastników zostało rozerwanych na kawałki, a trzeci, kierowca, z tego, co mi wiadomo, sam się postrzelił. To oznacza, że wszyscy zostali trafieni w głowy. W wyniku strzelaniny zginęły dwie przechodzące obok kobiety. Jedna dostała kulę w tył czaszki, co zamieniło jej twarz w krwawą miazgę. Kiepski dzień dla głów. Jeśli chodzi o te kobiety, to czuję się fatalnie, jednak fascynuje mnie trójka, która zaatakowała humvee, zwłaszcza to, w jaki sposób byli ubrani. Każdy z nich nosił się na zachodnią modłę: dzinsy, biały podkoszulek, błękitna koszula, gdzie indziej czarny T-shirt i brązowe skórzane buty. Każdy z nich był elegancko ostrzyżony i ogolony. Nie żebym oczekiwał, że będą paradować w tradycyjnych strojach z epoki. Sytuacja była podobna do tej, kiedy jadąc autostradą, widzisz, że ktoś robi coś potwornie głupiego. Wtedy próbujesz zobaczyć, jak ten człowiek wygląda, zupełnie jakby szukało się w jego wyglądzie oznak głupoty, aby później móc ją rozpoznać u innych. Nic nie mogę poradzić na to, że chcę wiedzieć, jak wyglądają, ubierają się i zachowują moi wrogowie.

Pełniłem służbę wartowniczą. Rozsiadłem się wygodnie w cieniu hunwee na rozkładanym stołeczku, który stał obok wału ziemnego chroniącego naszą FOB. W pewnym momencie usłyszałem niepodobny do niczego innego dźwięk wystrzeliwanego granatu 40 mm. Chwilę później doszedł do mnie odgłos pocisku, który uderzył w wał ziemny. Na szczęście

pocisk nie eksplodował. Jak się później okazało, przypadkowo wystrzelił MK19 zamontowany na humvee, który opuszczał naszą bazę (w żargonie wojskowym nazywane to jest „nieostrożnym obchodzeniem się z bronią”). Gdyby do wystrzału doszło dwie sekundy później, granat trafiłby w mojego humvee, a ja wylądowałbym w szpitalu, dodając swoje trzy grosze do statystyki głupich wypadków.

Facet na skuterze prowadził konwój, który wjeżdżał do naszej FOB. Nie zareagował na rozkaz zatrzymania pojazdu wykrzyczany po angielsku i po arabsku, a także przekazany w uniwersalnym języku karabinu wycelowanego w jego stronę. Był nieuzbrojony. Nie wiem, co mu do głowy strzeliło, ale pewne jest, że dostał kulę kaliber 5.56 mm prosto w pierś i zginął na miejscu. Jego kochanek, który mieszkał w pobliskim miasteczku, popełnił samobójstwo następnego dnia, kiedy dowiedział się o jego śmierci.

Brałem już udział w dwóch misjach. Pierwszą była odpowiedź na wezwanie pomocy w sprawie trzech IED. Ekspłodowały tuż obok hunwee, który jechał drogą opodal FOB. Na szczęście nikt z załogi nie został ranny. Mój pluton, spełniający funkcję sił szybkiego reagowania, został wezwany jako wsparcie. Przeszukaliśmy około siedmiu budynków znajdujących się w najbliższej okolicy. Wszystkie z nich były kurzymi fermami (rancza?), prowadzonymi przez mieszkających opodal ludzi. Znaleźliśmy sporo broni, ale jej posiadanie było legalne. Nie natrafiliśmy na ślad żadnych

buntowników ani materiałów do produkcji IED, jedynie porządnie wystraszyliśmy miejscowych. Całą misję spędziłem z Jeffem, zwariowanym na punkcie walki byłym rangerem, jednym z dowódców naszych drużyn, oraz z jego oddziałem, co oznaczało, że miałem ubaw po pachy. Włóczyliśmy się po kanałach irygacyjnych i bloku, patrolując na piechotę spory kawałek terenu. Takie łązenie to strasznie męczące zajęcie. (Niech diabli porwą ten pancerz. Jest ciężki jak cholera i gdyby nie chronił mnie tak dobrze, już dawno wyrzuciłbym go do rowu). Warunki, w jakich żyją miejscowi rolnicy, są tragiczne. Jednak muszę przyznać, że widok pomieszczenia mającego siedemdziesiąt pięć metrów kwadratowych i wypchanego ptakami jest niesamowity.

W trakcie drugiej misji weszliśmy do domu człowieka, który skonstruował bombę. Najlepszą częścią tej historii jest sposób, w jaki zostało przeprowadzone rozpoznanie. Kirk i Jeff byli częścią pieszego patrolu, który przeczesywał tę okolicę na piechotę. Obydwaj zachowywali się jak głupi turyści, robiąc sobie bez przerwy zdjęcia. Jedno pokazywało ich na drodze do domu, inne przed sąsiedzkimi budynkami, celem naszego ataku, z jego mieszkańcami, którzy bardzo chętnie pozowali z żołnierzami. Z drugiej strony, jeśli ktoś jest na tyle głupi, żeby podłożyć ładunek wybuchowy domowej roboty niedaleko swojego domu, to zasługuje na to, żeby zrobić mu zdjęcie z żołnierzami, którzy za kilka godzin, o świcie, wtargną do jego domu. Rodzina na zdjęciach wyglądała na szczęśliwą i głupio mi było

pomyśleć, że za kilka godzin będziemy ich trzymać na muszce. Miło było jednak wiedzieć, że ten dom był pełen chodników i dywanów, nie broni. Na zdjęciach była czwórka dzieci, ale w trakcie przeszukania naliczyliśmy ich dziesiątkę. Irakijczycy nie pierdolą się, jeśli chodzi o robienie dzieci. Cała dziesiątka przespała zamieszanie jak gdyby nigdy nic. Samo przeszukanie poszło bez najmniejszych zgrzytów.

To najbardziej udana operacja, jaką widziałem. Nawet treningi były trudniejsze. Założenie było takie, że nasza szpica miała przeskoczyć przez mur i otworzyć od wewnątrz metalową bramę. W ostatniej chwili okazało się, że drzwi nie są zamknięte. Szpica i oddział szturmujący zebrały się obok wejścia, czekając z drabiną, kiedy Mikę, sierżant plutonowy, popchnął na próbę drzwi. Te otworzyły się bez trudu, więc Mikę wzruszył ramionami i nakazał wchodzić do środka. Szybko przeszukaliśmy wnętrze, a sierżant znalazł ukrytą za domowym AK-47 siatkę z damską bielizną i piwem. Prawdę mówiąc, jego butelki wałały się po całym domu. Głowa rodziny nie była zbyt szczęśliwa z wyników przeszukania, wiedząc, że zbierają się nad nią czarne chmury. Jeśli nie wykończą go kłopoty związane z posiadaniem materiałów wybuchowych, to zrobi to żona, której będzie musiał wyjaśnić, po co mu świństwa, które znaleźliśmy. Pluton Willyego o tej samej godzinie wkroczył do innego domu w mieście. Bramę frontową przywiązali łańcuchami do hunwee i wyrwali z zawiasów razem z połową muru. Obyło się bez strzelaniny, nikt nie został ranny i wszystko

potoczyło się tak, jak powinno. Operacja zakończyła się sukcesem. Spieszę uspokoić co wrażliwszych czytelników: za wszystkie poczynione szkody płaci armia.

21 kwietnia 2004 Ja, klawisz

Dzisiejszego ranka, tuż przed świtem, nasz batalion dokonał kilku jednoczesnych przeszukań. Wypadki potoczyły się wedle schematu, który wkrótce stał się dla nas rutyną. Na kilka chwil przed uderzeniem tarana w drzwi, czego nie mogą się doczekać żądni wejścia w wielkim stylu żołnierze, uchylają się one i z wnętrza domu spogląda na nas człowiek, który zapewne kończy właśnie drugą kawę po turecku. Ludzie tutaj wstają o morderczo wczesnych godzinach tylko po to, aby przez cały dzień doglądać kurczaków, uprawiać wyschnięte pole i tym podobne.

Niektórzy oficerowie wywiadu są całkowicie nieodpowiedzialni. W domu, który miał przeszukać mój pluton, nie znaleźliśmy niczego oprócz grupy zwykłych ludzi, przerażonych, spoglądających na nas wielkimi oczami pełnymi strachu. Inni wywiadowcy dostarczają nam cennych informacji. Dzięki nim znaleźliśmy wyrzutnie pocisków rakietowych i amunicję do broni maszynowej. Dzień nie okazał się całkowicie zmarnowany.

Mnie osobiście ominął udział w rajdzie, bowiem pełniłem dwunastogodzinną służbę wartowniczą w więzieniu. Areszt w naszej FOB znajduje się naprzeciwko

bramy wjazdowej do bazy. Jest to zatłoczone pomieszczenie, gdzie trzymamy aresztowanych miejscowych pracowników cywilnych, polityków, a także błaznów z ICDC, oficerów irackiej policji i każdego, kto do nas zawita. Około ósmej rano nasi żołnierze wrócili z terenu i dostarczyli aresztowanych do więzienia. Prawdę mówiąc, moje mieszkanie w New Paltz jest większe od tej ciupy, a jeśli osadzi się w niej dwudziestu kilku związanych Ali Babów (miejscowy termin określający złoczyńcę) z zasłoniętymi oczyma, to robi się ścisk. Jeden z pierwszych aresztantów miał przy sobie trzy tysiące dinarów (około dwóch dolarów), dokumenty oraz świstek papieru, na którym odręcznie coś napisano. Kiedy oficer dowodzący zobaczył ten papierek, przez chwilę uwierzył, że wykryliśmy jakiś poważny spisek. Przecież to mogła być zakodowana wiadomość! Na kartce zanotowano dwie linijki tekstu; każda z nich liczyła sobie dwadzieścia pięć znaków z myślnikami oddzielającymi każdą piątkę. Poniżej napisano po angielsku „Word”. Format tego szyfru był mi dziwnie znajomy. Po chwili zrozumiałem dlaczego. O mało nie pękłem ze śmiechu, kiedy wyjaśniłem porucznikowi, że możemy oskarżyć naszego szpiega o piractwo komputerowe. Bez wątpienia na kartce zapisał sobie klucze do instalacji programu Microsoft Word.

Kiedy rozwiązaliśmy wszystkich więźniów, wprowadziliśmy ich do cel i kazaliśmy usiąść pod ścianą. Nadal mieli zasłonięte oczy. Tłumacz poinstruował ich, że mają siedzieć spokojnie na miejscu, nie rozmawiać ze sobą i nie zdejmować opasek. Jeżeli na dodatek będą zachowywać się grzecznie, „będą traktowani

równie uprzejmie”. Potem zaczął się Marsz Szczochów. „Panie, panie. Toaleta, do toalety”. Po raz kolejny Jezus pokazał, jak bardzo nie podoba mu się to, że odszedłem od kościoła. Gdybym pozostał mormonem, ożenił się w nieprzyzwoicie młodym wieku, ustatkował, założył rodzinę i nie unikał społecznej pracy w miejscowym szpitalu, podczas kiedy inni dorośli uczęszczaliby do szkoły niedzielnej, odbębniłbym swoją kolejkę w wysadzaniu łobuziaków na siusiu. I kiedy pomyślałem sobie, że uniknąłem takiego losu, stanąłem przed sytuacją, w której muszę wyprowadzać dorosłych bandziorów. Na dodatek te draby cuchnęły w sposób, który może sprawić tylko bliskowschodnia dieta. Gdzie jest granica, przed którą człowiek jest po prostu ludzki i pozwala więźniom załatwić potrzeby (co nasz porucznik nazywa po prostu „odpryskaniem się”), a poza którą odważa tylko swoją robotę, nadzorując niekończący się marsz do kibla? (Tak naprawdę nie mamy żadnych szaletów, tylko wiadro zakopane w ziemi na tyłach

więzienia). Większość żołnierzy, którzy służyli ze mną, nie miała jeszcze do czynienia z więźniami i nie wiedziała, jak mają się wobec nich nastawić. Mnie udało się zachować równowagę pomiędzy duchem Konwencji Genewskiej, mówiącej o humanitarnym traktowaniu wroga, a poczuciem tryumfu nad ludźmi, którzy przez ostatnie tygodnie ostrzeliwali naszą bazę z granatników i moździerzy, a potem uciekali, nim zdążyliśmy ich złapać. Wyprowadzaliśmy jedynie tych, którzy przez co najmniej pół godziny wiercili się, prosząc o wyjście. Pęcherz musiał ich naprawdę męczyć.

Kiedy minął początkowy szok spowodowany zatrzymaniem i więźniów opuścił strach, zaczęły się pogaduszki i ściąganie opasek z oczu. Powiedziałbym, że większość z tych ludzi była spokojnymi więźniami, ale podobnie jak w każdym plutonie wojskowym zawsze znajdują się tacy, którzy sprawiają kłopoty. Najpierw dwóch gości zaczęło szeptać pomiędzy sobą i nie chciało przestać. Jednego z nich wyprowadziliśmy z celi i wtrąciliśmy do drugiej. Inny zaczął ściągać opaskę, twierdząc, że jest alergikiem i pieką go od niej oczy. Postanowiliśmy iść na kompromis, kazaliśmy mu się zamknąć i patrzeć na ścianę, w zamian za co poluzowaliśmy opaskę. Niestety, więzień nie stosował się do poleceń. Porucznik i tłumacz kilkakrotnie go ostrzegali, ale facet dalej przeginał pałę, zupełnie jak małe dziecko, które chce sprawdzić, jak daleko może się posunąć. Kiedy porucznik i tłumacz wyszli, znowu zaczęło się szeptanie i ściąganie opasek, tym razem na całego. Nasz kłopotliwy więzień ośmielił się na tyle, że zaczął zerkać na mnie i kilku innych żołnierzy. (Gdybyśmy byli we wschodnim L.A., rzuciłbym pewnie: „Co się gapisz gościu, yo?“). Zamiast tego wydarłem się na niego i ponownie zawiązałem opaskę na oczach. Gość uśmiechnął się do mnie szeroko i pokazał mi kciuk wyciągnięty do góry. Pisałem już o dwuznaczności gestu „OK”, który można także odczytać jako „ch.. ci w d...”. Ten skurczybyk używał sobie na mnie ile wlezie. Wyciągnąłem go z celi i ciasno obwiązałem łeb bandażem z zestawu pierwszej pomocy. Ręce na plecach skrępowałem tak mocno, żeby bolały go przez cały czas. Pół godziny później ściągnął jakoś

tę opaskę z oczu, chyba przy pomocy zębów. Miarka się przebrała.

Wszyscy doskonale wiemy, że taśma izolacyjna potrafi skleić wszystko. W wojsku dysponujemy taką o szerokości pięciu centymetrów i nazywamy ją „taśmą sto na godzinę”. To od żartu, wedle którego skrzydła samolotu braci Wright, który osiągał maksymalnie taką prędkość, można by naprawiać przy pomocy taśmy. Wszedłem do celi, zmusiłem skurczybyka, żeby ukląkł pośrodku, i ściągnąłem opaskę, którą w tej chwili nosił jako bandanę. Potem okleiłem jego głowę dziesięcioma warstwami „taśmy sto na godzinę”. Na koniec nalepiłem pasek wzdłuż jego nosa, zamykając tę niewielką szczelinę, przez którą mógł jeszcze podglądać. Zrobiłem przy tym niezłą scenę. Sierżant naszego S-2 (wywiadu), ponury sadysta, pełnoetatowy *El Capitane* więzienia, przesłuchiwał wszystkich zatrzymanych. Patrząc na to, co robię, powtarzał: „Wystarczy, sierżancie. Już dość tej taśmy, sierżancie”. Odgłos dartego plastra był naprawdę głośny i sprawiał mi niesamowitą satysfakcję, kiedy odbijał się od betonowych ścian, sufitu i podłogi. Ze wszystkich sił starałem się ukryć radość, jaką czułem. Nieważne, czy obwiązałem go jedną warstwą czy pięćdziesięcioma, efekt był taki sam. Chciałem jednak pokazać innym, jak niemila będzie odpowiedź na ich dziecinne gierki. Z drugiej strony miałem wrażenie, jakbym znalazł się we własnym koszmarnym śnie, tylko że po jego drugiej stronie. Byłem jak mój pobożny ojciec surowo każący mnie za drobne przestępstwo. Poczuję się głupio i tchórzliwie.

Nie mam najmniejszych kłopotów ze zrozumieniem dyscypliny, której stosowanie ma jakiś konstruktywny cel. Dobrym przykładem będzie stosunek sierżanta od musztry do szeregowców.

Popisowe jej wprowadzanie na oczach więźniów i podkomendnych tylko po to, aby nie pozwolić na podważanie mojego autorytetu, nie miało tak pozytywnego wpływu, jak przypuszczałem. Ba, było w niej coś niepokojąco upajającego. Byłem przecież doskonale uzbrojony, miałem karabin, granatnik, stos amunicji i pancerz. Biorąc pod uwagę stan, w jakim byli więźniowie, moja władza nad nimi była prawie absolutna. Zrozumiałem, co to za uczucie rządzić innymi i jak to jest przywyknąć do własnej przewagi. A przecież chciałem tylko utrzymać porządek i obronić mój autorytet. Na pewno nie zamierzałem uczynić innym czegoś, czego w głębi duszy sam bardzo się obawiam: zostać uwięzionym i torturowanym.

Zostawiłem tego faceta w kącie celi, aby przemyślał swoje postępowanie. Czy nie tak robią nasi rodzice? Po czterdziestu pięciu minutach macho przerwał stoickie milczenie i powiedział: „Proszę pana. Proszę pana. Przepraszam”. Ależ byłem na niego wściekły. Nie tylko skruszał, ale zaczął lepiej gadać po angielsku. Jednak najbardziej rozżłościło mnie to, że zmusił mnie do tak głupiego zachowania. Zacząłem na niego krzyczeć. Powiedziałem, że powinno mu być przykro i lepiej było o tym pomyśleć, zanim mnie wkurzył. To nie były moje słowa, powtarzałem jedynie to, co sam usłyszałem w trakcie niezmiennego cyklu kar i umoralniających wykładów.

Pracował ze mną pewien lekarz. Miał czterdzieści kilka lat, z pochodzenia był Hiszpanem, o nazwisku z nieprawdopodobną liczbą samogłosek i o gęstych, szpakowatych włosach, które nadawały mu wygląd dobrodusznego papy. Jego sposób zachowania był przyjemny i ujmujący; zupełnie jakbym miał do czynienia z przyjacielskim dentystą lub dobrotliwym sprzedawcą pralek w Sears. Przez cały czas odnosił się do mnie z szacunkiem, każde zdanie kończąc słowami: „Tak, sierzancie”, „Nie, sierzancie”. Takie zachowanie jest dla mnie dziwne, zwłaszcza jeśli odnosi się tak do mnie ktoś, kto jest w wieku mojego ojca. Podczas incydentu z niepokornym więźniem doktor spoglądał na mnie z bólem w oczach, jakby cierpiał na równi z więźniem. Być może była to empatyczna więź lekarza z przyszłym pacjentem, ale równie dobrze myślał o tym, że za kilka chwil będzie musiał odlepić taśmę od brwi nieszczęśnika. Zapewniłem go, że góra za pięć minut sam zdejmę taśmę, ale po chwili powiedziałem:

- Pieprzyć to. Dostał już za swoje.

Ponownie zmusiłem aresztanta, aby ukląkł i zdarłem taśmę z jego głowy. Następnie ojcowskim tonem pouczyłem go, aby więcej nie podskakiwał. Zdawałem sobie sprawę, że nic nie zrozumie z tego, co do niego mówię. Choć nie znał sensu słów, to mógł go jednak wyczytać z mojego głosu. Spojrzał na mnie przekrwionymi oczyma (płakał, a może rzeczywiście był alergikiem?) i powiedział: „Dziękuję”.

Potem zamknęliśmy go w celi (funkcję zamka pełniła kłódka; niezbyt archetypiczne rozwiązanie dla więzienia), a wszyscy jej lokatorzy poszli w ciszy spać.

Kilka godzin później przyszła kolej na przesłuchanie krnąbrnego więźnia. Został wyprowadzony z celi przez kilku żołnierzy i pod opieką starszego sierżanta odprowadzony do odosobnionego pokoju przesłuchań. Siedziałem przed frontową bramą, jedząc MRE. Przedemną leżał mój ukochany nóż, Spyderco Delica o zielonej rękojeści i czarnym ostrzu, morderca setek racji żywnościowych. Właśnie pakowałem do ust wołowinę z grzybami i przypomiąłem chyba wcinającego szpinak marynarza Popeye'a ze starych kreskówek. Kiedy sierżant i więzień szli przez plac, zatrzymali się na chwilę, kiedy ten pierwszy zagadnął kogoś. Mój ulubieniec stanął przede mną, zerkając to na mnie, to na nóż. Spojrzałem na niego, a on nie opuścił wzroku, a może powinienem rzec: *nie zamierzał* odwrócić spojrzenia. Ciężko mi powiedzieć, czy próbował wyczytać coś z moich oczu, tak jak ja próbowałem odgadnąć coś z jego? A może próbował zapamiętać moją twarz lub przepełniony nienawiścią

wpatrywał się we mnie z chorą fascynacją? To coś, przed czym nie da się uciec.

W przeciwieństwie do niego nie obchodziło mnie to, jak wyglądał. Gdybym spotkał go teraz na ulicy, pewnie bym nie rozpoznał jego twarzy. Chyba powinno być mi wstyd. Jeśli odczłowieczy się wroga, łatwiej jest go zabić, kiedy przyjdzie na to pora. Miał na sobie zieloną kurtkę wojskową narzuconą na chałat, co odróżniało go od reszty facetów w szarobiałych kieckach. Na plecach kurtki, tuż przy dolnej krawędzi, znajdowała się przypinana na guziki łąta. Kiedy dochodzi do walki, tutejsi podwijają rąbki swoich szat i zawijają

je za pasek, tworząc coś w rodzaju pieluchy dla dorosłych. Nauczyciel w liceum nazywał to „chronieniem klejnotów”. Wydaje mi się, że zakładka na plecach służyła po to, aby założyć za nią rąbek szaty, tworząc coś podobnego do portek MC Hammera¹², dzięki czemu chałat nie płącze się między nogami podczas biegu. Włosy mężczyzny były schludnie zaczesane i krótko przycięte. Wiem to dlatego, że dokładnie okleiliśmy jego głowę taśmą. Zapewne miał niewiele ponad dwadzieścia lat, chyba należał do tej samej kategorii wagowej co ja. Gdyby doszło co do czego, musiałbym się napocić, żeby go rozłożyć. Większość Irakijczyków, którzy nie pracują na roli, jest jednak w fatalnej formie, dlatego mimo wszystko stawiałbym na siebie. Gdyby szło mi wyjątkowo źle, odgryzłbym mu nos albo uciekł się do jeszcze gorszych sztuczek. Stał tak sobie i gapił się na mnie, a przez głowę przechodziły mu Bóg wie jakie głupie pomysły.

23 kwietnia 2004

Kocham martwych cywilów

Mężczyzna, w którego głowie ziała ogromna dziura, leżał oparty o deskę rozdzielczą samochodu. Kirk wyprostował ciało i zaczął przetrząsać kieszenie zabitego, szukając dokumentów. Kiedy skończył, pozwolił trupowi bezwładnie opaść na kierownicę, a z rany na głowie wypłynął mózg. Kirka nie przerażały oględziny ciała mężczyzny i kobiet, ale trzyletnia dziewczynka była ponad jego siły.

Niecałą godzinę wcześniej na północ od naszej wysuniętej bazy operacyjnej został zatrzymany konwój cystern w eskorcie humvee. Nasz zwiad zauważył obok drogi podejrzany pakunek. Jako że IED został wykryty, kiedy połowa formacji już obok niego przejechała, konwój został podzielony na dwie części: jedna wycofała się na południe, druga pojechała na północ. Dzięki temu w zagrożonym eksplozją terenie nie pozostał żaden z naszych pojazdów. Do rozbrowienia ładunku została wezwana drużyna saperów, której przydzielono eskortę sił szybkiego reagowania. Choć tego dnia działaliśmy jako QRF, nie przydzielono nas do tego zadania. Słuchaliśmy radia w naszym humvee, przez które jeden z oficerów zdawał dowództwu raport o IED, kiedy konwój dostał się pod ostrzał z broni lekkiej. Chłopaki zostali zaatakowani z kilku stron naraz, a chwilę później z nieba zaczęły spadać pociski moździerzowe. Ludzie, którzy napadają na konwoje i FOB, zdają się mieć niekończący się zapas pocisków do moździerzy. Za ich pomocą nas ostrzeliwują i z nich robią IED, które później podrzucają nam jak kukułcze jaja. Dzięki Bogu, że z moździerzy strzelają tak samo kiepsko jak z karabinów.

Kiedy nasze QRF dotarły na miejsce, nadal trwała strzelanina, więc chłopcy położyli ogień zaporowy jak najlepiej potrafili. Choć był słoneczny dzień, mieli kłopoty z określeniem pozycji, z których prowadzono ostrzał. Niedaleko znajdował się co prawda budynek,

a obok niego stał zaparkowany samochód, ale koleś, który wezwał wsparcie i drogą radiową naprowadzał celowniczych, nie był w stanie określić, czy tam zagnieździli się bojownicy. Chcąc

uniknąć strat ludzkich, ostrzał skoncentrowano na innych obszarach.

Na północy sprawy miały się odrobinę inaczej: na wezwanie odpowiedziała kolejna jednostka QRF, która dopiero co została rozlokowana w Iraku. Chłopcy odbywali właśnie swoją pierwszą misję. Jako że ten oddział nie miał z nami łączności, nie mogliśmy skoordynować działań. To samo w sobie nie było takie ważne, w przeciwieństwie do tego, jak sytuację oceniło dowództwo tamtego batalionu. Jadący z dużą prędkością pojazd został tam dostrzeżony i zakwalifikowany jako groźny cel.

Samochód okazał się małą białą toyotą z rodzaju tych, na których pakę Irakijczycy potrafią załadować całą rodzinę z dobytkiem. W Iraku wszyscy *jeżdżą* takimi samochodami i może się wydawać, że to ich pojazd narodowy. Problem tkwi w tym, że poruszają się nimi także bojownicy i używają ich jako samochodów pułapek. Jestem pewien, że facet, który prowadził ten samochód, zapewne ojciec upchniętej z tyłu gromadki, chciał tylko jak najszybciej wywieźć swoich bliskich poza teren walk. Potrafię też sobie wyobrazić chłopaków z QRF, którzy dostają informację o szybko poruszającym się pojeździe, najprawdopodobniej wykorzystywanym przez bojowników, zapewne chcących uciec. To wysoce logiczne i spójne wyjaśnienie.

Z tego, co udało się później ustalić, humvee ostrzelały pickupa z SAW-ów, M240B oraz M2 kalibru .50, innymi słowy, wygarnęły z grubej rury. W samochodzie znajdowało się sześcioro ludzi: dwóch mężczyzn, dwie kobiety i dwie małe dziewczynki. Jak to jest w irackim zwyczaju, mężczyźni jechali w kabinie, a reszta rodziny kuliła się na pace. W wyniku ostrzału na miejscu zginął jeden mężczyzna, dwie kobiety i trzyletnia dziewczynka. Ta ostatnia nie została trafiona pociskami, ale udusiła się, kiedy przygniotły ją ciała kobiet próbujących osłonić ją przed kulami. To tragiczna ironia, że zagniotły ją na śmierć, choć poświęciły własne życie, by ją ocalić. Kiedy na miejsce zdarzenia przybył oddział ratowniczy (złożony głównie z ludzi z mojej drużyny), kierowca jeszcze żył, ale nikt nie rokował mu większych nadziei. Matt powiedział, że facet został kilkakrotnie ranny w nogi i miał przebitą mosznę. Choć rana wlotowa po pocisku była doskonale widoczna, to nie było śladu po otworze wyjściowym kuli, co oznaczało, że utknęła gdzieś w podbrzuszu lub miednicy. Kiedy Matt zakładał opaskę uciskową na tętnicę udową, czuł, jak pod skórą ruszają się i chrzęszczą odłamki strzaskanej kości. Pewność, że przeżyje, mogła mieć tylko ośmio-latka, która została ranna w obydwie ramiona. Inny mężczyzna, dziewczynka oraz druga dziewczyna, która podczas toczących się opodal walk została ranna w szczękę i nogi, zostali ewakuowani blackhawkiem do szpitala polowego. Whiskey'owi i Kirkowi przypadło w udziale niewdzięczne zadanie zapakowania

trupów do bagażnika samochodu, którym miały być przewiezione do pobliskiej stacji pomocy FOB.

Kiedy próbuję zrozumieć, co może czuć wybiedzona ośmioletnia dziewczynka, której cała rodzina została nagle i niespodziewanie, w straszliwy sposób pozabijana, zadaję sobie pytanie: „Co ja tutaj, do cholery, robię?”. Wiem, że na wojnie takie rzeczy się zdarzają, spodziewałem się, że będę ich świadkiem, ale, na rany Chrystusa, sprawy przybrały tragiczny obrót. Odkąd przyjechałem do Iraku, w trakcie działań mojego plutonu zginęło trzech bandziorów. Jednocześnie dwoje cywilów zostało rannych (jeden był w stanie krytycznym), a siedmioro, w tym cztery kobiety, jedna trzyletnia dziewczynka oraz homoseksualista z zaburzeniami osobowości, poniosło śmierć. Jeżeli doliczyć do tego samobójstwo kochanka tego ostatniego, co, moim zdaniem, liczy się za dwa zgony, oraz ojca pozabijanej rodziny, któremu urwało jaja i nawet jeśli przeżyje, to będzie błagał Allaha o szybką śmierć, to daje nam trzech zabitych drabów na ośmiu niewinnych ludzi. Czyli na jednego zabitego rebelianta przypada prawie trzech nieprawdopodobnie biednych Irakijczyków, którzy nie dbają,

kto jest u władzy, dopóki mają czym wykar-mić swoje rodziny. Teraz, kiedy o tym myślę, wiem, że ofiar cywilnych w moim rejonie było znacznie więcej, ale szczegółów pozostałych wypadków nie pamiętam. Bogu dzięki, że w tej jatce nie ucierpiał nikt z mojego plutonu czy kompanii. Jak do tej pory z naszego batalionu zginął tylko jeden człowiek, podczas gdy tylko w jednym starciu inna kompania zabiła ponad tuzin re-

beliantów. W sumie statystyki przemawiają na naszą korzyść, ale w dalszym ciągu nie mogę pogodzić się z tymi wszystkimi ofiarami pośród cywilów. Wypadki zdarzają się stanowczo zbyt często. Zupełnie jakbyśmy chcieli nakleić sobie na zderzakach nalepki: „Kocham martwych cywilów”.

Wróćmy do rodziny w pickupie, rodziny, która zginęła pod ostrzałem QRF. Jak już mówiłem, tego dnia nie byłem w tamtym rejonie z moją drużyną, dlatego powtarzam to, co usłyszałem od naocznych świadków. Matt twierdzi, iż lepiej, że mnie tam nie było, ale jakoś mu nie wierzę. Chciałbym zobaczyć tamte wydarzenia na własne oczy, aby wiedzieć wszystko. Tak mi się przynajmniej wydaje, bo po cóż innego chciałbym oglądać taką rzeź?

Sprawa wymordowanej rodziny gryzie mnie od kilku tygodni. Raz za razem wracam do bolesnych przemyśleń o tym, do jakich czynów uciekają się Irakijczycy i czego dopuszczamy się my, armia amerykańska. Z jaką przedziwną łatwością pojawia się odruch stosowania przemocy nawet tam, gdzie nie ma jeszcze uzasadnienia dla jej stosowania. Jak przeraźliwie szybko wykuwa się tożsamość człowieka pod wpływem odniesionych ran, choć, szczerze powiedziawszy, nie sądzę, bym pojął to w wystarczającym stopniu, by móc ubrać w słowa. Na ślepo próbuję dopasować do siebie elementy układanki, jaką jest proces nieświadomego rozwoju człowieka. Zaczyna się od chłopięcej zabawy, wyrywania nówek owadom, a prowadzi do odnalezienia własnej tożsamości płciowej dojrzewającego mężczyzny,

wyłaniającej się spośród kłębiących się w głowie milionów myśli. Tym razem nie jestem gotów, aby z niechęcią do samego siebie napisać *Gödel, Escher, Bach*¹³.

Pewnie zapytacie, ale co to wszystko ma wspólnego z zabita rodziną? Szczerze mówiąc, nie wiem. To po prostu jeszcze jeden problem, którego nie potrafię rozgryźć.

25 kwietnia 2004 **Kobiety w piechocie**

Kiedy moi rozmówcy dowiadują się, że służę w wojsku, prędzej czy później wypływa temat mojego zdania o kobietach służących w piechocie. Szczerze powiedziawszy, mam mieszane uczucia. Nie, teraz kłamię. Tak naprawdę wiem, co o tym sądzić, choć bardzo chciałbym mieć inne zdanie. Zgadza się z opinią, że kobiety nie nadają się do służby w wojsku.

Temat kobiet w armii jest bardzo śliski. To chyba jedyna rzecz, w jakiej pozwalam sobie na seksistow-skie podejście do sprawy. Istnieją dwa główne powody, dla których kobiety nie powinny służyć w piechocie (a także w większości formacji wojskowych). Przeciętny trep jest osobnikiem pozostającym pod silnym wpływem swego prymitywnego ja, stąd myśli o dwóch rzeczach: dymaniu i walce. W tej kolejności. Walczy po to, aby stać się twardzielem, przez co przyciąga do siebie więcej kobiet. Kiedy tylko na horyzoncie pojawi się jakakolwiek kobieta, uaktywnia się dyrektywa numer jeden, a wszystko inne, włączając wojskową dyscyplinę, idzie w diabły. Każdy, kto uważa, że jest to głupie, ma rację, ale sam jest także idiotą, jeśli uważa, że można coś zmienić. Żołnierze zawsze pozostaną tacy sami. Myślący człowiek odnajduje sens życia poprzez refleksję i

myślenie. Żołnierz szuka go przez dymanie. A jeżeli pomiędzy jednym stosunkiem a drugim może komuś obić mordę, to jest super.

Drugi powód, dla którego kobiety nie powinny służyć (i nie służą) w liniowej piechocie, także opiera się na prymitywnej stronie ludzkiej natury. Kobiety nie potrafią dobrze wykonywać obowiązków żołnierza. Chciałbym móc powiedzieć coś innego, ponieważ to stwierdzenie kłóci się z moim przekonaniem o równouprawnieniu. Niestety, taka jest prawda. Nieraz trenowałem u boku kobiet i z całą pewnością mogę stwierdzić, że ich obecność całkowicie zmienia obraz ćwiczeń. Po pierwsze, faceci nie są tak skupieni na swoich zadaniach, jak powinni, a to za sprawą prawa numer jeden. Po drugie, intensywność treningu nie jest taka, jaka powinna być. Przeciętna kobieta nie będzie w stanie dorównać mężczyźnie. Widziałem ludzi, którzy starali się tak bardzo, że prawie zdychali. Ba, niektórzy testowy bieg PT na dwie mile kończyli, padając na mecie, i umierali, bo krew rozsądziła aortę. Inny chłopak maszerował tak długo, aż stracił przytomność. Doznał szoku termicznego na tyle silnego, że został uszkodzony jego mózg. Ludzie szli ze złamanymi kośćmi,

czy zerwanymi więzadłami. Umierali na poligonach jak muchy, co jest świadectwem tego, do jakich poświęceń gotowi są żołnierze. Moje doświadczenia z kobietami w armii pokazują, że wszystkie one posiadają gen rozsądku, którego na szczęście, z punktu widzenia wojska, brakuje mężczyznom. W sytuacjach krytycznych zabiera on głos i mówi: „Pieprzyć to, nie dam się zabić za byle gówno”. Jestem pewien, że istnieje na świecie wiele kobiet, które przetrenowałyby się na śmierć, ale znacznie łatwiej znaleźć takich mężczyzn. W społeczeństwie, które narzuca wizerunek niezwykłego twardego macho, znaleźć takiego mężczyznę jest bez porównania łatwiej.

Czas na argument, który powinien paść zaraz na początku tego wywodu: mężczyzna jest silniejszy od kobiety. Nawet gdyby były one tak samo fizycznie sprawne jak mężczyźni, to w dalszym ciągu pozostaje pierwsze prawo, które motywuje faceta do działania. W naszej małej bazie są cztery kobiety. Którejś nocy QRF został wysłany w teren, ale nie mogliśmy znaleźć trzech ludzi. W końcu ruszyliśmy do akcji bez nich, w tym bez strzelca wkm kalibru .50. Później wyszło na jaw, że spali w pokoju z jedną z dziewczyn (warto zwrócić uwagę, że po tym incydencie przeniesiono koszyki QRF).

Być może nadejdą takie czasy, kiedy znajdzie się sposób na zneutralizowanie tych czynników i kobiety zaczną służyć w piechocie. Do tego momentu mogą służyć w MP¹⁴. W warunkach bojowych MP robi to

samo co zwykła piechota. Tak przynajmniej rzecz ma się w Iraku.

Oto lista kolejnych powodów, dla których kobiety nie powinny służyć w piechocie:

1. Miesiączka i higiena organów kobiecych. Warunki życia na polu walki mogą być bardzo trudne i ciężko mi sobie wyobrazić, jak kobieta miałaby uniknąć infekcji i zachować czystość podczas kilkumiesięcznej przerwy w dostępie do prysznicy.

2. Gwałt. Kobiety, zwłaszcza te schwyte przez wroga, są na niego narażone.

3. Ciąża. Na polu walki nie ma czasu ani środków dla opieki prenatalnej.

4. Piersi. Piersi o większych rozmiarach będą prze

szkadzały w noszeniu ekwipunku, dopasowaniu kami
zelki ochronnej, czołganiu się itp. To z kobiety czyni
kompletnie nieprzydatnego żołnierza.

Chciałbym powiedzieć coś pozytywnego o kobietach jako żołnierzach piechoty, ale, niestety, nie
mogę. Uważam, że obie płci zasługują na równe traktowanie, nawet w wojsku, ale z racji taktycznych
ich służba nie ma sensu.

28 kwietnia 2004

Szykując obóz przejściowy dla uchodźców z Falu-dży, którzy lada dzień uciekną z miasta, mój
batalion przeprowadził rekonesans kompleksu starych bunkrów opodal miasta. Zabudowania są
naprawdę spore

i rozrzucone po okolicy, bardziej niż skład amunicji, który służy nam za dom. Wszędzie dookoła
znajdowaliśmy pozostawione maski przeciwgazowe i kanistry z benzyną. Plotka głosi, że miejscowi
nie wypasają w okolicy swoich stad, bo wszystkie zwierzęta, które tu trzymali, dziwnym trafem
zachorowały i wyzdychały. Przechybywane przez nas budynki sprawiają dziwne wrażenie: mają
wysokie sklepienia i ceglane ściany; mnie się kojarzą ze starymi rzeźniami. Na zewnątrz znajdowała
się dziwna maszyna, która wyglądała jak ogromne pompy oderwane od ścian budynku. Kirk po-
wiedział: „Dzięki Bogu, że już mam dzieciaki. Wy, chłopaki, macie za to przesrane! Ha, ha!”.

Podczas rekonesansu żołnierz z Pierwszej Dywizji Piechoty postrzelił się w nogę. To był
pierwszy raz, kiedy na własne oczy widziałem rannego. Widok kolegi leżącego na ziemi we krwi był
dla mnie niepokojący, po chwili jednak się uspokoiłem i przez dobre pół minuty nabijaliśmy się z
ofermy. W sumie miał wiele szczęścia, bowiem kula przeszła dokładnie pomiędzy czwartym a
piątym palcem u stopy. Matt opatrzył rannego. Helikopter MEDEYAC już do nas leciał i nie było
sensu go odwoływać, więc oferta wygrała darmową przejażdżkę. Podobnie jak inni żołnierze, bez
ustanku sprawdzam stan mojej broni. Najważniejszą i *zarazem* najprostszą zasadą bezpieczeństwa
jest to, aby nie dotykać spustu, chyba że chce się wypruć serię do bandytów. W jaki sposób ten
żołnierz, służący w armii, a nie w harcerstwie pod nazwą Gwardia Narodowa, jak my, *zdolni* sam
się postrzelić, jest

dla mnie tajemnicą. Mam nadzieję, że naprawdę się wstydził. Kiedy tak stałem nad nim, nie
wiedziałem, czy powinienem wyciągnąć aparat i zrobić mu zdjęcie. Nie żebym czuł się źle, ponieważ
mój towarzysz broni został postrzelony czy dlatego że widziałbym w takiej fotografii coś złego.
Czułem wstyd, jaki musiał palić zawodowego żołnierza, który do końca życia będzie pamiętał, że
sam postrzelił się w stopę. To była po prostu niezdarność, przecież nie wysiadał z pojazdu, nie
biegł do wyznaczonego celu, nie przeszukiwał budynku. Stał sobie spokojnie i nagle: bum! Cały
profesjonalizm armii diabli wzięli.

Aha, jeszcze jedna *rzecz*. W jednym z tych budynków Hamill był trzymany jako więzień. Kilka
dni później uciekł. Czy nie byłoby fajnie, gdybyśmy go znaleźli? Cholera mnie bierze, że byliśmy
tak blisko celu i nam się nie udało. A wystarczyło zajrzeć do budynku, w którym siedział.

2 maja 2004

Dzisiaj brałem udział w akcji. Zgromadziliśmy wszystkie kobiety i dzieci w jednym pokoju, a potem przeszukaliśmy dom. Jego właściciel miał cztery żony, dwie stare i dwie młode, całkiem ładne zresztą. Stare żony pochlipywały i zawodziły, młode były wściekłe. Najlepiej bawiły się dzieci, które ekscytowały się widokiem żołnierzy. To dość deprymujące, wejść do pokoju pełnego szczerzących się chłopców, którzy trzymają ręce

wysoko w powietrzu, zupełnie jak w zabawie w policjantów i złodziei. Na rękę napisałem sobie zdanie „Et med ded”, co oznacza „położyć się”, ale pomysł nie wypalił. Irakijczycy po prostu się kulą.

Przeszukania to dziwna sprawa. Z początku próbowałem odkładać na miejsce *rzeczy*, które skądś brałem. Potem zdałem sobie sprawę, że to strata czasu i energii. Po prostu chciałem uspić wyrzuty sumienia z powodu wtargnięcia do czyjegoś domu. Po tym jak chcąc być „grzeczny”, przeczyłem skrytkę na broń (znalazł ją ktoś inny, nie tak uprzejmy), postanowiłem dobre maniere zostawiać przed progiem i skutecznie szukać sprzętu, z którego próbowano nas zabić. Jednym słowem, zabrałem się porządnie do roboty. Nadal czuję się z tym kiepsko, ale teraz zostawiam po sobie większy bałagan. Jeśli kobiecie będzie przykro, że zabieramy jej męża i synów, to wścieknie się nie na żarty, kiedy zobaczy, że jej dom wygląda jak po przejściu tornada. Irakijczycy świetnie ukrywają broń, dlatego musimy praktycznie demolować ich domy. W tym znaleźliśmy jej sporo.

7 maja 2004

Odkąd Thomas Hamill, kierowca ciężarówki, uciekł z więzienia, które znajdowało się w bunkrze na terenie kompleksu leżącego w pobliżu naszej bazy operacyjnej (nazywamy go fabryką chemikaliów), nasz dowódca bardzo chciał się dowiedzieć, co to za miejsce. Wedle

najnowszych danych wywiadu miejscowi widzieli tam laboratorium broni chemicznej. Moja teoria spiskowa mówi, że tak naprawdę od miesięcy praktycznie siedzimy na całych jej stosach, czekając tylko na politycznie odpowiedni moment, kiedy to chłopcy z Nowego Jorku ją „znajdą”. Większość naszych posłusznie przywdziała maski ochronne i przeczesła bunkier po bunkrze, nic nie znajdując.

Obszar działań położony jest dość daleko od naszej zasadniczej bazy, dlatego trzeba było założyć nową, mniej więcej w połowie drogi, aby ułatwić komunikację. Zadaniem moim i mojego oddziału w trakcie tej misji było zapewnienie ochrony. Baza znajdowała się dokładnie nad podziemnym bunkrem. Jako że był on kompletnie niestrzeżony i każdy, kto chciał, mógł do niego wejść, postanowiliśmy, że należy go przeszukać. Wpadliśmy w niezłe gówno. Bunkier okazał się ogromny, a jego zabezpieczenie okazało się najbardziej ekscytującą i niesamowitą przygodą, jaką miałem podczas przeszukań. Wewnątrz panowały zupełne ciemności i jedynym źródłem światła były nasze latarki. Korytarze ciągnęły się w nieskończoność, pokoi były setki, a drzwi do nich przypominały wodoszczelne grodzie lub bankowe sejfy. Jak dla mnie, kompleks musiał być jakimś centrum badawczym. Niektóre z pomieszczeń wyglądały tak, jakby miały pomieścić serwery informatyczne. Te zostały pewnie zarekwirowane przez wojska inwazyjne. Pod podłogą znajdowały się rynienki do układania przewodów, zakrywane tylko łatwo usuwalnymi płytkami terakoty. Inne, niewielkie

pomieszczenia przypominały biura, te średniej wielkości wyglądały na magazyny urządzeń albo laboratoria, a w największych pełno było kałuż wody i benzyny czy też smaru. Były to zapewne magazyny lub hale produkcyjne, w których umieszczono maszyny i urządzenia przemysłowe. Główne wejście do kompleksu stanowiły metalowe wrota, a plan prowadzących do nich korytarzy musiał

zostać zapożyczony od Egipcjan i ich piramid. Tuż przed nimi znajdowało się średniej wielkości pomieszczenie, skąd można było przez niewielkie okienko obserwować wchodzących lub strzelać do nich, gdyby okazali się wrogami. Ten pomysł Irakijczycy zapożyczyli ze średniowiecznych zamków. Na podstawie tej budowli David Macaulay¹⁵ mógłby napisać książkę. Lepiej, bunkier wyglądał jak zaprojektowany przez Johna Romera¹⁶. Czuję się, jakbym grał w *Dooma*¹⁷. Nie żartuję, wszystkie godziny zmarnowane przed monitorem na graniu w *Quake'a*^{1&} wreszcie na coś mi się przydały. Nawyki, jakich człowiek nabiera, grając w strzelanki, okazują się nadzwyczaj skuteczne i przydatne w realnym życiu. Następnym razem, kiedy wasze matki będą wygłaszały tyrady o tym, że granie w *Half-Life*¹⁹ do niczego się nie przyda, możecie jej powiedzieć,

że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa traficie do wojska, gdzie takie doświadczenie może okazać się nieocenione i uratować wam życie. Tyle że potem ona odpowie, że znajomość algebry jest nieodzowna do wezwania wsparcia artyleryjskiego i czas wracać do odrabiania lekcji.

Na horyzoncie zauważyliśmy kilka postaci. Nie wyglądają na wroga. Czekać, to grupka dzieciaków. Jedno z nich coś niesie. Wydaje mi się, że idą w naszą stronę. Zobaczymy, czego chcą.

Nie wiem, skąd przyszły te bosonogie obdar-tusy. W promieniu kilku mil nie ma żadnych domów, ale co najdziwniejsze, przyniosły serwis do herbaty, aby powitać nowych, tymczasowych sąsiadów. Przez całą drogę niosły dzbanek z herbatą, dwie niewielkie filiżanki, spodeczki oraz łyżeczki do mieszania, wszystko to na dużej metalowej tacy. Herbata była gorąca i odświeżająca. Do tego dzieci przyniosły kilka bochenków razowego chleba. Usiedliśmy na ziemi, przełamaliśmy się chlebem i przez chwilę zaznawaliśmy prawdziwego bliskowschodniego spokoju. Czuję się wspaniale, to była jedna z najfajniejszych chwil w moim życiu. Oczywiście, tak naprawdę chodziło o to, aby przekonać się, co mogą wyłudzić od żołnierzy, ale pomimo to świetnie się bawiłem. Objuczyliśmy dzieciaki tyłoma racjami, butelkami z wodą i słodyczami, ile mogły unieść. Próbowaliśmy je przekonać, aby zostawiły serwis do herbaty, ale jedna z dziewczynek wróciła po niego i zaniósła go do domu na głowie.

12 maja 2004

Nasze dzisiejsze zadanie polegało na eskortowaniu konwoju z pieniędzmi. Wyruszyliśmy z naszej bazy i skierowaliśmy się do miejskiego banku, który wypłacał miejscowym policjantom i ICDC pensje. Irakijczycy nie znają pojęcia kolejki, dlatego wypłata przypominała regularną bitwę. Po tym jak im zapłaciliśmy, zwolniliśmy część ze służby.

Podczas gdy wewnątrz budynku odbywało się wydawanie żołdu, my obstawialiśmy bank. Z miejsca opadły nas potwornie wkurzające dzieciaki. Próbowaly nam sprzedać noże i okulary słoneczne, które „spadły z ciężarówek” Halliburtona lub zostały ukradzione naszym. Kupiłem dwie płyty DVD, na których czarnym markerem ktoś napisał tytuł: „Ballone”. Potem dzieciaki zaczęły żebrac, a ja zauważyłem, że ich angielski jest coraz lepszy:

- Proszę pana! Proszę pana! Daj, daj!

Miałem już dosyć takich pokrzykiwań, więc odparłem:

- Wszystkie tylko żebracie: „Panie, daj, panie, daj”.

Ku mojemu zaskoczeniu gnojek odparł:

- Daj mi gówno. Ty moja dziwka.

Kompletnie mnie zatkało. Inny dzieciak podszedł do mnie i spytał:

- Co to jest?

Myślałem, że chodzi mu o magazynki z amunicją, ale gdy spojrzałem w dół, dał mi prztyczka w nos. Wypróbowałem na nim kilka chwytów, jakich nauczyli

nas w Fort Drum, ale to go nie uspokoiło, więc posłałem dzieciakom kilka kopniaków, a w jednego rzuciłem kamieniem. Wszystkie moje plany powrotu do Iraku z misją edukacyjną spaliły na panewce. Jedyne, czego potrzeba, aby wychować te dzieciaki, to porządne lanie i pójście spać bez kolacji. Czekajcie, przecież ich życie tak wygląda. Więc po kiego licha przejmuję się bachorami? Piechota powinna biegać po lesie i zabijać wrogich żołnierzy, nie łąjąc bandę umorusanych ośmiolatków w sandałach. Kiedy rozmawiałem o tym z jednym z chłopaków z mojego plutonu, odparł: „Pierwszy raz byłeś w mieście? Ha, ha! Nie chrzań się już z dzieciakami. Kiedy jedziemy do miasta, bierzemy proce i kulki z farbą. Gówniarz, którego trafiłem, był ubrany w chałat. Strasznie się wkurzył, bo myślał, że szmata jest już do wyrzucenia. Darł się na mnie: «Pierdolę cię! Jesteś moją dziwką. Obciągnij mi druta!». Kiedy mu pokazałem, że farba łatwo się zmywa, powiedział: «Jesteś moim przyjacielem». Pierdolone dzieciaki”.

13 maja 2004

Kiedy przyjechaliśmy do Iraku, pisanie przychodziło mi z łatwością, ponieważ wszystko dookoła było nowe. Teraz jednak wyłapaliśmy większość bandziorów, a nasza praca idzie ustalonym rytmem, dlatego popadamy w rutynę. Kiedy wspominam cały zeszły tydzień, myślę, że był on ciekawszy niż pięć lat służby, zanim tutaj trafiłem, ale trudno mi znaleźć coś, o czym chciał-

bym napisać. Po prostu przywykłem do irackiej rzeczywistości.

Przyjaciel Wiltyego przysłał mu płyty DVD z kompletem odcinków *Freaks and Geeks*²⁰. Musiałem je od niego wyciągnąć, Willy nie zrozumie zachowania młodzieży z przedmieść. Wszystkie osiemnaście odcinków obejrzałem jednym ciurkiem, robiąc sobie przerwę na trzy godziny snu i misję. Moje serce krwawi na samą myśl, że tak promienny i napawający optymizmem serial przemknął w większości amerykańskich stacji telewizyjnych bez echa. Czy ktoś na świecie tworzy jeszcze coś wartościowego? Powinniśmy takich artystów dopingować, aby nie zrażali się masami, które zachwycają kolejne odcinki *Przyjaciół*²¹ *. Swoją drogą, misja poszła gładko.

25 maja 2004

Ignoranta wycieczka po tikrickim pałacu sztuki

Dualizm jest wpisany w naturę śmiertelności.

Wiele czasu rozmyślałem nad tym problemem. To jeden z tych pryncypiów istnienia, które można bez końca rozważać, próbować zrozumieć i zastosować w życiu. Uwielbiam rozmawiać o dwoistości i matematyce kryjącej się za systemem przeciwieństw, bawiąc się przy tym w pseudointelektualne analizy. W przypadku

większości rozmówców odpowiedzią na moje pytania jest pobłażliwy uśmiech i wywracanie oczami, takie samo, jakby słuchali dziecka mówiącego, że kiedy dorośnie, chce być strażakiem, kosmonautą i lekarzem. Próba wciągnięcia kogoś z plutonu piechoty w filozoficzną rozmowę z góry skazana jest na

porażkę.

Nieważne. Zawsze zaskakuje mnie, że kiedy jesteśmy wysyłani na patrol, po równi czuję się podniecony i zdołowany. Przez większość wolnego czasu dłużej przy moim laptopie, całkowicie pochłonięty tym, co robię. Gdzieś w tle zastanawiam się i planuję, jak podzielić czas, którym dysponuję, na wiele czekających mnie obowiązków: czyszczenie broni, pranie, czytanie, odpowiadanie na e-maile, pisanie, edytowanie zdjęć, kąpiel itp. Aż tu nagle ktoś wpada do koszar i krzyczy: „Ubierać się! Dostaliśmy wezwanie! Dowódcy drużyn i wyżej - w gotowości za piętnaście minut!”.

Potem ogrania mnie poczucie zawodu; cały mój plan bierze w łeb, ponieważ od tej chwili moim czasem rządzić będą pryncypia misji. Przemawia przeze mnie lenistwo i myślę: „Cholera, nie chce mi się nic robić. Było tak fajnie, a teraz muszę założyć na grzbiet całe to ciężkie ustrojstwo, wsiąść do wozu i przeszukać jakiś gówniany dom, gdzie na pewno nic nie będzie. Spoczę się przy tym, a spać pójdę późno jak cholera. Ech”.

Jednak chwilę później budzi się we mnie dziecko--żołnierz i podekscytowane krzyczy: „Kurwa, no nareszcie! Może tym razem mój pluton będzie wyłamywał drzwi? Tak! Kurczę, żebym to był ja. Rozwalę je w drobny mak. Będzie niesamowicie. A jeśli dojdzie do walki? Ale będzie super!”.

Kolejna dwoistość, którą można zauważyć w armii, wiąże się z opowieściami żołnierzy. Najchętniej opowiadane są te, których bohaterowie (głównie narratorzy) mają zdrowo przerażane. *Black Hawk Down*²² nie byłby tak ciekawy, gdyby wszystko poszło zgodnie z planem. Żołnierz nigdy się nie przyzna, że „szkolenie było łatwe, taka służba to bułka z masłem”. Nikt mu też nie zawtóruje, mówiąc: „Racja, stary, ale mieliśmy lepiej. Wstawaliśmy o czwartej po południu, grzecznie nas prosili, żebyśmy robili pompki, a sierżant ani razu się na nas nie wydarł”. Każdy żołnierz chce, aby jego służba była ciężka jak diabli. Nikt nigdy otwarcie tego nie przyzna, ale taka jest prawda. Żołnierz nie chce, żeby jego zadania były trudne do wykonania; to byłoby głupie. Życie powinno być ciężkie, ale mało kto ma odwagę powiedzieć to głośno lub zrobić, żeby takie się stało. Choć im gorsza służba, tym lepsze się później opowiada historie. Na tym polega ta gra.

Z początku nasza kompania miała działać jako siły szybkiego reagowania i stacjonować w Tikri-cie, gdzie znajduje się dowództwo dywizji. Jednak, jak to w wojsku, plany uległy zmianie. Mieszkamy w dawnym składzie amunicji, na bagnach nieopodal małej wioski. Warunki są dość spartańskie, ale to dobrze. Dzięki temu pamiętamy, po co tu przyjechalibyśmy: po to, żeby walczyć. Niedaleko od nas znajduje się spora baza, w której jest kino, stołówka i masa dziewczyn. Dla człowieka naturalne jest, że chce mieć jak

najlepsze warunki: przeprowadzić się do lepszej części dzielnicy lub mieć własną bazę. Pozytywną stroną naszego obozu jest cisza oraz to, że nikt nas nie atakuje. Patrząc obiektywnie, mamy cięższej niż większość mężczyzn i kobiet, którzy przywracają Irakijczykom wolność.

Nasz pluton był ostatnio wysyłany z kilkoma misjami do Tikritu. Pełniliśmy głównie funkcję ochrony. Pierwsza wizyta była bardzo krótka, ledwie mieliśmy czas, żeby coś zjeść na stołówce dowództwa Pierwszej Dywizji, które mieści się w pałacu, a potem wróciliśmy do naszych nawiedzonych przez moskity bunkrów na bagnach. Druga wyprawa zapewniła nam okazję do spędzenia całego popołudnia w mieście. Po obiedzie udaliśmy się do MWR (*Morale, Welfare, Recreation*), które znajdowało się w starym pałacu Udajaj Husajna. Baza naprawdę robiła wrażenie. I

pomyśleć, że mieliśmy tutaj stacjonować! Nie mogłem zaradzić ukłuciu zazdrości wobec szczęściarzy, którzy tutaj mieszkają. Pałac jest cudowny. Widok na Tygrys zapiera dech w piersiach. Wokoło tyle fajnych rzeczy. Zrozumcie, to był kiedyś pieprzony kompleks pałacowy: są tutaj baseny i wszelkie cholerne dekadentkie luksusy, jakie można sobie wymyślić. Kiedy budzę się w mojej kwaterze i wstaję z łóżka, chodzę po betonowej podłodze, gdzie kiedyś składowano bomby. Chłopaki tutaj stąpają po marmurowych kafelkach. Czy dziwne, że ktoś chciałby żyć jak oni? Powszechnie się uważa, że najlepiej, aby żołnierze żyli w warunkach, które przypominają pole walki. To nieprawda. Gdybym stacjonował w Tikricie, zostałbym w Iraku na zawsze.

Uważam, że byłbym kiepskim dyktatorem. Nic bym nie robił, tylko włóczył się po pałacu i zbijał baki. Jakie mógłbym urządzać imprezy! Boże, muszę przestać fantazjować. Im dłużej myślę o tikrickim pałacu, tym bardziej opuszcza mnie biorący się z zeń spokój i pogodzenie z życiem na bagnach. Mam ochotę pozabijać tych nicponi z Tikritu i zająć ich miejsce. No i te dziewczyny. Liczba kobiet, które służą w wojsku w Iraku, jest bezprecedensowa. Na ścianie zauważyłem graffiti: „Hej, dziewczyny z wojska! Jak to jest, wiedzieć, że po powrocie znów będziecie brzydkie?”. Złośliwość bijąca z tych słów pomogła mi przełknąć gorzką pigułkę, jaką była świadomość, że nie będę z rana chodził po posadzkach i nie spotkam tych wszystkich panienek, które mogłem poznać.

Jedną z rzeczy pewnych w życiu sierżanta piechoty jest to, że o działaniach na poziomie przewyższającym pluton wie się bardzo mało. Chciałbym móc opowiedzieć wam o znaczeniu Tikritu i tym, co się zdarzyło w trakcie szturm na miasto, ale nie mogę nawet z pewnością stwierdzić, który pałac należał do Husajna. Na architekturze nie znam się prawie wcale, nie wspominając o jej bliskowschodnim stylu. Nie znam nazw budowli ani tworzących ich elementów. Nauczycielki historii sztuki w college'u nienawidziłem z całego serca i byłem jednym ze studentów, którzy oblewali testy tylko z powodu niechęci do profesora. Gdyby nie była taką suką, pewnie uważniej słuchałbym wykładów i teraz byłbym w stanie w pełni opisać cuda miejscowej architektury. Poważnie mówiąc, moja nauczycielka

była do bani. W jednym z testów mieliśmy połączyć w pary wyrazy bliskoznaczne. Jednym z nich był „równoległy”, a do wyboru miałem „krzyżyk” (#) i „kolumna”. Licząc na łut szczęścia, wybrałem tę drugą. Słupki zawsze stoją prosto i są do czegoś równoległe, tak samo jak próg do powały. Krzyżyki także składają się z linii, ale tylko w niewielkich grupkach, dlatego pomyślałem, że nauczycielka może się do tego przyczepić. Wybrałem źle. Jej zdaniem linie tworzące krzyżyk były bardziej równoległe niż kolumny. Kiedy spotkałem ją kilka dni później, próbując zaprotestować przeciwko jej ocenie, pomyślałem, że udowodnienie mojej racji będzie proste. Chciałem, aby podwyższyła moją ocenę. Pomyliłem się. „Od kiedy to kolumny nie są do siebie równoległe?” - spytałem. Przecież uczyłem się geometrii. Nawet durny trzecioklasista wie, że dopóki dwie proste nie przecinają się, to są równoległe do siebie. Wiecie, co mi odpowiedziała? „Spójrz na Stonehenge. Tam kolumny nie są równoległe, bo stoją w kręgu”. To mnie kompletnie zbiło z tropu. Stoją w kręgu, nie równoległe? Albo robiła mnie w konia, albo próbowała jakichś sztuczek Jedi, albo była opóźniona w rozwoju. Spojrzałem na nią, ale widać było, że mówi najzupełniej poważnie. Spróbowałem być jak najbardziej uprzejmy i odparłem: „Oczywiście stoją w kręgu, ale linie które reprezentują, są proste i nigdy się nie przecinają, więc...”. Nauczycielka wcale mnie nie słuchała. Poddałem się. Większość zajęć przespałem, a na ostatni egzamin przyszedłem potwornie spóźniony. Obląłem cały przedmiot. Wyszedłem na idiotę. Mogłem się zgodzić na „4+”,

przyznać rację starej pannie, ale zamiast

tego przez nią powtarzałem klasę. Mam kiepski zwyczaj uczenia się dopiero na własnej skórze.

No i oto stoję w tikrickim pałacu, chcąc właściwie opisać cuda architektury, ale brak mi słów, ponieważ jedenaście lat temu wadziłem się z moją nauczycielką historii sztuki na Uniwersytecie Stanowym Utah. Ale pamiętajcie, jeśli nie układa wam się w życiu, zawsze możecie zacząć ćpać lub zaciągnąć się do armii.

Po drodze do Tikritu minęliśmy magiczny łuk ustawiony w poprzek irackiej autostrady numer 1. Za jego pomocą mieliśmy się przenieść do starożytności, gdzie w antycznej Sumerii narodziły się *zalkęzki* naszej cywilizacji. Miejscowi są bardzo dumni z tego osiągnięcia. Do tego stopnia fascynują się swoimi dokonaniem, że od tamtych czasów nie zrobili nic pożytecznego, tylko spoczywają na laurach. Wszyscy jesteśmy pod wrażeniem Hammurabiego, algebry i temu podobnych, ale chyba czas na kolejne oszałamiające i epokowe odkrycie. Lekarstwo na raka albo metoda zimnej fuzji byłyby całkiem na miejscu, ale jestem gotów się *zalożyć*, że miejscowi wymyślą kolejną wzywającą do dżihadu fatwę. A potem znów *zaczną* obcinać głowy moim rodakom i detonować samochody--pułapki. A może odkryją tajemnicę opon, które nigdy się nie zużywają? Swoją drogą, łuk nie zadziałał. Po przejechaniu pod nim wcale nie zobaczyliśmy kolebki naszej cywilizacji, a jedynie tłumy potwornie biednych ludzi, żyjących w cieniu niepojętego bogactwa dawnego dyktatora.

Obok drogi, która prowadzi do Tikritu, wznosi się zwietrzały betonowy monument z symbolem pompy do ropy naftowej i napisem witającym podróżnych w mieście. Nie jestem pewien, co ma symbolizować ta pompa. Może bogactwo? Przypomina mi to biblijną opowieść o lampie, w której nigdy nie zabrakło oliwy... Może po to właśnie jesteśmy w Iraku? *Żeby znaleźć* źródło nie kończącej się ropy.

Kompleks pałacowy w Tikricie miał być w założeniu olśniewająco piękny, podobnie jak reszta „zabytków” bliskowschodniej architektury. Pałac, w którym znajdowała się siedziba MWR, był pełen cudownych drewnianych wykończeń, bogato zdobionych marmurowych podłóg, ogromnych kryształowych żyrandoli

i płaskorzeźb. Jeśli mam być szczerzy, to byle kasyno w Vegas ma więcej klasy.

Jedno z pomieszczeń MWR zostało zamienione w salon gier. Pełno tam było komputerów, PlaySta-tion i telewizorów. Postanowiłem, że napiszę e-maila do mamy:

Cześć, Mamo!

Jestem w pałacu Udaję. Mam wspaniały widok na Tygrys. Ciągle szukam tej toalety ze złotym sedesem i jedwabnym papierem toaletowym. Chciałem się odpryskać do basenu, ale jest dziś zamknięty. Zażartowałem do dziewczyny w barze, że tak bardzo musiałem się załatwić, że miałem narobić na podłogę, ale powiedziała mi, że to nie był pałac Udaję. Dlaczego nikt nie rozumie moich żartów, mamo? Kocham Cię.

Płaskorzeźby na zewnątrz pałacu opowiadają o historii i tradycjach regionu. Oglądając je, nie mogłem opędzić się od myśli o człowieku, który je wykonał. Wyrzeźbił je z miłości do

Husajnow, a może dlatego, że miał trochę talentu i dzięki niemu mógł ocalić rodzinę przed gwałtem i/lub śmiercią z rąk Udaję? Jedna ze scen przykuła moją uwagę. W swej wymowie była szczególnie mi bliska: przedstawiała żołnierzy z AK-47. Pod jej wpływem zacząłem się zastanawiać, ile razy w tej części świata dochodziło do przewrotów? Jeżeli za początek *przyjąć* czasy su-meryjskie, wziąć pod uwagę Turków osmańskich i wszystkie państwa istniejące pomiędzy ich czasami, to trzeba przyznać, że pokój nieczęsto gościł na tych ziemiach. Czy ten pałac przetrwałby wszystkie zawieruchy wojenne? Jest zbudowany z piaskowca i znajduje się nieopodal koryta rzeki; nie sądzę, by przetrwał. Przebywałem w miejscu, które było kiedyś siedzibą dyktatury, a teraz znajdowało się w rękach nowego szeryfa w mieście. Oczywiście nasza sprawa jest słuszna, więc powinienem być zadowolony z dwudziestego czwartego irackiego przewrotu, jaki dokonał się w ciągu ostatnich stu lat. Płaskorzeźba przedstawiała żołnierzy, których niedawno pokonaliśmy. Poczulem smutek, kiedy pomyślałem o tych ludziach, dumnych ze swej służby tak samo, jak ja jestem z mojej. Tak naprawdę służyli despotycznemu dyktatorowi, którego bardziej interesowały pałace i ozdobione dziełami sztuki, przypominające haremy apartamenty w Bagdadzie niż dobro ludzi. I to na ich pomnik spoglądałem ja, żołnierz zwycięskiej armii, której dowódca zupełnie nie przypominał Williama Wallace'a²³. No cóż...

Wyjeżdżając z pałacu, nie sposób nie zauważyć napisu: „Profesjonalni, Czujni, Dumni, Śmiercionośni” wymalowanego na murach kompleksu pałacowego. Spodobał mi się sens tych słów, choć nie jestem fanem haseł szpecących całkiem ładne budynki. No cóż... Moje postrzeżenie Iraku chyba najlepiej zamyka się w tych dwóch słowach. No cóż...

Tutaj kończy się nasza wycieczka. Dziękujemy. Odwiedźcie nas znowu. Uważajcie na schodach.

19 czerwca 2004

Szczególnie ważna informacja

Kilka dni temu brałem udział w ceremonii uświetniającej przyznanie Purpurowego Serca jednemu z żołnierzy naszej kompanii, który został ranny w trakcie walk. Z każdego plutonu wydelegowano po kilku żołnierzy, aby pełnili honorową wartość podczas wręczania medalu. Byłem jednym z kilku „szczęśliwców”, choć prawdę mówiąc, obszedłbym się bez tego zaszczytu. Nie chodzi o to, że nie szanuję żołnierza, który został ranny w walce. Po prostu uważam za nieludzkie, stać na baczność w pełnym oporządzeniu i słuchać przemówienia dowódcy batalionu, kiedy z nieba leje się iracki żar.

Kierowałem samochodem, którym na ceremonię jechał dowódca kompanii. Byliśmy spóźnieni, aż tu nagle spytał mnie bez ogródek:

- Jak tam idzie pisanie?

Już drugi raz dopytywał się o moje wspomnienia. Za pierwszym razem zagadnął mnie, kiedy spotkaliśmy się pod prysznicami. W lutym kazał mi zaprzestać prowadzenia bloga, kiedy dowiedział się o jego istnieniu. Chcąc nie chcąc, musiałem podporządkować się jego rozkazom i zdjąłem stronę, jednak nadal pisałem e-maile do przyjaciół.

Byłem w prawdomównym i szczerym nastroju, więc odparłem:

- Całkiem nieźle. - Po chwili zastanowienia dodałem: - W zasadzie ostatnio niewiele piszę, bo nie ma za bardzo o czym.

- Już niedługo - odparł tonem, który sugerował, że

wie więcej, niż może powiedzieć. - Na następne kilka tygodni zaplanowano sporo misji, które mają... jak by to powiedzieć?... „uświetnić” przekazanie władzy trzydziestego czerwca. Jak do tej pory w naszej okolicy było dość spokojnie, jeśli nie liczyć przypadkowego ostrzału raketami, które zabiły dwóch i raniły trzydziestu żołnierzy z pobliskiej bazy.

Swoją drogą, ceremonia wręczenia orderu była bardzo udana, przemówienia były krótkie. Rannego nagrodzono medalem, co zawsze napawało mnie zdziwieniem. Kiedy byłem mały, mój tata dał mi nagrodę za to, że w moim kawałku ryby na obiad było najwięcej ości. Kula nadal tkwi w łopacie tego żołnierza. Najprawdopodobniej wleciała do wnętrza humvee przez

otwarte okno po stronie pasażera, zestrzeliła noktowizor z hełmu żołnierza siedzącego z tyłu, rykoszetem odbiła się od samochodowego radia i utkwiała w barku nagrodzonego medalem. Dowódca batalionu przemilczał większość z tego, wspominając jedynie o noktowizorze, który przydał całej historyjce smaczku i zabaw-ności. Resztę informacji wydobyłem od Raya, który jechał z nami z powrotem do bazy. Na koniec ceremonii odśpiewaliśmy hymn armii oraz Pierwszej Dywizji. Ależ to był gwałt dla uszu: „Nanananana! Armia strzeże! Nanananana! Razem! Nanananana! Wielka Czerwona Jedyńka! Nanananana!”. Byłem zawstydzony. Nikt spośród całej kompanii nie znał tekstu żadnej z piosenek. Za to kapelan popisał się niezłym głosem.

Jesteśmy częścią Pierwszej Dywizji Piechoty i, jasna cholera, musimy nosić na prawym ramieniu naszywkę, która *oznacza, że* braliśmy udział w walkach u boku Wielkiej Czerwonej Jedyńki, czyli BRO (*Big Red One*), jak ich nazywamy. Nie zhańbiłem się noszeniem jej przez choćby jeden dzień mojego życia. Pierwsza Dywizja Piechoty jest niesamowita i ma za sobą niesamowitą historię, ale która aktywna jednostka nie może poszczycić się bohaterскими czynami? Powiniennem być dumny, nosząc tę naszywkę, ale należę do tych, którzy uważają, że powinniśmy nosić naszą własną, Dwudziestej Siódmej Brygady Piechoty. I tutaj zaczynają się schody. Gwardia Narodowa została zrestrukturyzowana i nie ma już czegoś takiego jak Dwudziesta Siódma Brygada Piechoty. Przynajmniej my już do niej nie należymy. Czemu mielibyśmy zatem nosić naszywki oddziału,

który już nie istnieje? Wszyscy nasi kumple z brygady, którzy zostali w domu, teraz służą w Czterdziestej Drugiej Dywizji Piechoty (kolejna jednostka o niesamowitej historii). Wielu z nich sarka na to, bowiem godłem dywizji jest tęcza, taka sama, jaką nosił koleś w mundurze z Yillage People²⁴. Symbol wziął się od tego, że na początku dywizja była irlandzką milicją. Potem tęczę skrócono o połowę, gdy jedna druga oddziału została wybita w trakcie bitwy. Czterdziesta Druga Dywizja walczyła na każdym ważnym froncie od czasów amerykańskiej rewolucji. Historia tej jednostki jest wspaniała, ale mało kogo teraz obchodzi. Niektórzy z naszych kumpli występowali z wojska z powodu głupiej naszywki. Na wieść o tym, że zostali wcieleni do Czterdziestej Drugiej, mówili: „Nie zamierzam nosić tej idiotycznej tęczy!”.

Był taki moment, że oddziały Gwardii Narodowej podlegały Dziesiątej Dywizji Górskiej, która miała fajną naszywkę ze skrzyżowanymi mieczami i słowem „Góry” ponad nimi. Na ironię zakrawa fakt, że Dziesiąta Dywizja stacjonuje w Fort Drum, gdzie nie uświadczysz ani jednej pieprzonej góry. Oddział rozrósł się do niespotykanych rozmiarów (jego stan osobowy liczył ponad sto procent chyba dlatego, że wszyscy chcieli nosić fajne naszywki).

Zdecydowanie najfajniejsze naszywki w całej armii mają oddziały specjalne. Ich godło ma

kształt grotu

strzały (który ma symbolizować Indian i ich styl walki podjazdowej). Błyskawice oznaczają szybkość i siłę, a miecze oznaczają to, co zwykle. Kto by się zresztą przejmował ich symboliką; są fajne i już. To jest dopiero naszywka! Przez większą część mojej kariery wojskowej podlegałem Dziewiętnastej Grupie Sił Specjalnych w Utah. Uwielbiałem nosić ich naszywki.

Kiedy przeniosłem się do Nowego Jorku, musiałem nosić naszywkę Dwudziestej Siódmej Brygady. Jest kiepska, podobnie jak sama jednostka, która istnieje od niedawna. Jej patronem jest generał O'Ryan. Kiedy projektowali naszywkę, ktoś pewnie powiedział tak: „Musimy zaprojektować coś, co uhonoruje O'Ryaną. Hmm. Ej, wszyscy pochodzimy z Nowego Jorku i jesteśmy fanami Jankeśów, więc nośmy ich znak!”

Na mur beton gość zatwierdzający projekt spojrział nań i pomyślał: „To najgłupsza rzecz, jaką w życiu widziałem! Mowy nie ma, żebyście nosili symbol drużyny baseballowej. Zróbcie to jeszcze raz, dupki!”

No więc projektanci wrócili do baru i zaczęli się dalej głowić, popijając jednocześnie piwko. Po kilku miesiącach dorzucili do godła Jankeśów kilka gwiazdek oraz „D” do liter „NY”, żeby powstał skrót „NYD” oznaczający „New York Division”. Ci, którzy słuchali punka w latach osiemdziesiątych, musieli kojarzyć symbol z logiem Dead Kennedys. Te kilka gwiazdek, które dodali, ułożono na kształt konstelacji Oriona. Nie próbujcie znaleźć jakichś konotacji pomiędzy generałem O'Ryanem a gwiazdozbiorem Oriona. Generał był Amerykaninem irlandzkiego pochodzenia, a postać Oriona pochodzi z mitologii greckiej. Nic ich

nie łączy poza tym, że są to wyrazy homofoniczne. Kiedy już się przyzwyczałem, dotarła do mnie świadomość głupoty połączenia Orion/O'Ryan, która całkowicie położyła sens istnienia naszywki. No i w ten sposób walczę z naszywką Oriona na rękawie. Jest gówniana, ale moja, więc jestem z niej dumny.

Kiedy mój batalion zajął naszą bazę operacyjną, dowódca postanowił przemianować ją z „Lwa” na „Oriona” i tak się stało. Ale w całej sprawie tkwi pewien szkopuł: otóż nikt nie wiedział, jak poprawnie wymawiać słowo „Orion”. W centrum taktycznym można je spotkać w wielu różnych błędnych formach, od których wolne nie są nawet dokumenty oficjalne. Z tego powodu postanowiono rozwiązać jakoś ten problem. Po kilku miesiącach główkowania dowództwo uznało, że nasz batalion ma być nazywany „O'Ryan”. Hmm. Ale czy my przypadkiem nie nazywamy się „Orion”, tak jak gwiazdozbiór na naszych naszywkach? Czy nie nosimy symbolu Łowcy, Oriona Łowcy, którego nasz dowódca wielbi bezgranicznie? Jeżeli ktoś z naszych zginie, bez wątpienia baza zostanie nazwana jego imieniem. *Znając* nasze szczęście, będzie to „Rodion Romanowicz Raskolnikow”.

Wydaje mi się, że powinienem wspomnieć o artykule w magazynie „Time”. Wolałbym pisać o „New York Timesie”, ale cóż... Jako że nikt z moich czytelników nie zniża się do czytania „Timea”, chyba że trafi na niego w poczekalni, to pochwalę się, iż wspomniano w nim o mnie. W artykule o blogach z dnia 21 maja 2004 *Just Another Soldier* postawiono za przykład

bloga wojskowego. Autor przytacza, jak to włóczyłem się po opustoszałym pałacu Saddama. Nic z tego, zwiedzałem pałac Udaję, który trudno było nazwać opuszczonym. Cóż, oto dbałość o szczegóły mass mediów. Z drugiej strony darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby. A na serio, ciekawe, dlaczego zainteresowali się mną? Jeśli szukacie informacji o Iraku, to moje gratulacje.

Gorzej trafić nie mogliście. Jeżeli nie ufacie mediom, a chcecie wiedzieć, co się dzieje w tym kraju, to módlcie się o oświecenie, bo tylko Bóg jeden wie, co się tutaj wyprawia. Niestety, nie pomogę wam, bo nie wierzę w Boga (a przynajmniej nie wierzę w tradycyjnym sensie tego słowa). Twierdzenie, że „nie ma ateistów w okopach”, jest semantycznym dowodem na to, że „Bóg” jest zasadniczo wytworem zrodzonym z zapotrzebowania. Między innymi z tego powodu regularnie kpię sobie z doktryn chrześcijaństwa, choć głównie robię to dlatego, że leczę się z mormoństwa.

Jeżeli chcecie usłyszeć o tym, jak czuje się żołnierz w Iraku, pragniecie szczerą prawdę, mogę wam pomóc. Jest tyle rzeczy, o których możemy porozmawiać: taktyka walki w mieście, zabijanie cywilów, ma-sturbacja.

Nie zapominajcie, że jestem wariatem, księciem błaznów i heretykiem. Zapewne już dawno mi odbiło, mówię poważnie! Co za idiota zaciąga się do piechoty?

Mój pluton towarzyszył dowódcy kompanii, który miał do załatwienia w mieście parę rzeczy. Wydaje mi się, że nie umiem do niektórych spraw podchodzić

na poważnie, bowiem wszystko to, co robimy, jest dla mnie bardzo... zabawne. Nie mówię przez to, że nie są to ważne sprawy. Robimy wiele dobrego, czasem nawet *rzeczy* potrzebne czy odpowiedzialne. Chodzi o to, że od czasu do czasu, kiedy się człowiek nad nimi zastanowi, jak ja podczas pisania, okazują się cholernie zabawne. Dzień zacząłem od przetrząsania ruin bazy obrony przeciwlotniczej, którą zbombardowaliśmy. Znalazłem w niej masę niewybuchów, z których powykręcałem zapalniki, aby nikt inny nie... powykręcał zapalników! Wiecie, to może wybuchnąć!

Większość zmagazynowanej amunicji eksplodowała, kiedy zniszczyliśmy bazę, jednak w detonatorach znajdują się niewielkie ilości materiałów wybuchowych, które mogą być niebezpieczne, zwłaszcza dla dzieci bawiących się w okolicy. Matt zauważył: „To, co zrobiłeś, było wbrew wszystkim zasadom postępowania z UXO”. Matt miał rację. W czasie szkolenia uczono nas, aby pod żadnym pozorem nie dotykać niewybuchów.

Gdzie się ruszymy, tam zaraz obskakują nas dzieciaki. Niemożliwością jest się od nich opędzić. Co gorsza, mają do sprzedania naprawdę fajne *rzeczy*. Matt kupił dzisiaj nóż automatyczny Benchmadea, który w PX kosztuje 180 dolarów. Dzieciak opchnął go za trzydzieści. Gówniarze obrażają nas, prowokują bez końca i nagabują. Kradną nam i próbują sprzedać noże, okulary przeciwsłoneczne, długopisy, a nawet kamery i GPS-y wyrwane z humvee. W praktyce uniemożliwiają nam jakiegokolwiek działania. W końcu nie wytrzymałem i dzieliłem jednego z chłopców pałką,

mając nadzieję, że się ode mnie odczepi. Nie podziałało. Spojrzał na mnie z wyrzutem, jakby chciał powiedzieć: „A za co to było? Czemu to zrobiłeś? Bolało! I tak się od ciebie nie odczepię”.

Spróbowałem z jeszcze jednym, ale efekt był identyczny, przegrałem. Podobnie jak aresztanci, dzieciaki wiedzą, jak z nami postępować. Z jednej strony odgrywiają twardzieli, z drugiej umieją znosić bicie, a kiedy trzeba, łaszą się i przepraszają. Jeśli nie *zebrzą* bezwstydnie o wodę i jedzenie, obrzucają nas wyzwiskami i opluwają. Nie jestem socjologiem, ale takie zachowanie jest chyba endemiczne dla kultury arabskiej.

Następnie odwiedziliśmy najbiedniejsze rodziny w okolicy. Zostawiliśmy im trochę jedzenia i wody. Jako że mężczyzn nie było w domu, podczas rozładunku zapanował niezły chaos. Dzieci pokłóciły się i pobiły między sobą.

Potem odwiedziliśmy kompleks zrujnowanych budynków, gdzie mieszkają kolejne cztery rodziny. W latach siedemdziesiątych była tutaj siedziba półza-wodowej drużyny piłki nożnej.

Niestety, ktoś z miejscowych próbował zabić Saddama. Kiedy zamach się nie powiódł, ludność miasteczka została zdziesiątkowana, boisko zaorano, a budynki zaadaptowano na bazę obrony przeciwlotniczej. Rodziny przerobiły część budynków na obory dla bydła, w pozostałej części pomieszczeń hodując prawie tuzin zamaskowanych gówniarzy.

Dowódca naszej kompanii w cywilu jest zastępcą kuratora dystryktu Manhattan. To typ człowieka, który mówi do ciebie „chłopie”. Moim zdaniem jest jedynym

normalnym oficerem w dowództwie. Ufamy mu. Nie jest sztywniakiem. Zanim poczęstował małą Irakijkę Prin-glesami, zdjął hełm i okulary przeciwsłoneczne. Wiecie, goście od relacji z cywilami fotografowali wszystko, co robił.

Jednym z naszych zadań jest nagrywanie codziennych modlitw nadawanych przez megafony okolicznych meczetów i sprawdzanie, czy w kazaniach nie pojawiają się treści antykoalicyjne. Dzisiaj mieliśmy czwartek, więc ktoś się żenił. Strzały padały wyjątkowo blisko i szczególnie intensywnie.

- Wstrzymać ogień - warknął nasz dowódca. - To strzały na wiwat.

Ileć ktoś mówi „strzały na wiwat”, zawsze słyszę „celibat”.

Zupełnie jakby na potwierdzenie jego słów, w mój sektor ogniowy wjechał wóz ICDC. Chwilę później zobaczyłem nowiutki, lśniący samochód przyozdobiony wstążkami i balonikami, a za nim autobus pełen weselnych gości.

Kiedy daliśmy już sobie spokój z obserwacją meczetu, musieliśmy zabezpieczyć komisariat policji, gdzie nasz dowódca odbywał naradę. Jak zwykle otoczył nas tłum niezmordowanych dzieciaków. Strasznie są cwane, wiedzą, jak przeklinać po angielsku i hiszpańsku. W większości przypadków opisują dymanie twojej matki i siostry, podczas gdy ty, kawałku gówna, będziesz musiał ciągnąć im druta. Jeden z gówniarzy popisywał się dzisiaj przed nami, robiąc pompki. Irackie słowo „schnow” (wymawiane prawie jak „szał”) oznacza właśnie „rób pompki”. Daliśmy dzieciakowi dolara, kiedy zrobił ich tyle, że przeszedłby testy sprawnościowe w wojsku.

23 czerwca 2004

Moje rękawice śmierdzą krwią i mydłem. Wczoraj, kiedy już było po wszystkim, uprałem je, mając nadzieję, że przestaną cuchnąć. Pomyliłem się. Czuć je teraz krwią, wonią z jednej strony pociągającą, bo trzewia wiedzą swoje, i odpychającą zarazem, bowiem zbyt osobistą, jak cudzy pot czy oddech. Śmierdzą także tanim antyseptycznym mydłem, które kojarzy się z próbą zamaskowania smrodu nasiąkniętych krwią tamponów.

Spora część naszej kompanii była zaangażowana w aresztowanie znaczącego byłego miejscowego polityka. Miało się to odbyć z całą pompą podczas spotkania rady miejskiej, jednak skurczybyk się nie pojawił. Byłem członkiem drugiej drużyny przechwytyjącej, która obstawiała mniej prawdopodobną trasę podróży naszego celu. Bardzo szybko się zorientowaliśmy, że nici z zabawy, więc snuliśmy się tylko po okolicy jak okularnicy z klubu szachowego niemający odwagi wejść na parkiet podczas potańcówki. Miałem więc sporo czasu, aby co i rusz wachać własne rękawice. W tym doprowadzającym do szału upale nie potrafiłem się skupić na niczym innym, jak na ich smrodzie.

W miarę jak zbliża się termin przekazania władzy miejscowym władzom, misje wykonywane

normalnie

przez inne kompanie są przekazywane nam, co wiąże się z odpływem potrzebnej siły roboczej. Wczoraj piętnastu naszych żołnierzy musiało pomagać sąsiedniej kompanii w zbadaniu kilku „szczególnie interesujących obiektów”. W praktyce oznaczało to przetrząśnięcie terenów, gdzie mogą się kryć rebelianci, w poszukiwaniu wszystkiego, co może odbiegać od normy.

Miejsce, które musieliśmy sprawdzić, było dla nas nowe, dlatego wydawało się ekscytujące i ciekawe. Okolica była sucha, ziemia popękana, a w najbardziej niespodziewanych miejscach zbierała się woda. W zagłębieniach i dołach o stromych ścianach rosła wysoka, gęsta trawa, wyraźnie kontrastująca z wysuszoną ziemią. Po pierwszym rozpoznaniu terenu zaczęliśmy łązić po okolicy, gdzie pełno było opuszczonych budynków i fortyfikacji. Po jakimś czasie takiego bezsensownego chodzenia porucznik spytał mnie:

- Sierzancie, macie jakieś HE?

Przekładając z wojskowego na ludzki, oznaczało to: „Czy macie jakieś granaty odłamkowe do swojego granatnika M203?”. Czego? Phi. Chciałem rzucić lu-zackie: „No ba, szefie, się robi!”, ale zamiast tego tylko kiwnąłem głową.

- Widzicie tamtą kupę złomu?
- Tak jest, sir!
- Wydaje mi się, że nas atakuje.
- Zrozumiałem, sir.

W tej chwili każdy, kto był uzbrojony w M203, instynktownie ładował granaty do komory granatnika. Jeśli chodzi o strzelanie pociskami HE, w żołnierzach

odzywa się Moc i są gotowi do strzału, nim Obi Wan zdąży odchrząknąć.

Strzeliłem jako pierwszy. *Doonk!* Cel znajdował się jakieś 150 metrów przed nami, ale ja haniebnie przestrzeliłem. Mój M203 nie ma celownika, dlatego mierząc, polegałem jedynie na Mocy. Wybuch był kławy jak cholera. Żaden z pozostałych strzelców nie sprawił się lepiej, ale mieliśmy niezłą frajdę i ćwiczenie w celowaniu z granatników. (Pamiętać: pomarudzić zaopatrzeniowcowi o pieprzonym celowniku do M203).

Moglibyście pomyśleć, że jest to opowieść o bandzie żołdaków walących z granatów odłamkowych do bezbronnych cywilów bez najmniejszego powodu. Tak nie jest. Obłożyliśmy ogniem uważnie wybrany teren, wolny od słodkich szczeniactwów, trzyletnich dziewczynek i małych, puszystych foczek. Już pisałem o zabijaniu cywilów i nie zamierzam robić tego ponownie.

Wróciliśmy do pojazdów i ruszyliśmy dalej. Nasz kolejny przystanek znajdował się dość daleko, ale spodziewaliśmy się spokojnej, nudnej podróży przez nie-zamieszkałe tereny. Nie ujechaliśmy daleko, kiedy zobaczyliśmy kulejącego Irakijczyka, który desperacko machając rękoma, kuśtykał w stronę drogi. Byliśmy praktycznie pośrodku pustkowia. Wyglądało tak, jakby facet wyczołgał się z jakiejś nory. Ewidentnie był ranny i bez dwóch zdań mieliśmy świadomość, że w okolicy są inni jemu podobni. Jechałem w ostatnim samochodzie, który zamykał konwój czterech pojazdów. Ruszyliśmy za facetem, który pokuśtykał w stronę, z której nadjechaliśmy. Okolica była

bardzo pofałdowana i praktycznie nie można było odnaleźć porządnej drogi. Mieliśmy przed sobą nie lada wyzwanie. Wokoło nas roilo się od miejsc, w których wróg mógłby *urządzić* zasadzkę. Pełni obaw zjechaliśmy w dolinkę, którą wskazywał ranny. Tak naprawdę znaleźliśmy się w miejscu stanowiącym obraz podręcznikowej zasadzki. Wszyscy oprócz kierowców i strzelców wysiedliśmy z samochodów i zaczęliśmy schodzić na dół. Naturalne dla nas było to, aby jak

najszybciej dotrzeć do rannych. Niektórzy zaczęli wręcz zbiegać po zboczach. Przeszedłem obok czegoś, co wyglądało jak nasiąknięty krwią worek. Miałem wrażenie, jakbym patrzył na bieliznę jakiegoś chłopaka. Choć nie widziałem dokładnie, to serce podeszło mi do gardła. Z jednej strony martwiłem się o życie rannego, z drugiej o naszą sytuację.

Kiedy coś przyciąga ludzką uwagę, zakładam, że jest to celowe działanie, mające odciągnąć ją od czegoś ważnego. Zwykle nie patrzę wtedy w tę stronę, a szukam źródła prawdziwego zagrożenia. Jako żołnierz Gwardii Narodowej służyłem na lotnisku imienia Johna F. Kennedy'ego. Byłem jednym z tych palantów, którzy sterczą na hali z M16 w dłoniach po osiem godzin dziennie. Przez osiem miesięcy obserwowałem wszystko, co się działo na stanowisku ochrony Terminalu Czwartego. Przez jego bramki przechodzili głównie Arabowie, więc po 11 września wszyscy ich pilnie obserwowali, a tym samym robili naszą robotę. Co najśmieszniejsze, Arabowie byli zwykle spokojni i kulturalni. Największym wrzodem na dupie byli Żydzi latający El Al. Mógłbym napisać książkę zatytuło-

waną *Chasydzi: Najbardziej wkurwiający ludzie, jacy chodzili po ziemi*. Chcecie wiedzieć, jak przejść przez bramkę ochrony? Weźcie walizkę i zapakujcie do niej zestaw noży kuchennych na prezent dla mamy i każcie ją przewieźć cycatej dziewczynie z dużym dekoltem. Wystarczy, że będzie w niej trochę z kokietki, a skupią się na niej oczy żołnierzy, ochrony i pasażerów. Z taką przykrywką możecie przeschmuglować granat jako telefon komórkowy.

Wspiąłem się na szczyt zbocza, szukając potencjalnych napastników. Życie bywa bardzo przewidywalne. Nie mylicie się, dotarliśmy do tej części opowiadania, gdzie wyjawiam coś, czego spodziewaliście się od dawna. Macie rację. Tam, gdzie zbocze zmieniało się w szerszy płaskowyż, leżało na ziemi dwóch Irakijczyków. Szybko podbiegliśmy do nich i ich otoczyliśmy. Przekonaliśmy się, że obydwaj są ranni w uda.

Pierwszy z mężczyzn, liczący sobie niewiele ponad dwadzieścia lat, zmarł, nim zdążyliśmy go opatrzyć. „Sierzanie, ten nie żyje” - powiedziałem.

W okolicach jego miednicy znajdowała się duża kałuża jasnej krwi. Tak jak nas uczono, kilku chłopaków zabezpieczyło perymetr, a reszta zaczęła opatrywać rannego. Przez cały czas dręczyło mnie jedno pytanie: Gdzie była broń, z której raniono tych dwóch, i kto to zrobił?

Whiskey i ja staliśmy nad drugim mężczyzną, brzuchatym starszym facetem dobiegającym pięćdziesiątki. Ktoś przyniósł z humvee apteczkę i zaczęliśmy go opatrywać. Po rozcięciu nogawki okazało się, że w jego lewym udzie widoczna była rana wlotowa

po kuli, średnicy mojego kciuka. Rana była ciemnoczerwona, ale na szczęście nie krwawiła obficie. Rozerwaliśmy spodnie do końca i odnaleźliśmy ranę wylotową. Ziała po wewnętrznej stronie uda, w pobliżu krocza, i była dwukrotnie większa od wlotowej. Jej krawędzie okazały się poszarpane i nabiegłe ciemną krwią. Przygotowałem opatrunek i szykowałem się do jego założenia. Rana była żywa i mokra, wyglądała jak obsceniczna, krwawa wagina. Kiedy uniosłem nogę mężczyzny, otworzyła się, skojarzyła mi się z sashimi²⁵. Bałem się, że szkodzimy temu biedakowi, dlatego szybko założyłem opatrunek. Whiskey zrobił to samo z drugą raną.

Szczęście w nieszczęściu, facet nie krwawił zbyt mocno. Musieliśmy go jednak jakoś ocucić. Oparłem dłoń na jego piersi i spojrzałem mu w oczy, mówiąc, że „wszystko będzie w porządku”. Poczuliśmy się jak skończony idiota, kiedy zdałem sobie sprawę, że mówię po angielsku. Pomimo to chyba mnie zrozumiał. No bo po co facet miałby kłaść rękę na sercu innego mężczyzny? Kiedy skończyliśmy go opatrywać, chłopcy przeprowadzili IV²⁶. Nie jest to coś, co potrafię robić (to błąd, który powinienem naprawić), dlatego pozwoliłem im przystąpić do dzieła.

Wróciłem do chłopaka, który nie żył. Leżał tam, nie interesując nikogo. Może można go było reanimować? Może wcale nie umarł? Chciałem coś dla niego zrobić, ale nie potrafiłem podjąć decyzji. Powinienem unieść do góry jego głowę czy stopy? W końcu

uznałem, że nieważne, co zrobię, będzie się tylko wykrwawiał. Zastanawiałem się nad pierwszą pomocą bez opatrywania rany, ale nie miałem ochoty całować martwego faceta w usta ani tym bardziej łamać jego klatki piersiowej w próbie masażu serca. Przecież i tak był martwy, jego gacie były całe we krwi, podobnie jak ziemia obok niego.

Oczy miał półotwarte. Jako dziecko amerykańskiej • popkultury wiedziałem, że powinienem je domknąć. Jest to coś, co każdy chce zrobić choć raz w swoim życiu, ale tego nie uczyni, podobnie jak nie zostawi pod latarnią kilku groszy dla wystającej tam dziwki. Przeciągnąłem dłonią po jego twarzy, ale powieki się nie zamknęły albo wróciły do półotwartej pozycji. Spróbowałem jeszcze raz, mocniej. I tym razem się nie udało. Poczułem się jak kretyn. Szczerze mówiąc, nie dbałem o to, czy będzie mu lepiej, jeśli będzie wyglądał na śpiącego, a nie martwego, ale chciałem nadać jego śmierci choć trochę godności. W końcu ułożyłem go na wznak i przyniosłem z hunwee koc, którym okryłem jego ciało. Czy to nie dziwne, że pierwsza osoba, którą nakrywam kocem, to martwy facet?

Chłopcy przeprowadzający IV starszego mężczyzny mieli problemy. Nie mogli znaleźć żyły, a sądząc z krwi, która pokrywała jego przedramię, próbowali wkłuć się już kilka razy. Gdyby sytuacja nie była tak poważna, pewnie bym sobie zaczął z nich żartować. Byłem jednak pewien, że ją kontrolują, dlatego podszedłem do mężczyzny, który nas tutaj sprowadził.

Został postrzelony w łydkę, ale ranę już mu opatrzone i teraz siedział, popijając wodę. W słońcu musiało

być co najmniej 42 stopnie Celsjusza. Spytałem go, jak się czuje. Głupek ze mnie, znowu zacząłem gadać po angielsku do Araba, ale po raz kolejny miałem wrażenie, że znalazłem się w sytuacji, kiedy ludzie mogą porozumieć się bez słów. Po swojemu odparł, że nic mu nie jest, i poprosił, abyśmy pomogli jego przyjacielowi. Zapewniłem go, że wszystko jest w porządku. Nie wiedziałem, co mam mu powiedzieć. Jego oczy pełne były łez; ocierał je tą samą dłonią, w której trzymał butelkę z wodą.

Wezwaliśmy MEDEYAC, ale nie przydzielono go nam. Nie słyszałem porucznika, ale pewnie w dowództwie uznali, że na miejscowych rannych nie ma co marnować cennego paliwa. Z punktu widzenia praw człowieka należy nam się nagana. Ewakuacja helikopterem medycznym cymbała, który sam postrzelił się w stopę, jest możliwa, ale dla ciężko rannego Irakijczyka szkoda marnować czasu i środków. Patrząc na sprawę przez pryzmat taktyki, nie mam się czemu dziwić: nie możemy marnotrawić naszych środków na każdego Irakijczyka, któremu coś się stanie. Zużylibyśmy wtedy wszystkie nasze blackhawki.

Ułożyliśmy starszego na noszach i zanieśliśmy na pakę hunwee. Drugi ranny wkrótce do niego dołączył, cały czas prosząc mnie (wnioskując z jego gestykulacji), abym pomógł jego przyjacielowi. Jeszcze raz zapewniłem go, że wszystko gra, i pokazałem na inny samochód. Chciałem w ten sposób wyjaśnić, że trzeci z *mężczyzn* pojedzie innym samochodem. Nie mogliśmy dopuścić, aby widział, jak będziemy przenosić zwłoki. Hunwee ruszył w górę zbocza.

Nikt się nie kwapił, aby zająć się trupem. Nie i mogę chłopaków winić za brak entuzjazmu do tej nie-i, wdzięcznej roboty. Oto co się dzieje, jeśli w plutonie służą sami żołnierze lub gliniarze z wielkiego miasta. Wszyscy uważali, że kontakt z krwią martwego to naj-: szybszy sposób na złapanie jakiegoś nieuleczalnego • choróbka. Może to i prawda w Nowym Jorku, ale ; w Iraku

procent zarażonych AIDS równa się zeru. Powiedziałem więc:

- No dobra, chłopaki. Wrzucmy zwłoki na bagażnik.

Nikt nie kwapił się z pomocą, więc przetoczyłem trupa tak, że koc znajdował się pod nim, a nie na nim. Dziwnie się poczułem, dotykając ciała, które zachowywało się jak żywe i przypominało takie w dotyku, ale nie było już osobą, a jedynie trupem. Choć od śmierci minęło kilka minut, to stało się rzeczą, kupą mięsa, które miałem wrzucić na pakę samochodu jak upolowanego jelenia. Próbowałem myśleć o mężczyźnie jako o zwłokach, ale nie potrafiłem. Gdzieś w głębi ducha wiedziałem, że należy mu się choć odrobina szacunku. Z tego powodu uznałem, że nie można zwracać uwagi na to, co może się stać nieprzyjemnego w wyniku fizjologii martwego ciała. W końcu jeszcze trzech chłopaków chwyciło za rogi koca, aby mi pomóc. W dość obcesowy sposób wyjaśniłem, jak chcę przenieść trupa na maskę, ale żaden z nich nie wykazywał ochoty do kontaktu ze zwłokami. Trzymać koc w rękę to jedno, ale otrzeć się o zakrwawione zwłoki to coś innego. Donieśliśmy go na miejsce, ale prawie nam upadł. Wrzasnąłem na chłopaków, aby przestali się certolić i wrzucili

ciało na maskę. Ważniejsze niż jego wygoda było, aby leżał w jednym miejscu, dlatego ułożyłem zwłoki tak, aby zapierały się o szybę. Cały proces nie wyglądał ani ładnie, ani dostojnie, ale przynajmniej udało mi się dopiąć celu. Przez całą drogę siedzieliśmy z Justi-nem, naszym radiooperatorem, obok zwłok, pilnując, by nie spadły.

Spoglądając na twarz zabitego, zauważyłem dwie głębokie rany nad brwią. Nie było w nich śladu krwi, a ja się zastanawiałem, skąd się wzięły i czy miały jakiś wpływ na jego śmierć? Potem uprzytomniłem sobie, że skoro nie nabiegły krwią, to musiały powstać po zgonie, zapewne w trakcie przenosin ciała. Źle się poczułem jako sprawca obrażeń, które pozostawiłyby po sobie ślad na całe życie tego faceta. Skoro jednak był martwy, to nie miało to chyba żadnego znaczenia. W najgorszym wypadku jego mama będzie miała przykrą niespodziankę, jak zajrzy do trumny. Ciężko mi wyrazić mój głęboki żal, nie wychodząc przy tym na kompletnego dupka.

W końcu CASEYAC przyleciał na miejsce, aby w polowym ambulatorium opatrzyć rannych. Czekaliśmy na niego dłużej, niż wypada, ale nie będę się nad tym rozpisywał. Kiedy nikt nie patrzył w naszą stronę, włożyliśmy zwłoki do czarnego worka. Potem wrzuciliśmy je na pakę samochodu ICDC, białej toyoty z karabinem maszynowym zamontowanym nad kabiną kierowcy. Był to kiepski karawan, prowizoryczny i pozbawiony wszelkiej godności, ale cóż... przynajmniej zwłoki nie leżały ot tak sobie, tylko zapakowane były w worek. To już było coś, bowiem pakując się do

drogi, człowiek raczej nie myśli o zabraniu worka na trupy. Z drugiej strony noszenie zwłok na kocu, który w każdej chwili może się rozerwać, podczas gdy zesztyniałe członki trupa dyndają na boki, nie jest niczym fajnym.

Rannych przewieźliśmy do naszej bazy, gdzie zo-I stali otoczeni opieką lekarską. Trupa podrzuciliśmy na komisariat ICDC. Otworzyliśmy worek, szukając dokumentów, i okazało się, że jego wnętrze nasiąkło krwią. Biała koszula mężczyzny była teraz czerwona. Whi-skey przeszukał zwłoki. Kocham tego faceta, nigdy nie ma oporów przed wykonaniem nawet najbardziej odrażającego zadania. Nie znaleźliśmy żadnego dowodu tożsamości, dlatego zrobiliśmy martwemu kilka zdjęć, mając nadzieję, że zidentyfikujemy go później. Dwie rany będące wynikiem wrzucania

ciała na samochód nabiegły krwią i były ciemnoczerwone. Cholera.

Kiedy tylko emocje opadły i mieliśmy szansę zastanowić się nad tym, co się wydarzyło, zaczęliśmy zadawać sobie pytania: „Czemu ci ludzie zostali postrzeleni?”. Potem przyszły kolejne: kto mógł się tego dopuścić? Czy ci biedacy odmówili współpracy z chłopakami Al Sadra? A może to były jakieś porachunki pomiędzy rodzinami, . klanami, coś, w co nie powinniśmy się wtrącać? Potem zaczęły się rodzić bardziej fantastyczne pomysły: może ci ludzie byli pedofilami i zostali tak urządzeni przez ojca i braci napastowanych dzieci? Przecież znaleźliśmy pokrwawioną dziecięcą bieliznę. Mógłby to być symbol przestępstwa, za które zostali ukarani. Prawda, jak się później okazało, była bardzo zwyczajna, mało oryginalna i bliska pierwszemu podejrzeniu.

Kiedy wróciliśmy do naszych bunkrów, moje dłonie i całe ręce śmierdziały krwią zabitego. Wziąłem porządny prysznic. Czuję się tak, jakbym zmywał z siebie poczucie winy razem ze smrodem potu i krwi.

Tego popołudnia, kiedy wróciliśmy z nieudanej misji chwytania miejscowego polityka, otrzymaliśmy kilka informacji na temat tajemniczych ofiar. Byli trójką miejscowych robotników, którzy malowali główną bazę położoną niedaleko od nas. Kiedy wychodzili z pracy, podjechał do nich samochód, zostali wciągnięci do środka i wywiezieni na pustynię, do jaru, w którym ich znaleźliśmy. Porywaczami byli ludzie, którym nie podobało się, że Irakijczycy pracują dla koalicjantów. Na miejsce egzekucji wybrano wąwóz położony opodal głównej drogi, ale niewidoczny od strony szosy. Była to idealna lokalizacja: z jednej strony daleko po pomoc, z drugiej - samochodem łatwo było stamtąd uciec. Porywacze wywieźli schwytanych na pustynię, kazali im na piechotę zejść do jaru, a potem każdego z nich postrzelili i zostawili, aby wykrwawił się na śmierć. Mogli ich zabić na miejscu, ale woleli się zabawić. Każdy z nieszczęśników został postrzelony w nogę, aby się przed śmiercią pomęczył i mógł walczyć o życie. Jeżeli jakimś cudem ranny by przeżył, będzie miał o czym myśleć i zastanowi się, nim znowu zacznie pracować dla Amerykanów.

Myśląc o tym wydarzeniu, zdałem sobie sprawę, że tak bardzo skoncentrowałem się na zabitym, na człowieku, którego nie mogłem uratować i któremu nie

s ocaliłem życia, że zupełnie zapomniałem o tym, któremu pomogłem. A może lepiej byłoby powiedzieć, nie pomyślałem o człowieku, którego życie pomogłem ocalić, ponieważ zrobiliśmy to jednak razem. Jeszcze i nigdy nie uratowałem nikomu życia.

27 czerwca 2004

Jak wysadzać w powietrze samochody, psy i meczety

Kilka dni temu ja oraz około piętnastu chłopaków . z mojego plutonu przeprowadzaliśmy zwiad NAI. Wraz z nami udział w misji wzięli ludzie z EOD (goście od wysadzania różnych rzeczy w powietrze). Opodal NAI znajdował się skład pocisków do mózdzierzy lub czegoś podobnego, który EOD chcieli zniszczyć. Podjechaliśmy więc do pierwszej lokacji, wysiedliśmy z samochodów, przeprowadziliśmy szybki rekonesans, wróciliśmy, załadowaliśmy się do hunwee i pojechaliśmy dalej. Następnie udaliśmy się w miejsce, gdzie podejrzewano, że znajduje się skład pocisków. Nic nie znaleźliśmy, więc ruszyliśmy w stronę drugiego NAI.

Każdy NAI to spory kawałek terenu, dlatego ilekroć musimy jakiś sprawdzić, próbujemy

dokładnie przeszukać każdą jego część. Tym razem natknęliśmy się na porzucony ciągnik. W Iraku porzucony pojazd nie oznacza nic dobrego. Ilekroć taki znajdujemy, staramy się go zniszczyć, jeśli tylko mamy odpowiednie środki. Jako że nie znaleźliśmy składu amunicji, chłopcy z EOD nie posiadali się z radości, że będą mogli wysadzić traktor w powietrze.

Zacząło się od tego, że Johnny-O, jeden ze strzelców kaemów 0.50, puścił kilka serii w stronę ciągnika. Tutaj informacja dla wszystkich pacyfistów: karabiny maszynowe zamontowane na pojazdach wyposażone są w specjalne urządzenie zwane T&E, które kontroluje położenie pionowe i poziome broni. Dzięki niemu targana odrzutem lufa nie podskakuje do góry, a karabinem można obracać swobodnie na prawo i lewo. Kiedy Johnny-O nacisnął spust, nie miał włączonego T&E. Efekt był taki, że po krótkiej serii lufa wyrwała w górę. Z jednej strony dobrze, że tak się stało, Johnny-O dostał przynajmniej nauczkę, z której później mógł wyciągnąć wnioski. Na szczęście seria była dosyć krótka. Staramy się nie strzelać na prawo i lewo, bo w okolicy mieszkają ludzie, a trafienie z karabinu maszynowego, nawet przypadkowo zabłąkaną kulą, nie jest niczym przyjemnym. Strzelanie z „luźnego” karabinu jest fajne, kiedy z bliskiej odległości pruje się do kogoś uciekającego autostradą, jednym słowem: wtedy, kiedy potrzebna jest swoboda ruchów. Natomiast jeżeli trzeba w coś wpakować długą serię, należy używać cholernego T&E.

Po ostrzelaniu ciągnika zabrali się za niego EOD. Mieli przy sobie trochę rosyjskich materiałów wybuchowych, których musieli się pozbyć, więc naładowali nimi kabinę pojazdu i włączyli zapalnik. Odjechaliśmy kilkaset metrów i cierpliwie czekaliśmy. „Trzydzieści sekund!” - krzyknął któryś z EOD.

Czekaliśmy sobie tak spokojnie, mając nadzieję na darmowy pokaz fajerwerków, aż tu nagle... Hej, czy

to pies? O cholera. Skąd on się tutaj wziął? Spieprzaj stamtąd, głupi sukinsynu!

Pies najspokojniej w świecie podszedł do ciągnika, który właśnie miał eksplodować.

Dopóki nie przyjechałem do Iraku, dopóty nie zobaczyłem tylu rozpieprzonych psów. Ten, jak się okazało, przeżywał najszcześniejszy dzień w swoim życiu. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek zareagował na gwizdanie. Będzie mu się źle kojarzyło. Ledwo ktoś go w ten sposób zawołał, a ciągnik eksplodował z ogromnym hukiem. Pies podkulił ogon i zwiął gdzie pieprz rośnie. Pomijając to, że niewinne zwierzę omal nie zginęło, cała sytuacja była cholernie zabawna.

Wracając do bazy, przejechaliśmy przez niewielką osadę. Cała droga i okolica zasłane były resztkami cegieł, gruzem. Co jest grane, do cholery - pomyślałem. Wyrzałem na zewnątrz hunwee (siedziałem na tylnym siedzeniu, więc mój sektor ostrzału ograniczało okno) i zdałem sobie sprawę, że czegoś mi w okolicy brakuje. Kurczę blade! Meczet zniknął!

Mała wioska do niedawna szczyciła się własną świątynią. Teraz meczet diabli wzięli. Wysiedliśmy z samochodu i zaczęliśmy badać tę sprawę. Całe szczęście, że mieliśmy ze sobą chłopaków z EOD, bowiem wążając się pośród ruin, stwierdzili, że eksplozja, która zawałiła budynek, nastąpiła w jego wnętrzu. Miejscowi, którzy wkrótce się pojawili, powiedzieli nam, że widzieli obcych podkładających ładunki wybuchowe. Musieli ich przygotować masę, bowiem cały meczet został zrównany z ziemią. Dobrze wiecie, że nie jestem

przesadnie religijny, ale cała ta scena zasmuciła mnie. Meczet należał do szyitów. Co dziwniejsze,

okolica, w której się wznosił, nie jest uważana za bezpieczną dla sił koalicyjnych, więc odpadało podejrzenie, że wysadzono go, ponieważ miejscowi współpracowali z Amerykanami. Jako że wieś i świątynia znajdowały się w obrębie jurysdykcji innego oddziału, zawiadomiliśmy jego dowództwo o zdarzeniu i ruszyliśmy w drogę powrotną do domu. Co mogę więcej powiedzieć? Irakijczycy z równą zaciekłością uprzykrzają życie nam, co i sobie nawzajem.

9 lipca 2004

Niech żyje ten skurczybyk Willy! Część pierwsza

Ja i moja dziewczyna, Heather, zostaliśmy wyrzuceni ze szkoły średniej na tydzień przed końcem roku szkolnego. Wszystko dlatego, że pierwsza poprawka do konstytucji²⁷ nie rozciąga się na uczniów w stanie Utah. Nasi rodzice byli załamani i nie odzywali się do nas, a lokalna społeczność traktowała nas jak zadzumionych. To mnie jednak niewiele obchodziło. Heather już wcześniej dostała się na Utah State University w Logan. Tam mało kogo interesowało, że brakuje jej papierka ukończenia szkoły średniej. Zwłaszcza że miała z wyróżnieniem ukończyć wydziały socjologii i psychologii. Ja z kolei stanąłem przed bardzo poważnym problemem. Nie mogłem wstąpić do piechoty, nie ukończywszy

szkoły. Nie dość, że wyrzucono mnie ze szkoły, to jesz-, cze, co uważałem za niemożliwe, dostałem wilczy bilet | obowiązujący w całym dystrykcie. Próbowałem zdobyć |; dyplom w alternatywnej szkole, gdzie lądują krymi-I naliści, socjopaci, narkomani i ciężarne uczennice, ale f nie chcieli mnie przyjąć. Złożyłem odwołanie do kie-I równika kuratorium okręgu Murray. Był on pierwszym l urzędnikiem państwowym, jakiego spotkałem. Charak-I teryzował się umiejętnością gadania, z którego nic nie wynikało. Mógł lać wodę godzinami, nie powiedziawszy niczego wartościowego. Do wyrzygania powtarzał: l „Musimy coś zrobić. Tak, na pewno trzeba podjąć jakieś działania. Należy się poważnie zastanowić, przeanalizować sytuację, a potem wyznaczyć cele i je osiągnąć. Musimy coś zrobić”.

W mojej sprawie zwołano specjalną radę pedagogiczną, która miała zdecydować o moim losie. Tam postanowiono nie tylko wyrzucić mnie ze szkoły, ale | i „uniemożliwić mi dalszą edukację na terenie stanu Utah”, jak to powiedział pan kierownik. Opowiedział mi to i wszystko inne, kiedy zadzwoniłem do niego z pracy. Aby opłacić naukę, zatrudniłem się w firmie telemarketingowej (parszywe zajęcie). Dzięki niemu wyrobiłem sobie gadanie i pokochałem nowojorczyków. Po całym dniu rozmawiania przez telefon i wciskania ludziom kitu usłyszałem ostateczny werdykt:

- Po rozważeniu sprawy, bla bla bla, rada pedagogiczna i ja, bla bla bla, z żalem informujemy cię, że bla bla bla...

Z pełnym profesjonalizmem, na jaki było mnie stać, powiedziałem mu, żeby poszedł się jebać:

- Proszę pana, Heather i ja chcielibyśmy powiedzieć, że może się pan pieprzyć z całą swoją radą pedagogiczną.

Abyście w pełni zrozumieli sytuację, muszę dokładnie opisać, co się stało. Uważam jednak, że spowiedzi w stylu Davida Copperfielda są do bani i nie ma niczego nudniejszego od autobiografii. To zupełnie jak zdjęcia rodzinne, które urzędasy stawiają obok komputera albo żołnierze rozklejają w szafkach lub obok pryczy. Nie znasz ludzi na fotografiach ani wiążących się z nimi historii. Są dla ciebie zupełnie obcy. To całkowita abstrakcja, a jeśli jesteście podobni do mnie, to macie ich po prostu gdzieś. Na półce obok mojej pryczy stoją dwa zdjęcia: na pierwszym jestem ja w łóżku z dwiema

dziewczynami, Wazina i Rachel, w moim domu w New Paltz. Dziewczyny karmią się łyżeczką i patrzą na mnie, a ja na nie. Właśnie skończyliśmy część pierwszą *Monologów waginy*, jakie wystawialiśmy w tamten weekend. Ja wygłosiłem jedyny dozwolony męski monolog, własną twórczość na temat: „Jak świat wyglądałby bez przemocy”. Zacząłem go od żartu o Michaelu Boltonie, który nie musi się martwić, że ktoś mu da w barze w mordę, ale nikt się jakoś nie śmiał. Drugie zdjęcie przedstawia Erin i Kristin, moje sublokatorki z New Paltz. Ukradłem to zdjęcie z ich albumu, kiedy dowiedziałem się, że jadę do Iraku, i zdałem sobie sprawę, że nie mam ich żadnej fotografii. Te fotografie, a raczej wiążące się z nimi wspomnienia, są dla mnie naprawdę cenne. Dla was nie mają żadnej wartości (chyba że jesteście Wazina, Rachel, Erin albo Kristin).

To coś jak wyjaśnianie snu, w którym kluczową rolę I odgrywały emocje: silne i intensywne. Biada temu, kto będzie musiał słuchać o dziewczynie, w której się zakochałeś, lecąc statkiem kosmicznym pilotowanym przez psiogłowe jaszczurki. Im człowiek się bardziej stara to wyjaśnić, tym gorzej mu idzie.

Oto skrócona historia mojego życia, opowiedziana bez względu na ryzyko wdawania się w szczegóły rządzących nim uczuć i kryjących się za nimi historii. Urodziłem się w Provo w stanie Utah, jako syn Georgea i Lindy. Moja mama opisywała ojca jako „wcielenie greckiego boga”. Małżeństwo przetrwało ledwie kilka miesięcy i moja mama przeprowadziła się ze mną do San Leonardo w Kalifornii, gdzie mieszkali dziadkowie. Dziadek, emerytowany oficer marynarki wojennej, stał się dla mnie wzorem ojca. Kiedy miałem cztery lata, w pełni wykształciła się moja skłonność do skomplikowanych wyrazów i fekalicznych porównań. Wtedy to o rękę mojej mamy zaczął starać się Jim, mężczyzna stateczny i dość konserwatywny w przekonaniach. Nie zważał na to, że miała syna z poprzedniego związku, który zwykł biegać nago po ogródku z żółtą wstążką wtkniętą w pupę, krzycząc na cały głos:

- BIEGUNKA!!! BIEGUNKA!!! BIEGUNKA!!!

Jim i Linda pobrali się i przenieśli do niewielkiego domku ze zmechaconymi dywanami, który stał opodal krowiego pastwiska w małym miasteczku Spanish Fork w stanie Utah. Do Jima kazano mi mówić „tato”. Dla pięciolatka taka miejscina zacofanych robotników, którzy należeli do społeczności nawiedzonych na punkcie seksualnej represji mania-

ków, oznaczała molestowanie przez jedenastolatków („Zabawmy się tak, że ty będziesz związany...”). Pewnego niedzielnego poranka, po sobocie spędzonej na zabawie z ogrodowym spryskiwaczem i pierwszym udarze słonecznym, zostałem złany przez mojego ojca za oglądanie *Mister Rogers' Neighborhood*^{2*}. No wiecie, jak tu święcić dzień święty, jeśli ogląda się telewizję? W ciągu następnych lat manto spotykało mnie częściej, niż jestem w stanie zliczyć. Co dziwniejsze, zawsze powtarzano mi, że nie powinienem się bić, ale „nadstawiać drugi policzek”. To idiotyczna filozofia, która ciążyła mi przez całe dzieciństwo i której pozbyłem się wraz z wkroczeniem w wiek dorosły. Zacząłem mieć conocne koszmary o smoku i wąsatym mężczyźnie, kryjących się w piwnicach domu, którzy zmuszają mnie do wybierania coraz to nowych rodzajów śmierci.

- Jak to będzie, mały? Wolisz zostać pokrojony pazurkami na plasterki czy zdeptany?

Tato nauczył mnie takiej rymowanki: „Hokus-po-kus, trzymaj-łapaj, stary smoku, już nie wracaj!”, ale nigdy nie zadziałało. W końcu nauczyłem się, że na pieprzenie wąsatego faceta rodem z *Wyboru Zofii* nie należy reagować, i powiedziałem mu, że może się wraz ze smokiem pierdolić. Koszmar znikł jak ręką odjął.

W końcu do moich rodziców dotarło, że Spanish Fork to miejsce do bani, i przenieśli się do domku turystycznego w Murray w stanie Utah, piętnaście minut drogi od centrum Salt Lake City.

Tutaj wreszcie zna-

lazłem przyjaciół i wiodłem szczęśliwe życie pomimo nadopiekuńczości rodziców. Kiedy miałem dwanaście lat i wyrobiłem w sobie umiejętność krytykanctwa, stosunki z ojcem zaczęły się pogarszać. Nauczyłem się grać na pianinie, wstąpiłem do skautów. Mając czternaście lat, byłem problematycznym i buntowniczym nastolatkiem. Odkryłem miłość do pisania, ale moi rodzice nie potrafili jej zaakceptować. W dziewiątej, dziesiątej i jedenastej klasie miałem wspaniałych nauczycieli angielskiego, którzy oprócz mojej mamy mieli na mnie największy wpływ ze wszystkich ludzi. Mając piętnaście lat, spotkałem studentkę o idealnej cerze i germańskiej urodzie, imieniem Lori. Nauczyła mnie, jak się jeździ na deskorolce i jak pisać kiepską, prowadzącą do samozniszczenia poezję. Przypomnijcie sobie Winonę Ryder w *Edwardzie Nożycorękim* i scenę palenia goździkowych papierosów. Z Lori poszedłem na pierwszy w życiu koncert rockowy: Oingo Boingo grali w Salt Lake City podczas trasy koncertowej Boingo Alive. Oczywiście była to eskapada, której zabronili mi rodzice (dziewczyny są złe, rock'n'roll też, a połączenie jednego i drugiego to pewna droga do całkowitego zatracenia). Noc po koncercie przespałem u kolegi.

Po latach borykania się z „trudnym dzieckiem” rodzice zdecydowali, że mają mnie dosyć. Następnego dnia mama, odświętnie ubrana, odebrała mnie ze szkoły, jakbyśmy szli do kościoła. Tata czekał na nas w Benchmark, placówce opieki zdrowia psychicznego na północ od Salt Lake City. Dla ludzi, z którymi się zadawałem, trafienie do takiego miejsca było powodem do dumy („Wsadzili mnie do wariatkowa. Mówili, że to

jedynе wyjście. Chcieli się mną zająć na serio, / Ochronić przed najgorszym wrogiem, sobą”). *Modsi*, jak nazywano w Utah gotów²⁹, nim ukuto taki termin, zwykle trafiali do Western Institute of Neuropsychiatry, w skrócie WIN, podczas gdy rockmani lądowali w Bench-mark. Byłem rozdarty, mój dylemat okazał się jednak najzupełniej nieistotny, bowiem firma ubezpieczeniowa nie zamierzała płacić za leczenie normalnego, niezazy-wającego narkotyków dzieciaka, który nie potrafił znaleźć wspólnego języka z ojcem.

Zacząłem chodzić na wizyty u terapeuty, który stwierdził u mnie „nietypowe zaburzenia o podłożu lękowym”, co w psychologicznym żargonie oznaczało kogoś, kto wkurza ojca. Terapeuta był mormonem. Wszystkie moje problemy brały się właśnie z religii. Wyprowadziłem się do ciotki Cheryl i wuja Laurena, mieszkających w normalnej okolicy niedaleko zatoki San Francisco. Wuj, ciotka oraz kuzyni są wielką mor-mońską rodziną, tyle że ekscentryczną, dziką i zabawną jak cholera, zupełnie jakby żywcem wyjętą z powieści Johna Irvinga. W liceum San Antonio Ramon Yalley uczniowie byli traktowani jak dorośli. Prowadzono tam również doskonałą gazetkę szkolną, w której przeczytałem artykuł o śmierci Jima Hensona zatytułowany *Nielatwo być zielonym*. Zapamiętałem go na lata. Młodzież w tej szkole przygotowywano do wejścia w dorosłe życie, co dawało mi siłę. Niestety, oblałem dwie połówki semestralne z angielskiego. Nauczycielom nie podobały się moje eseje. Zamiast tradycyjnych pisałem krótkie

opowiadania, niespełniające jednak wymogów formalnych. Nauczycielka była niska, kłótliva, miała przyszcze, rzędnące, szczecinowate włosy i zielony język, którym drapała się po szczęce. Tolerowaliśmy się nawzajem, a ja z czasem nawet ją polubiłem.

Wróciłem do Utah. Szkoły w tym stanie są bardzo dobre, ale uczniów nie traktuje się jak dorosłych. Najgorsze oceny miałem z przygotowania obywatelskiego, na które zwyczajnie nie chodziłem. Za każdą negatywną ocenę musiałem odpracować x godzin na rzecz lokalnej społeczności. W moim przypadku były ich setki. Wyprowadziłem się z domu rodziców i zamieszkałem z kumplem. Co było najlepsze w

życiu na własną rękę w czasach ogólniaka? To, że załapaliśmy się na darmowe kupony obiadowe. Ogólnie rzecz ujmując, byliśmy potwornie biedni, dlatego należał nam się darmowy obiad!

Zrobiłem się niezłym uczniem. Moje oceny były wysokie, w trakcie ACT dostałem 29. Uzbierałem kilka kredytów z chemii i angielskiego³⁰, dostałem się do redakcji magazynu literackiego. Niestety, liczba godzin, które musiałem odpracować, przerosła mnie. Aby odpracować choć część z nich, zatrudniłem się jako stróż w szkole. Codziennie maszerowałem do remizy, gdzie myłem i pucowałem wóz strażacki. Choć sporo nadgodzin sobie podrobiłem, to i tak nie byłem w stanie wypracować ich odpowiedniej liczby.

A potem obejrzałem film *Więcej czadu* z Christia-nem Slaterem w roli głównej. Opowiada on o pirackiej rozgłośni radiowej i całkowicie mnie zafascynował. Rok

wcześniej uczeń jednej ze starszych klas wydrukował podziemną gazetkę. Zamieścił w niej kilka zabawnych artykułów oraz bezlitośnie skrytykował niski poziom szkolnej gazety. Popadł jednak w poważne kłopoty, kiedy napisał, że pan taki-to-a-taki, nauczyciel z naszej szkoły, powinien nosić krawat z napisem: „Jestem wrednym skurwielem, prawda?“. Dodając dwa do dwóch, wpadłem na genialny pomysł. Opublikuję własną gazetkę! Do końca roku szkolnego zostały mi dwa miesiące, więc musiałem się spieszyć.

Muszę wam się przyznać, że odrodziła się we mnie mormońska wiara (ach, ten rewizjonizm religijny!). Stało się to po moim powrocie z Kalifornii i wojskowym szkoleniu podstawowym, które odbyłem w młodszej klasie. Na początku roku zostałem mianowany przewodniczącym klasy seminaryjnej. W Utah można codziennie wziąć przerwę na prowadzenie seminarium. Na początku każdej lekcji sięgałem po jakąś wojskową analogię, aby dotrzeć do wiernych (Moham-med Jason Al Sadr). Jednak w połowie roku nawróciłem się na nową wiarę, która zwała się Heather. Heat-her, Heather, Heather.

Staliśmy się nierozłączni. Byliśmy złymi bliźniakami, współnikami w zbrodni, złośliwymi aniołami stróżami, parą smoków przemierzających nocne średniowieczne niebo w poszukiwaniu spokojnej wioski do spalenia. Choć ja mam kasztanowe włosy i brązowe oczy, a Heather była blondynką o niebieskich oczach (zawsze się rozplęwałem, kiedy w nie patrzyłem), to brano nas za rodzeństwo. Istniało pomiędzy nami pewne podobieństwo (wysokie czoła, pełen

uśmiech i łobuzerska otoczka). Faktycznie, łączyła nas szczególna więź, jakbyśmy znali się od setek lat i spędzili razem wiele żywotów. Heather była niesamowita. Sprawiała, że byłem pewien, iż mogę zrobić absolutnie wszystko, dopóki tylko będzie przy mnie. Jednak kiedy człowiek buduje wartość samego siebie dzięki drugiej osobie, wtedy niepewność własnego jestestwa bierze w końcu górę. Przekonałem się o tym na własnej skórze. Koniec końców mój związek z Heather diabli wzięli, staliśmy się zbyt zależni jedno od drugiego, a wszystko, co było między nami piękne, odeszło w zapomnienie.

Patrząc z perspektywy czasu, uważam, że charakter człowieka budowany jest na podstawie tego, co stracił, nie tego, co posiada. Jestem dumny, że jestem tym, kim teraz jestem, ale nie mogę znieść myśli o tym wszystkim, co straciłem, aby stać się sobą. Wróćmy jednak do czasów, kiedy wpadłem na pomysł pirackiej gazety, i tego, jak znalazłem czas na pisanie. Otóż wykorzystałem przysługującą mi godzinę dziennie, w trakcie której powinienem wygłaszać kazania mojej klasie.

Z początku miałem zamiar napisać poważne i dojrzałe teksty. Każdy obywatel kraju ma prawo krytykować to, co mu się nie podoba. Postanowiłem, że oprócz oceny spróbuję podsunąć też rozsądne rozwiązania omawianych przeze mnie problemów. Po pierwsze, wysunąłem racjonalne argumenty przeciwko znaczeniu oceny z zachowania. Oprócz tego podsunąłem kilka rozwiązań

innych problemów. Potem zacząłem ulepszać teksty. Uczniowie w naszej szkole byli traktowani jak dzieci, a do ich zdania nie przywiązywano

żadnej wagi. Stało się to dla mnie jasne, kiedy powołano komisję złożoną z jednych i drugich, która miała rozwiązać jakiś problem. Nie pamiętam już, o co chodziło, ale po całym zamieszaniu z obradami podjęto decyzję, która i tak by zapadła bez powołania szanownego grona doradczego. Była to jawna farsa, choć wszyscy zgodnie twierdzili, że decyzja zapadła tak, aby usatysfakcjonować administrację, pedagogów i uczniów. Teraz jestem starszy i wiem, że właśnie tak rządzi się światem. Ludziom wciska się kit: to jak nazywanie Chin „demokratyczną republiką”, malowanie zwłok w trumnie czy napadanie na odległy kraj, który stanowi „zagrożenie” dla międzynarodowego bezpieczeństwa, i instalowanie w nim „własnego” demokratycznego rządu. Ale wtedy miałem osiemnaście lat i w swej łatwowierności nie mogłem przełknąć takiego afrontu wobec demokracji i zdrowego rozsądku. Mój głos, głos ucznia, reprezentowany w radzie przez kilku delegatów, został jawnie zignorowany.

Jeżeli czegoś nienawidzę, to właśnie bycia pomijanym. Wyrzuciłem do kosza wszystkie artykuły i zacząłem od nowa. Tak się narodził „Murray High Muckracker”, staliśmy się literackimi terrorystami, którzy stosowali politykę spalonej ziemi („Ich flakami będziemy smarować przekładnie naszych czołgów!”). Ocenę z zachowania nazwałem faszystowską. Ułożyłem obrzydliwy horoskop i napisałem esej o tym, jak słowo „jebać” powinno być poprawnie używane w mowie. (Wiecie, że jest ono jedynym infiksem w języku angielskim? Przedrostków i przyrostków w angielskim jest mnóstwo, podobnie jak i w innych

językach, ale mało które słowo można napisać „me-gazajebićcie”.) Heather dała upust swojej złości, opisując zajęcia wychowania fizycznego jako bezużyteczne seksistowskie bzdury. Ponadto ułożyła świętokradczą mormońską krzyżówkę. Gwoździem do trumny były moje pełne jadu felietony na temat każdego z urzędników szkolnych. Oberwało się nawet tym, których lubiłem, a to w imię równości i sprawiedliwości. Gazetka była prawdziwym aktem terroru. Artykuły podpisywaliśmy pseudonimami, chcąc sprawić wrażenie, że stoi za nimi grupa wywrotowców, którzy chcą spalić szkołę do samej ziemi. Umieściliśmy też kilka zdjęć: moje pachy, wypięty tyłek, krocze, Heather w samej bieliźnie, stopy naszej koleżanki, Cindy.

Wszystko to działo się w największej tajemnicy. Uznałem, że jeśli chcemy coś zdziałać i nie zostać przyłapani, nie możemy puścić pary z gęby, nawet najbliższym przyjaciołom. Kiedy o jedenastej w nocy skończyliśmy pisać i mieliśmy zabrać się do robienia kopii, wciągnęliśmy do spółki Cindy. Nie mogliśmy pozwolić sobie na kserowanie gazetki w setkach egzemplarzy, nie mieliśmy dość pieniędzy, poza tym obawialiśmy się, że zostaniemy zdekonspirowani. Dlatego w nocy podkradliśmy klucze do biura ojca Cindy (który dziwnym trafem pracował w Biurze Weteranów i był doradcą dla ofiar szoku pola walki). Pomimo to ledwie udało nam się skserować gazetkę, bowiem każda kopiarka wymagała wprowadzenia osobistego kodu dostępu. Przeszukałem każde stanowisko pracy, mając nadzieję, że znajdę żółtą karteczkę z zapisanym na niej szyfrem. Pomysł ściągnąłem

z *Gier wojennych* z Matthew Broderickiem (jeszcze raz dziękuję za wszystko, amerykańska popkulturo!). Jeżeli dobrze pamiętam, to zrobiliśmy pięćset obustronnych kopii. Składanie ich i zszywanie było prawdziwym koszmarem. Kiedy wymknęliśmy się z biura, wstawało słońce. Po drodze mijaliśmy spieszących do pracy pracowników Biura Weteranów. Gdybyśmy wyszli dziesięć sekund później, wpadlibyśmy w niezłe szambo.

Byłem z siebie autentycznie dumny. Rozprowadzenie gazetki zaplanowałem w każdym szczególe: narysowałem mapę szkoły, zaznaczyłem, gdzie i ile znajduje się szafek. Podzieliłem je na kategorie: grupą docelową byli uczniowie starszych klas i na nich przypadła większość egzemplarzy (jeden na dwie szafki). Młodsze klasy otrzymały po jednym egzemplarzu na trzy szafki. Kolportaż był dziełem sztuki. Wiedziałem doskonale, jak wygląda grafik pracy woźnych (dziękuję organizatorom prac społecznych!). Każdej soboty było trzydziestominutowe okienko, kiedy szkoła była pusta, bez nadzoru. Zatrudniłem bandę koleśków, którzy balowali u mnie w mieszkaniu i nie chodzili do mojej szkoły, rozdałem im zwiniętą wzdłuż gazetkę i poinstruowałem, gdzie mają wrzucić egzemplarz i jak wsunąć go przez kratkę wentylacyjną. Wystarczyło piętnaście minut, aby w całej szkole zasiać nasze diabelskie nasienie. Nie było odwrotu.

Niech żyje ten skurczybyk Willy! Część druga

Przyszedłem do szkoły w poniedziałek. W miarę jak napływali inni uczniowie, zaczął się robić szum. Na ko-

rytarzu słyszałem: „O żesz w mordę! Dostałeś to? Było w mojej szafce, przeczytaj ten fragment!”.

Kiedy od dzwonka oznaczającego początek lekcji dzieliły nas tylko minuty, szkołę ogarnęło szaleństwo. Jak podpalacz obserwujący swoje dzieło, szedłem korytarzami, napawając się dumą. Część nauczycieli biegała w panice, próbując skonfiskować nielegalną gazetę. Zewsząd dobiegały mnie śmiechy, widziałem spojrzenia pełne szoku i niezrozumienia, wszyscy zastanawiali się, kto może być autorem tego paszkwilu.

Nie minęło piętnaście albo dwadzieścia minut pierwszej przerwy, a zostałem wezwany przez wicedyrektora, który pełnił obowiązki wykonawcze i stał się ofiarą większości żartów w gazetce. Na nazwisko miał Long, co w porównaniu z jego wyglądem było dość śmieszne i czego nie omieszkalem opisać. Pan Long służył w wojsku i był ofiarą panującego tam stresu. Bardzo wyraźnie powiedział mi, kiedy byliśmy sami (nasze najlepsze wspólne chwile), że ma ochotę skopać mi dupsko, a pani Long może zaświadczyć, że jego nazwisko jak najbardziej pasuje do jego anatomii. Później dowiedziałem się, że aby poradzić sobie z napięciem nerwowym, codziennie kosił trawnik. Niestety, chyba mu to nie pomagało, bowiem kilka lat później zmarł na zawał serca. Nie był starym człowiekiem. Kiedy wspominam go teraz, myślę, że moglibyśmy wypić razem kilka piwek.

Jak nas odkryli? Przecież wszystko obmyśliłem. Jak się okazało, nie wziąłem pod uwagę jednej albo dwóch rzeczy. Nie potrafiłem zamaskować mojego stylu pisania. Nauczyciele angielskiego, którzy przeczytali

artykuły, mogli jak grecki chór jednym głosem zaśpiewać:

- To Jason! On jest winien!

Kiedy tylko się zorientowali, wezwano nas z klas i każde z osobna przesłuchali, mówiąc, że to drugie się przyznało. Heather połknęła przynętę i powiedziała:

- Racja, to ja. I co z tego, jestem dumna, że to zrobiłam, i mam was w dupie.

Trzymałem się przez godzinę, ale skoro Heather się przyznała, a kobieta opiekująca się pracownią komputerową przypomniała sobie, że widziała mnie drukującego coś w szkole, nie było sensu iść w zaparte. Wydruk musiałem odebrać od niej i aby to zrobić, nałgałem jej, że piszę artykuł do magazynu dla dorosłych. Była zniesmaczona jego treścią i nie chciała uwierzyć w to, co mówiłem. Miałem jednak osiemnaście lat, byłem dorosły! Mogło się tak zdarzyć, że pisałem dla jakiegoś

czasopisma, choć wymówka była raczej marna. W końcu się poddałem i przyznałem.

Echo, jakim odbił się „Murray High Muckracker”, było szerokie. Jedna z nauczycielek angielskiego skrytykowała mnie, że podpisałem się pseudonimem, a nie moim nazwiskiem, nazywając moje zachowanie tchórzostwem. W pewnym sensie miała rację, ale ja chciałem, aby ktoś usłyszał to, co mam do powiedzenia. Zachowałem się tak jak terrorysta-samobójca. To było całkiem zabawne, zostać zamachowcem-literatem. Nauczyciele religii radzili uczniom, aby nie czytali gazetki. Kiedy lokalne autorytety kościelne nawołują do ignorowania czyjejś pracy, oznacza, to, że sprawa jest grubsza, niżby się mogło wydawać. W swym egoiz-

Po prostu żołnierz 177

mię myślałem, że obawiali się, iż władza nad duszami wymknie im się z rąk. Wielu ludzi uznało gazetkę za zabawną, niektórzy za niesmaczną. Myślę, że i jedni, i drudzy mieli rację. Moja mama, która ogromnie zdenerwowała się całym tym wydarzeniem, zadzwoniła do mojego biologicznego ojca, George'a, który mieszkał wtedy w Nowym Jorku, a z którym niedawno po raz pierwszy się spotkałem, oskarżając go, że to jego wpływ i geny popchnęły mnie do takiego wygłupu. Wysłała mu egzemplarz gazetki, aby pokazać, czego dopuściła się jego nieodrodna latorośl.

Jedyną rzeczą, jakiej nie wziąłem pod uwagę, była reakcja rodziców innych uczniów. Przez nich sprawy bardzo się skomplikowały. Tak naprawdę nie chciałem, żeby sprawa wyszła poza teren szkoły. Dodatkowo zostałem niedawno zatrzymany wskutek oskarżenia mnie o wysadzenie dwóch skrzynek na listy przy pomocy bomb z suchego lodu. Tata, Jim, znalazł w naszej skrzynce list, który napisałem do George'a. Otworzył go, przeczytał, co napisałem o wysadzeniu skrzynek, i doniósł na mnie na policję. Pierwszą wysadziłem tak dla zgrzywu, druga należała do mojego dawnego kumpla i byłego chłopka Heather zarazem. Kiedy w domu pojawił się policjant i zabierając mnie na komisariat, odczytał mi prawa, nie mogłem powstrzymać się od śmiechu. Z listy niesamowitych rzeczy, które muszę zrobić przed śmiercią, mogę skreślić: zostać poinformowanym przez policjanta o swoich prawach.

Nie zamierzam rozplęwać się w dygresjach, dlatego powiem tylko, że dzięki tej aferze z wysadzaniem skrzynek znaleźliśmy się już z prokuratorem miasta Murray.

Kiedy przyszedł termin rozprawy, siedzieliśmy na korytarzu przed salą. Ku mojemu zaskoczeniu prokurator powiedział, że słyszał o „Muckrackerze”. Zdziwiłem się, że sprawa otarła się aż o niego. Próbował mi wytłumaczyć, dlaczego uważał porównanie oceny za obecność do ukochanego dziecka Stalina i Hitlera za nieodpowiednie. W kilku artykułach użyłem pseudonimu Holden Caufield³¹, ale prokurator uważał, że Franny and Zoe pasowałyby bardziej niż „Buszujący w zbożu”, lepiej podkreślając treść artykułu. Starał się wytłumaczyć, że mój przekaz uległ zniekształceniu. Nie trafiało do niego, że nie chciałem powiedzieć niczego ważnego, jedynie narobić zamieszania.

Na koniec powiedział, że cztery grupy stosują „naciski polityczne” na miasto, aby skazać mnie za zniesławienie, nieprzyzwoitość i co się da jeszcze. Powiedział mi, że nie uważa tego za stosowne i jeśli ktoś chce mnie pozwać do sądu, to niech to sam zrobi, a nie wysługuje się miejskimi urzędnikami, dlatego nie chce ścigać tych zarzutów. Poradził mi także, abym omówił tę sprawę z sędzią. Byłem zdumiony i oniemiały. Pozwać mnie o zniesławienie? Ugoda z sędzią? Nie myślałem, że do tego dojdzie.

Sędzia Burton okazał się ojcem jednego z moich kolegów z klasy i członkiem komitetu Stake High Council. W mormońskiej terminologii oznacza to, że wchodził w skład grupy przywódców religijnych lokalnej społeczności. Znał mojego ojca i miał o nim jak najlepsze zdanie. Kiedy wywołano numer mojej sprawy, staną-

łem przed nim. Omówiliśmy sprawę bomb z suchego lodu, przy czym wyłożyłem kawę na ławę. Nie miałem szansy wyjaśnić wszystkiego, w tym także udziału He-ather i innych znajomych, dlatego pozwoliłem przemówić prawdzie. Potem przeszliśmy do sprawy „Muc-krackera”. Nie wiedziałem, czy może połączyć obydwie te sprawy, ale kim ja byłem, żeby zabierać głos? Sędzia zasadniczo powtórzył to, co powiedział mi prokurator. W pewnym momencie chyba wtrąciłem, że muszę rozwiązać moje problemy prawne, żeby skończyć szkołę i wstąpić do wojska. Potem sędzia spytał o tatę; zapewne po to, aby być miłym. Odparłem, że jakoś nam się nie układa. Składałem *zeznania* pod przysięgą, dlatego nie mogłem kłamać, prawda? Spytał mnie, czemu nie umiemy się dogadać, a ja odparłem, że „mamy problemy natury religijnej; on myśli, że jest Bogiem, a ja tak nie uważam”. Choć nie zamierzałem żartować, sędzia uznał, że jestem zabawny. Religijność mojego ojca była powszechnie znana. Potem sędzia Burton powiedział coś, czego nigdy nie zapomnę:

- Lubię cię, Jason, dlatego proponuję ci umowę. Miasto oddali swoją skargę i nie będzie jej dochodziło, a ty w zamian za to opuścisz miasto.

Opuścić miasto? WTF? Czy oni sobie ze mnie jaja robią? To wszystko? Nie dbałem o to, czy sędzia może zawrzeć ze mną taki układ ani czy z prawnego punktu widzenia jest on legalny. Spodobał mi się klimat Dzikiego Zachodu, jakim przez chwilę zapachniało na sali sądowej. Ja i sędzia splunęliśmy na swoje dłonie, uścisnęliśmy je, potem wskoczyłem na siodło i zapaliłem papierosa. Uchyliłem przed nim oraz prokuratorem

kapelusza, spałem konia ostrogami i opuściłem miasto, kierując się ku słońcu zachodzącemu nad pustynią Utah.

Zapisałem się na lekcje geografii w centrum edukacji dla dorosłych, które zapewniło mi miejsce zamieszkania w innym dystrykcie. Kierownik centrum zaproponował mi, że poprzez podanie do ACLU (*American dvii Liberties Union*), jeśli chciałbym walczyć o uzyskanie dyplomu w moim własnym dystrykcie, ale tym razem nie miałem ochoty na borykanie się z kolejnymi problemami. Heather także nie chciała pakować się w większe kłopoty, więc sobie darowałem. To mógłby być proces stulecia, ale moim priorytetem było wojsko, a jej - studia. Zapłaciłem grzywnę, otrzymałem list ze szkoły w dystrykcie Granite, w którym poinformowano mnie, że maturę mam zdawać w Hunter High School wraz z klasą rocznik '93, i kilka miesięcy później jechałem do Fort Benning w Georgii.

Koniec.

Całą tę historię przytoczyłem dlatego, że ostatnio opowiedziałem ją w skróconej formie Cesarowi, najnowszemu nabytkowi mojej drużyny. Nie omieszkałem także wspomnieć o tym, jak dowódca kazał mi usunąć blog z Sieci. Chciałem, żeby wiedział, że inni mieli podobne przypadki i mogą zrozumieć sytuację, w której się znalazł. Zanim opowiem o gównie, w jakie wdepnął Cesar, i jak trafił do naszego oddziału, muszę chyba powiedzieć, co się u nas ostatnio działo.

Z początku nasz dziewięciosobowy oddział był dowodzony przez Chrisa, gliniarza z Nowego Jorku

i byłego rangersa. Jak już mówiłem wcześniej, Chris jest jak cycata blondynka: każdy ma na niego chrapkę i pełni funkcję miejscowego idola. Wiem, że brzmi to śmiesznie i pachnie wazeliną, ale taka jest prawda. To doskonały żołnierz, który wiele przeszedł i ma sporo doświadczenia. Kiedy dowodził naszą drużyną, byliśmy najlepsi w całej kompanii. Prawda jest taka, że byliśmy przeciętni, tylko dzięki niemu sprawialiśmy wrażenie świetnie wyszkolonych. Chris opuścił nas jednak i tworzy część oddziału snajperskiego podległego bezpośrednio dowództwu. W tej chwili jego umiejętności

wykorzystywane są do maksimum, poziomu, którego nigdy by nie osiągnął, dowodząc oddziałem. Nasza drużyna nie podniosła się jeszcze po jego odejściu.

Obecnie dowodzi nami Stan zwany Whiskey, a to od nieprawdopodobnie długiego nazwiska zaczynającego się na literę „W”. Whiskey jest świetny gościem, dobrym dowódcą, ale daleko mu do konklawe plutonu (czyli wojskowego odpowiednika najpopularniejszych dzieciaków w szkole). Zwykle trzyma się z boku, pozostając z dala od informacji i planowania. To jest cholernie niedobre, bowiem dowódcy drużyn, Kirk i ja (we trójkę dowodzimy trzema trzyosobowymi drużynami), także jesteśmy ich pozbawieni. Whiskey potrafi obywać się bez snu przez nieprawdopodobnie długi czas, który zwykle spędza na oglądaniu w kółko tych samych DVD. Dosłownie, misja w Iraku to dla niego przedłużone wakacje. To zadziwiające, ale nie zrozumcie mnie źle: nie obją się i nie leni. Stosuje się do zasad i pracuje równie ciężko jak inni, ale jego psychika

sprawia, że nadaje się do działania w znacznie mniej stresującym środowisku. Tutaj bardziej chodzi o nasz pluton (składający się z czterech drużyn), w którym obowiązują pewne niepisane prawa, a do których on się nie stosuje.

Odkąd Chris nas opuścił, oddział przypomina ka-tapultę. Weźmy na przykład drużynę Alfa: Joel, jeden z jej pierwszych członków, opuścił ją i został medykiem kompanii. Cola, gość, który go zastąpił, dołączył do oddziału snajperskiego Chrisa. Jego miejsce zajął Johnny-O, wielki Irlandczyk, który jest obiektem większości opowiadanych dowcipów, przy czym na część z nich sobie zasłużył, a na inne nie. Resztę drużyny Alfa stanowili Anthony i Juan, dwójka, która służyła ze mną w oryginalnej kompanii i którą znam od lat. Dowodzi nimi Kirk, strażak z Bronxu, który o „wielkich cyckach” mówi przynajmniej pięć razy dziennie. Kirk ma jakąś dysfunkcję uwagi, bo nie można z nim porozmawiać na jeden temat dłużej niż sześć sekund, chyba że mówi się o seksie, najlepiej wtrącając coś o „dużych cyckach”. Oto fikcyjna, ale całkiem prawdopodobna rozmowa z Kirkiem:

- Hej! Co tam dostałeś?
- Paczkę.
- Od kogo?
- Od znajomej z New Paltz.
- Serio? Bzykałeś ją? Ma duże cycki?
- Człowieku, o czym ty mówisz? Jest zamężna,

a jej...

- Taaak. Uwielbiam duże cycki. Poznałem wczoraj w nocy na czacie taką jedną. Kurde, miała... - przerywa

na chwilę, zastanawiając się nad czymś - ogromne cycki, były takie... - Znów milknie i dłońmi pokazuje rozmiar biustu rozmówczyni. - Bam! Ogromniaste i kurde... A ja na to: super!

Kirka można opisać jako dwuwymiarową postać z typowej romantycznej komedii. To czarny charakter, dzięki głupocie którego bohater zdobywa ukochaną. Jest żywym dowodem na to, co Bóg stworzył podczas alkoholowej libacji. Kirk obcesowo obchodzi się ze wszystkimi Irakijczykami i nie zawaha się przyłożyć lufy do twarzy każdego człowieka, imienia którego nie potrafi wymówić. Uwielbia drzeć ryj dla samego krzyku i wpada w słynny szał, ilekroć znajdzie jakieś śmieci w naszych kwaterach. Niższych stopniem żołnierzy traktuje z pogardą. Jego zaabsorbowanie seksem, wielkimi cyckami i homofobia są wręcz patologiczne. Choć jest chamem i gburem, to cechuje go szczerłość, bywa przyjacielski, oddany i pomocny. Po Kirku zawsze wiesz, czego można oczekiwać. Nie kopie pod nikiem dołków i zawsze mówi prosto w twarz dokładnie to, co myśli. Jest lojalny i wierny jak pies,

którego miałeś, odkąd skończyłeś pięć lat, i którego nigdy nie nudziło szczekanie na obcych, łaszenie się do twoich kolegów i ganiecie za własnym ogonem.

Początkowo w skład drużyny Bravo, którą dowodzę, wchodził strzelec SAW, dzieciak imieniem Peter. Jeszcze z jego poprzedniej kompanii ciągnęła się za nim reputacja złamasza. Z początku miałem wrażenie, że jest ona niezasłużona, i miałem nadzieję, że pomogę mu odzyskać dobre imię. Później okazało się, że był

egoistycznym, defetystycznym i samolubnym dupkiem. W jakiś sposób podczas ćwiczeń nabawił się narkolepsji i nie pojechał do Iraku. Zanim mi powiecie, że narkolepsja nie jest *zaraźliwa*, musicie zrozumieć, że chłopak cały czas balansował na krawędzi. Udało mu się zaciągnąć, ale kiedy zmienił zdanie, wykorzystał chorobę do skreślenia z listy jadących do Iraku. Naprawdę bardzo się starałem mu pomóc, ale wyszedłem przez niego na dupka. Chciałem go zrozumieć, ale przez to ludzie zaczęli myśleć o mnie jako o słabeuszu. Podczas całego szkolenia Peter przeżywał jakieś problemy ze swoją niewierną nastoletnią narzeczoną i dlatego nie chciał jechać do Iraku. Kiedy z nim o tym rozmawiałem, łągał mi w żywe oczy, że chce jechać i być częścią oddziału. Ludzie mówili mi, że marnuję swój czas, próbując mu pomóc, i, cholera jasna, okazało się, że mieli rację. Uwaga dla przyszłych żołnierzy. Zanim zaciągniecie się do wojska, przemyślcie, co jest dla was priorytetem. Waszym zadaniem będzie walczyć, zwykle z dala od waszych dziewczyn i narzeczonych. Jeśli nie potraficie sobie z tym poradzić, nie wstępujcie do armii. Aha, nie liczcie, że będą wam wierne. Niby czemu miałyby być, skoro będziecie je puszczać kantem?

Petera zastąpił Orlando, jeden z tych chłopaków, których znam od lat. Należy do typu ludzi, którzy zawsze są w dobrym humorze. Orlando uwielbia oglądać *I Love Lucy*³² na DVD i ma kolekcję filmów Dis-

neya i pokrewnych, która wasze dzieci wpędziłaby w kompleksy. Zawsze można liczyć, że nawet na misję weźmie jakiegoś pornososa. Choć nie jest specjalnie wygadany, to ma złote serce, czyli cechę, która gwarantuje mu moją sympatię. Mało kto w naszym plutonie wie, że z Orlando był kawał niezłego sukinsyna, kiedy jeszcze za szczenięcych lat szwendał się po ulicach Lower East Side. Od tamtych czasów minęło dwanaście lat, które Orlando spędził w wojsku. Ostatnio został awansowany do stopnia sierżanta. Normalnie do takiego awansu wymagany jest wakat, ale w tym przypadku stopień dano za długą służbę. Nie wiem, jak to możliwe, ale mój strzelec dorównuje mi stopniem.

Kolejnym z moich podkomendnych jest Matt. Wygląda dość podobnie do mnie, ma brązowe włosy, jest wysoki i szczupły. W cywilu jest ratownikiem w mieście Poughkeepsie. Matt ma dobrze poukładane w głowie i jest inteligentny, a jego wiedza medyczna to nieoceniony (i bardzo podnoszący na duchu) dar. Niestety, Matt służył w Siłach Powietrznych i ma skłonność do robienia niektórych rzeczy po swojemu, nie zwracając uwagi na przepisy armii. Widoczne jest to na przykład w kwestii umundurowania. Matt odpruł dolne kieszenie bluzy i naszył je na ramiona, przez co wygląda jak operator Delta Force. Powiedziałbym, że Matt jest doskonałym żołnierzem, tyle że nie zna swojego miejsca. Jego poczucie własnej wartości i nieomyślności jest przyczyną większości zgrzytów, jakich doświadczam podczas tej misji. Próbowałem go przekonać lub zmusić do posłuszeństwa. Mimo to Matt zachowuje się jak pięciogwiazdkowy generał: pojawia się

na odprawach sztabowych czy automatycznie zabiera głos podczas wszelkich spotkań, z innymi oddziałami. Sposób, w jaki się nosi i ubiera, sprawia, że wszyscy myślą, iż Matt służy w siłach specjalnych. Nawet starszy sierżant wydał mu berettę 9 mm. Matt zachował ją tylko dlatego, że

należy do klubu starych, dobrych koleśków, którzy nawet do sierżanta naszego plutonu zwracają się per „Mike”. Biorąc to wszystko pod uwagę, Matt jest koszmarem dowódcy drużyny, bezustannie podważa mój autorytet i zasady funkcjonowania struktur dowodzenia w ogóle, ale mimo to nie widzę powodu, dla którego miałbym marnować siły i uniemożliwiać mu bycie dobrym żołnierzem. Gdybym chciał, utemperowałbym go w pięć minut. Przynajmniej lubię tak myśleć. Wolę jednak rozwiązywać poważne problemy, a nie wdawać się w utarczki z podwładnymi, choć czasem Matt sprawia, że mam ochotę rwać sobie włosy z głowy.

Do niedawna jednym z moich strzelców był Dań. Ostatnio jednak awansował i został dowódcą własnej drużyny w innym oddziale. Peter i ja przyjacielsko przeżywaliśmy go „czarodziejskim piechurkiem”, a to z racji tego, ile wiedział o obowiązkach żołnierza i sposobach ich wykonywania. Niestety, Dań przywykł do dowodzenia drużyną i niechętnie zrezygnował z tej funkcji na rzecz kogoś mniej doświadczonego. To spowodowało, że moje życie stało się niewiarygodnie ciężkie, bowiem Dań był największą zrzędą, jaką znałem. Za każdym razem publicznie pokazywał, jak jego zdaniem powinno się wykonać zadanie i gdzie zrobiłem błąd. W wojsku nazywamy to „strzelaniem w plecy”.

Jeszcze w Fort Drum ucieliśmy sobie na ten temat małą pogawędkę i od tamtej pory sprawy z wolna zaczęły przybierać lepszy obrót. Teraz, kiedy w końcu Dań został NCO, stał się jakiś znośniejszy. Zawsze zadziwia mnie jego zmienność nastrojów. Kiedy jest w dobrym humorze, jest jednym z najwspanialszych i ludzi w okolicy. Podobnie jak ja, ma fioła na punkcie kilku *rzeczy* i uwielbia dłużyć w sprzeczce. Kilka razy świetnie nam się na ten temat gadało. Dań jest uważnym obserwatorem i posiada ogromną wiedzę. To naturalny talent, jeśli chodzi o wojsko. Jednak kiedy ma paskudny humor, zachowuje się jak głupi troll (to wrażenie potęguje jego wygląd fizyczny). Dań jest niski i potężnie zbudowany. Wygląda jak człowiek z Cro-Magnon. Gdyby urodził się kilkaset lat temu, nosiłby długą brodę i walczył toporem.

I tak dochodzimy do Cesara. Cesar zawsze kojarzył mi się z małym kurczakiem z kreskówki Looney Tunes („Nie jestem kurczakiem! Jestem kurzy orzeł!”). To drobny strażak z Dominikany, który chodzi z łokciami wyciągniętymi do tyłu i klatką piersiową wyrzuconą do przodu niczym drożdź próbujący zwabić samicę. Kiedy trafił do naszego oddziału, miał ledwie siedemnaście lat i zachowywał się z arogancją, na jaką stać tylko napoleoński typ żołnierza. Z miejsca dał do zrozumienia, że typ kaukaski nie należy do jego ulubionych, a sporą część tej niechęci wyładował na mnie (było to w czasach, kiedy tylko Willy i ja byliśmy jedynymi białymi żołnierzami w kompanii). Cesar miał wtedy rangę E-1, a ja E-4. Pierwszym żołnierzem, którego musiałem uregulować z racji wyższego stopnia,

był właśnie Cesar. Tamte czasy dawno minęły, a Cesar wyszedł na ludzi, co jest głównie zasługą Willyego, który był dowódcą jego drużyny.

Do chwili, w której przeniesiono go do mojego oddziału, Cesar był protegowanym Willyego i obsługiwał SAW-a w jego drużynie. Cała praca i oddanie, jakie włożył w zrobienie żołnierza z tego buntowniczego małego gnojka, dały rezultaty w oszałamiająco szybkim tempie. Po roku Willy mógł być dumny, bo Cesar wyszedł na ludzi. Byłem cholernie zadowolony, kiedy trafił pod moją komendę, bowiem miałem w oddziale żołnierza z jednej strony kompetentnego, a z drugiej umiejącego słuchać rozkazów. Nie zasługiwałem na kogoś takiego i odcinałem tylko kupony od ciężkiej pracy Willyego.

Sierżantem plutonowym oddziału Willyego i Cesara był koleś, który dowodził naszym plutonem w domu. Facet był parszywym gliniarzem o włoskim imieniu i irlandzkim nazwisku, którego jedyną zdolnością było wykorzystywanie mieszanki gadania i siły do naginania innych

ludzi do swojej woli. Przypomnijcie sobie postać Denzela Washingtona z *Training Day*³ⁱ, tyle że graną przez kogoś, kto wygląda jak Wesley Snipes. Podobieństwo sierżanta do Snipesa było tak wielkie, że za jego plecami przezywaliśmy go Daywalker (postać graną przez Snipesa w filmie *Blade*). Jego kretynizm i ograniczenie urfy-słowe nie znały miary. Biorąc pod uwagę, jak bardzo Willy jest uparty, ja zaś złośliwy, i to, że byliśmy nie-

rozłączni, staliśmy się dla Daywalkera dwuosobowym wrogiem publicznym numer jeden. Odkąd wylądowaliśmy w Iraku, żadna musztra nie obeszła się bez rugania nas za jakieś pierdoły, czy to publicznie, czy to w cztery oczy, podczas rozmowy w jego biurze.

Nienawiść Daywalkera do Willyego nie wygasła nawet po tym, jak przestali razem służyć. Kiedy jeszcze kurzy orzeł Cesar wtrącił swoje trzy grosze, w plutonie zaczęło wrzeć. Od początku misji do tej pory Willy otrzymał od Daywalkera Marka cztery negatywne oceny, nie wspominając słownych upomnień. Nienawiścią do niego pałają nie tylko Cesar i Willy, ale prawie każdy żołnierz z naszego plutonu. Wszyscy coś do niego mają. Pewnego dnia Cesar stwierdził, że ma dość i musi dać upust swojej frustracji. Nie minęło kilka godzin, a na tablicy trzeciego plutonu Daywalker Mark znalazł przyczepiony list, którego nadawcą był „żołnierz”. Jego treść stanowiła lista słabostek, długa jak list przewozowy kontenerowca. Ciągnęła się na dwie kartki, a każda kolejna napisana odręcznie linijka była gorsza od poprzedniej. Jednak najgorsza obelga czekała na końcu. Wszyscy doskonale wiedzieliśmy, czym na początku zajmował się w wojsku i że dla nas był nierobem. Była to subtelna, ale potworna zniewaga: „Dla nas - pisał „żołnierz” - zawsze pozostaniesz zaopatrzeniowcem”.

Jak się można domyślić, zaczęło się polowanie na czarownicy. Cesar, niezbyt przyparty do muru, w końcu przyznał się do napisania listu. Wydaje mi się, że chciał, aby Daywalker wiedział, kto go tak obraził. Zagrał niczym Jack Nicholson w *Ludziach honoru*

(„Czy wydał pan rozkaz?” „Tak, do jasnej cholery, wydałem ten rozkaz!”).

Sprawiedliwość dosięgła Cesara nadzwyczaj szybko. Na podstawie artykułu 15. został wydany z trzeciego plutonu, dodatkowo ukarano go jednorazowym prze-padnięciem żołdu i degradacją ze stopnia specjalisty do starszego szeregowca. Na ironię zakrawa fakt, że kilka dni wcześniej Cesar odznaczył się w warunkach bojowych, ratując życie Willy'emu.

Niech żyje ten skurczybyk Willy! Finał

Matka Willy ego umiera. Ma raka, a przerzuty sięgnęły płuc. Co gorsza, babcia Wilh/ego, z którą mieszkał w Bronksie, też umarła podczas naszej misji w Iraku. To była najwspanialsza drobniutka starowinka, jaką znałem. Nie mogła ważyć więcej niż czterdzieści kilogramów i zawsze, kiedy ją widziałem, siedziała przed telewizorem zatopiona w fotelu, *przerzucając* kanały. Bardziej przypominała delikatną rzeźbę niż prawdziwego człowieka. Wrażenie to okazywało się bardzo mylne, kiedy tylko zabierała głos. Jego donośność była jak kopniak w dupę za to, że na pierwszy rzut oka brało się ją za nieporadną:

- WILLY! GDZIEŚ TY SIĘ WŁÓCZYŁ? PRACUJESZ DZIŚ W NOCY?

Babcia Willy ego zawsze musiała wiedzieć, co jej wnuk planuje i o której zamierza wrócić do domu oraz kiedy odpuści sobie picie z kolegami. Pierwszy raz, kiedy usłyszałem, jak krzyczy, chyba zareagowałem dość nerwowo; pewnie podskoczyłem do góry, stając w pozy-

cji obronnej i rozglądając się nerwowo dookoła. Rany boskie, kurwa, co to było? Skąd ten głos? Jezu, chyba narobiłem w spodnie.

Tego popołudnia, gdy umarła, narzekała, że męczy ją kaszel. Rodzice Wilh/ego chcieli zabrać ją następnego dnia do lekarza. Usiadła w jadalni na krześle, na którym zwykle nie siadała, i po prostu umarła. Miała osiemdziesiąt dziewięć lat. W moich oczach odeszła z gracją, zupełnie jakby czuła, co się za chwilę stanie, i powiedziała do siebie:

- Lepiej usiądę i poczekam.

Kiedy przeniosłem się do Nowego Jorku, obawiałem się, jak mi pójdzie w nowym oddziale Gwardii Narodowej. Wiedziałem, że będzie się składał z dzieciaków, które wyrosły na ulicach, przywykłych do twardego życia, jakiego ja, chłopak z przedmieść, nie znałem i nie mogłem udawać, że zakosztowałem. Choć ukończyłem szkolenie piechoty, od lat nie brałem udziału w żadnych akcjach, dlatego martwiłem się, czy będę pamiętał, jak właściwie przeprowadzać musztrę bojową.

Żołnierze dzielili się na grupy, które różni kolor skóry. Z góry założono, że będę się kumpłował z Willym, który był jedynym białym w plutonie. Gros żołnierzy stanowili Portorykańczycy i Dominikań-czycy, do tego czarni *brothas oraz* przedstawiciele mniejszości marokańskiej, gujańskiej czy wenezuelskiej. Jedną z pierwszych *rzeczy*, jakie usłyszałem od Willy'ego, kiedy się spotkaliśmy, było: „Cześć, stary. Nie było mnie na ostatniej musztrze, ale nie zadzwoniłem do sierżanta. Pieprzyć to”.

Podzielił się ze mną tą informacją, kiedy paliliśmy przed zbrojownią na Lexington Avenue, bunkrując się przed czymś, co się działo. Pomyślałem sobie wtedy: „Ten gość to dupek. Muszę znaleźć sobie innych kumpłi, zanim wciągnie mnie w tarapaty”. Trochę się zdenerwowałem, kiedy uświadomiłem sobie, że służbę w nowym oddziale zaczynam od unikania roboty i kumpłowania się z takim leniwym nierobem.

Jednak kiedy Willy znalazł się na polu walki, zmienił się nie do poznania. To sumienny, logicznie myślący i ciężko pracujący facet. W trakcie pierwszych ćwiczeń nasz pluton konkurował z kadetami z West Point. Rzecz miała miejsce w Camp Smith w stanie Nowy Jork. Jest to górzyste, zalesione centrum szkoleniowe, gdzie odbywały się gry wojenne. Nasz pluton miał utrzymać zwyczajny perymetr obronny, a kadeci go zdobyć. W terminologii wojskowej nazywaliśmy ich OPFOR, co było skrótem od *opposing force*: siły przeciwnika. Pamiętam, że Willy rozmieścił różne prze-szkadzajki, które miały nas ostrzec o zbliżającym się „wrogu”. Składały się na nie brzęczące puszki i chemiczne światełka zapalające się po zerwaniu drucika. Niby taka prosta rzecz, która od razu powinna przyjść człowiekowi na myśl, a nikt inny na to nie wpadł. Byłem tak zaabsorbowany działaniem według prostej doktryny walki, że taki pomysł nie przyszedł mi na myśl. Tymczasem Willy okazał się praktyczny aż do bólu. Przed ćwiczeniami był dla mnie policyjnym żółtodziobem pochodzącym z Bronksu, o irlandzkim nazwisku, którego wymowy nie byłem w stanie zapamiętać. Od tamtej pory zaczęliśmy się kumpłować.

Pamiętam, że kiedyś pomyślałem: „Dopóki będę się trzymał tego gościa, nic mi nie będzie”. W tamtych czasach nie za bardzo wiedziałem, co ja właściwie robię jako żołnierz, nowojorczyk. Żeby być zupełnie szczery, jako człowiek do Nowego Jorku przeprowadziłem się kilka miesięcy wcześniej, po tym, jak mój związek z Heather rozpadł się w najgorszy z możliwych sposób. Jedyne co mogłem na to poradzić, to zostawić przeszłość za sobą i zacząć wszystko od początku. Do takiego ruchu nie ma lepszego miejsca jak Nowy Jork, a towarzystwo i stałość emocjonalna Willy'ego bardzo mi w tym pomogły.

Wydaje mi się, że to George Carlin³⁴ powiedział, że nie rozumie modlitw. Kiedy ludzie mówią pacierz, tak naprawdę przedstawiają Bogu listę życzeń. Jego zdaniem logiczniejsze byłoby

powiedzenie tego komuś, kto może je spełnić, na przykład Joemu Pesci, ponieważ on, zdaje się, może wszystko załatwić. Ja się nie modłę i nie znam Joego Pesciego, ale wiem, że Willy wie, jak należy załatwiać swoje sprawy.

Kiedy nadeszła wiadomość od Czerwonego Krzyża, że jego matka zachorowała, Willyemu udzielono nadzwyczajnego urlopu, aby mógł wrócić do Stanów. Normalnie podróż do Ameryki zajmuje trzy dni, ale Willyemu zabrała ledwie dwadzieścia jeden godzin pomimo wielu różnych przeszkód. Oto skrócona wersja wydarzeń.

Willy kończy służbę o trzeciej rano. Idzie do łóżka, ale nie może zasnąć, więc ogląda *Szklaną pu-*

łapkę. Zasypia około piątej trzydzieści rano i zostaje obudzony o szóstej piętnaście. Dostaje wiadomość z Czerwonego Krzyża i o dziewiątej trzydzieści łapie okazję do bazy Sił Powietrznych w Balad. Trafia na ogromny korek u bram (myślicie, że stanie w korku jest do dupy? Spróbujcie w nim postać, mając świadomość, że ktoś was może zaraz ostrzelać). W końcu Willy dociera do bazy, ale obok niego spada pocisk mózdzierzowy, o mały włos go nie *zabijając*. Lot zostaje opóźniony, ale Willy zaprzyjaźnia się z pilotami, czekając na przywrócenie ruchu powietrznego. Wspomina o swoim kłopotliwym położeniu podpułkownikowi i chwilę później znajduje się w pustym C-17, który o drugiej po południu startuje, lecąc wraz z pilotami na szkolenie w Niemczech (Willy miał lecieć następnego ranka do Kuwejtu). Samolot ląduje o wpół do siódmej wieczorem w Niemczech. Logistyk mówi mu, że najbliższy samolot to lot następnego ranka, który wyląduje na JFK³⁵. Willy go nie słucha, bo zauważa kilku żołnierzy, którzy lecą do Atlanty na R&R³⁶. Co nikogo chyba nie dziwi, udaje mu się wkręcić, choć za lot do Nowego Jorku będzie musiał zapłacić z własnej kieszeni. Ma się zgłosić o trzeciej rano. Chrzanić to. Willy wypija trzy niemieckie piwa, wraca do hotelu, bierze prysznic, ale jest bardziej pijany, niż się spodziewał, i zasypia. Jego wewnętrzny zegar budzi go za piętnaście czwarta. Willy leży na podłodze (po pijaku zawsze śpi na podłodze). Zrywa się na równe nogi i biegnie na lotni-

sko, gdzie dowiaduje się ku swojej uldze, że załadunek nie zacznie się przed szóstą rano. Dopiero teraz Willy zauważa, że jest potwornie skacowany. Ładuje się na pokład samolotu i przesympia większość lotu do Stanów. W Atlancie używa sztuczek Jedi, aby przekonać biletera Delty³⁷, że powinien mieć rezerwację na lot do Nowego Jorku. Gość znajduje specjalne fundusze, dzięki którym płaci za przelot. Willy tymczasem odwiedza USO na lotnisku. Jako że cały czas ma na sobie kamizelkę kuloodporną, wzbudza spore zainteresowanie. Cierpliwie odpowiada na wszystkie pytania zadawane przez dobre dusze, choć potwornie boli go głowa. Rozmawia z gościem z sił specjalnych, który uważa, że dwunastomiesięczna służba to nic innego jak urlop i lenistwo. Przy stanowisku biletowym przeprowadzają mu bilet na pierwszą klasę (pamiętajcie, że nie zapłacił za niego ani centa). W samolocie Willy wypija Jacka³⁸ z colą i zasypia w pluszowym fotelu. Ląduje w Nowym Jorku i prosto z lotniska jedzie do szpitala, gdzie mama prawie wariuje na jego widok.

Tuż przed planowaną zmianą władz w Iraku w małym miasteczku obok naszej bazy miała miejsce wielka operacja. Jedną z najbardziej prominentnych osób w okolicy był pewien duchowny, który mieszkał w meczecie w centrum miasta. Miał powiązania z al Kaidą i pociągał za wiele politycznych sznurków w mieście. Nie znam wielu szczegółów, nie wiem, kim był dokładnie ani czym się zajmował, ale uważany był za „ważny cel”. To właśnie jego chcieli-

śmy schwytać w trakcie spotkania, na którym się nie pojawił. Dlatego dowództwo uznało, że musimy zająć meczet, w którym mieszkał.

Była to największa operacja, w jakiej braliśmy udział, odkąd znaleźliśmy się w Iraku. W mieście wyznaczono kilka domów, które miały zostać przeszukane dokładnie w tym samym czasie co meczet. Pluton Willy ego miał się zająć jednym z mieszkań, mój szturmować meczet, ale w końcu cała misja została przydzielona oddziałom specjalnym. Byłem zawiedziony, ale podejrzewam, że na decyzji zaważyły czynniki wynikające z sytuacji. Prawda była taka, że przeszukań dokonali członkowie *Iraqi National Guard* (ING), którzy zostali wyszkoleni przez naszych specjalistów. Pomagało im co prawda kilku gości z drużyny A, ale ich udział był marginalny. Mój pluton wyznaczono do stworzenia kordonu ochronnego wokół meczetu, co oznaczało, że praktycznie mamy nikogo nie dopuszczać w jego pobliże i zatrzymywać wszystkich, którzy chcieli opuścić teren operacji.

Zwykle nie denerwuję się przed misją, ale ta wyglądała jak przepis na katastrofę. Podejrzewaliśmy, że wraz z przekazaniem władzy Irakijczykom wzrośnie natężenie aktów dywersji. Co więcej, spodziewałem się, że miejscowi nie będą patrzyli na nas przychylnie po tym, jak włamiemy się do meczetu położonego w centrum miasta. W tym przypadku mieliśmy uderzyć tuż przed świtem. Ulice nie będą zatłoczone, a jeśli sprawy przybiorą niewesoły obrót, nie będziemy musieli długo czekać na światło dzienne. Kiedy usłyszeliśmy, że meczet szturmować ma ING, wydaliśmy

zbiorowy jęk. Większość irackich żołnierzy, z którymi mieliśmy styczność, to kompletne fajtlapy. (Prawda jest taka, że ci, których trenowaliśmy, całkiem nieźle sobie radzili). Pomysł, że skomplikowane zadanie, jakim była ta misja, ma być wykonane ich rękoma, był niedorzeczny. Podczas odprawy, kiedy zostaliśmy poinformowani o udziale ING, powiedziano nam także, że ich twarze będą zasłonięte. To ważna informacja, bowiem normalnie mamy strzelać do zamaskowanych i uzbrojonych ludzi. Stąd powstała plotka, że tak naprawdę szturm przeprowadzą rangersi przebrani za ING. Tym sposobem ludzie dowiedzieli się, że do meczetu weszli Irakijczycy, a nie amerykańscy niewierni pragnący zbezczęścić każde święte miejsce islamu.

Wczesnym rankiem, tuż przed misją, kiedy skoncentrowano już wszystkie pojazdy i oddziały, poszedłem na krótki spacer, aby przekonać się, czy oddział szturmowy składa się z Amerykanów przebranych za Irakijczyków, czy z miejscowych. Niestety, okazało się, że tworzyli go ci drudzy. Nie wiedziałem, czy to dobrze, czy źle. Potem zahaczyłem o samochód plutonu Willy ego. Siedział razem z Cesarem i kilkoma chłopakami, których znałem z pierwszego oddziału w Nowym Jorku. Muszę przyznać, że poczułem ukłucie zazdrości, kiedy zobaczyłem go, jak się wygłupia z kumplami, a na mnie wszyscy reagują jak na pieprzonego obcego, bo służę w innym plutonie. Zwykle byliśmy z Willym nierozłączni, ale dowódca uznał się, żeby nas odseparować, i przydzielił do różnych plutonów. Na początku myślałem, że może to niezły pomysł, aby pozwolić nam „dorosnąć”, szkoląc przy

tym innych żołnierzy, ale potem zmieniłem zdanie. Jest mi po prostu przykro, że niby walczymy z Willym razem po tej samej stronie, a jednak osobno. Nie pamiętam, o czym gadaliśmy, ale kiedy ruszyłem do siebie, Willy rzucił: „Trzymaj się ciepło, mały”. Przez lata doprowadzało mnie do szału, kiedy odzywał się do mnie w ten sposób. W końcu mu to powiedziałem, a Willy odparł, że to miało być nawiązanie do *Gilligaris Island*³⁹. Przemyślawszy to, uznałem, że to cholernie śmieszne. Co jak co, ale jego podobieństwo do Skippera, a moje do Gilligana jest uderzające. Nie złoścę się już, gdy mnie tak nazywa.

Kiedy wszystkie pojazdy opuszczały bazę, musiało to wyglądać niesamowicie. Normalnie, kiedy udajemy się z misją, jedzie od czterech do ośmiu pojazdów. Na potrzeby tej operacji zgromadzono kilka tuzinów. Mieliśmy abramsa, bradleya i więcej hunwee niż mogłem policzyć, pięciotonową ciężarówkę, w której jechała piechota, a także apache a i kiowa strzegące naszych pleców. Większość wiary, jaka z nami jechała, została zabrana na wypadek, gdyby sprawy potoczyły się nie w tę stronę, co trzeba, niczym w *Helikopterze w ogniu*.

Kiedy dojechaliśmy do miasta, oddziały się rozdzieliły, każdy ruszając w swoją stronę. Mój pluton miał dotrzeć do celu wąską, zakurzoną dróżką odchodzącą od autostrady, ale trochę się po drodze pogubiliśmy. To kurewsko głupie uczucie, zwłaszcza jeżeli

39

twoim śladem jedzie kilka innych pojazdów. Pomyślałem, że skoro nie potrafimy zrobić czegoś tak prostego jak skręcić w odpowiedni zjazd z szosy, to kiedy dojdzie do bardziej skomplikowanych operacji, będziemy w poważnych tarapatach.

W przypadku tej misji zgranie pomiędzy różnymi oddziałami było bardzo ważne. Jako że na miejsce przyjechaliśmy kilka minut przed czasem, zaparkowaliśmy z dala od drogi, na skraju miasta. Nie dalej jak kilkaset metrów od nas majaczył minaret meczetu. Kiedy tak siedziałem i czekałem, zaczęły mi puszczać nerwy. Tyle rzeczy mogło pójść nie tak, jak trzeba. Wyobraziłem sobie tłum z pochodniami i widłami blokujący drogę. Pomyślałem o IED podłożonym na poboczu drogi, czekającym, aby wysadzić nas w powietrze. Oczywiście wyobraźni ujrzałem domy stłoczone wokół meczetu, pełne kobiet, dzieci oraz mężczyzn, z których każdy pod łóżkiem trzyma AK-47. Jak idiota sprawdziłem mój karabin, upewniając się, czy w komorze jest nabój. Potem przysła koleją na aimpointa. Musiałem się upewnić, czy w ciemnościach zauważę czerwoną kropkę celownika. Najzabawniejsze jest to, że w goglach noktowizyjnych kropka była zielona. Potem sprawdziłem same gogle; nie byłem pewien, czy dobrze zamocowałem je na hełmie. Zaczęłem obmacywać kieszenie, szukając flar oświetleniowych 40 mm oraz granatów odłamkowych tego samego kalibru. Jednych i drugich nie sposób pomylić, bowiem mają inny kształt, więc niemożliwe jest załadowanie granatu zamiast flary. Wyobraziłem sobie, jak ładuję granat do granatnika, jak zmieniam magazynki. Oczywiście wyobraźni zobaczyłem człowieka z karabinem

celującego do mnie z dachu. Na niby wycelowałem w niego i nacisnąłem spust.

Minęły dwie minuty. Włączyliśmy silniki i wjechaliśmy do miasta. Na ulicach było więcej samochodów, niż się spodziewałem. Widzieliśmy też kilku ludzi, ale co o tej porze robili na dworze, tego chyba sam Bóg nie wie. Okolice meczetu były na szczęście puste: żadnych aktywistów bawiących się w żywe tarcze, żadnych czuwających wiernych, ani jednego bojownika z brygad Al Sadra. Nasz humvee zatrzymał się przed frontową bramą meczetu. Wysiadłem ja, Kirk i Whiskey. Podkradliśmy się do wąziutkiej uliczki przyległej do meczetu, będącej częścią sektora, którego mieliśmy pilnować podczas operacji. Zajrzałem przez okno do wnętrza najbliższego domu. Na podłodze spała szóstka ludzi. Alejka skręcała w lewo, więc ostrożnie wyjrzałem za róg. Jeszcze więcej drzwi i kolejne ciemne okna. W okolicy po lewej nie mogłem dostrzec muru meczetu, podobnie jak dziury przesłoniętej na wpół rozebrany na części samochodem. Budynki na wprost nas miały po dwa zadaszone piętra. Alejka wiła się dalej, lawirując pomiędzy kolejnym domem i kamienicą. Po prawej znajdowały się drzwi do ogródka na tyłach meczetu. Naszym zadaniem było zlikwidować lub schwytać każdego, kto będzie próbował stawiać opór, *zbliżać* się uliczką lub uciekać przez tylne drzwi do świątyni. Jak na trzech gości w wąskiej, ciemnej alejce, była to kupa ciężkiej roboty. Z palcem na osłonie spustu spoglądałem na drzwi,

okna, dachy, potem znowu na okna, znowu na drzwi i tak dalej.

I nagle usłyszałem głośne „BUM!”. Hunwee staranował frontową bramę meczetu, a potem wycofał się, wpuszczając oddział ING do środka. Dało się słyszeć kilka strzałów ze strzelb (rozbijamy nimi zawiasy i zamki i drzwi), krzyki, a potem odgłos kroków na dachu meczetu. Najgorsze było to, że nie mogłem na to patrzeć, a jedynie słuchać. Gość z sił specjalnych wyjrzał przez tylne drzwi, obrzucił okolicę spojrzeniem, pokiwał nam głową i wrócił do środka. Wyglądało na to, że ING schwytały więźnia bez kłopotów. Tyle naszego.

Jak na złość, chwilę później usłyszałem odgłos strzałów z broni automatycznej. W niebo poszybowały flary, rozświetlając nocne ciemności. Na początku myślałem, że to któryś z naszych pojazdów otworzył ogień, ale odgłos strzałów dochodził ze znacznie dalszej odległości, niż rozstawiony był kordon. Usłyszałem jeszcze kilka serii, a potem zapadła cisza. Spojrzałem na Whis-keya i spytałem szeptem: „Co jest, kurwa, grane?”.

Potem skojarzyłem, że strzały padły z miejsca, gdzie znajdował się trzeci pluton. A to skurczybyk! Jeżeli Willy nawiązał kontakt, to będę zdrowo wkurzony. Musiało na niego trafić? Kurwa! Odkąd przyjechaliśmy do Iraku, Willy i ja konkurowaliśmy ze sobą, kto pierwszy weźmie udział w prawdziwych walkach. Jako że jechałem w konwoju z Kuwejtu do Iraku, byłem pewien, że wygram zakład, ale podróż okazała się spokojna i nudna jak flaki z olejem.

Kilka minut później wycofaliśmy się do naszych pojazdów i opuściliśmy miasto. Byłem bardzo zdziwiony, że operacja przebiegła spokojnie i gładko jak nigdy,

a na dodatek udało się zlokalizować cel i go przechwycić. Założyłem się z Kirkiem o pięć dolców, że go nie znajdziemy, i kiedy wsiedliśmy do humvee, zaczął się ze mnie nabijać i powiedział:

- Ha, ha. Płać, dupku!

Nie poinformowano nas o żadnych stratach, dlatego nie wiedzieliśmy, co oznaczały nocne strzały. Kiedy w końcu spotkałem Willy'ego i chłopaków z jego plutonu, opowiedzieli mi całą historię.

Pluton Willy'ego ma szczęście do wyłamywania bram prowadzących do domów. Tym razem zebrali się pod murem i zahaczyli łańcuch o drzwi i *zderzak* hunwee. Jakież było ich zaskoczenie, kiedy zamiast wyrwać bramę z zawiasów, zawalili cały mur.

Ściana runęła prosto na Cesara i Willy'ego. Willy powiedział, że nic nie był w stanie zrobić. Jak na zwolnionym filmie: widział ścianę, która leci wprost na niego. Nie było sposobu, żeby uskoczyć. Musicie wiedzieć, że Willy to spory kawał miecha. Trzeba ogromnej siły, żeby ruszyć go z miejsca, a jego odporność na ból jest wprost niewiarygodna. „Kiedy zobaczyłem ten mur lecący na mnie, pomyślałem, że to koniec. To naprawdę bolało”.

W przeciwieństwie do Willy'ego Cesar nie jest duży. Braki fizyczne nadrabia sprytem, dlatego ilekroć oddział się grupuje, on jest zawsze obok Willy'ego. Willy twierdzi, że czuje się nieswojo, kiedy taki mały gość praktycznie wchodzi mu do dupy, ale jestem w stanie pojąć, dlaczego człowiek ma ochotę być obok niego,

zwłaszcza jeśli spodziewa się, że sprawy mogą przybrać kiepski obrót.

- Mamy rannych! Mamy rannych! - zaczął krzyczeć dowódca ich drużyny. Choć upadający mur przygniół Willy'ego, ten zdołał się wygrzebać z rumowiska, wyciągając też z niego Cesara. Kiedy zdał sobie sprawę, że to o niego chodzi w tym całym zamieszaniu, wkurzył się i ryknął: „Nic mi nie jest! Nic mi nie jest!”.

Choć nieraz miałem już dosyć pancerzy, które musimy nosić, to tym razem właśnie kamizelka

uratowała Willy'emu życie. Powiedział, że gdyby nie ceramiczne płyty i nakolanniki, byłoby z nim krucho. Cesar wyszedł cało z opresji tylko dzięki temu, że trzymał się obok Willy'ego. Dalej misja przebiegała spokojnie, choć Willy przyznaje, że nie pamięta kilku następnych minut. Dowódca próbował go odesłać na tyły, ale Willy cały czas powtarzał: „Nic mi nie jest, nic mi nie jest”.

Willy wyłamał drzwi frontowe i wtoczył się jak pijany do środka. Tam znaleźli kolejne drzwi, których inna drużyna nie była w stanie otworzyć. Ktoś kazał przynieść taran, ale Willy, w dalszym ciągu wkurzony przez tę akcję z murem, rozpedził się i barkiem wyważył je z zawiasów. Willy do perfekcji doprowadził technikę samodzielnego rozwalania drzwi.

Kiedy skończyli przeszukiwać budynek, Cesar i Willy wyszli przed front. Wtedy z dachu sąsiedniego domu ktoś zaczął do nich strzelać z AK-47. Cesar momentalnie otworzył ogień (najprawdopodobniej ratując

Willy'emu życie). Kule ześlizgnęły się po dachówkach, o włos mijając napastnika, który się skulił. Dzięki temu Willy miał mgnienie oka na to, żeby się schować za róg. Jako że napastnik celował prosto w niego, Willy schował się jak tylko mógł i na ślepo zaczął strzelać zza rogu, jak to kiedyś nasi robili w Wietnamie. Z jednego z humvee otworzono ogień, zasypując dach pociskami 7.62 mm, co skutecznie przepłoszyło napastnika. Jeden z żołnierzy z plutonu Willy'ego był na dachu przeszukiwanego budynku i widział gościa jak na dłoni. Zamiast strzelać, krzyknął: „Stój, nie ruszaj się!”.

Gość przeskoczył na sąsiedni dach, cisnął karabin precz i zniknął w ciemnościach.

Kilka dni później trzeci pluton znów przeszukiwał ten sam dom. Zawalony mur został odbudowany i zastąpiony nową ścianą z pustaków. Kiedy humvee wyrwał bramę, mur się zawalił, ale tym razem nie rozpadł na poszczególne cegły, a runął jako jeden solidny kawał betonu, o mały włos nie rozgniatając kilku naszych żołnierzy.

10 lipca 2004 UXO, EOD, WTF

W Iraku znajduje się nieprzebrana liczba niewybuchów, które odkrywane są w ten lub inny sposób. Bardzo często donoszą nam o nich miejscowi. Czasem, kiedy jesteśmy na patrolu, pokazują nam, gdzie znajdują się ładunki, innym razem znajdujemy je sami, podczas gdy oni kłócą się o coś zażarcie między sobą.

Niekiedy znajdujemy niewybuchy sami, natykając się na nie podczas zwiadu lub zauważając je z powietrza. Zdarza się też, że odnajdujemy je w bardzo nieciekawym sposobie. Kilka dni temu miejscowi robotnicy cięli palnikiem blachę. Położyli ją na ziemi, gdzie, jak się okazało, kilka centymetrów pod ziemią składowane były pociski. Palnik liznął płomieniem jeden z nich i doszło do eksplozji. Nikt nie zginął, ale było kilku rannych. Nie czekając, aż ich opatrzymy, koledzy złapali okazję i zawieźli ich do szpitala w Bagdadzie. Czasem Irakijczycy robią niesamowite rzeczy, bo do Bagdadu jest kawałek drogi. Nieważne, jak znaleziony zostaje UXO, trzeba wezwać chłopaków z EOD, którzy zabierają go, ładują na swoją ciężarówkę i gdzieś wywożą. Ostatnio znaleziono całe pole, gdzie zakopano masę UXO. Najprawdopodobniej niewybuchy pozostawiła Gwardia Republikańska, kiedy ewakuowała swój obóz podczas inwazji. Zawieźliśmy tam saperów, którzy zaczęli saperkami wykopywać ładunki. (Wtedy z reguły staram się, aby pomiędzy nimi a mną znajdował się humvee. EOD to jedyny oddział, którego członkowie z wolnej i nieprzymuszonej woli noszą ochraniacze na

krocze). Załadowali cały urobek na ciężarówkę, a my odeskor-towaliśmy ich w ustronne miejsce, gdzie mogli wysadzić to wszystko w diabły. Podczas kiedy oni szykowali się do pokazu fajerwerków, my ich osłanialiśmy, tworząc perymetr z hunwee.

Tego dnia panował tak potworny upał, że siedzenie w wozie i obserwowanie pracujących EOD było po prostu bolesne. Wsiadłem z samochodu i podszedłem do ogromnego dołu, który wykopali, chcąc spytać,

czy nie mogą, kurwa, pracować jeszcze wolniej? Kiedy zobaczyłem, ile tego świństwa uzbierali, zmieniłem zdanie. Powiedziałem im, że chciałem ich opieprzyć, że ruszają się jak muchy w smole, ale po głębszym zastanowieniu uznałem, że wcale się nie muszą spieszyć. Spora część pocisków, które przenosili, wyglądała, jakby miała zaraz eksplodować, a ja nie zamierzałem być w pobliżu, kiedy to się stanie. Wracając do hunwee, zobaczyłem, że coś się pali. Jak skończony idiota podszedłem bliżej i zobaczyłem, że tli się zapalnik bomby. Nie wiedziałem, co z nią zrobić, zdałem sobie tylko sprawę, że jest niebezpieczna. Później dowiedziałem się, że najprawdopodobniej był to pocisk zapalający z białym fosforem. Porządnie się wystraszyłem i biegiem wróciłem do hunwee, cały czas oglądając się za siebie. Ot, po prostu pocisk zapalił się sam z siebie.

16 lipca 2004

W drodze powrotnej do bazy dostaliśmy kolejne wezwanie, tym razem od zestrzelonego apache'a. Wszyscy spojrzeliśmy na siebie, jakbyśmy chcieli powiedzieć: „Że, kurwa, co? Zestrzelony apache? Jaja sobie ktoś robi?”. Informacja była jednak autentyczna. Nie byliśmy w stanie od razu odpowiedzieć na wezwanie (choć znajdowaliśmy się najbliżej miejsca katastrofy), bo ciągnęliśmy ze sobą uszkodzony pojazd. Nie znając szczegółów sprawy, zakładaliśmy

najgorsze i chcieliśmy jak najszybciej dotrzeć na miejsce wypadku. Zamiast ruszyć tam z kopyta, musieliśmy jednak holować rozwalonego hunwee. W końcu i „podrzuciliśmy” go innemu oddziałowi, który ruszył i im na pomoc, i pojechaliśmy w stronę rozbitego helikoptera.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, okazało się, że obydwaj piloci są cali i zdrowi. Jeden z nich od razu zaczął opowiadać nam o tym, jak zobaczyli na ziemi człowieka, który wycelował i strzelił do nich z RPG. Kiedy apache wykonał unik, zahaczył o linie wysokiego napięcia. Rzeczywiście, opodal znajdowały się dwie linie wysokiego napięcia, które zostały przecięte przez śmigła, ale w bajeczkę o „gościu z granatnikiem” nikt nie chciał uwierzyć. Żał mi było tych chłopaków, zwłaszcza że dowódca brygady przyleciał na miejsce sprawdzić, co się stało z jednym z jego ptaszków.

Linie energetyczne, które zerwał apache, uszkodziły go, a mechanik powiedział, że naprawa będzie kosztować około dwudziestu milionów dolarów. Auć! Kiedy zapadł zmrok, chinook odtransportował apache'a do bazy.

5 sierpnia 2004

„Niech nikt się, kurwa, nie rusza!”

Pamiętacie taką scenę z podrzędnych filmów akcji, kiedy samochód zawisa na krawędzi, a wszyscy jego pasażerowie zamierają w bezruchu, próbując opuścić

wnętrze tak, aby auto nie runęło w dół? No więc mogę coś takiego dodać do listy *rzeczy*, o których nie myślałem, że kiedykolwiek będę musiał robić, a jednak zrobiłem. W czasie ostatniego nocnego patrolu jechaliśmy wąską dróżką biegnącą wzdłuż kanału irygacyjnego. Nagle BANG! Uderzyliśmy w odpływ sterzący pośrodku drogi. To jedna z tych *rzeczy*, jakie zwykle przytrafiają się człowiekowi, kiedy *jeździ* po nocy z wyłączonymi światłami, nieważne, czy używa noktowizora czy nie. Hurrwee zawisł, balansując na środku ciężkości, choć nie wiedzieliśmy dokładnie, gdzie on się znajduje. Samochód zamarł bez ruchu. Ja, siedząc najdalej od środka ciężkości, musiałem zdecydować, czy powinienem siedzieć nadal nieruchomo, czy wysiąść. Kanał, na którego brzegu wisieliliśmy, był jednym z głównych i gdyby humvee wpadł do niego, to utonęlibyśmy w mgnieniu oka. Cholera, nawet gdybyśmy nie byli uwięzieni we wnętrzu ważącego cztery i pół tony samochodu, to ciężar samych pancerzy sprawiłby, że poszlibyśmy szybciej na dno niż w betonowych bucikach Jimmiego Hoffy⁴⁰. Bogu dzięki, że nie jechaliśmy za szybko. Jedyne, czego pragnę, to zginąć w jakiś fajny, godny pozazdroszczenia sposób, najlepiej w bardzo podszłym wieku. Utonięcie w kanale irygacyjnym w jakimś idiotycznym kraju nie jest wystarczająco oryginalne.

7 sierpnia 2004

W dalszym ciągu kocham martwych cywilów. (Dobra, nie byli całkiem martwi).

Jednym z obowiązków mojego batalionu jest zapewnienie bezpieczeństwa sporemu odcinkowi ropociągu. Przebiega on przez okoliczne tereny, gdzie nie ma nic oprócz pustyni. Jak okiem sięgnąć - pustka po horyzont. Nie potrafię wymyślić powodu, dla którego ktoś miałby mieszkać na takim odludziu. Pomimo to tu i ówdzie można natknąć się na rozpadającą się rudere.

Zeszłej nocy mój pluton patrolował okolicę, przez którą przebiega rurociąg. Podjechaliśmy do niego nocą. Kilku chłopaków wysiadło z hunwee i miało się przejść, sprawdzając, czy nic złego się nie dzieje, a potem zapakować się do samochodu i wrócić do bazy. Dowódca plutonu wyjaśnił nam nasze zadanie oraz powiedział, co mamy robić, jeśli napotkamy bandytów. Potem w chwili szczerości dodał: „Słuchajcie, chłopaki. Zdaję sobie sprawę, że szansę na złapanie kogokolwiek są bliskie zeru. Jedyne strzelanina, na jaką możemy liczyć, to starcie z rolnikiem, który weźmie nas za złodziei bydła, co skończy się śmiercią jego i rodziny. No ale cóż, takie życie”.

No więc stałem tak pośrodku cholernej pustyni, a wokoło było ciemno choć oko wykol, bo księżyc był w nowiu. Ruszyliśmy przed siebie w formacji klina, wzdłuż nieregularnych bruzd w zaschniętym mule. Spacer nocą z goglami noktowizora na oczach sprawia, że człowiek ciągle patrzy pod nogi, aby się nie potknąć.

Obok mnie szedł Cesar, po drugiej stronie Orlando, każdy z nich z SAW-em. Po okolicy szwenda się masa bepańskich psów, z których połowa czekała na nas z szaleńczą wściekłością. Skradanie się, kiedy obszczekuje cię sfora jazgotliwych psów, jest z góry skazane na porażkę. Wyraźnie widziałem, że Cesar jest podenerwowany tym, jak blisko podkradają się psy, a Matt wyciągnął nawet pistolet z kabury. Nagle z oddali dobiegł gwizd, psy jak na komendę zamilkły i uciekły. „No pięknie” - pomyślałem. Najwidoczniej psy należały do gościa, który kazał im wracać do domu.

Nagle usłyszałem bardzo znajomy metaliczny odgłos. Ka-bong! Rozejrzałem się dookoła i na tle jedynej konstrukcji wznoszącej się w tej pustej krainie piachu zobaczyłem mężczyznę w białej, powłóczystej szacie. Choć ledwie go widziałem, to zdawałem sobie sprawę, że facet trzyma uniesioną broń. Od razu zorientowałem się, co się za chwilę stanie. Bum! Błysk ognia z lufy i odgłos

strzału nie padły jednocześnie. Facet był jakieś 150 metrów po lewej od nas. Opadłem na jedno kolano, zastanawiając się, czy chcę odpowiadać ogniem. Najprawdopodobniej ten gość chciał tylko wystraszyć ludzi walęsających się po zmroku opodal jego domu. Z drugiej strony każdy rolnik, który nas ostrzela, zawsze opowiada tę samą bajeczkę. Cały ten proces myślowy zajął mi niecałą sekundę, kiedy usłyszałem przeraźliwe „tadadadadada!”. To Cesar otworzył ogień ze swojego SAW-a. W jego ślad poszły inne karabiny, a facet w białej szacie dał nura za róg domu. „Okay - pomyślałem. - To oznacza, że jednak strzelamy. Skoro tak,

to czemu nie mam się trochę zabawić?” Przetawiałem selektor ognia Waziny na półautomatyczny, spojrzałem przez aimpoint, celując zieloną kropką w dach budynku, i nacisnąłem spust. Klik. Co jest, ku...?

Od ciągłego przeładowywania tego samego pocisku na splotce zaczyna pogłębiać się dołeczek, gdyż iglica uderza ciągle w jedno miejsce. Kiedy przychodzi do wystrzału, nie może ona sięgnąć wystarczająco głęboko i skrzesać skry, która spowoduje wybuch prochu. Niezależnie od tego, jaka była przyczyna, mój pierwszy strzał w prawdziwej walce okazał się niewypałem. _j Ogarnął mnie niepokój i poczucie zawodu. Poprzysiągłem sobie, że nigdy więcej nie znajdę się w takiej sytuacji, przeładowałem broń, jeszcze raz wymierzyłem w dach i pociągnąłem za spust. Dobrze było wreszcie móc postrzelać na serio.

Cesar naprawdę nieźle się bawił, prując z SAW-a. Krzyknąłem do niego: „Nie strzelaj do nich”. W tamtej chwili nie wiedziałem, jak mam mu powiedzieć, że chcę, aby nadal prowadził ogień, ale nie celował w ludzi. Nie sądziłem, aby facet z karabinem stanowił dla nas realne zagrożenie, i nie chciałem go zabić. Uważałem jednak, że trzeba zadać mu bobu. Posłałem kilka serii w dach domu i ponad jego szczyt, zauważając jednocześnie, że reszta chłopaków także mierzy dość wysoko. Nie wiem, czy działo się tak, bo myśleli podobnie jak ja, czy dlatego, że nie potrafili w nocy dokładnie celować. Powszechnie znanym faktem jest, że w ciemności nie celuje się dokładnie i serię ciągnie do góry. W każdym razie strzelanie do dachu uznałem za głupie, więc zacząłem się

rozglądać za innym celem. Okna? Nie. Samochód? Też nie. Nikt nawet nie próbował się za nim ukryć ani odjechać. Ciągnik? Też nie. Na Boga, żadnego celu wartego uwagi! Wyprułem jeszcze kilka serii w dach, a potem porucznik nakazał wstrzymać ogień. Krzyknął do mnie:

- Wystrzel HE!

Strzelać HE? Czy on sobie jaja robi? Czy to nie za dużo jak na kilku cywilów i dom?

• HE? - odkrzyknąłem.

• Nie, nie, nie! Flara, flara - krzyczał ile sił w płucach.

A, teraz to już rozumiem. Chodziło mu o pocisk oświetleniowy, choć mógłbym przysiąc, że usłyszałem HE.

- Uwaga, flara! - krzyknąłem, a potem załadowałem ją do 203 i z głośnym „doink!” wystrzeliłem w powietrze. „Pop!” - flara rozbłysła i zawisła w powietrzu. Pustka przed nami stała się bardziej widoczna.

Porucznik jeszcze raz mnie wezwał i rozkazał:

- Otoczcie teren.

Wzajemnie się ubezpieczając, obie drużyny zaczęły posuwać się w kierunku zabudowań. Był to podręcznikowy przykład rozpoznania celu. Jeden oddział pod osłoną drugiego podeszliśmy do zabudowań, po czym moja drużyna zabezpieczyła flankę, obserwując okolicę. Druga drużyna

przeszukała dom. W trakcie rewizji nadjechały humvee, dodatkowo nas ubezpieczając. Potem moja drużyna przeszukała resztę zabudowań, unikając stratowania przez byka trzymanego w zagrodzie na podwórku.

W domu znaleźliśmy czterech mężczyzn, jeden AK-47, wiele kobiet i chmurę dzieci. Najwidoczniej Allah nie życzył sobie, aby którakolwiek z kul dosięgła członków rodziny (dzięki Bogu), tylko odłamki pokaleczyły szczękę jakiegoś młodzieńca. Krwawił trochę, ale nic mu nie było. Zarekwirowaliśmy karabin, ale nikogo nie aresztowaliśmy.

Przeszukanie wyglądało tak jak zawsze. Mężczyźni zbili się w jedną grupkę, starsze kobiety płakały i biły się w piersi, zawodząc, a dzieci były podniecone widokiem żołnierzy. Zrobiłem zdjęcia wszystkim mężczyznom, a wtedy najmłodszy chłopiec pociągnął mnie za rękaw. Też chciał być sfotografowany. Skierowałem na niego obiektyw, a on spróbował przybrać poważną minę. Kiedy zrobiłem zdjęcie, znów zaczął się zachowywać jak hiperaktywny dzieciak biegający po Disneylandzie.

Daliśmy im skrzynkę MRE, zgrzewkę wody w butelkach i próbowaliśmy być jak najmiłsi. Zupełnie jakbyśmy chcieli powiedzieć: „Przepraszamy, że prawie rozwaliliśmy waszą rodzinę. Przyjmijcie to jedzenie i wodę jako przeprosiny”.

18 sierpnia 2004

Najpiękniejsza dziewczyna w Katarze

Z perspektywy czasu uważam, że lepiej było pojechać do Mań Lakę. Nie żebym miał jakiś wybór. Dostałem czterodniową przepustkę, którą mogłem spędzić albo w Camp Chill w Katarze, albo w Man Lake (które

nazywane jest czasem Wyspą Kutasów). Żebym się nie zgubił w trakcie tych kilku dni wolnego, dano mi mapę Camp Chill (miejsce to nazwano tak z jakiegoś błahego powodu), z której nic się nie dało odczytać. Na planach nie wolno robić notatek ani zapisywać numerów domów, ponieważ istnieje groźba, iż mapa dostanie się w ręce wroga i posłuży do skoordynowanego ataku na określone, rozpoznane lokacje.

Co najsmieszniejsze, bazę Camp Chill zbudowano dookoła restauracji. W jej progach kończą wszyscy żołnierze na przepustce, którzy postanowią wrzucić coś na ząb. Niestety, wieprzowiny w niej nie uświadczysz, podobnie jak zdjęć kobiet w katalogach AAFES wysyłanych żołnierzom stacjonującym na Bliskim Wschodzie. Każda dziewczyna, która nie nosi burki, zastąpiona jest na fotografiach szarym zarysem sylwetki. Codziennie grupa wygłodzonych wojaków staje w drzwiach restauracji i chce zjeść coś normalnego. *Przez* tygodnie karmiono ich puszkowaną wołowiną, więc już wysiadając z autobusu, czują, jak kiszki grają im marsza na nutę: „Chcę żeberek!”. Wpadają do restauracji jak tajfun, zajmują miejsca przy stoliku, otwierają kartę dań i ze zdziwieniem mówią: „Nie ma żeberek? Jaja sobie robicie? I co to, kurwa, jest boczek wołowy?”.

Tuż obok Chill znajduje się sporych rozmiarów basen, otoczony prawie dwumetrowej wysokości ceglanym murem. W tym zamkniętym dystrykcie znajduje się niewielki kampus budynków, a każdy z nich otoczony jest dodatkowo płotem z *żelaznej* siatki, wzdłuż którego *przechadzają* się patrole strażników.

Służbę wartowniczą pełni ciągle zmieniająca skład [j] banda niechlujnych typów z powybijanymi zębami, gadających z wiejskim akcentem. Strażnicy rekrutują się spośród zwykłych leni, gnojków o pryszczatych ryjach, którzy uważają, że podpieranie bramy, robienie groźnych min i rzucanie złowrogich spojrzeń każdemu, kto się do niej zbliży, to sposób, w jaki powinno się służyć w wojsku. Do wewnętrznego sanktuarium, które składa się z Chillii i basenu, prowadzi tylko jedno wejście i nawet ono chronione jest przez dodatkowe fortyfikacje, przez co trzeba nadrabiać drogi w kształcie litery T. Wewnątrz murów okazuje się, że kolejną przeszkodą na prostej drodze jest basen. Należy go obejść, co zmusiłoby niedoszłych napastników do biegania naokoło zbiornika z wodą i przedzierania się przez porostawiane stoliki i krzesła. Gość, który projektował basen, musiał tego dnia mieć napad taktycznego geniuszu. Sztab Główny mieści się w Camp Chillii (poważnie), a ja podejrzewam, że za lodówką w kuchni jest tajne przejście do ogromnego podziemnego centrum dowodzenia i Jaskini Nietoperza, gdzie trzymają Batmobil. Jakos nie zanotowałem tego na mapie.

Podstawową atrakcją wyjazdu do Kataru są kobiety. Gadanie o tym, że przepustka służy do odpoczynku, to stek bzdur. Jest tak samo ciężko jak na froncie, bo chodzi o to, żeby jakąś babeczkę zaciągnąć do łóżka. W Mań Lakę możesz liczyć na własny pokój, co jest darem niebios, jeśli zamierzasz walić konia w samotności. Niestety, stosunek mężczyzn do kobiet wynosi sto do jednego, więc na nic innego niż

własna graba nie możesz liczyć. W Camp Chillii przypada tylko dwudziestu *mężczyzn* na jedną kobietę, co znacznie zwiększa szansę na fartowny strzał. Wolno ci też wypić do trzech piw dziennie. W Mań Lakę alkohol jest ściśle zabroniony. W Camp Chillii możesz pójść gdzieś na miasto, zająć się swoimi sprawami, a w Mań Lakę nawet byś nie chciał wyściubić nosa poza teren bazy, bo przecież nadal jesteś w Iraku. Podczas przepustki w Mań Lakę nie rozstajesz się z kombinezonem przeciwchemicznym, bo cały czas istnieje *groźba* takiego ataku. Mnie to przeszkadza, bo jakoś nigdy nie potrafiłem się odprężyć w masce przeciwgazowej.

Wychodząc na przepustkę, jesteś skazany na towarzystwo ludzi, którym udzielono jej w tym samym terminie. Jeśli masz farta, trafisz na fajnych gości, choć prawda jest taka, że zawsze wśród nich znajdzie się jakiś dupek. Tym *razem* poszczęściło mi się i spotkałem kilku wyluzowanych, równych chłopaków. Najstarszym z nas był ogorzały rudy sierżant *moździejy E-6* imieniem Earl, który służył w innej niż moja kompanii piechoty. Oprócz niego trafiłem na wielkiego młodziaka z Portoryko, Karla, który był działonowym *bradleya*, oraz na odrobinę dziwnego specjalistę od paliw, Lawrence'a.

Nim wypuścili nas w świat, musieliśmy spędzić dzień w bazie lotniczej Balad, gdzie żołnierze mogą pobrać gotówkę i załatwić swoje sprawy przed odlotem. Jest to chyba największa baza w Iraku i, jak na standardy tego kraju, oferuje same luksusy. Jej główną atrakcją jest basen olimpijskich rozmiarów, bez mała pięć razy większy od tego w Katarze. Kiedy armia zajęła te tereny, basen był

I wypełniony śmieciami. Jeden z pracowników kontraktowych, który uczestniczył w projekcie jego odbudowy, , opowiadał mi, że ze środka wyciągnęli rozwalony samolot. Nasza czwórka zgodnie ustaliła, że w basenie musimy spędzić tyle czasu, ile tylko możliwe.

Pierwsze kroki skierowaliśmy do finansów, aby pobrać trochę gotówki. Prawdopodobnie komuś nie spodobał się sposób, w jaki został potraktowany, i narobił kłopotów, dlatego departament finansowy rządu się obecnie wieloma żelaznymi zasadami, które mają utrzymać w drylu odwiedzających go ludzi.

Weź formularz, usiądź tam, wypełnij dokumenty, wstań, podejdź tutaj, poczekaj, wezwany podejdź tam, stań, czekaj, połóż wypełnione papiery na biurku, wyrecytuj alfabet od tyłu, wykonaj sekretny znak masońskiego powitania, reanimuj trupa na biurku i czekaj na dalsze rozkazy od Fuhrera. Nigdy nie byłem zbyt dobry w te klocki. Już od samego początku miałem przegwizdane, ponieważ nie widząc kolejki, podszedłem do biurka i powiedziałem:

- Przepraszam, czy... - nie zdążyłem dokończyć, ponieważ usłyszałem w odpowiedzi:

- Wypełniłeś formularz? Nie, to zmiataj stąd i wypisz papiery!

Wycofałem się za drzwi, wziąłem kwestionariusz i grzecznie go uzupełniłem. Potem wróciłem i spytałem:

- Dobra, mam pytanie... - Znowu dałem ciała, bo urzędas warknął:

- Proszę poczekać na zewnątrz, aż zostanie pan zawołany.

- No dobrze... - Wyszedłem za drzwi, stanąłem grzecznie, a po chwili usłyszałem:

- Następny!

Wszedłem do pomieszczenia po raz trzeci i zacząłem od początku:

- Cześć, zastanawiam się, czy... - i znów nie dokończyłem, bo Fuhrer *zażądał*, abym zdjął okulary. Miałem już serdecznie dosyć tej szopki, bo poniewierał mną jak kadetem w obozie dla rekrutów, za czym niespecjalnie przepadam. Jako że pochodzę z paternalistycznej rodziny, miewam tendencje do podporządkowywania się autorytetom. Kiedy się na tym łapię, denerwuje mnie, że po raz kolejny dałem się stłamsić jakiemuś typowi. Przez głowę przemknęło mi kilkadziesiąt *rzeczy*, które mógłbym powiedzieć temu koleśowi: „Starszy sierżan cie, służę w armii od trzynastu lat, a w tej misji biorę udział od prawie roku. Obaj jesteśmy NCO, dlatego nie podoba mi się, że mówicie do mnie jak do jakiegoś kadeta. Więc dlaczego nie weźmie pan mojego formularza, który tak pieczołowicie wypełniłem, nie podpisze go pan i nie da mi spokoju? Może darujmy sobie tę szopkę ze zdejmowaniem okularów, co? Aha, chuj ci w dupę, faszystowski skurwielu”. Oczywiście nic takiego nie zrobiłem, tylko mruknąłem: „Tak jest” i zdjąłem patrzaliki. Podałem mu formularz, który przeczytał z miną, jakbym pisał nie długopisem, a różowym flamastrem. W końcu przystawił pieczętkę, podpisał się i skierował mnie do sierżanta w kasie. Znowu palnąłem: „Tak jest”, choć w rzeczywistości brzmiało to jak: „Pierdol się”.

Zabrałem papiery do okienka, gdzie przywitała 1 mnie czarnoskóra dziewczyna z dystynkcjami sierżanta na mundurze. Błysnęła uśmiechem i z zadziwiającą werwą spytała: - Jak się pan dzisiaj miewa, sierżancie? Szczerze mówiąc, miałem ochotę jej wygarnąć albo 1 przynajmniej powiedzieć: „Żartujesz sobie ze mnie? Jak się miewam? Twój przełożony przed chwilą potraktował mnie jak śmiecia i zmieszał z błotem, a teraz ty [nabijasz się ze mnie, pytając o moje samopoczucie, i to jeszcze z dobrodusznym uśmiechem na ustach. Albo jesteś kopnięta, albo jeszcze bardziej złośliwa niż twój szef nazista". Ale dziewczyna bardzo ładnie pachniała i zacząłem się zastanawiać, czy jest z tych, co pozwalają chwycić się za tyłek już na pierwszej randce. Miała długie, pomalowane paznokcie, całkowicie sprzeczne z regulaminem, choć nie wyobrażam sobie, aby którykolwiek z jej zwierzchników mógł zwrócić jej z tego powodu uwagę. Na pewno wszyscy ślinili się na jej widok i próbowali wepchnąć łapy w stanik. Nie lubię co prawda, kiedy kobieta orze mi takimi pazurami plecy, ale mógłbym to jakoś ścierpieć. Albo kazałbym jej zakładać do łóżka rękawiczki. W marzeniach zaliczyłem z nią pierwsze kilkadziesiąt ze *120 dni Sodomy* markiza de Sade, kiedy zdałem sobie sprawę, że nie odpowiedziałem na jej pytanie.

- Świetnie - mruknąłem z lekkim spóźnieniem. Kiedy ona odliczała mi pieniądze, cywil siedzący po przeciwnej stronie zaczął jej żartobliwie dogadywać. Dziewczyna roześmiała się głośno, a ja poczułem

ukłucie zazdrości. Nawet nie *zacząłem* z nią gadać, a już myślałem o niej jako o swojej własności. Cholera.

Kolejną rzeczą w planach były małe zakupy w PX i strzyżenie. *Zaden* z nas nie miał własnych kąpielówek, a w sklepie był ich dość ograniczony wybór, dlatego musieliśmy zakupów dokonać wspólnie, aby pływać w basenie w czymś, co przypomina pantalone babci. Między nami mówiąc, wykupiliśmy wszystkie kąpielówki, do tego kilka przykrótkich ręczników, parę butelek schłodzonego gatorade, suszoną wołowinę, gazety, DVD oraz trochę niepotrzebnych śmieci, jakie zawsze trafiają w ręce żołnierzy na przepustce.

Z rękami urywającymi się od wypchanych po brzegi plastikowych toreb z zakupami skoczyliśmy do *fryzjera*, który mieścił się w tym samym budynku. Strzyżenie zaliczyłem dwa dni wcześniej. Sam zjechałem się maszynką prawie na zero. Jest to sztuka, którą opanowałem przez lata mojej służby w wojsku. Dzięki niej oszczędzam pieniądze i czas, a okoliczne dziewczyny nie *zaczepiają* mnie, żeby pogadać. Pomimo to skoczyłem z chłopakami do fryzjera, żeby dotrzymać im towarzystwa. Kiedy Karl zdjął bluzę munduru, aby nie powpadały pod nią obcinane włosy, szczeka opadła mi na podłogę. Facet mierzył sobie prawie dwa metry wzrostu i był o jakieś dwa i pół centymetra wyższy ode mnie. Mięśnie miał jak grube postronki, na ramionach długie i kształtne, nadające jego posturze elegancji i atrakcyjności. To był gość, który własnym wyglądem budził niepokój i szacunek. Jego klatka

piersiowa była nie mniej imponująco zbudowana, & muskulatura nadawała jej kształt trapezu. Takich j ludzi widywałem do tej pory tylko w kreskówkach z He-Manem w roli głównej. To była jedna z takich dziwnych chwil w życiu heteroseksualnego mężczyzny, kiedy nie wie, czy chce przelecieć tego gościa, czy po prostu _ nim być. Jak ja mam na siebie zwrócić uwagę jakiegokolwiek dziewczyny, jeśli obok mnie będzie siedział taki potwór hodowany na sterydach? Przez chwilę poczułem dumę z faktu, że jestem kumplem tego gościa. On jest ze mną. Moment, chwila, to trochę pedalski sposób myślenia. Ja tak nie chcę, błe. Wbrew samemu sobie nie mogłem oderwać oczu od jego mięśni. Musiałem się odwrócić, głupio byłoby zostać przyłapanym na podglądaniu

innego faceta. Ale nic na to nie mogłem poradzić. Jezus Maria, gdybyście sami mogli to obejrzeć na własne oczy! Potem zobaczyłem własne odbicie w jednym z lusterek i przypomniałem sobie, kim jestem. Mierzę prawie dwa metry, ważę około osiemdziesięciu kilogramów, a obwód mojego kołnierzyka wynosi czterdzieści kilka centymetrów. Usiadłem potulnie na krześle w poczekalni, mając nadzieję, że nikt nie zauważy chuderlawego dzieciaka w mundurze Armii Stanów Zjednoczonych.

Kiedy załatwiliśmy wszystkie nasze małe sprawy, poszliśmy na obiad do stołówki. Gdybym w niej regularnie jadał, stałbym się najgrubszym chudzielcem w wojsku. Napelniwszy żołądki, objuczeni ręczni-

karni, klapkami i kąpielówkami, ruszyliśmy na basen. Żaden z nas nie wiedział, jakim autobusem dojedziemy na miejsce, więc trochę pobłądziliśmy. W końcu, po pełnej rundzie dookoła obozu, rozpracowaliśmy system i dotarliśmy na miejsce. Kiedy dojechaliśmy w okolice pływalni, spostrzegliśmy, że ludzie stłoczyli się pod osłoną budynku, gdzie znajdowały się przebieralnie, jakby na coś czekając. Nie za bardzo wiedzieliśmy, co się dzieje, więc spytałem jednego z kolesiów, którzy stali obok:

- Co jest grane? Czemu wszyscy stoją tutaj, a nie siedzą obok basenu?

Gość spojrział na mnie, jakbym sobie z niego jaja robił, i po dłuższej chwili odparł, nie próbując ukryć, że ma mnie za totalnego imbecyla:

- Mamy żółte światło.

No jasne, żółte światło. To wszystko wyjaśnia. Dzięki za informację, kutasie. *Drżąc* temat do końca, zwróciłem się do kolesia obok:

- Co to znaczy, że mamy żółte światło?

Ten drugi miał więcej cierpliwości do odpowiadania na głupie pytania, dlatego wyjaśnił:

- Ogłoszono alarm. Ktoś podobno strzelał z moździerzy. Nie dadzą nam zielonego światła, dopóki nie będzie w pełni bezpiecznie.

No i wreszcie byliśmy w domu. Baza była tak często ostrzeliwana, że posiadała własny PA⁴² do ogłaszania alarmu, kiedy tylko nadeszły ostrzeżenia. Jak się później dowiedziałem, basen był najczęściej ostrze-

liwanym celem, a to ze względu na liczbę ludzi, którzy f. się wokół niego kręcili. Jak dłużej nad tym pomy-|śleć, to jest w tym jakiś sens. Trafienie z moździerza Iw ten rejon byłoby straszne. Na samą myśl o poszat-f kowanych ciałach pływających w zmieszanej z krwią wodzie robi mi się gorąco. Nie tak dawno temu ktoś ^wystrzelił raketę we front PX, zabijając kilku żołnierzy. Pomijając ten „szczęśliwy traf”, większość pocisków ładowała z dala od celu. Na ironię zakrawa fakt, że większość miejscowych w mojej okolicy wierzyła, że baza jest chroniona polem siłowym (mówię poważnie), i nawet nie próbowała jej atakować. Pomimo to musieliśmy przez cały czas chodzić w pełnym oporządzeniu. A tutaj, gdzie ostrzał zdarza się kilka razy dziennie, nikt nie chodzi w hełmach, ba, spora część ludzi gania w kąpielówkach i kapeluszkach wędkarskich. Któregoś razu pocisk trafił w pralnię. Biedni żołnierze, przez tydzień nie mieli czystej bielizny, bo przerażone praczki odmówiły powrotu do pracy.

Ledwie zdążyliśmy przebrać się w kąpielówki, a już odwołano alarm. Ruszyliśmy na basen i zasiedliśmy w białych plastikowych krzeselkach, stanowiących komplet ze stojącym pomiędzy nimi stolikiem. Wreszcie mieliśmy okazję, aby dokładnie rozejrzeć się po okolicy. Wszędzie było

widać cycki i tyłki. To była prawdziwie cudowna chwila i syciliśmy się nią (zaspokajając nasze rozszalałe libido) przez dobre dwadzieścia minut. Żaden z nas nie powiedział ani słowa, tylko głowy nam chodziły to w lewo, to w prawo.

Normalnie taka scena nie zrobiłaby na mnie większego wrażenia, ale w obecnych warunkach każdy babo-

chłop czy niezbyt ładna dziewczyna z małymi cyckami i wielkim tyłkiem były kapłankami kościoła pod wezwaniem Muszę Coś Wydymać. Na szczęście nie tylko my siedzieliśmy jak zboczeńcy na ławce w parku, obserwujący małe dziewczynki. Tuż za ogrodzeniem znajdował się jednopiętrowy budynek, przy którym uwijali się miejscowi robotnicy. Jeden z nich, Irakijczyk w biało-czerwonej shemagh⁴³ obwiązanej dookoła głowy, stał na dachu domu, obserwując basen. Opierał się na grabiach i ze swoim nieodgadnionym wyrazem twarzy wyglądał jak farmer z *American Gothic*⁴¹. Oceniwszy trzeźwym okiem sytuację i wcieliwszy się na moment w jego rolę, uznałem, że musi mieć niezły ubaw. Diabełek na moim ramieniu i skubany anioł siedzący na drugim, którzy zwykle mi doradzają, teraz zachichotali i przybili sobie piątki.

W końcu przestaliśmy się rozglądać dookoła jak głupi i wróciliśmy na ziemię. Karl i ja ruszyliśmy do basenu. Przy jednej z krótszych krawędzi ustawiona była wysoka platforma, z której chłopaki skakali do wody, popisując się przed dziewczynami, dając im okazję do wybrania samca do następnej kopulacji. Karl i ja rozdzieliliśmy się, z wolna drepcząc wokół basenu, jak łosósz szukający miejsca na tarło. Karl dołączył do meczu piłki wodnej i zaczął gadać z kilkoma laskami, co i rusz rzucając aluzję do „wodnych igraszek”, sprawdzając przy tym, która załapie, o co mu chodzi. Koniec końców namoczyliśmy się z Karlem za wszystkie czasy i postanowiliśmy poskakać do wody. Droga ze szczytu platformy do basenu zdawała się zajmować cały dzień i jeszcze trochę. Kiedy w końcu grzmotnąłem o taflę wody, połowę zbiornika wciągnąłem do nosa. Uznawszy, że dość tej błazenady, wróciłem na moje krzeselko i przez następne kilka godzin nie robiłem nic poza podtrzymywaniem najprostszych funkcji życiowych. Bez wątpienia był to najprzyjemniejszy i najspokojniejszy okres mojej czterodniowej przepustki, co zakrawa na ironię, bowiem nie rozpocząłem nawet jeszcze urlopu. Czuję się świetnie, nie nosząc na sobie pancerza i pozwalając słońcu ogrzewać skórę. Wszyscy nieźle się przypaliliśmy, ale nikt z nas o to nie dbał. Poza tym opalenizna przydawała nam uroku, a muszę przyznać, że niektórzy z żołnierzy byli naprawdę ładnie opaleni. Sam basen został zbudowany bez zarzutu, co świadczyło, że nie projektowali go Irakijczycy. Naszego bezpieczeństwa pilnowało kilku długowłosych ratowników z Polinezji, którzy, jak mi się wydaje, musieli być kontraktowymi pracownikami cywilnymi. Cechowała ich typowa nonszalancja, jakiej zapewne uczą na kursach dla ratowników. Nie mogli się opędzić od dziewczyn, które wpatrzone były w nich jak w obrazek. Od razu znieawidziłem ich z zasady, bo znacznie zmniejszyli moje szansę na podryw dziewczyny odważnej na tyle, aby pojawić się na basenie w bikini.

Na potrzeby żołnierzy, którzy przylatują bądź odlatują z Iraku, postawiono szereg namiotów, gdzie mogą znaleźć kąt do spania w oczekiwaniu na samolot. Często się zdarza, że loty zostają odwołane lub przełożone o kilka dni, kiedy aktywność wroga jest szczególnie

wysoka. Wypadki ostrzału z moździerzy lub broni ręcznej sprawiają, że samolot może tkwić na pasie startowym przez dzień lub dwa. Kiedy jest spokojnie, zwykle w obozie przesympia się jedną noc.

Kiedy daliśmy już sobie spokój z basenem i najedliśmy się do syta, wróciliśmy do namiotów, gdzie mieliśmy kwatery. Podczas naszej wyprawy do PX gruntownie spenetrowałem tamtejszy dział z płytami i kupiłem kilkanaście interesujących mnie DVD (*Dróżnik* i *Twin Peaks* - sezon pierwszy).

DVD są podstawowym źródłem rozrywki dla żołnierzy w Iraku i choć generalnie od miejscowych handlarzy możemy kupić pirackie kopie, to są one miernej jakości, a ja zawsze trafiam na takie z obciętą końcówką filmu. Bardzo się cieszyłem, że wreszcie obejrzę jakiś normalny film, ale bateria w moim laptopie rozładowała się tuż przed końcem płyty. Fatum jakieś. Dla mnie to i tak żadna różnica, bo mam kiepską pamięć do filmów, więc wsadziłem laptopa do zmaltretowanej walizki Pelikana i poszedłem spać.

Kilka godzin po tym, jak poznałem Karla, szczerze wyznał mi ze swoim portorykańskim akcentem: „Wiesz, ja po prostu muszę coś przelecieć. Nie liczy się, jak będzie wyglądała. Jeśli spotkamy jakieś panienki, nie zamierzam startować do ładnej. Pogadam z nią, a potem bzyknę tę brzydką”. Nie mogłem wprost uwierzyć w to, co usłyszałem. *Przecież* było jasne, że jeśli spotkamy jakieś panienki, to bardziej będą leciały na niego niż na mnie. Z drugiej strony Karl chciał mieć pewność, że jakąś zaliczy. Jak mogłem się spierać

i odwozić go od pomysłu, który dla mnie miał tylko same dobre strony?

Następnego dnia po śniadaniu zostaliśmy zgromadzeni w dużym namiocie z ławkami, gdzie mieliśmy czekać na nasz lot. Po raz pierwszy i jedyny każdy, kto leciał do Kataru, znajdował się w tym samym miejscu. Karl i ja zaczęliśmy się włóczyć, zezując na dziewczyny. Wszyscy faceci w okolicy robili to samo co my, a ich spojrzenia śmigały na boki jak rekiny, które wyczuły krew.

Statystycznie rzecz ujmując, jeśli masz poderwać panienkę na przepustce, musi to być któraś z twojej grupy. W Katarze będą już na nas czekać żołnierze, a wraz z nami przyleci ich jeszcze więcej. Pośród nich będą kobiety, ale cztery dni na podryw to nie jest dużo czasu. Każda kobieta spotkana na miejscu będzie miała wianuszek adoratorów podrywających ją od co najmniej dnia. Te, które przylecą z Iraku, także będą obstawione przez facetów, którzy zagięli na nie parol jeszcze w macierzystej bazie. Trzeba było działać szybko i najlepiej zacząć podchody od razu, tu, na miejscu.

Przeciętnej kobiety, która służy w armii, nie chciałbym tknąć nawet dwumetrowym kijem. Niech za przykład posłuży Lyndie England, należąca do paczki z Abu Ghraib⁴⁵. To po prostu obrzydliwy pasztet, ale jak na standardy wojska całkiem przyzwoita dziewczyna. Kiedy facet obywa się bez kobiet przez tak długi czas jak my, jego gust bardzo się zmienia. Po kilku

miesiącach na polu walki człowiek podnieca się na widok byle spódniczki. Co więcej, robi się napalony jak trzyna-stolatek. Któregoś dnia musiałem *zajrzeć* do ambulatorium, żeby zaaplikowali mi szczepionkę przeciwko wąglikowi. Jedna z pielęgniarek spała na leżance. Nigdy specjalnie mi się nie podobała, ale była całkiem szczupła i dość atrakcyjna. Starsza ode mnie i ogorziała od ciągłego przebywania na słońcu. Spała bez bluzy, w samym podkoszulku, pod którym widać było jej małe, rozplaszczone teraz piersi i stanik. Leżała w taki sposób, że mogłem sobie wyobrazić je w moich dłoniach, a na dodatek spodenki ciasno opinały jej biodra. Kiedy na nią patrzyłem, obudziła się i w dalszym ciągu leżąc, powiedziała: „Dzień dobry, sierżancie Hartley”. Z miejsca dostałem erekcji.

Wszystkie babeczki w namiocie, które były choć trochę ładne, stały otoczone wianuszkami zagadujących je facetów. Inni krążyli wokół nich jak sępy czekające, aż szakale skończą ucztę. W rogu namiotu na jednej z ławek leżała dziewczyna. Pierwsze, na co zwróciłem uwagę, to jej włosy. Były długie, jasnoblond i zaczesane za uszy. Jej skóra była gładka i bez skazy, a brwi przypominały perfekcyjnie zakrzywione łuki. Spoglądając na nią, nie mogłem *znaleźć* żadnej wady: miała wysokie kości policzkowe, mały, prosty nosek, ciemne rzęsy, delikatne i różowe wargi. Była doskonała. Co, na Boga, taka dziewczyna robiła w wojsku?

Karl i ja usiedliśmy na ławce i szybko omówiliśmy naszą sytuację. W namiocie było kilka

fajnych dziewczyn i parę znośnych, jednak blondynka była zdecydowanie najładniejsza. Karl powiedział, że nie

dba o to, którą zagadamy; cokolwiek zrobimy, będzie i dobrze. Decyzja należała do mnie. Nie wiedziałem, dlaczego blondynce nikt nie poświęcał uwagi, ale i pewne było, że przez następne cztery dni będzie się wokoło niej kręciła zgraja facetów. Zakładając, że naszym priorytetem był seks, najlogicznym rozwiązaniem byłby podryw którejś z całkiem znośnych panienek. Jeżeli trafiłaby się taka puszczałka, która miałaby ochotę przespać się w ciągu czterech dni z dwoma kolesiami, tym lepiej. Jednak doskonale wiedziałem, że takie rozwiązanie nie wchodzi w grę, blond aniołek już zawładnął moim sercem.

Ogarnęła mnie frustracja. Jak nic innego chciałem ją poznać, rozśmieszyć, rozkochać we mnie. Oczywiście wyobraziłem sobie nasze dzieci i zastanawiałem się, jak to będzie - budzić się obok niej przez resztę mojego życia. Czy ucieszy się z romantycznej wyprawy do Paryża, na którą zabiorę ją, kiedy dzieci dorosną i wyniosą się z domu? Nieczęsto zdarza mi się myśleć w ten sposób o nieznanym dziewczynach. Cały czas powtarzałem sobie, że straciłem dla niej głowę, bo od czasu przylotu do Iraku nie widziałem takiej dziewczyny jak ona. Moje zaświergo-lenie było całkowicie przewidywalne, nieracjonalne i pozbawione oryginalności; no i co z tego? A jeśli rzeczywiście była niesamowitą osobą? A jeżeli faktycznie się w sobie zakochamy? Nie mówię, że przelecenie jakiejś armijnej żdzyry było przemyślanym posunięciem, wręcz przeciwnie. To dlaczego nie pójść na całość i nie poświęcić wszystkich sił, aby poznać tę dziewczynę? Poza tym nawet jeśli mi się nie uda,

to spróbuje dokonać czegoś dobrego, czego nie będę się musiał wstydzić. Wydymanie za śmietnikiem jakiejś cichodajki może być tematem do żartów i śmiechu z kumplami, ale czy o to w życiu chodzi?

Lot do Kataru ciągnął się niemiłosiernie. Lecieliśmy C-130 i siedzieliśmy na tych samych siedziach, które zajmowałem jako spadochroniarz w Utah. Choć fotele z siatki były koszmarne niewygodne, to poczułem, jak ogarnia mnie nostalgia. Naprawdę brakowało mi skakania. Szybko zasnąłem, ale kiedy otworzyłem oczy, bolał mnie tyłek, a jajka mi zdrętwiały.

Kiedy wylądowaliśmy na miejscu, zaliczyliśmy kolejną zbiórkę, a potem czekała nas długa jazda autobusem do bazy, gdzie mieliśmy spędzić cztery dni przepustki. Na miejsce dotarliśmy grubo po północy, więc po przydzieleniu kwater od razu położyłem się spać. Następnego ranka odbyła się ostatnia zbiórka. Na jej zakończenie wszyscy, którzy mieli biegunkę, a jej przyczyną nie były nerwy, musieli oddać próbkę stolca do analizy.

Przez resztę dnia Earl, Lawrence, Karl i ja trzymaliśmy się razem. Większość czasu spędziliśmy, włócząc się po sklepach i kupując jak najwięcej rupieci. Głupawe pamiątkowe koszulki, czapki baseballowe, DVD, płyty kompaktowe, gazety, przybory toaletowe, pizzę, wodę mineralną, hamburgery i bliskowschodnie świecidelka wyprodukowane w Tijuanie.

Karl i ja kupowaliśmy właśnie kawę, kiedy podeszła do nas blondyneczka z koleżanką. O mój Boże! W cywilnych ciuchach wyglądała jeszcze lepiej. Co

, więcej, były same, więc o lepszej okazji do zagadnię-!, cia nie mogliśmy marzyć. I tu pojawił się problem: kompletnie mnie zamurowało, nie wiedziałem, jak ' zacząć. Czasem miewam takie chwile i wiem, że wtedy wszystko idzie w diabły. Zupełnie tracę rezon, poczucie humoru i polot.

Czuję się niepewnie i jestem zakłopotany. Gdybym do niej wtedy zagadał, wyszedłbym na kompletnego durnia.

Jedyne, co byłem w stanie zrobić, to posłodzić sobie kawę i dolać do niej trochę mleka. Wtedy zauważyłem, że Karl zaczął rozmawiać z jej koleżanką. Dziewczyna miała krótkie, ciemne włosy i wyglądała na lesbijkę. Serce zaczęło walić mi jak młotem i poczułem, że jeszcze chwila, a zleję się w gacie. Dokończyłem kawę i niby przypadkiem podszedłem do nich. Karl i dziewczyna, Latynoska, jak się okazało, rozmawiali po hiszpańsku. Cwaniaczek wykorzystał ten fakt i zagadał do niej, czarując ją swoim portorykańskim urokiem. Starłem się wyglądać na spokojnego i wy-luzowanego, kompletnie nieprzejmującego się sytuacją gościa. Karl przedstawił nas dziewczynom: brunetka nazywała się Jess, a blondynka Christie, ale wszyscy mówili do niej Chris.

Nasza czwórka rozmawiała kilka minut, choć ja głównie stałem w milczeniu i tylko głupkowato się uśmiechałem. Tak bardzo nie chciałem wyjść na głupka, że zupełnie nie wiedziałem, co mam robić. W końcu Karl i ja pożegnaliśmy się z dziewczynami i wyszliśmy ze sklepu, jakbyśmy mieli tysiąc lepszych rzeczy do roboty. Mój kompan zdołał jeszcze raz wykorzystać swój latynoski wdzięk i umówił się z paniami

na kolację w Chilli. Boże, kocham Portorykańczyków! Kiedy wróciliśmy do hotelu, wziąłem prysznic, powiesiłem na grzejniku moją ulubioną koszulę, tę czarną z niebieskimi wyłogami, zapinaną na guziki. Ogarnęło mnie podniecenie. Z Karlem jako moim skrzydłowym wszystko mogło mi się udać. Całkiem niezłe szło mu z Jess, więc ja będę miał ułatwione zadanie z Chf is.

Earl i Lawrence dołączyli do nas przy obiedzie. Lawrence wyglądał na mężczyznę około trzydziestki, był bardzo miłym i wesołym gościem, który w dalszym ciągu mieszkał z mamą. Był specjalistą od paliw i prowadził wojskową stację benzynową, gdzie tankowano hunwee po misji. Kiedy szliśmy do autobusu, spytałem go, jak często żołnierze wyskakują do niego z gadką: „Lawrence, jak się to wymawia? Jak Lawrence z Arabii? To imię dla jakiegoś angielskiego lorda. Jesteś arystokratą? I co jeszcze, siesz nutki? Założę się, że potrafisz wciągnąć piłeczkę golfową przez szlauch ogrodowy. Nie lubię imienia Lawrence. Tylko pedały i marynarze mają na imię Lawrence!”.

On tylko się roześmiał i odparł:

- Tego tekstu jeszcze nie słyszałem. Skąd pocho-
dzi?

Byłem w szoku i ledwie wykrztusiłem:

- Nie wiesz, skąd jest ten tekst? Boże, nie mów mi, że nie oglądałeś *Fuli Metal Jacket!* Nie wiem, czy mogę zaufać żołnierzowi, który nie oglądał *Fuli Metal Jacket.*

Lawrence był miłym, spokojnym i bardzo grzecznym kolesiem o nieprawdopodobnie łagodnym głosie. Przypomniałem sobie, że wychowywał się z matką

i siostrami, więc logiczne było, że nie widział filmu Kubricka.

Do Chilli dotarliśmy dosyć wcześnie i zajęliśmy stolik, upewniając się, że będzie miejsce dla Jess i Chris. Po kilku minutach pojawiły się dziewczyny i ku mojemu zaskoczeniu usiadły przy stoliku innych kolesiów. To było nie do wiary! Totalnie się załamałem. Earl i Lawrence nie zwrócili na mnie uwagi, a Karl zaczął się ze mnie nabijać:

- Co się martwisz? Może po prostu siądziemy przy stoliku obok?
- Daruj sobie - odparłem. - Chrzanić ją. Wie

działa, że mamy się tutaj spotkać. Nie będę jej błagał o chwilę uwagi. Przecież widać, że ci kolesie są tylko na pokaz.

- Cholera. Ona tak ślicznie wygląda - drażnił mnie dalej Karl.

- Nie zamierzam nawet na nią patrzeć. Czemu niby miałbym się przejmować? Lepiej coś zjedzmy.

Naprawdę nie spodziewałem się, że jestem aż tak dziecinny. Wiem, że zachowywałem się idiotycznie, ale nic na to nie potrafiłem poradzić. Nie chcąc zrobić z siebie jeszcze większego głupka, skupiłem się na ko-szernym obiedzie.

Nim skończyliśmy jeść, Chris i Jess dosiadły się do naszego stolika. Faceci, z którymi przyszły, służyli w tym samym oddziale co one. Poczułem się na tyle lepiej, że zacząłem przysłuchiwać się rozmowie. Chris i Jess były specjalistkami od paliw, podobne jak Lawrence. Porozmawialiśmy chwilę i umówiliśmy się wieczorem w knajpie.

W Camp Chilli znajdują się dwa „puby”. Zasadniczo są to kantyny, w których można kupić do trzech puszkowanych piw na dzień. Przy zakupie należy pokazać dokumenty, które są skanowane, wtedy kasjer wydaje kartkę na piwo, a informacje wędrują do centralnego komputera zawiadującego sprzedażą alkoholu. Dzięki temu żołnierze nie są w stanie kupić po trzy piwa w każdym barze. W jednej z knajp grają pop i tam siedzą młodszy żołnierze, w drugiej klasycznego rocka - dla wojskowych dinozaurów.

Kiedy dotarliśmy do knajpy, Chris i Jess już tam były. Jak mogliśmy się spodziewać, już ktoś się do nich przystawiał. Na szczęście towarzystwo siedziało przy stole dość dużym, aby pomieścić jeszcze naszą czwórkę. Lawrence, niech go Bóg błogosławi, usiadł obok Chris i zaczął z nią gadać. Jako że parali się tą samą robotą, mieli sporo wspólnych tematów. Widząc szczere zaangażowanie Lawrence'a i muskulaturę Karla, reszta chłopaków po cichu się wycofała.

W knajpie siedzieliśmy na tyle długo, aby wypić przepisowe trzy piwka. Jak się okazało, Chris pochodziła z Michigan, uwielbiała fitness i była zagorzałą fanką sportu. Cholera, na sporcie się nie znam, a do szczególnych fanów siłowni też nie należę. Z knajpy przenieśliśmy się do kawiarni. Chris wyznała nam, choć nie brzmiało to zbyt przekonująco, że jest mężatką. Jej mąż także był żołnierzem, służył w Gwardii Narodowej w Iraku, ale w innym oddziale. Nie widywali się zbyt często, tylko wtedy, kiedy jego oddział tankował na jej stacji. Choć w jej ustach opowieść nabierała romantyzmu, to nie za bardzo w nią wierzyłem. Najprawdopo-

dobniej kogoś miała, ale nie była jego żoną i planowali się pobrać po powrocie do domu. Choć była dla mnie miła i spędziła z nami sporo czasu, wkurzyłem się, bo opowieść o mężu służyła jej do spławiania kolejnych adoratorów. Musiałem pogodzić się z faktem, że nie mam u niej żadnych szans, ale to nie było łatwe. Fajnie było spędzić trochę czasu z kimś tak miłym i uroczym jak ona. Nic nas nie łączyło, ona kochała kogoś innego, ale byłem nią po prostu zafascynowany.

Karl i ja spędziliśmy cały dzień w towarzystwie emerytowanego sierżanta, który pracował w bazie i czasem zabierał żołnierzy na wycieczki krajoznawcze. Katar, pod wieloma względami bardzo piękne miejsce, jest też jednym z najczystszych miejsc, jakie widziałem. Dziwnie jednak mnie przygnębiał. Stolica kraju, Doha, była zbudowana na zachodnią modłę i wysprzątana do najmniejszego okruszka. Pokręciliśmy się trochę po mieście, oglądając zatokę, pałac emira i nowo wybudowane luksusowe hotele. Starszy sierżant, który był naszym przewodnikiem, bez przerwy zapraszał nas do

siebie na obiad. Grzecznie odmówiliśmy, a ja zignorowałem składaną ofertę poobiedniej drzemki. W końcu spytał nas, gdzie mielibyśmy ochotę pójść na lunch.

„Mamy tutaj Applebee's, Fuddrucker's, Bennigan's, Ponderosa, a nawet McDonalds'a" - powiedział.

Applebee's? Przez chwilę myślałem, że gość sobie ze mnie jaja robi. Jeszcze raz grzecznie mu odmówiliśmy i spytaliśmy, czy nie zna jakiejś knajpki z miejscową kuchnią. Nasz przewodnik z początku sceptycznie odnosił się do tego pomysłu, ale później zabrał

nas do wspaniałej małej jadłodajni, gdzie serwowali przepyszne dania według bliskowschodniej receptury. Doha jest potwornie nudnym miejscem, dlatego po obiedzie poszliśmy na zakupy do centrum handlowego. Gdyby nie arabskie napisy na szyldach i faceci w zwiewnych szatach, mógłbym się założyć, że jesteśmy na przedmieściach New Jersey. Do Kataru przyjechałem w nadziei, że poznam tradycyjny Bliski Wschód od innej strony niż strzelanina. Dałem sobie jednak spokój, kiedy zobaczyłem Starbucks. Opór był bezcelowy, więc usiadłem przy stoliku i zamówiłem koktajl mleczny.

Przez resztę naszego pobytu w Katarze Karl i ja nie widywaliśmy Earla i Lawrence'a zbyt często. Lawrence był typem gościa, który lubił samotność i zajmował się swoimi sprawami. Earl większość czasu spędzał w salonach masażu, które mieściły się w bazie. Dziewczyny zatrudnione tam przez KBR pochodziły z Filipin. Prawda była taka, że prawie każdy, kto dostał pracę przez KBR, pochodził z Filipin, chyba ich ulubionego terenu rekrutacji.

Wieczorami Karl i ja spotykaliśmy się z Chris i Jess w barze. Niemożliwością było porozmawiać z nią dłużej niż kilka minut, żeby jakiś gość się nie wtrącił. Chris była zawsze dla takich typków miła i uprzejma, z uśmiechem na ustach tolerowała ich obecność. Nie powinienem narzekać, bo znosiła też i mnie.

Karl i ja szczerze nie znosiliśmy pewnej grupki koleśków. Ich wodzem był arogancki dupek w typie świńskiego blondyna. Z wyglądu przypominał Craiga Kil-

borna lub Josha Homme'a, a pośród swoich kumpli mógł uchodzić za przystojnego. Zawsze towarzyszyło mu dwóch szemranych i brzydkich typków. Jeden był niższy i miał nieproporcjonalnie duży nos, grube wargi, wyłupiaste ślepia i krzaczaste brwi. Drugi dla odmiany był potwornie chudy i wysoki, jego twarz nie wyrażała żadnych emocji, co upodabniało go do kata, a oczy spoglądały spod opuszczonych do połowy powiek. Byli doskonałymi pomagierami. Ulubionym zajęciem tej trójki było pyszne przechadzanie się po bazie z miną twardzieli i gębami wypchanymi tytoniem do zucia.

Niedoszły Kilborn i jego dwóch przydupasów spędzali na adorowaniu Chris tyle samo czasu co ja i Karl. To było jak wojna o to, który z nas na dłużej przyciągnie jej uwagę. Gość był niezły, podrywał-dziewczynę i cały czas żuł tytoń, popijając go wodą. Dobrze, że nie pluł na podłogę.

Ostatniego wieczoru przed powrotem do Iraku wojna o kobietę osiągnęła niespotykany poziom. To była ostatnia szansa, by wydymać jakąś panienkę. Nawet jeżeli człowiekowi dopisałoby szczęście i znalazłby taką chętną, to pozostawał problem spokojnego miejsca. Można było co prawda skorzystać z jednego z okopów otoczonych workami z piaskiem. Pośród zdesperowanych było to dość popularne miejsce, a czasem można tam było znaleźć prześcieradła

zostawione przez poprzednią parę, a przy odrobinie szczęścia wolne miejsce. Kiedyś w stróżówce znalazłem nawet materac.

Podjąłem świadomą decyzję, żeby poderwać najładniejszą dziewczynę w Katarze i tego nie

żałowałem. Ale dla mnie było za późno, żeby szukać okazji do przygodnego seksu. Wszystkie osiągalne dziewczyny miały już wianuszek adoratorów i parzyły się ze swymi adonisami od kilku dni. Pan Świński Blondyn upatrzył sobie tę samą dziewczynę co ja, a nie wyglądał na takiego, który łatwo się zniechęca, słysząc „nie”. Był samcem alfa swojego kontyngentu i pewnie zaliczyłyby każdą inną dziewczynę, ale nie chciał iść na łatwiznę. Nie mogę go za to winić.

Przez prawie czterdzieści pięć minut rozmawiał z Chris. Kiedy skończyli, podeszła do nas, ja i Karl gadaliśmy z Jess. Karl pewnie wyciągnąłby ją gdzieś na dwór, ale ona nie gustowała w facetach. Cała nasza trójka trochę sobie z tego nawet pożartowała. Jess po hiszpańsku wyznała Karłowi, że Chris bez ubrania wygląda cudownie. Głupotą jest, że nie mogła się do tego otwarcie przyznać. Mam nadzieję, że armia wkrótce zda sobie sprawę, jak zadowolony, drobnomieszczastański i niewłaściwy stosunek ma do homoseksualistów i lesbijek.

Cała nasza czwórka włączyła się razem przez resztę nocy. Kiedy zamknięto wszystkie knajpy, poszliśmy do kawiarni i zażądaliśmy pizzy. Blond wy-pierdek zawsze kręcił się niedaleko nas, ale w końcu dał sobie spokój i połączył z kolegami do koszar. Muszę przyznać, że to bardzo podbudowało moje samcze

ego. Noc była ciepła, cieplejsza niż w Iraku (jeżeli potraficie w to uwierzyć), ale stanowiła miłe zakończenie przepustki.

Następnego ranka wróciliśmy do Iraku. Znowu znaleźliśmy się w dużym namiocie z ławkami, ale teraz czekaliśmy na transport do naszych baz. W końcu pojawił się autobus, kierowca zaczął wszystkich poganiać, w tym mnie, Karla, Earla i Lawrence'a, abyśmy się pospieszyli. Chris siedziała oparta o ścianę namiotu. W mundurze wyglądała tak, że zaparło mi dech w piersiach. Wiedziałem, że już nigdy więcej raczej jej nie zobaczę, dlatego odwróciłem się i spojrzałem na nią po raz ostatni, aby utrwalić jej obraz w pamięci. Włosy miała związane tak samo jak wtedy, kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy. Z powodu upału rozpięła kołnierzyk, co było wbrew regulaminowi. Spojrzała na mnie, uśmiechnęła się i pomachała na pożegnanie. Odwzajemniłem ten gest.

6 września 2004 **Trzy dni walk**

Dzień Pierwszy: Operacja Słony Jęzor

Irak przecina jedna główna autostrada, od której odchodzą dwie drogi prowadzące do bazy wsparcia logistycznego w Balad. Te dwa skrzyżowania są ulubionym miejscem, gdzie buntownicy zastawiają pułapki na siły koalicyjne. Dzisiaj podłożyli zdalnie odpaloną bombę.

240 Jason Christopher Hartley

Właściwie był to pocisk artyleryjski kaliber 155 mm, do którego przymocowano telefon komórkowy spełniający funkcję detonatora i który ukryto w bagażniku samochodu zaparkowanego w pobliżu skrzyżowania. Tego rodzaju zamachy przeprowadzane są w następujący sposób: ktoś stoi na czatach, widzi przejeżdżający konwój, wciska przycisk w swojej komórce, następuje ogromne „bum!” i detonuje bomba. Wtedy zaczyna się prawdziwe zamieszanie. Ten ładunek ukryto w starej taksówce, volkswagenie. Obok skrzyżowania znajduje się niewielkie wysypisko śmieci, bowiem Irakijczycy wyrzucają je gdzie popadnie. Kiedy taksówka wyleciała w powietrze, odpadki zajęły się ogniem i okolicę zasnuł gęsty dym, co nadało całej scenie jeszcze bardziej apokaliptyczną wymowę. Niezłe wyczucie, powstańcze dupki!

Zaatakowany konwój składał się z żołnierzy sił powietrznych. Jeden z nich został ranny odłamkami w ramię. Nasi medycy opatrzyli go i wezwali śmigłowiec MEDEYAC. Jego rana okazała się niegroźna i facet szybko z tego wyszedł. Jak zwykle, atak przyczynił się do ogromnego zamieszania na autostradzie, a rany odniosło więcej cywilów niż żołnierzy sił koalicyjnych. I jedno, i drugie więcej szkód poczyniło Irakijczykom niż nam. Tak trzymać, powstańcze dupki!

Później, tej samej nocy...

Dowódca naszego batalionu wpadł na pomysł. Porzucimy ciągnik towarowy na poboczu drogi i zabijemy lub aresztujemy każdego, kto spróbuje go ukraść.

Genialny pomysł! Ten idiotyczny... to znaczy błyskotliwy plan został ochrzczony kryptonimem! Nazwaliśmy go... OPERACJA SŁONY JEZOR! Ciągnik został zawieszony na miejsce i pozostawiony na poboczu drogi, jakbyśmy go porzucili. Czasami, kiedy szczególnie duży konwój ma po drodze problemy logistyczne, zostawia się ciągniki i pojazdy, które opóźniają tempo ruchu. Do chwili, kiedy ktoś po nie wróci, Irakijczycy albo je kradną, albo ogołacają ze wszystkiego jak sępy padlinę. Nie ma się nawet jak na nich złościć, bo te złodziejaszki uważają, że w takim postępowaniu nie ma nic złego. Dla nich to zupełnie jakby podnieść groszówkę z chodnika. Dowódca batalionu i jego pomagierzy ukryli się w krzakach lub czymś takim, czekając na złoczyńców.

Jedno, na co można liczyć w Iraku, to że miejscowi ukradną wszystko, co nie jest przykręcone do podłogi, nawet ciągnik. Kiedy tylko się ściemniło, kilku Irakijczyków podjechało truckiem, żeby odholować ciągnik. Wtedy nasz dowódca i jego koledzy wyskoczyli z krzaków i aresztowali niedoszłych złodziei. HA, HA! W tym momencie wezwano mój pluton, który w dalszym ciągu pełni obowiązki QRF, byśmy zabezpieczyli i odtransportowali więźniów. Choć do tamtej pory plan naszego dowódcy działał bez zarzutu, to zaczęły się schody.

Najpierw wkradło się zamieszanie: nie przyjechał holownik. Potem, kiedy już dotarł na miejsce, okazało się, że nie jest w stanie odtransportować ciągnika. Wtedy zaczęła się dyskusja, jakiego sprzętu potrzeba, skoro i tak mamy do dyspozycji tylko ten. Nikt nie

wiedział, gdzie znajdował się holownik, którym przywieziono ciągnik na miejsce zasadzki. Potem powstał kolejny genialny plan, aby posłać po holownik, który dostarczy na miejsce samochód złodziei, którym z kolei odholujemy nasz ciągnik.

Po kilku godzinach niewyobrażalnego zamieszania oraz niekończących się radiowych konsultacji co do tego, jakiego holownika potrzebujemy, jakie są jego osiągi i kiedy będziemy mogli z niego skorzystać, konsultacji, którym towarzyszyło zgrzytanie zębami dowódcy batalionu, w końcu wróciliśmy do bazy.

Podczas gdy dowódca próbował przez radio *znaleźć* odpowiedni pojazd, my zatrzymywaliśmy przejeżdżające samochody. Wykorzystywaliśmy każdą szansę na przeszukanie pojazdu; im był dziwniejszy, tym lepiej. Im jesteśmy mniej przewidywalni w kwestii przesu-kań samochodów, tym lepiej dla nas. Zwiększa się wtedy szansa na złapanie kilku rebeliantów przewożących kontrabandę. Nie uwierzylibyście, co znaleźliśmy tej nocy. W bagażniku jednego z samochodów odkryliśmy pudełko pełne irackich banknotów. Kierowca i pasażerowie twierdzili, że pieniądze mają coś wspólnego z olimpijskim turniejem piłki nożnej (może wygrana z zakładów?). Nie znaleźliśmy więcej nic podejrzanego, a pasażerowie nie wyglądali na bandytów, więc puściliśmy ich z pieniędzmi wolno. Noc mieliśmy i tak już spieprzoną, a żadnemu z nas nie chciało się wypełniać zeznań

dotyczących takiej ilości pieniędzy.

Yo, yo, yo. Znalazłem choć jeden pozytyw z całego dnia. Kiedy ewakuowaliśmy ранnego, znalazłem na

drodze kratkę z emblematem VW. Leżała spory kawałek od miejsca wybuchu, ale teraz noszę ją jako naszyjnik, taki w stylu czarnego getta.

7 września 2004 Trzy dni walk

Dzień drugi: Głowa

Najfajniejszą *rzeczą* w przejmowaniu czegoś po kimś jest wprowadzanie zmian. Kiedy żenisz się z dziewczyną, zmieniasz jej nazwisko. Gdy kupujesz po kimś dom, przerabiasz sypialnię na pokój z automatami do gier; niektóre zmiany są na lepsze, inne na gorsze. Jedne się przyjmują, inne nie. Kiedy mój batalion zajął bazę „Lew”, położoną na północ od Bagdadu, pierwszą rzeczą, jaką zrobiliśmy, była zmiana nazwy na „O’Ryan”. Nasz oddział nazywany jest Orion, ale po kłopotach z wymową tego słowa zdecydowaliśmy się na „O’Ryan”, od nazwiska udekorowanego oficera, który jest naszym patronem. Jako że przedkładałem greckie dziedzictwo kulturowe ponad irlandzkie, dlatego ja będę nazywał ją „Orion”. Czy sprawowanie władzy absolutnej nie jest zabawne?

Kiedy stacjonowaliśmy w bazie „Orion”, wprowadziliśmy wiele zmian, które kosztowały nas sporo wysiłku. Większość z nich wyszła na dobre. Na przykład w słowjkach ze sklejki wymieniliśmy zbiorniki na odchody. Zamiast normalnych beczek, których zawartość trzeba było spalać, zainstalowaliśmy pojemniki

podobne do tych, jakie stosowane są w toaletach publicznych. Niekiedy zdarzało się, że Irakijczycy opróżniający beczki lub ich rodziny padali ofiarą rebelian-tów i przez jakiś czas musieliśmy znowu palić kupy sami, ale generalnie nowe szalety były zdecydowanie dobrym pomysłem, który podniósł nasz standard życia. Kolejnym okazała się siłownia, którą zbudowała firma KBR, jeden z podwykonawców Halliburton. Zaadaptowali na nią stary bunkier amunicyjny, wysprzątałi go od wewnątrz i odmalowali, podłogę wyłożyli gumowymi matami i wstawili przyrządy gimnastyczne. Nie była to siłownia jak marzenie, ale można było sobie poćwiczyć. Jej skonstruowanie zajęło ledwie sześć miesięcy i pochłonęło osiemdziesiąt tysięcy dolarów. Nie przesadzę chyba, jeżeli powiem, że mój pluton zrobiłby to w dwa, może pięć dni bez dodatkowej prowizji. W końcu to żołnierzom zależało na siłowni, nie brzuchatym gościom z KBR. Ale kim ja jestem, żeby mówić, jak się powinno wydawać pieniądze amerykańskich podatników? Dzięki Bogu, że strefa wojny jest wolna od podatków, bo gdybym musiał płacić podatek dochodowy, to bym się naprawdę wkurzył. Swoją drogą, czy wspominałem o rozmowie z kierowcą ciężarówki KRB? Z rozbijającą szczerością opowiedział mi, jak zawyżają sobie godziny pracy na koniec każdego miesiąca. Czy to nie cudowne, jak potrafił się otworzyć przed zwykłym żołnierzem?

Najważniejsze zmiany, jakie wprowadziliśmy w bazie „Orion”, dotyczyły bezpieczeństwa. Kiedy ją zajęliśmy, w jej skład wchodziło kilka porzucanych tu i ówdzie betonowo-ziemnych bunkrów. W jednym

z najdalej położonych schronów swoją kryjówkę mieli buntownicy. Teren bazy otoczyliśmy drutem

kolczastym i wałem ziemnym. Obszar, który był pełen niewybuchów (rebelianci ciągnęli do niego w poszukiwaniu materiałów na bomby domowej roboty jak pszczoły do miodu), został z nich oczyszczony.

Kiedy uporaliśmy się z podstawowymi kwestiami bezpieczeństwa, przyszła kolej na zmiany dotyczące kwestii procedur wewnętrznych. Niektóre okazały się strzałem w dziesiątkę, inne nie. Budynki, w których mieścił się TOĆ, były solidnie zbudowane, ale nie do tego stopnia, aby nazwać je wzmocnionymi. Wokół nich wzniesiliśmy w końcu wysokie betonowe zapory. Aby zwiększyć ich obronność, został usypany masywny wał ziemny, znajdujący się dokładnie pomiędzy frontową bramą a TOĆ. Po co dokładnie usypano to monstrum, nie wiem, ale szybko przewaliśmy je Górą Łowcy, dla uczczenia patrona naszego batalionu, Oriona. Może słowo „góra” zostało użyte na wyrost, ale co tam. Gdyby powstańcy dysponowali czołgami, nie byłiby w stanie bezpośrednio zaatakować TOĆ, ponieważ Góra Łowcy blokowałaby im widoczność. W pewnym sensie usypanie tego wzgórza jest sukcesem, jednak szkopuł tkwi w tym, że buntownicy *nie mają* czołgów, a my pośrodku bazy mamy wielką kupę piachu z miniaturą chińskiego muru na czubku.

Kolejnym elementem wzmocniania bezpieczeństwa naszej bazy była frontowa brama, którą bez ustanku ulepszano. Najpierw ustawiono barierki, które tworzą korytarze dla wchodzących i wychodzących wojskowych oraz cywilów. Potem wygospodarowano parking

i obszar, gdzie przeszukiwane są pojazdy. Dodatkowo zbudowano bunkier z gniazdem karabinu maszynowego, ale miał bardzo kiepskie pole ostrzału. Choć wielu próbowało, to nikt nie potrafił zaprojektować bramy wjazdowej tak, aby była praktyczna.

Ostatnio postanowiono, że trzeba zmienić wejścia i wyjścia dla ruchu wojskowego. Ustawiono długie barierki, które prowadziły dokładnie w przeciwnie miejsce niż poprzednio. Moim zdaniem całe to zamieszanie było kompletnie niepotrzebne, ale kim ja jestem, żeby się wypowiadać w takich kwestiach? Od początku sprawa była skazana na porażkę, a wysiłki kolejnych racjonalizatorów po prostu nie mogły dać pożądaných efektów.

Tego samego dnia, kiedy po cichu wprowadzono zmiany, mój pluton pełnił obowiązki QRF i CA-SEVAC. Dyżur CASEYAC to nic innego, jak eskorta dla karetki. Ilekroć wzywano pomoc medyczną lub trzeba było przewieźć pacjenta, nieważne: wojskowego czy cywila, z naszej bazy do szpitala, położonego dziesięć minut drogi od nas, wzywano mój pluton. Jeden z takich kursów mieliśmy zaplanowany na późne popołudnie, dlatego kiedy nadeszła pora, zapakowaliśmy się do humvee i zatrzymaliśmy opodal bramy, czekając tam na karetkę.

Kiedy w końcu ruszyliśmy, kierowca prowadzącego pojazd zorientował się, że całkowicie zmieniono ustawienie barierek ochronnych na zewnątrz bazy. Wjazdu strzegła wywrotka pełna piachu, pełniąca funkcję bramy. Miała nas uchronić przed samobójczym atakiem samochodu-pułapki. Biorąc pod uwagę

nową sytuację, nie byliśmy pewni, czy ciężarówka powinna się wycofać, aby nas przepuścić, czy się zmieścimy. Kierowca zawsze był w kabinie. Prawdę mówiąc, kiedy podjechaliśmy pod improwizowaną bramę, nie było tam nikogo, co jeszcze bardziej utrudniło nam szukanie wyjazdu z bazy. Kierowca prowadzącego humvee miał do wyboru kilka dróg, dlatego ruszył tą, która jego zdaniem prowadziła do wyjścia. Okazało się, że wybrał źle i trafiliśmy w ślepy zaułek. Oczywiście, prawda wyszła na jaw, kiedy cały nasz składający się z czterech samochodów konwój zakorkował się na dobre.

Kierowca wywrotki wrócił do kabiny i chciał ją wy-

cofać, ale drogę blokowały mu nasze samochody. Żaden z nas nie wiedział, jak wyjechać z bazy, ale wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że wybraliśmy złą drogę. Przez dobrą minutę nikt nie potrafił zadziałać. Mogliśmy spytać gościa w wywrotce, którędy trzeba jechać, aby opuścić bazę, ale musielibyśmy połączyć się z nim za pośrednictwem otwartej częstotliwości monitorowanej przez TOC. Bezpośrednie połączenie z nim było niemożliwe. Nikt z nas nie chciał się stać powodem do ogólnych drwin, jako fajtlapy, które nie potrafią nawet wyjechać z bazy. Cała sytuacja zaczęła wyglądać tak, jakbym spomiędzy dodatkowych magazynków i granatów 40 mm w moim plecaku wygrzebał gierkę na Nintendo *Tetris dla ślepców w humvee*, zdmuchnął kurz, wsadził kartridż do konsoli i wcisnął „start”.

Najpierw ruszył ktoś, kto uważał, że wie, jak dojechać do wyjścia. Zaraz po nim do ruchu włączył się inny kierowca, który albo też wiedział, gdzie

jechać, albo postanowił ruszyć jego śladem. Kierowca wywrotki, który zdawał sobie sprawę, że to przez jego niedbalstwo zaczęło się to zamieszanie, też chciał ruszyć samochód, żeby choć sprawiać wrażenie, że coś robi. Siedziałem w piątym, czyli ostatnim humvee, dlatego nie pozostało mi nic innego, jak wycofać samochód. Mieliśmy doskonały widok na burdel przed nami. Gorzej, że żaden z nas nie wiedział, jak się wydostać z bazy. Mieliśmy dość miejsca, aby obrócić samochód, co koniec końców wprowadziło jeszcze więcej zamieszania. Tutaj samochód się cofał, gdzie indziej jechał do przodu, jeszcze inne zawracały. Ludzie zaczęli wysiadać z humvee, krzyczeć, ktoś próbował przejąć dowodzenie i doszło do jeszcze większych kłótni. W końcu wszyscy wrócili do samochodów, ale cała zabawa zaczęła się od nowa. Nareszcie dotarło do mnie, że wyjazd z bazy znajdował się za ciężarówką. Jedynym sposobem, aby ją opuścić, było wycofanie wszystkich samochodów (pojedynczo i na spokojnie), a potem przejechanie przez bramę, zupełnie jak gdyby nigdy nic. Ktoś oprócz mnie wpadł na ten sam pomysł i przez radio nakazał wykonanie całej procedury. Zrobiliśmy, co kazano, i po piętnastu minutach przepychanek i niesamowitego zamieszania ruszyliśmy w drogę. Całe szczęście, że to była rutynowa misja CASEYAC, a nie wezwanie na ratunek. Jadąc do bazy, żołnierze z prowadzącego pojazdu zauważyli śmieci opodal drogi. Nie było to duże usypisko, *raczej* nic, co mogłoby skrywać IED, ale i tak je przeszukaliśmy, usunęliśmy z pobocza i dopiero wtedy ruszyliśmy dalej. Kiedy dotarliśmy do głów-

nej bazy, rannego przeniesiono z ambulansu do szpitala, a my spokojnie wróciliśmy do domu.

Wyjazd dla wojskowych znajdował się w zupełnie innym miejscu niż poprzednio, ale prowadzący pojazd odnalazł go | za pierwszym razem. Świetna robota! ; Tego wieczoru po zmianie warty pełniłem służbę w QRF. Pojechaliśmy do stołówki, zjedliśmy smako-I witego kurczaka/wieprzowinę i wróciliśmy do bazy. | Kiedy znalazłem się w mojej norze, usiadłem na śpiworze, wyjąłem laptopa i włączyłem DVD. W życiu nie oglądałem tytułu filmów co w Iraku; prawdę | mówiąc, każdy żołnierz, który narzeka na poziom życia w Iraku, powinien zastanowić się przez chwilę | nad tym, jak dawali sobie radę nasi ojcowie w czasach, kiedy nie było laptopów.

Wydaje mi się, że właśnie kończyłem oglądać *The Rules of Attraction*^{4*}, film, którego nigdy nie mam dosyć, kiedy usłyszałem głośnie BUUUM! Siła eksplozji zatrzęsała moim bunkrem w posadach. Potem, nie dłużej jak sekundę po pierwszym wybuchu, dała się słyszeć druga detonacja.

Obydwie były na tyle silne, że drzenie poczułem aż w płucach, choć znajdowałem się w

bunkrze obłożonym workami z piaskiem. „O żesz w dupę! - powiedziałem do siebie. - Ale, kurwa, było blisko!”.

Wybiegłem na zewnątrz, żeby zobaczyć, czy ktoś wie, co się dzieje. Nieraz już się zdarzało, że EOD wysadzali w powietrze niewybuchy, a informacja o tym

nie docierała do nas. Większość z pełniących służbę była już na zewnątrz, tak jak ja, próbując zorientować się w sytuacji. Zobaczyłem naszego sierżanta plutonowego, więc podszedłem i spytałem:

- Blisko było. Były jakieś informacje o detonowaniu ładunków? Pewnie nie sądzisz, że to EOD, co?

- Mowy nie ma - odparł. - Eksplozje musiały mieć miejsce w pobliżu drogi. Pewnie sto pięćdziesiątka piątka, i to co najmniej po dwie, jeśli nie trzy.

O zdobyciu informacji przez radio nie można było marzyć. Nikt nic nie wiedział. Prawda była taka, że nie potrzebowaliśmy żadnych dodatkowych informacji. Jasne było, że eksplodowały IED i musieliśmy czekać na rozkaz z TOC, który wysłał nas na miejsce. Bez poleceń zaczęliśmy szykować się do drogi i zbierać ekwipunek. I wtedy usłyszeliśmy huk trzeciej eksplozji. Ktoś powiedział: „No pięknie! Teraz, kurwa, to nas na pewno tam wyślą. Przecież to pewne, że to IED. Na co czekają w TOG?”

Jako QRF i CASEYAC nie czekaliśmy dłużej na rozkazy z TOC. Zapakowaliśmy się do samochodów i ruszyliśmy pod frontową bramę. Tam spotkaliśmy chłopaków z EOD i medyków w FLA (*Field litter ambulance* - polowa karetka pogotowia).

Nagle radio zakaszłało:

- QRF Łowca, tutaj łowca X. Odbiór.

Dowódca mojego plutonu nie bawił się w radiowe konwenanse.

- Tutaj QRF Łowca. Właśnie opuszczamy bazę, mamy ze sobą CASEYAC, EOD i FLA. QRF bez od biuro.

Zaczęła się część druga *Tetris dla ślepców w humvee*.

W pojeździe prowadzącym siedziała inna załoga niż ta, która jechała z nami wcześniej, dlatego popełniła ten sam błąd co poprzednicy. Wjechali w ślepy zaułek i stanęli. Potem mieliśmy prawie dokładną powtórkę z popołudnia: samochody wykręcały i cofały się. Ktoś wysiadł z humvee, podbiegł do dowodzącego, na coś pokazywał, potem krzyczał, wymachiwał rękoma i wrócił do swojego samochodu. Odkręcenie tego całego zamieszania zajęło trochę czasu, ale ogólnie poszło nieźle. Trwało trochę ponad pięć minut.

Kiedy toczyliśmy się ku bramie, dotarły do nas informacje o wybuchach. Do okolicznej bazy zmierzał spory konwój, który został zaatakowany przy pomocy IED. Przynajmniej jeden pojazd został uszkodzony, a część samochodów nie zatrzymała się po ataku i kontynuowała swoją podróż. Oddział inżynieryjny z naszej bazy był już na miejscu zdarzeń. W ataku zostało rannych kilku żołnierzy, dlatego natychmiast wezwano CASEYAC.

Rzeczywiście, konwój był spory. Składał się z dwudziestu, może nawet trzydziestu samochodów, w większości ciężkich wielozadaniowych pojazdów, które są w stanie przewozić paliwo lub bardzo ciężkie ładunki. Tuż przed prowadzącymi konwój wehikułami ziały w piachu dwa głębokie kratery. Niedaleko od nich znajdował się trzeci, kilkaset metrów dalej stała druga grupa pojazdów, a obok nich rozlokował się oddział inżynieryjny, który odpowiedział na wezwanie pomocy. CASEYAC i FLA ruszyły w kierunku pojazdów z przodu, QRF i EOD zostały z tyłu.

Kiedy wysiedliśmy, zauważyłem, że jeden z pojazdów biorących udział w konwoju został zdmuchnięty z drogi i stał kilkaset metrów od niej. W kabinie dopalał się pożar, którego gaszeniem zajmowali się nasi inżynierowie. Kilkunastu kierowców wysiadło z samochodów i rozglądało się dookoła, nie mogąc uwierzyć w to, co widzą. Logiści zawsze tak wyglądają, ale dzisiaj mieli szczególne powody. Przeciętny kierowca ciężarówki w Iraku jest mężczyzną w średnim wieku, z brzuszkiem i wąsami, który służy w Gwardii Narodowej. Do tego mówi z wiejskim akcentem, chodzi w niedopasowanym uniformie i za dużym hełmie, którego paski dyndają się po bokach. Goście wyglądali jak zagubione dzieci ściskające w rękach karabiny zabawki. Nie da się ukryć, ale M16, w jakie byli wyposażeni, wyglądają przy naszych obłożonych sprzętem M4 jak atrapy. Zawsze było mi żal wojskowych kierowców. Są łatwym celem dla rebeliantów, narażeni na wybuchy IED wykonują jedno z najniebezpieczniejszych zadań w Iraku, a kompletnie się do niego nie nadają. Ich samochody są kiepsko opancerzone, a im samym brakuje wojskowego wyszkolenia, jednak muszą działać w sytuacjach, które napędziłyby stracha plutonowi czołgów.

Podczas kiedy EOD oglądali kraterę po wybuchach, żołnierze QRF wysiedli z samochodów i zaczęli przeczesywać okolicę. W pewnym momencie znaleźli roztrzaskany na trzy części M16, obok którego znajdowała się kałuża krwi i ochłapy. Szybko zostały uprzątnięte i zapakowane do plastikowych toreb. EOD potwierdzili nasze przypuszczenia, że każdy z ładunków składał się

z trzech do czterech pocisków artyleryjskich kaliber 155 mm, które zostały zdalnie odpalone za pośrednictwem kabla biegnącego w pustynię.

O wypadkach najlepiej poinformowani byli sanitariusze, którzy opatrywali rannych. Pierwsze dwa ładunki eksplodowały dokładnie przed maską jednego z samochodów. Odłamki zmiotły szybę kabiny, a kierowca zginął na miejscu. Później dowiedzieliśmy się, że to właśnie jego M16 znaleźliśmy na drodze. Dowódca pojazdu (TC) została ciężko ranna, ale przeżyła. Siła wybuchu połamała jej ręce i nogi oraz urwała szczękę. Próbowałem się dowiedzieć, co dokładnie oznaczał zwrot „urwała”. Czy szczęka kobiety została połamana, czy rzeczywiście wyrwana? Nikt nie chciał mi odpowiedzieć na to pytanie. Tak czy inaczej, babka miała przesrane.

Kiedy kierowca zginął, pojazd zjechał z drogi i ruszył przed siebie, w pustynię. W końcu zatrzymał się, przejechał jakiś czterysta metrów. Ranna TC wydostała się ze szczątek kabiny i wraz z bronią zdołała wrócić do drogi. Czołgając się kilkaset metrów, ciągnęła za sobą karabin. Dopiero zbliżając się do konwoju, zostawiła M16 i tak znaleźli ją inżynierowie.

Żołnierze QRF, którzy badali kraterę, rozproszyli się wzdłuż drogi i zaczęli szukać drutu, za pomocą którego zdetonowano ładunki. Okolica była płaska jak stół, przecinana jedynie siatką rowów irygacyjnych. Na polach nie zasiano żadnych zbóż, piętrzyły się jedynie zwały błota. Chodzenie po takich wertepach nie było łatwe, a o bieganiu po ciemku można było zapomnieć. f W takich sytuacjach żołnierz piechoty modli się, aby

doszło do kontaktu z wrogiem. Bardzo chciałem wziąć udział w starciach, ale zdawałem sobie sprawę, że poruszanie się byłoby bardzo trudne. Rebelianci wiedzą, że nie mają z nami szans w otwartej walce, dlatego nie liczyłem, że przy drugim końcu przewodu kogoś znajdziemy. Pomimo to szliśmy dalej, z każdym krokiem oddalając się od konwoju.

Przewód, którego używa się do detonowania ładunków wybuchowych, przypomina kabel wykorzystywany w telekomunikacji. Ten nie był wyjątkiem i podobnie jak inne, znalezione przez nas przy IED, najprawdopodobniej pochodził z amerykańskich zapasów. Nawija się go na duże kołpaki i można układać w nieskończoność. Ten drut był bardzo długi.

Idąc tym śladem, przeszliśmy jakieś osiemset metrów. W końcu dotarliśmy do piaszczystej drogi biegnącej równolegle do kanału. Pomiędzy jednym a drugim znajdował się nasyp ziemny. Kanał był wyschnięty i zarosły go chaszczce. Nawet gdyby za dnia stanąć kilka metrów dalej, nie można by się było domyślić, że po drugiej stronie drogi teren się obniża. Drut przecinał drogę i kończył się w okopie.

Ścieżka opodal kanału biegła ukosem do drogi, którą jechał zaatakowany konwój, ale nie łączyła się z nią przez kolejny kilometr. Patrząc w drugą stronę, widziałem, jak przecinała się z kilkoma innymi, podobnymi drogami. Wróg, znajdujący się osiemset metrów od zaatakowanego konwoju, był poza zasięgiem broni, nie licząc karabinów maszynowych. Biorąc pod uwagę ciemności i ukształtowanie terenu, trafienie celu z takiej odległości było prawie niemoż-

liwe, nawet bez zasłony z krzewów, która ułatwiała zlanie się z tłem. Ukształtowanie terenu uniemożliwiała hunwee bezpośrednie podjechanie do kryjówki rebeliantów. Gdyby jego kierowca wiedział, gdzie ich szukać, i znał miejscowe dróżki, to i tak buntownicy mieliby kupę czasu, by uciec. Krótko mówiąc, były to najlepsze pozycje do ataku, jakie w życiu widziałem.

Podczas przeczesywania terenu towarzyszyłem sierżantowi EOD i porucznikowi. Saper powiedział, że biorąc pod uwagę długość kabla, do odpalenia ładunków potrzebny był co najmniej samochodowy akumulator. Żadnego nie znaleźliśmy porzuconego, a mało prawdopodobne było, aby terroryści poruszali się pieszo, dlatego zaczęliśmy szukać śladów samochodu. Buntownicy ukryli się w dwóch miejscach: do jednego prowadził kabel detonujący dwa pierwsze ładunki, do drugiego ten, którym wysadzono trzecią bombę. Znaleźliśmy dwa rodzaje śladów, jedne z nich przypominały piłkarskie korki. Czegoś takiego jeszcze nie widzieliśmy.

Większość buntowników nosi takie same gów-niane buty jak wszyscy inni, czyli plastikowe sandały lub buty sportowe, które sprawiają, że Payless⁴⁹ wygląda jak Magli⁵⁰. Jednak ten facet wiedział, że może mu przyjść biegać po piasku, więc założył odpowiednie obuwie. Kimkolwiek byli zamachowcy, znali się na rzeczy.

Porucznik, ja oraz reszta chłopaków, którzy zawędrowali tak daleko w pustynię, postanowiliśmy pójść

dalej drogą, aby sprawdzić, dokąd prowadzi. Zazwyczaj, kiedy po zmroku wykonujemy zadania w pobliżu bazy, prosimy o wsparcie moździerzy. Na nasz rozkaz wystrzelują one flary oświetlające teren działań. Niestety, tej nocy zostały wprowadzone ograniczenia wiążące się między innymi z działaniami powietrznymi i nie mogliśmy poprosić o oświetlenie. Porucznik, maksymalnie tym wkurzony, spytał mnie, czy nie mam jakichś pocisków oświetlających do 203. „Oczywiście, że mam - odparłem. - W zasadzie są trzy”. Porucznik kiwnął głową i stwierdził: „Nie chcę nam zapewnić oświetlenia, to sami je sobie, kurwa, załatwimy”. Naszym głównym zmartwieniem były pola po drugiej stronie kanału. Z powodu ciemności nie mogliśmy zobaczyć, co się tam kryje, a nawet noktowizory nie zapewniały nam przewagi. Z tego, co udało nam się zorientować, stał tam budynek, któremu chcieliśmy się lepiej przyjrzeć. Odkorkowałem tubę M203, wyciągnąłem z ładownicy na lewym udzie długą białą flarę, załadowałem ją do granatnika, oceniłem najlepszy kąt strzału, biorąc pod uwagę wiatr, i odbezpieczyłem broń. Doonk! Flara poszybowała w nocne niebo. Pop! Rozwinął się niewielki spadochron, na którym zaczęła wolno opadać, rozświetlając na białą całą okolicę. Choć promień światła nie jest duży, to w przypadku takich ciemności jak te jej światło stanowiło zasadniczą różnicę. Kiedy pierwsza flara wypaliła się i opadła na ziemię, porucznik kazał mi wystrzelić następną. Ta wcześniej wylądowała, niż zgasła. Potem rozkazał wystrzelić kolejną, co

zrobiłem.

W tej misji brał udział sierżant plutonu. Przybiegł do nas i wyglądał na zdrowo wkurzonego. Wyjaśnił porucznikowi, że na drodze stoi cały konwój uzbrojonych i znerwicowanych kierowców, którzy bardzo źle reagują na flary wyskakujące znikąd. Porucznik przyznał mu rację.

Kiedy dotarliśmy do końca kanału, zobaczyliśmy miejsce, gdzie droga łączyła się z kilkoma innymi. Do tej pory szliśmy po wyraźnych śladach, które teraz nagle się urywały. Zamiast nich zobaczyliśmy odcisk opon w piachu. Nie było sensu dalej iść tym tropem, dlatego ruszyliśmy w drogę powrotną do humvee. Trawa zajęła się od drugiej flary, którą wystrzeliłem, i ten niewielki pożar zapewnił nam trochę lepszą widoczność w drodze powrotnej.

Kiedy wróciliśmy do naszych samochodów, z małego pożaru zrobił się duży. Oczywiście wyobraźni widziałem jakiegoś biednego irackiego rolnika, który wstanie rano i zobaczy, że połowa jego pola zmieniła się w szerniałe pogorzelnisko. Szczerze mówiąc, gówno mnie to obchodziło. Ilekroć jesteśmy atakowani, jakaś część mnie pragnie, aby w akcie zemsty pozabijać okolicznych cywilów. Prędzej czy później trafilibyśmy na jakichś rebeliantów i przestaliby nas atakować, co nie? Czysta statystyka. Potem jednak zdałem sobie sprawę, że, tak czy inaczej, w zamachach giną cywile, niezależnie, czy od ognia w strzelnicach czy od odłamków bomby, i doktryna statystyki wzięła w łeb.

Reszta konwoju wreszcie ruszyła, a ci z nas, którzy szukali kabli na polu, wrócili przekonani, że zaraz

będziemy jechać do domu. Ku mojemu zaskoczeniu, wszyscy szukali czegoś na poboczu. Zaczepiłem Dana i spytałem, co się dzieje:

- Czego szukacie?
- Głowy.
- Co ty gadasz? - Prawie padłem ze śmiechu.
- Głowy. Szukamy ludzkiej głowy. - Dań uwielbia

coś tłumaczyć, niczego przy okazji nie wyjaśniając.

- Aha, jasne - odarłem w ciemno. - Do kogo na leżała?

Dań, żywe wcielenie cierpliwości, spojrzał na mnie i spokojnie odparł:

- Do kierowcy ciężarówki. Nie mogą *znaleźć* jego głowy, więc pomagamy jej szukać.

Wydaje mi się, że powiedziałem coś w stylu:

- Teraz to sobie ze mnie jaja robisz.

Przez chwilę myślałem, że posikam się ze śmiechu. Przypomniałem sobie film *Eight Heads in Duffel Bag*¹. Chciałem spytać, czy jeżeli nie znajdziemy głowy kierowcy, będziemy mogli mu doszyć inną? Bóg jeden wie, że w dzisiejszych czasach w Iraku łatwo o samą głowę. Na szczęście ten moment wesołości szybko minął. Co się stanie, jeśli głowę znajdzie jakiś miejscowy, który nie lubi Amerykanów (czyli ktoś, kogo nie obsypujemy deszczem mamony)? Potem pomyślałem o biednej matce tego żołnierza i zrozumiałem powagę sytuacji. Nie ma się co śmiać, musieliśmy *znaleźć* resztki ciała zabitego.

Z wolna zaczęło wstawać słońce, co mnie ucieszyło. W jego świetle byliśmy w stanie szybciej i efektywniej przeczesać okolicę. Byłem potwornie zmęczony i niczego nie pragnąłem tak bardzo, jak pójść spać. Wiedziałem jednak, że musimy odnaleźć tę głowę. Gdybym to ja zginął, matka liczyłaby, że moi towarzysze broni skompletują moje zwłoki. Wydaje mi się, że szukaliśmy jeszcze przez dobrą

godzinę, kiedy okazało się, że znaleziono już wszystko, co było do znalezienia. Poczujęm zawód. Chciałem się osobiście upewnić, że nie brakuje żadnego fragmentu. Byłem tak zaangażowany, że spytałem kogoś, dlaczego się poddajemy. Powiedziano mi, że wcale sobie nie odpuszczamy. Jeśli trzeba by było, to prowadzilibyśmy poszukiwania cały następny dzień i noc, gdyby było coś jeszcze do znalezienia. Okazało się, że nie brakuje już żadnego kawałka zwłok, jedynie w szpitalu trochę czasu zajęło lekarzom poskładanie układanki.

Mój pluton absolutnie odmawia robienia dwóch rzeczy, chyba że jest do tego zmuszony: nie rozmawiamy przez radio i nie omawiamy misji po ich zakończeniu. Tym razem jednak po powrocie do bazy porucznik zebrał nas wszystkich i omówiliśmy to, z czym mieliśmy do czynienia. Rozmawialiśmy o zabitym kierowcy, o tym, jak twarda okazała się ranna kobieta. Porucznik zapewnił nas, że gdybyśmy to my znaleźli się w podobnych opałach, nie zostalibyśmy pozostawieni sami sobie, tak jak to miało miejsce w jej przypadku. Potem mówiliśmy o rzeczach, które zrobiliśmy dobrze, i o tych, które moglibyśmy zrobić lepiej. Przez większość czasu po prostu gadaliśmy i słuchaliśmy siebie nawzajem.

8 września 2004 **Trzy dni walk**

Dzień 3: Kurczątko

Kiedy przyjechaliśmy do Iraku, sądziliśmy, że będziemy walczyć z wrogiem tak, jak nas tego uczono: oni będą strzelać do nas, a my do nich. Ci, którzy brali udział w inwazji lub znaleźli się w pewnych rejonach kraju, takich jak Samarra czy Faludża, rzeczywiście walczyli z wrogiem w konwencjonalny sposób. Nasz obszar działań to wiejskie okolice położone na północ od Bagdadu. Mniej więcej w połowie naszej służby zdaliśmy sobie sprawę, że bezpośredni kontakt z wrogiem będzie należał do rzadkości, jeśli w ogóle do niego dojdzie. Było co prawda kilka incydentów, kiedy żołnierze z naszego AO zostali ostrzelani, ale głównie działo się tak za sprawą rolników, którzy próbowali odstraszyć potencjalnych złodziei, lub za sprawą innych oddziałów wojskowych. Incydenty z „sojusznicznym ogniem” były niezbyt częste i na szczęście kończyły się bez ofiar. Rolnicy nie zawsze mieli tyle szczęścia.

Czymś, czego nigdy nie brakowało w naszych okolicach, były IED. Praktycznie codziennie znajdowaliśmy jakiś i niszczyliśmy. Jeżeli nam się nie udało, to wysadzali go buntownicy. Przychodziły takie dni, że aktywność rebeliantów rosła, ale nie trwało to dłużej niż dwa tygodnie. Chłopaki z EOD ciągle mieli ręce pełne roboty i zapracowali na każdego centa swojej wypłaty.

W większości przypadków IED podkładane są opodal drogi lub głównej szosy, a ataki mają zwykle

miejsce nocą. Po kilku miesiącach potrafiliśmy wyczuć, gdzie tym razem rebelianci podłożą bombę. W naszym AO znajduje się sporo winnic i ogrodów, dlatego wykopano skomplikowany system kanałów irygacyjnych zaopatrujących je w wodę. Sposób podkładania bomby zawsze jest podobny. IED umieszczany jest przy drodze. Systemy zagłuszania muszą całkiem dobrze działać, ponieważ nie spotykamy ładunków uruchamianych przez radio czy telefon komórkowy. Z tego powodu IED odpalany jest za pomocą kabla, którego jeden koniec znajduje się w zapalniku bomby, drugi zaś gdzieś dalej, w kryjówece zamachowców. Zwykle jest to jeden z głównych kanałów.

Dysponując danymi na temat czasu i rozmieszczenia ładunków, dowództwo było w stanie opracować operację przeciwko zamachowcom. Nasz obszar działań jest ogromny, więc siedzenie po nocy w krzakach w oczekiwaniu na terrorystów mija się z celem. Jednakże aktywna reakcja na

zamachy jest lepsza niż pasywna. Poza tym, jeśli nikogo nie złapiemy, to przynajmniej jeszcze lepiej poznamy okoliczne tereny. Jednym z atutów, jakie bezlitośnie przeciwko nam wykorzystywano, była doskonała znajomość terenu i miejsc, gdzie można podłożyć IED. Szosę znamy jak własną kieszeń, ponieważ jeździmy nią przynajmniej dwa razy dziennie, ale boczne dróżki pozostawały dla nas białą plamą na mapie. Biorąc pod uwagę hipotetyczny atak rebeliantów i potrzebę reakcji na niego, wiedza na temat okolicy mogła nam się tylko przydać.

W Armii Stanów Zjednoczonych istnieje specyficzna doktryna mówiąca, jak przygotować zasadzkę.

Znacznie się różni od innych przepisów określających zasady funkcjonowania oddziału. Na przykład podczas ataku z zasadzki nie musisz celować. Najprawdopodobniej dlatego, że jest to mniejszy stres dla atakujących. Zasadzkę powinno się urządzić na zakręcie lub łuku drogi, którą będzie podróżował nieprzyjaciel, tak aby karabin maszynowy nie musiał być przesuwany, żeby pokryć ogniem cały teren. Miejsca, jakie mają zająć poszczególni żołnierze, określane są przez kąt ostrzału. Zakres obrotu w lewo i w prawo ograniczany jest przez wbite w ziemię patyki, które wyznaczają sektory ognia. Podobnie jest z górną i dolną krawędzią, którą często wyznaczają sznurki przeciągnięte pomiędzy kijkami. W ten sposób zostaje ściśle określony obszar ostrzału nazywany „strefą śmierci”. Kiedy wszystkie pozycje zostaną obsadzone, żołnierze mają tam czekać, aż pojawi się wróg. Kiedy znajdzie się w polu widzenia, żołnierz wyznaczony do rozpoczęcia ostrzału musi odczekać na właściwy moment i rzuca wtedy granat, odpala minę Clay-more⁵² lub oddaje pierwszy strzał. Na ten znak wszyscy zaczynają pruć ile tylko wlezie, zasypując swoją strefę śmierci pociskami. Niektórzy strzelają seriami, inni ogniem pojedynczym, jeszcze inni rzucają granaty lub detonują miny. Chodzi o to, żeby ogień nie ustawał nawet na chwilę, nawet pomimo zmiany magazynków. W żargonie wojskowym nazywa się to „szaloną minutą”. Potem pada rozkaz przerwania ognia i oddział przeczesuje teren. Wroga broń i ekwipunek

zbiera się w jednym miejscu i niszczy, po czym oddział w pośpiechu wycofuje się z miejsca zasadzki.

Operacje skierowane przeciwko buntownikom podkładającym IED nazywaliśmy zasadzkami, jednak miały się one nijak do podręcznikowego opisu takiej operacji. Określiliśmy obszar, na którym dochodziło do ataków, szukając miejsc, które dałyby nam szybki dostęp do okolicznych dróg i skrzyżowań. Potem, korzystając z dokładnych map terenu, ustaliliśmy, gdzie być może buntownicy spróbują podłożyć bomby, i wybraliśmy dogodne miejsce do rozbicia obozu. Jeff powie-dział, że nazywa się to „zasadzką obszarową”, ale mnie to nie wyglądało na żadną zasadzkę. Będziemy musieli na piechotę pokonać kawał drogi na miejsce obozu i z powrotem, marząc o chwili, kiedy napotkamy wroga. Jednym słowem, mieliśmy szukać kłopotów, a nie na nie czekać. Z jednej strony czekało nas trochę normalnego patrolu, z drugiej - zasadzka. Sam nie wiem, jak to określić.

W mojej pierwszej zasadzce wzięła udział pięcioosobowa drużyna. Patrolowane przez nas tereny były gęsto porośnięte roślinnością, dlatego nosiliśmy zielone mundury i maskowanie twarzy. Kilka humvee wysadziło oddziały na granicy patrolowanego obszaru, po czym wycofało się do punktu zbornego parę kilometrów dalej. Tej nocy czekał nas krótki spacer, jednak aby dostać się do wyznaczonego punktu, musieliśmy przekroczyć wąski kanał. Rów nie różnił się niczym od innych: miał jakieś pięć metrów szerokości, wybetonowane ściany opadające pod kątem czterdziestu pięciu stopni i płaskie dno. Woda sięgała ledwie do

połowy, ale nie przewidzieliśmy, jak śliskie są ściany. Kiedy znaleźliśmy się w wodzie, okazało się, że

nie za bardzo możemy się wydostać na drugi brzeg. Mogliśmy przejść przez kanał po jednej z niewielkich kładek, ale Jeff, dowódca oddziału, nawet nie chciał o tym słyszeć. Jeżeli na drodze znajdzie się zbiornik wody lub zwykłe błocko, Jeff znajdzie powód, żeby się w nim taplać. Twierdzi, że to bardzo niebezpieczne i wbrew regułom postępowania piechoty, aby korzystać z nieznanych mostów. Ma rację, ale utknięcie w kanale irygacyjnym też nie jest w zgodzie z zasadami piechoty. Jeff jako pierwszy wskoczył do wody i od razu zdał sobie sprawę, że wyjście z kanału nie będzie łatwą sprawą. Zdjął plecak, pancierz i broń i rzucił je na drugą stronę rowu. Bez obciążenia był w stanie szybko wdrapać się po śliskim zboczu i tym sposobem pomóc reszcie chłopaków wyjść z wody. Podczas kiedy inni przechodzili na drugą stronę dzięki Jeffowi, ja spróbowałem wydostać się o własnych siłach. Gdyby ktoś czatował na nas, nieważne, po której stronie kanału, byłibyśmy potwornie udupieni. Pomyślałem o tym, kiedy pęzałem po ścianie kanału. W końcu, po kilku nieudanych próbach, wdrapałem się na drugi brzeg. Miałem na sobie pancierz i wyposażenie, więc kosztowało mnie to sporo wysiłku. Prawda była taka, że zużyłem rezerwy energii, które człowiek wykorzystuje, walcząc o życie. Kiedy przekroczyliśmy kanał i ruszyliśmy dalej, byłem kompletnie wyczerpany. Powiedziałem sobie, że nigdy więcej czegoś takiego nie zrobię, chyba że naprawdę będę musiał. Musi być łatwiejszy sposób na przekraczanie rowów.

Kolejną zasadzkę mieliśmy urządzić w tej samej okolicy, co oznaczało, że ponownie będziemy przekraczać kanał. Tym razem byliśmy jednak lepiej przygotowani. Rubin, dowódca jednej z drużyn naszego plutonu, jest mistrzem w budowaniu przeróżnych rzeczy praktycznie z niczego. Na tę okazję zmontował z desek mostek-drabinę, po którym mieliśmy przekroczyć problematyczny rów. Tej nocy wsiedliśmy do hunwee, biorąc ją ze sobą. Kiedy dotarliśmy na miejsce, zabraliśmy drabinę. Na jednym z jej końców przywiązana była lina ułatwiająca opuszczenie mostka na drugą stronę. Choć zrobiliśmy kilka prób na sucho, to kiedy przyszło co do czego, nie potrafiliśmy przerzucić drabiny na drugi koniec rowu. Miałem już dość, wkurzony, że nie potrafimy poradzić sobie z głupim kanałem, wskoczyłem do wody i sam ustawiłem drabinę w odpowiedniej pozycji. Oddział przeprowił się na drugą stronę, ja wdrapałem się na brzeg. Tym razem zamókł tylko jeden z nas. Znowu umazałem się cały w błocie i nie byłem z tego powodu szczęśliwy, ale nie pozwoliłem nikomu nawet pomyśleć o skorzystaniu z kładki, którą zauważyliśmy jakieś pięćdziesiąt metrów od nas. Skoro Jeff powiedział, że nie korzystamy z cudzych mostów, to tak ma być! Jeżeli ktoś zadał sobie trud skonstruowania głupiej rampy i niesienia jej przez całą drogę (a była cholernie ciężka), to mamy ją wykorzystać! Kiedy przeprowiliśmy się na drugą stronę, ukryliśmy przenośną kładkę w krzakach i ruszyliśmy dalej.

Jako że poprzednim razem mieliśmy blisko do wyznaczonych pozycji, tym razem Jeff wybrał na zasadzkę miejsce oddalone od punktu, gdzie wysadził

nas humvee, o dobry kilometr. W normalnych warunkach jest to krótki spacer, ale teraz, biorąc pod uwagę ilość sprzętu i wagę kamizelek ochronnych, które wszyscy nosimy, oraz ukształtowanie terenu, była to droga przez mękę. Kilka dni temu spytałem Jeffa, czy nie moglibyśmy sobie darować noszenia panczerzy, skoro to my urządzamy zasadzkę, ale tylko mnie wyśmiał. Okolica była płataniną winnic i sadów. Krzaki zapewniały nam osłonę przed obserwatorami, ale spowalniały tempo marszu.

Jeżeli ktoś miał powyżej metra sześćdziesięciu centymetrów wzrostu, to spacer po winnicach był dla niego koszmarem; pomiędzy krzewami rozpięte były linki, po których pięły się winoroślą. Zwykle biegły na wysokości półtora metra nad ziemią. Latem widać je było na pierwszy rzut oka, bowiem pnące się po nich rośliny tworzyły zielony dach. Teraz jednak, w nocy, kiedy nie widać palików, na których rozpięto sznurki, idąc po ciemku i po nierównym terenie, w okularach noktowizyjnych zakłócających poczucie perspektywy, ciągle się na nie natykałem. Odkryłem, że

najlepiej mi się idzie w pozycji wyprostowanej z opuszczoną głową, ale wtedy nie widziałem nic poza własnymi stopami. W praktyce powinienem iść na ugiętych nogach, ale z powodu wagi ekwipunku nie mogłem utrzymać takiej pozycji dłużej niż przez kilka minut, bowiem zaczynały mnie potwornie boleć uda.

Ruszaliśmy się jak muchy w smole. Prowadził Jeff, którego zadaniem było odnalezienie najkrótszej i najbezpieczniejszej drogi. Nie był to łatwy kawałek chleba. Czasem okazywało się, że musimy się cofnąć i szukać

innego przejścia, bowiem to, którym szliśmy, kończyło się ślepym zaułkiem. Choć mieliśmy mapy okolicy, to nie były one tak dokładne i aktualne jak te, z którymi ćwiczyliśmy na poligonie. Innym problemem była ich skala, bardziej przydatna dla pilotów niż żołnierzy piechoty. Planując trasę przemarszu w trakcie takiej misji jak obecna, wiedzieliśmy, że na miejscu trzeba będzie sporo improwizować.

Przebyliśmy trochę ponad połowę drogi, kiedy część ludzi zaczęła marudzić na temat postojów. Jako amunicyjny drużyny niosłem magazynki dla dwóch jednostek broni, ale i tak miałem stosunkowo lekki plecak. Sean i Jimmy dźwigali SAW-y, a Rich radiostację. Mimo to staraliśmy się nadążyć za resztą oddziału.

Jeff jest sierżantem sztabowym, dobiega czterdziestki, pali dużo papierosów i zanim przyjechaliśmy do Iraku, nigdy regularnie nie ćwiczył. Cechuje go jednak niespożyta energia. Jest jednym z tych facetów, którzy są tak brzydki, że aż przystojni, jak Wil-liam Dafoe czy Christopher Walken. Jeff jest wysoki, szczupły i potwornie włochoaty. Jego zęby są poczerniałe od ciągłego palenia papierosów i picia kawy. Zawsze nosi ciemne okulary, trzymające się na jego głowie dzięki lince spadochronowej, której końce zostały stopione i związane w sposób, który każdy *żeglarz* uznałby za czyste świętokradztwo. Jeff doskonale zna się na swojej robocie, a jeśli chodzi o doświadczenie na polu walki - nie ma sobie równych. Wszystko to dzięki kilku latom spędzonym w batalionie rangersów. Jeffa uwielbiam jednak za to, że jest troszkę zwariowany.

Moim zdaniem, najlepsi żołnierze to tacy, którzy mają hopla na jakimś punkcie. Dzięki temu potrafią oswoić się z dość chaotyczną naturą stanu żołnierskiego i do niego przywyknąć. Tej nocy Jeff był w swoim żywiole.

Podbiegłem do niego i spytałem, czy nie moglibyśmy zrobić krótkiej przerwy. Wyglądał na niezadowolonego, ale zgodził się na odpoczynek. Wziąłem od Richa radio, z którym zupełnie sobie nie radziłem. Po trzech minutach ruszyliśmy dalej. W końcu wydostaliśmy się z labiryntu sadów i winnic tylko po to, by znaleźć się w chaszczach pełnych wiatrolomów. Okolica zdawała się przeciwko nam sprzysięgać, ale kiedy dotarłem do miejsca, gdzie krzewy wyrosły w górę na kształt wielkiego grzyba, nie mogłem ukryć zdumienia. Cały czas musiałem powtarzać sobie, że jestem w Iraku, ponieważ miałem nieodparte przeczucie, że zaraz spotkam siedzącą na czubku stonogę pykającą z fajki wodnej. Znowu dotarliśmy do ślepego zaułka i zawróciliśmy, szukając lepszej drogi. Jeff kazał nam się zatrzymać, a sam wspinał się na pobliskie wzgórze. Kiedy patrzyłem za nim, jak znika za pagórkami, Jimmy padł na plecy i znieruchomiał. Zbliżyłem się do niego, pochyliłem i szepnąłem do ucha:

- Wszystko w porządku, stary?
- Nie dam rady. Nie ruszę się stąd. Czy możemy

tutaj *urządzić* zasadzkę?

Zanim odpowiedziałem, usłyszałem, że Jeff wywołuje mnie przez radio, rozkazując przeprowadzić resztę ludzi na wzgórze. Odparłem: „Zrozumiałem. Musisz wiedzieć, że Jimmy nie ma sił się ruszać.

Będziemy na miejscu za kilka minut. Bez odbioru". Po kilku chwilach

przekomarzania się i żartów przekonałem Jimmy ego, żeby wstał. Powiedziałem mu, że jest dużym chłopcem, za chwilę będziemy na miejscu i wiem, że jest w stanie przejść jeszcze taki niewielki kawałek. Przejdziemy się na wzgórze, postrzelamy do kogoś, coś zniszczymy, będzie zadowolony, a potem wrócimy do naszego przytulnego bunkra i urządzimy mu kąpiel z bąbelkami. Jeff wrzasnął przez radio: „Jazda na wzgórze, do kurwy nędzy!”.

Przez szczyt pagórka przebiegała droga, którą mieliśmy obserwować. W jej pobliżu znajdowało się dość jam i wykrotów, aby się ukryć. Przejście kilometra dzielącego miejsce, w którym wylądowaliśmy, od celu zajęło nam godzinę. Wszyscy, rzecz jasna oprócz Jeffa, byliśmy kompletnie wyczerpani.

Teoretycznie urządzanie zasadzki to sama zabawa. Praktyka jest jednak taka, że leżenie nieruchomo w jednej pozycji przez kilka godzin jest do bani. Jeżeli przed misją człowiek się nie wyśpi, to w trakcie czatowania łatwo zapaść w sen. Zaśnięcie na posterunku to bardzo poważna sprawa. Ilekroć planowana jest zasadzka, zawsze staram się porządnie wypać poprzedniego popołudnia.

Kiedy zajęliśmy wyznaczone nam miejsca, próbowałem zachować czujność. Moim zadaniem było osłanianie reszty oddziału, który obserwował drogę. Zdawałem sobie sprawę, że mało prawdopodobne jest, aby ktoś próbował nas zejść od strony pola, na które miałem baczenie, ale mimo wszystko poważnie podchodziłem do swojego zadania. Miałem doskonałe pole widzenia i w duchu modliłem się, żeby tak zabłąkał

się jakiś buntownik z RPG lub AK-47. W takich sytuacjach prawie niemożliwe jest, żeby nie „odpłynąć”, ale pomimo wszystko starałem się maksymalnie skupić. Próbowałem wymyślać najróżniejsze sytuacje, w jakich mogę się znaleźć, i ułożyć plan na wypadek którejkolwiek z nich. Przeleżeliśmy tak kilka godzin.

Zbliżała się pora, kiedy powinniśmy wracać do bazy. Plan zakładał, że wycofamy się dokładnie tą samą trasą, którą dostaliśmy się na miejsce, i tam spotkamy humvee. Na wypadek, gdybyśmy potrzebowali natychmiastowej ewakuacji, mieliśmy wycofać się obserwowaną przez nas drogą i kierować w stronę głównej szosy. Tam, w miejscu, gdzie się łączyły, również miały czekać na nas hunwee. Doktryna piechoty wyraźnie mówi, że nie wolno korzystać z dróg, chyba że jest to naprawdę konieczne. Wiedziałem jednak, że chłopcy nie będą chcieli wlec się przez chaszcze, a sam też nie byłem przekonany, czy jest to warte zachodu.

Właśnie zastanawiałem się, jak namówić Jeffa na powrót normalną drogą, kiedy usłyszałem strzały. Padło ich ponad tuzin, po odgłosach poznałem, że wszystkie z broni kaliber 5.56 mm. Było jasne, że inna drużyna, która także urządziła zasadzkę, do czegoś strzelała, nie wiedzieliśmy jednak do czego. Radio oddałem wcześniej Richowi, dlatego nie mogłem podsłuchać, co się dzieje. Jeff powiedział nam, że dokładnie w polu ostrzału tamtej drużyny zatrzymał się samochód, z którego wysiadł jakiś człowiek i podrzucił obok drogi przedmiot wyglądający na pocisk artyleryjski. Od dawna podejrzewaliśmy, że podkładaniem IED zajmują się różne grupy ludzi, nie jedna.

Zadania były podzielone: jedni podkładali ładunki, inni układali kabel do detonatora, a jeszcze inni przeprowadzali ataki. Sąsiedni oddział otworzył ogień, aby unieruchomić pojazd.

Chwilę później dało się słyszeć drugą serię, dwa razy gwałtowniejszą i głośniejszą. Jeff przez chwilę wsłuchiwał się w komunikaty, a potem krzyknął: „Próbują uciec drogą! Ruszać się,

ludzie! Przechwycimy ich!". Zerwaliśmy się na równe nogi i pędem zbiegliśmy dróżką w kierunku autostrady. W ciągu kilku minut dobiegliśmy do kanału, tym razem kilkaset metrów od miejsca, w którym go przekroczyliśmy. Mogłem zobaczyć miejsce, gdzie wysadził nas humvee. Głupio było pomyśleć, że przebiegliśmy tę odległość w trzy minuty, podczas gdy poprzednio szliśmy półtorej godziny. Dróżka biegła równolegle do kanału, a niedaleko od nas znajdował się przerzucony przez nią mostek. Autostrada znajdowała się jakieś pięćdziesiąt metrów od drugiego brzegu. Chciałem przebiec po kładce, ale Jeff kazał mi się zatrzymać. Oddział *znacznie* się rozciągnął, a Jeff wołał, abyśmy na miejsce dotarli w jednej grupie.

Szosa przemknęła kilka pojazdów, ale wszystkie wyglądały na osiemnastokółowce. Potem zobaczyliśmy kolejne światła zbliżające się ku nam. Poza nimi nie było żadnego pojazdu na szosie. Nie mogłem dostrzec, co to za samochód, więc krzyknąłem: „Czy to furgonetka?”. Istniała spora szansa, że uciekający samochód już nas minął. Wszyscy dobiegli do kanału i wpatrywali się w mrok. Kiedy światła się zbliżyły, zauważyłem, że to samochód w typie busa

volkswagena. Był już prawie na wprost przed nami, więc krzyknąłem jeszcze raz: „Czy to on?!”. Celowniki broni skoncentrowane były na pojeździe, a przez NVG widziałem promienie celowników laserowych smagające bok furgonetki. Nikt się nie poruszył ani nie powiedział słowa. Nagle Jeff krzyknął: „Ognia!”.

Naciskałem spust tak szybko, jak byłem tylko w stanie. Po kilku wystrzelonych pociskach wysiadły moje gogle, ale strzelałem dalej, opierając się na śladach pocisków smugowych. Ciągły strumień kul obsypał samochód i drogę obok niego. Wyprułem cały magazynek mieszczący trzydzieści nabojów, kiedy furgonetka przejechała obok mnie. Już prawie zniknęła nam z oczu, gdy Jeff rozkazał, aby przerwać ogień. Rozzłoszczony, że samochód uciekł, ściągnąłem zaślepkę 203, użyłem Mocy, aby wyliczyć trajektorię, i wystrzeliłem granat, totalnie na wiat. Granat kaliber 40 mm, pełen mojej miłości do uciekinierów, poszybował w niebo, znikając ponad czubkami drzew. Nikt nie strzelał i zapadła kompletna cisza. W powietrzu unosił się cudowny zapach spalonego prochu. Serce waliło mi jak młotem i czułem podniecenie, jakiego nie zaznałem jeszcze w życiu. „Słodki Jezu - pomyślałem - mógłbym to robić codziennie!”. Potem włączył się mój zdrowy rozsądek i zacząłem myśleć o wystrzelonym granacie. Poczucie ekstazy minęło jak ręką odjął. Po raz pierwszy wystrzeliłem w walce prawdziwy granat. Kurwa, mam nadzieję, że po drugiej stronie drzew nie ma jakichś domów. Jak do tej pory pocisk nie wybuchł, zdawał się bez końca szybować w powietrzu. Może w ogóle nie wybuch-

nie? Może to będzie niewypał? Hej, może nikt nie zauważył, że to ja strzeliłem? W dalszym ciągu nic. Cisza. I nagle „BUUM!”; kurwa, ale hałas. Nie pamiętam, żeby granaty wybuchały z takim hukiem. Może w tym zamieszaniu nikt nie zauważył wybuchu albo wszyscy o nim zapomną?

- O mój Boże, stary, to najfajniejsza rzecz, jaką w życiu widziałem - wykrzyknął rozpromieniony Sean.

- Chybiłeś tym granatem maksymalnie o metr. Gdybyś trafił tę furgonetkę, dostałbyś co najmniej jedno życie! To jak znaleźć zielonego grzybka!

Sean i jego porównania do *Super Mario Brothers™* zdjęły mi ciężar z serca. Potem podszedł Jeff i śmiejąc się histerycznie, dodał:

- Moje gratulacje, właśnie zostałeś permanentnym członkiem oddziału uderzeniowego.

Czyli chyba strzał był w porządku.

Chwilę później szosą przemknęły hunwee, które szybko dogoniły uciekającą furgonetkę. Jej kierowca zaparkował przed pobliskim domem i wbiegł do środka, prosząc o pomoc. Jedna z kul trafiła go w plecy, o włos mijając kręgosłup, był także ranny w nogi. Dostał albo kilka kul, albo odłamkami. Kiedy czekali na CASEYA.C, Matt, który został tej nocy w hunwee, udzielił mu pierwszej pomocy. Nie wiedzieliśmy, czy i jak mieszkańcy tego domu byli związani z kierowcą, dlatego zostali zatrzymani do wyjaśnienia.

Podczas gdy wyjaśniano sprawę aresztowanych, przeszukano furgonetkę. Ku zaskoczeniu wszystkich

obecnych była wyładowana po brzegi klatkami z kurczętami; nie znaleziono żadnych IED czy materiałów wybuchowych.

Nasza drużyna oraz jeszcze jedna z tych, które brały udział w zasadzce, spotkały się przy kanale, czekając na humvee. Ich załogi miały pełne ręce roboty, więc musieliśmy poczekać na transport, co dało nam okazję do pogadania. Teoretycznie nadal znajdowaliśmy się na potencjalnie wrogim terenie i powinniśmy siedzieć cicho w rowie, czekając na pojazdy, ale dyscyplinę diabli wzięli i ludzie się rozgadali. Najbardziej obawialiśmy się, że ostrzela nas któryś z przejeżdżających samochodów, którego załoga nie będzie spodziewać się sojuszników, dlatego ukryliśmy się w niecce obok kanału.

Usiadłem obok Raya, członka drużyny, która próbowała na początku unieruchomić furgonetkę. Marudził, jakie to głupie, jego zdaniem, próbować uszkodzić samochód pociskami kaliber 5.56 mm. Rozmawialiśmy o rozwoju wypadków od chwili, kiedy jego oddział otworzył ogień, do momentu, kiedy mój włączył się do akcji. Potem Ray powiedział: „Kiedy usłyszałem strzał z 203, to mi stanął”.

Jedną z najgorszych *rzeczy* w życiu żołnierza pie-choty jest to, że znajdujesz się na szarym końcu ogonka do informacji. Ciężko jest się dowiedzieć, jak zakończyły się pewne sprawy. Minęło kilka dni, zanim dowiedzieliśmy się, o co chodziło z furgonetką pełną kurcząt i jej kierowcą. Patrząc z naszej perspektywy, mieliśmy do czynienia z człowiekiem, który jadąc nocą, zatrzymał się w okolicy znanej z dużej liczby

podkładanych bomb i kombinował z przedmiotem, który do złudzenia przypominał pocisk artyleryjski. Prawda była taka, że ten człowiek był kierowcą samochodu, którego ładunek stanowiły klatki z kurczakami. Nie mógł ich przewieźć za dnia, bowiem gorąco panujące na pacy zabiłoby ptaki. Temperatura sięga prawie pięćdziesięciu stopni i dłuższa podróż sprawiłaby, że pisklęta by się podusiły. Wpadł więc na pomysł, aby przewieźć je nocą, kiedy jest chłodniej. Niestety, jego samochód okazał się kupą złomu i kierowca zauważył, że silnik potwornie się grzeje. Pobocza szosy usłane są pustymi butelkami wyrzucanymi przez żołnierzy z konwojów, dlatego facet wpadł na pewien pomysł. Postanowił znaleźć taką, w której będzie jeszcze trochę wody, żeby schłodzić nią silnik. Kiedy zjechał na pobocze, wyjął z ciężarówki skrzynkę, zapewne po to, aby układać w niej znalezione butelki, i ustawił ją obok szosy. Wiele butelek kształtem przypomina pociski artyleryjskie. Ludzie z oddziału Raya, którzy obserwowali go w podczewieni, byli pewni, że facet podkłada bombę.

Rzecz jasna, byli tacy, których takie wytłumaczenie nie przekonywało. Jeżeli cała historia z małutkimi kurczętami i przegrzonym silnikiem była wymyślną sztuczką, aby w środku nocy zatrzymać samochód na terenie, gdzie podkładane są IED, to chytry plan się udał.

Wstyd powiedzieć, ale kiedy się dowiedziałem, że człowiek, którego prawie zastrzeliliśmy, był niewinnym cywilem o nieprawdopodobnym pechu, wcale nie zmniejszyło to mojego

podekscytowania. Czułem się

niewiarygodnie wdzięczny i szczęśliwy, że nie trafiłem samochodu granatem, ale muszę przyznać, że gdzieś w głębi duszy żałowałem, że chybiłem.

Furgonetka została odciągnięta do naszej bazy, a jej kierowca przeszedł operację. Pocisk, który go trafił, przebił ścianę samochodu, fotel, plecy faceta i zatrzymał się w jego brzuchu. Operacja, która miała na celu wydobycie kuli, udała się, a on wrócił do zdrowia. Jego samochód został zatrzymany w bazie (kilka dni stał w pełnym słońcu), zanim ktoś go odebrał. Wszystkie kurczęta zdechły.

10 września 2004

Najgłupsza i najbardziej zawstydzająca rzecz,
jaką zrobiłem w całej mojej karierze wojskowej

Któregoś dnia pełniłem służbę w QRR. Czekaliśmy w czteroosobowym bunkrze na terenie punktu zbornego, kiedy dostaliśmy wezwanie od okolicznych rolników, którzy znaleźli pociski moździerzowe i prosili, żeby je rozbroić. Nic niezwykłego. Miejscowi bardzo często „odnajdują” pociski, bowiem za ich znalezienie wyznaczono nagrodę. Choć nie było to pilne wezwanie, to szybko zebraliśmy ekwipunek, wsiedliśmy do samochodów i ruszyliśmy w kierunku bramy frontowej.

Przed wyruszeniem na misję każdy żołnierz odprawia swój rytuał, sprawdzając, czy ma przy sobie wszystko, co potrzebne. Brałem udział już w tak wielu zadaniach, że ową kontrolę wykonuję podświadomie;

kiedy coś nie gra, czuję, że nie wszystko jest w porządku. Na przykład działając w QRF, wiem, że mój plecak i kombinezon przeciwchemiczny są załadowane na hunwee. Kiedy nadchodzi wezwanie, zakładam pancierz, dopinam kamizelkę, w której trzymam całą amunicję, zakładam hełm na głowę, chwytam CamelBak⁵⁴ i broń, po czym biegnę do hunwee. Nie myślę bez ustanku: „Muszę założyć Interceptor⁵⁵”. Wiem, że gdybym tego nie zrobił, dręczyłby mnie niepokój. Po prostu pancierz wytwarza specyficzny nastrój bezpieczeństwa. Tak naprawdę chodzi o ciężar, który upewnia mnie o jego obecności. Kiedy wsiadam do samochodu, ręce mam cały czas zajęte, ponieważ trzymam karabin. O tym, że mam przy sobie broń, wiem, bo coś trzymam w dłoniach.

Kiedy otrzymaliśmy wezwanie, czyściłem okulary przeciwsłoneczne. Mam pewne problemy ze wzrokiem, które nazywam Syndromem Optymisty. Patrząc ze sporej odległości, każdy wygląda dla mnie w porządku. Jak do tej pory zawsze udawało mi się *zaliczyć* ćwiczenia na strzelnicy bez okularów, choć aby tego dokonać, musiałem używać Mocy. Z moją wadą wzroku niemożliwe jest dostrzeżenie celu odległego o trzysta metrów. Jeżeli w trakcie sprawdzianu ktoś krzykiem powiadamia o jego pojawieniu się albo słońce błysnie na tarczy, wtedy można strzelić na pamięć, nawet trafić. Bez okularów potrafię

trafić w cel będący ode mnie dwieście, nawet trzysta metrów, ale nie jestem w stanie go zidentyfikować. Na strzelnicy nie ma wrogów i sprzymierzeńców, są tylko tarcze. W prawdziwym życiu sprawy mają się inaczej. Strach przed zabiciem niewinnej osoby jest we mnie ogromny, dlatego bardzo uważam, aby nosić odpowiednie okulary, i dbam o nie. Kiedy otrzymaliśmy wezwanie, byłem w połowie ich czyszczenia, które dokończyłem, jadąc do bramy.

Zanim opuściliśmy bazę, dowódca QRF skontaktował się z TOC, dając im znać, że wyjeżdżamy. Zwykle zajmuje to kilka minut, więc skończyłem czyścić okulary, założyłem je na nos i... zdałem sobie sprawę, że moje dłonie są dziwnie beczynne. Czemu nic w nich nie mam? Co się dzieje? Dlaczego nie trzymam w nich karabinu? Jezus Maria! Gdzie jest moja broń?

Z rozpaczą rozejrzałem się po humvee, szukając wzrokiem karabinu, ale wiedziałem, że skoro nie mam go w rękach, to zapomniałem wziąć ze sobą. Nie było sensu szukać go w samochodzie; M4/M203 to nie jest moneta, która może wpaść pomiędzy siedzenia. Musiałem pogodzić się z faktem, że mój karabin wisi na ścianie bunkra.

Nie opuściliśmy jeszcze bazy, więc mogłem wysiąść z humvee i wrócić po broń. Bunkier był niecałą minutę drogi od bramy. Mogliśmy do niego podjechać i wrócić w ciągu dwóch minut. Ale jak bym wyjaśnił pozostałym QRF, że nagle mój humvee zawrócił do bunkra?

W wojsku, zwłaszcza w oddziałach frontowych, najważniejsza jest reputacja żołnierza. Za każdym

razem, kiedy żołnierz zrobi coś głupiego, plotka rozchodzi się lotem błyskawicy. Zwykle dzieje się tak, że kilku ludzi rozmawia o zdarzeniu, wymienia się opiniami, a potem roznoszą je po całym oddziale. Identyczny proces ma miejsce, kiedy ktoś zrobi coś dobrego. W ten sposób tworzy się i podlega zmianom reputacja żołnierza.

Nawet gdybym wymyślił jakąś fenomenalną historyjkę usprawiedliwiającą moje dziwne zachowanie, faktem by pozostało, że zapomniałem czegoś bardzo ważnego. Nie wiem, jak miałbym ukryć fakt, że zapomniałem karabinu. Moje myśli pędziły jak szalone, kiedy zobaczyłem dwa M249 SAW w humvee.

Zwykle siedzę z przodu, na miejscu pasażera, i obsługuję radio. Ta funkcja nazywana jest TC. Skrót TC został zapożyczony z żargonu czołgistów, gdzie gość dowodzący czołgiem też nazywa się TC, czyli *tank commander* (dowódca czołgu). Tego dnia nie byłem TC i musiałem zająć miejsce za kierowcą. Humvee prowadził Orlando i miał swój SAW obok siebie. Obrotnicę karabinu maszynowego obsługiwał Cesar, a jego SAW leżał tuż obok mnie, wraz z kamizelką i pasami amunicyjnymi.

Nie chciałem się poniżyć wobec wszystkich, przyznając, że zapomniałem broni, ale najważniejsze było, abym miał jakąkolwiek, kiedy opuścimy bazę. Zakładałem, że nikomu nawet przez myśl nie przejdzie, że mogłem zapomnieć karabinu. Dlatego stwierdziłem, iż kiedy będę musiał wysiąść z humvee, wezmę broń Cesara. On sam, obsługując najważniejszą broń oddziału, karabin maszynowy na samochodzie, nie

będzie jej potrzebował, gdyż jedynym powodem do jego porzucenia byłoby zniszczenie pojazdu. Poza tym w pewnych sytuacjach zdarzało się używać broni kogoś innego. Nikt nie powinien zadawać zbędnych pytań.

Kiedy przyjechaliśmy do Iraku, standardową procedurą było otwieranie okien samochodu i wystawianie przez nie luf karabinów. Dość szybko się nauczyliśmy, że szansa na trafienie wroga przez okno humvee jest równa zeru, a eksplozja w pobliżu samochodu jest tylko kwestią czasu, więc w trakcie patrolu jeździmy z podniesionymi pancernymi szybami. Skoro nie musiałem wystawiać lufy przez okno, istniała spora szansa, że nikt się nie zorientuje, że zapomniałem broni, i tym samym uniknę upokorzenia. Dodatkowo każdy będzie zajęty obserwowaniem kawałka swojego terenu przez okno i nie będzie zwracał uwagi na mnie.

Do wioski, z której nadeszło wezwanie, był kawałek drogi, więc postanowiliśmy sprawdzić też inne obszary, na których szczególnie intensywnie działali re-belianci. Podczas drogi miałem trochę

czasu, żeby pomyśleć.

Jak do tej pory tylko ja zdawałem sobie sprawę z głupoty, jaką popełniłem. W chwili obecnej jedyną rzeczą, jaka mnie obchodziła, była moja reputacja. Spróbowałem przypomnieć sobie, kiedy po raz ostatni wpakowałem się w taką kabałę. Najpierw przysłała mi do głowy „bitwa zespołów”, w której brała udział kapela założona przeze mnie i kilku moich kumpli. Konkurs odbywał się na lodowisku w Utah, a my wy-

konywaliśmy *Orange Crush* z repertuaru R.E.M. Śpiewałem nie na tę melodię, co trzeba, zapomniałem tekstu. Co gorsza, na widowni była dziewczyna, na którą miałem potworną ochotę, i moi rodzice. To było straszne. Najgorsze jednak przyszło później, kiedy sam siebie zdręczałem poczuciem wstydu, ilekroć wracałem myślą do tamtych czasów. Kilka lat zajęło mi myślenie o tym, powracanie do tej chwili w żartach i opowiadanie historii o moim występie, zanim wreszcie uporałem się z tym poczuciem niższości. Przypomniałem sobie też moment, kiedy przez przypadek puściłem bąka na lekcji matematyki, a nauczycielka przerwała wykład i powiedziała: „Pięknie. To było naprawdę głośne”. Oczywiście, kiedy to się stało, siedziałem obok dwóch najładniejszych dziewczyn w klasie. Najgorszą rzeczą w zrobieniu czegoś głupiego jest wpływ, jaki ten idiotyzm ma na reputację lub „faj-ność” człowieka. Kiedy jesteś nastolatkiem, twoja reputacja ma minimalny wpływ na dalsze życie, ale jej utrata wydaje się czymś potwornym, prawie końcem świata. Jednym z najboleśniejszych ciosów dla mojego obrazu samego siebie był moment, kiedy po raz drugi spotkałem mojego biologicznego ojca. Zawsze miałem problemy z tego typu kontaktami, jako że nie potrafiłem się dogadać z Jimem, moim przybranym tatą. Dlatego bardzo ważne, głównie z racji psychicznych, było dla mnie, aby zrobić na George’u dobre wrażenie. Dosłownie przesłałem sprawę, kiedy miałem dwadzieścia jeden lat i spotkaliśmy się po raz drugi. Moja siostra, Dyana, otrzymała właśnie tytuł licencjata prawniczego na uniwersytecie, gdzie ona i ja studiowaliśmy,

i George przyleciał do Utah, aby to z nami uczcić. Po obiedzie mieliśmy pójść na premierę *Batman Forever* do pobliskiego kina. Przeżyłem małą rewolucję żołądkową, a kiedy sprawa stała się krytyczna, nie potrafiłem znaleźć toalety. Zerznąłem się na podłogę w dość odosobnionym miejscu, gdzie zamknięte były wszystkie sklepy. Los zrządził, że kiedy ustawiła się długa kolejka do sali, musiała oczywiście kończyć się tam, gdzie pozostawiłem po sobie wiekopomne dzieło.

Boże, to było takie freudowskie. Analna faza rozwoju jest chyba druga w kolejności. Dziecko czerpie satysfakcję z tego, że potrafi zapanować nad działaniem układu wydalniczego. Sprawa kontaktów z ojcem została wyjaśniona przez Junga, ale nie pamiętam w jaki sposób. No i tak oto znalazłem się na wojnie, gdzie życie moje, moich towarzyszy broni i podkomendnych zależy od wzajemnego zaufania. Jak mają na mnie polegać, skoro ja sam nie jestem w stanie tego zrobić, bo zapomniałem zabrać ze sobą pieprzony karabin?

Najpierw nasz oddział QRF miał sprawdzić teren pełen żwirowych usypisk, przez który biegły liczne dróżki, poprzecinany wąwozami i strumieniami. Wysiedliśmy z humvee, założyłem kamizelkę Cesara i wzięłem jego SAW. Kilku chłopaków zauważyło, że zmieniłem broń, ale milcząco uznało, że wychodzę przed szereg, dźwigając cięższy karabin, niż powinienem.

Wróciliśmy do samochodu i ruszyliśmy do wioski. Rzeczywiście, miejscowi znaleźli kilka pocisków czołgowych. Saperzy już je zabezpieczyli i załadowali na swoją półciężarówkę. Ponownie wysiedliśmy z hunwee i sprawdziliśmy okolicę. Tym razem wszyscy zauważyli,

że mam przy sobie M249, i zaczęli to komentować, więc rzuciłem zdawkowe: „Pomyślałem, że sam to sprawdzę”, a oni kupili wymówkę.

Większość żołnierzy, którzy obsługują SAW-a, narzeka na ciężar broni. Kamizelka Cesara upchana była amunicją: w przedniej kieszeni nosił dwieście sztuk, w bocznych tyle samo, a w skrzynce podpiętej do broni miał kolejne sto sztuk. To dawało razem siedemset nabojów, co stanowi typowe obciążenie strzelca. Wziąwszy pod uwagę, że większość tej amunicji nosi się z przodu, podobnie jak broń, zwieszającą się na pasie, szybko zdałem sobie sprawę, że musi mu być kurewsko niewygodnie. Czułem się jak baba w ciąży. Gdybym był operatorem SAW-a, albo wymyśliłbym inny sposób noszenia amunicji, albo złożyłbym wymówienie.

Wróciwszy do samochodu, powiedziałem do Cesara:

- Stary, nie gadałeś głupstw. To naprawdę ciężki kawał żelastwa. I niewygodny jak diabli.
- No co ty? - odparł z uśmiechem.

Kiedy zebraliśmy już całą amunicję i wypłaciliśmy miejscowym nagrodę, ruszyliśmy do domu. W zasadzie nic mi już nie groziło. Musieliśmy tylko pokazać broń przy bramie, zaparkować samochód i wrócić do siebie. Jeżeli pod naszą nieobecność nikt nie wszedł do naszego bunkra, a nikt nie miał powodu, żeby to robić, to byłem bezpieczny. Będę jedyną osobą, która wie, co się stało, i będzie to moje brzemię. Może opowiem o tym komuś, jak wrócę do domu? Zwierzę się Willyemu. Nie, to głupi pomysł, z jego zdaniem się liczę. Po głębszym zastanowieniu uznałem, że pewnie zatrzymam ten epizod dla siebie.

Kiedy wróciliśmy do bazy, czekała na mnie niemiła niespodzianka. Zdecydowano, że najpierw pójdziemy coś zjeść, a dopiero potem wrócimy do siebie. QRF zawsze muszą trzymać się razem, na wypadek nagłego wezwania, więc nie miałem wyboru, trzeba było iść z chłopakami. To oznaczało, że będę musiał się jeszcze trochę podenerwować. To mi się nie podobało. Chciałem już być z Wazimą. Czułem się podle. Nieważne, mus to mus.

W bunkrach QRF stacjonują też chłopaki z CASEYAC, których zadanie jest bardzo podobne do naszego. Ilekroć ktoś wzywa pomoc medyczną, tylekroć CASEYAC jedzie jako eskorta karetki polowej. Podczas kiedy my byliśmy w terenie, CASEYAC siedzieli w bunkrze, a Rubin, jeden z dowódców drużyn plutonu, z jakiegoś powodu postanowił sprawdzić naszą salę.

Kiedy czekałem w kolejce po jedzenie, Rubin wpadł do namiotu i od samego wejścia krzyknął:

- Do kogo należy broń numer dwadzieścia cztery?

Jezu Chryste! Boże Wszchemogący! Przeżyłem cały patrol i drogę powrotną do bazy, nikt nic nie zauważył i teraz to? Trochę miłosierdzia, proszę. Nie mógł mnie odciągnąć na bok i na osobności powiedzieć, że jestem największym dupkiem na świecie? A nawet niech mi doda karnej służby. Niech przynajmniej pozwoli zachować resztkę godności. Ale nie. Rubin musiał mnie publicznie poniżyć. Z reputacją jest jak z polityką, to bardzo zmienna rzecz. Najlepszym sposobem, aby wzmocnić własną, jest dokopanie komuś innemu. Z reguły dzieje się to za sprawą plotek. W dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach przypadków odbywa

się to za sprawą plotek: ktoś się o czymś dowiaduje i zaraz zaczyna mleć ozorem. Nie mogę nikogo winić i za takie zachowanie, sam nie jestem lepszy.

- Rubin - powiedziałem na głos - to ja jestem dwadzieścia cztery. Dzisiaj wziąłem SAW-a.

Nie wiem, dlaczego próbowałem mu wmówić, że i specjalnie zostawiłem własną broń, a wziąłem SAW-a. § Nikt i tak by mi nie uwierzył.

- Nigdy nie zostawiaj swojej broni w bazie! - po-

I uczył mnie, a potem strzelił mi publiczną pogadankę.

Jedyne, co mogłem zrobić, to strzelić obcasami i odpowiedzieć: „Tak jest, zrozumiałem. Masz moją broń? Mogę ją otrzymać z powrotem? Dziękuję”.

Kiedy w końcu wróciłem do bunkra, położyłem się na pryczę i zasnąłem. Dręczyły mnie najgorsze koszmary, odkąd przyjechałem do Iraku. Śniłem różne warianty tego, jak zapominam broni.

Tej nocy spałem z Wazimą w łóżku, a następnego dnia wyczyściłem ją tak dokładnie, jak jeszcze nigdy w życiu. Przez następne trzy dni odbębniłem rekordową liczbę służby wartowniczej. Poczułem się lepiej, kiedy zostałem ukarany, jak na żołnierza przystało.

12 września 2004 Współczujący żołnierz

Był 11 września, a my mieliśmy na noc zaplanowaną zasadzkę.

Dokładnie trzy lata wcześniej spałem w mieszkaniu mojego ojca na Dolnym Manhattanie, kiedy zadzwonił

telefon. Mieszkałem wtedy z Timem, który był menedżerem studia fotograficznego należącego do mojego ojca. Zakład mieścił się w mieszkaniu, dlatego dzwono i do mnie, i do niego. Tym razem to była babcia Tima:

- Czy z Timem wszystko w porządku? Nic mu nie jest?

Byłem strasznie zaspany, więc wymamrotałem tylko:

- Jest cały i zdrowy. Siedzi chyba w drugim pokoju.

Starsza pani wydawała się podenerwowana, a ja nie wiedziałem dlaczego, skoro jej wnuk cieszył się dobrym zdrowiem. Powiedziała jeszcze:

• Tak bardzo się martwiłam. Musiałam się upewnić, że wszystko jest w porządku. - Odwiesiła słu chawkę, a ja od razu z powrotem zasnąłem. Kilka minut później aparat znów zabrzączał. Moi przyjaciele wiedzą, że nie toleruję żadnych telefonów przed południem. Podniosłem słuchawkę i burknąłem:

• Słucham?

• Zastałem Jasona?

To był Felix, kumpel z mojego plutonu Gwardii Narodowej.

• To ja. Cześć, Felix, co się dzieje?

• Człowieku, terroryści wlecieli dzisiaj samolotem w World Trade Center. Nie wiem, czy będą nas mobili zować, chciałem po prostu dać ci znać.

Felix, podobnie jak większość moich znajomych, plecie różne bzdury przez telefon, ale ja nie byłem w nastroju do żartów. Nie minęło południe, a mnie obudziły dwa telefony pod rząd.

-1 po to do mnie dzwonisz? Żeby opowiadać mi jakieś bujdy o terrorystach? Człowieku, nie dzwoń do mnie przed południem.

Odłożyłem słuchawkę i padłem na łóżko. Zasnąłem od razu.

Po kilku minutach obudził mnie hałas dobiegający z głośnika telewizora. Tim stał przed nim,

oglądając wiadomości. Wyczołgałem się z łóżka i podszedłem do niego.

- Jesteś w stanie w to uwierzyć? Wiesz, World Trade Center.

Obie wieże stały już w płomieniach, a Tim i ja z zapartym tchem oglądaliśmy wiadomości. Spoglądając na ekran telewizora i rzucając okiem za okno, widzieliśmy ten sam kłęb dymu wzbijający się w powietrze nad przedmieściami Manhattanu.

Mieszkanie było położone kilka kroków od Lafay-ette i wiedziałem, że z Zachodniego Broadwayu jest niezły widok na WTC. Tim zabrał aparat i wyszliśmy. On chciał dotrzeć najbliżej jak się da. Ja wręcz przeciwnie, nie chciałem się tam płątać, bowiem zdawałem sobie sprawę, że będę przeszkadzał w gorączkowej akcji ratunkowej. Obydwu nas gnał impuls: jego - instynkt reportera, mnie - poczucie obowiązku żołnierza. Wiedziałem, że zostaniemy wezwani do służby i już wkrótce napatrzę się do woli. Umówiliśmy się, że spotkamy się za kilka godzin w domu.

Kiedy dotarłem do skrzyżowania Zachodniego Broadwayu ze Spring Street, ulica się zakorkowała. Wszędzie kręcili się ludzie, w większości biznesmeni, niektórzy z aktówkami w rękach, częstokroć obsypani

pyłem; wszyscy kierowali się ku centrum. Widziałem już tylko jedną z wież, choć tłumaczyłem to sobie tak, że druga przesłonięta jest kłębami gęstego dymu. Czuję się fatalnie, mogąc tylko patrzeć jak turysta albo żądny sensacji gap. Nawet z takiej odległości dostrzegałem ludzi stojących w oknach poniżej pięter objętych pożarem. Wieże były tak ogromne, że zdawały się przesłaniać cały świat... Kiedy ludzie zaczęli skakać z okien, pomyślałem, że są zbyt wielcy w stosunku do budynków. Po chwili zdałem sobie sprawę, jak blisko WTC się znalazłem i że wieże nie są tak wysokie, jak mi się wydawało. Wszepetałem ciche: „O Boże”, wyciągając ręce przed siebie, jakbym chciał chwycić spadających. Czuję się taki bezradny. Kobieta obok mnie zasłoniła usta dłonią i zaczęła płakać.

Byłem wściekły, bo nie wiedziałem, co się dzieje. Chciałem usłyszeć jakieś wiadomości, a nie tylko stać beczynnym. Zawróciłem do domu, rozglądając się za jakąś knajpą z telewizją. Chciałem usłyszeć, że opanowano pożary, sytuacja jest pod kontrolą i wkrótce zostanie zaprowadzony porządek. Kiedy przeciąłem Broadway, usłyszałem potworny rumor. Przez chwilę myślałem, że to hałas metra, ale zrozumiałem, że ono tak nie huczy. Wróciłem na Zachodni Broadway, ale zamiast wież World Trade Center widziałem tylko błękitne niebo.

Przez chwilę stałem jak oniemiały, patrząc w pustkę. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że wieże mogą runąć. Były dla mnie jak kotwica. Ilekroć wysiadałem z metra, zawsze orientowałem się według nich. Były pierwszym miejscem, gdzie zabierałem przyjaciół, którzy odwie-

dzali mnie w Nowym Jorku, aby mogli zobaczyć niesamowitą panoramę miasta.

Tego popołudnia cała nasza kompania piechoty została zmobilizowana, a punktem zbornym ogłoszono zbrojownię Midtown. Kiedy wysiedliśmy z autobusu, który dowiózł nas do Strefy Zero (Willy zarekwirował miejski autobus na nasze potrzeby), ktoś zasugerował, abyśmy się pomodlili. Żołnierz, który miał poprowadzić pacierz, był muzułmaninem. Modlitwa, w której prosiliśmy Boga o opiekę nad żołnierzami tej nocy, została wygłoszona po arabsku. Przez jedenaście dni, kiedy pracowaliśmy w Strefie Zero, przeszedłem więcej, niż byłem w stanie. Przez dwanaście godzin dziennie siedziałem pomiędzy czwartym a piątym budynkiem, które stanowiły swego rodzaju perimetr, i odsyłałem ludzi, którzy chcieli pomagać w odgruzowaniu. To była bardzo niewdzięczna robota. Któregoś dnia aż z Montany przyjechała grupa strażaków

chcących pomóc.

Zawsze uważałem Manhattan bardziej za społeczność międzynarodową niż po prostu kawałek Stanów. Letniego popołudnia można wybrać się na spacer i w jego trakcie usłyszeć ludzi mówiących najróżniejszymi językami, spróbować kuchni każdego zakątka świata i kupić najbardziej egzotyczne pamiątki. Czemu atakować World Trade Center? Jeżeli ktoś chciał spolicz-kować Amerykę, to powinien uderzyć w coś o nazwie American Trade Center. Przecież w tym ataku zginęli także obywatele innych krajów. Zasmuciło mnie to, że wedle ocen w tym ataku zginęło więcej ludzi niż w całej wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych. Kiedy tak siedziałem i zastanawiałem się nad

tym, co widziałem, zdałem sobie sprawę, że munduru nie zdejmę przez kilka najbliższych lat.

Odległość, która dzieliła nas od miejsca, gdzie urządzaliśmy kolejną zasadzkę, nie była duża, ale droga okazała się równie trudna co poprzednio. Humvee zawiozły nas na miejsce połą drogą i wysiedliśmy opodal winnicy. Przeczolaliśmy się przez krzaki. Pies zaczął na nas wściekle ujadać. Kiedy przemykaliśmy się pomiędzy winoroślami, najbardziej martwiło mnie, że pies zdradza naszą obecność. Niespodziewanie znaleźliśmy się w pobliżu domu, który stał pośrodku winnicy. Na jego ganku siedział mężczyzna i palił papierosa. Aby uniknąć wykrycia, cofnęliśmy się i obeszlśmy winnicę.

Znajdowaliśmy się niecałe trzysta metrów od miejsca, które mieliśmy zająć, problem tkwił jednak w tym, że było to otwarte, podmokłe pole. Prowadził nas Jeff, któremu telepatycznie próbowałem powiedzieć, abyśmy wybrali okrężną trasę. Niestety, gdybyśmy tak zrobili, zanadto zbliżylibyśmy się do drogi, którą mieliśmy obserwować. Jeff zrobił jeden ostrożny krok i jego noga zapadła się głęboko w blocko. Ruszył więc w drugą stronę. Biorąc pod uwagę, że pole było puste i pozbawione czegokolwiek, co moglibyśmy wykorzystać jako osłonę, przebiegaliśmy pojedynczo, czekając, aż rolnik będzie się znajdował po przeciwnej stronie. Najgorzej mieli ludzie z karabinami maszynowymi. Jimmy, który nosił SAW-a, dwa razy padł na płask w błoto, które sięgało mu prawie do pasa.

Miejsce, gdzie mieliśmy czekać w zasadzce, było położone bardzo blisko zabudowań gospodarczych. Ukryliśmy się na zboczach pagórków, które ciągnęły się wzdłuż drogi biegnącej do mostu przerzuconego nad szerokim kanałem. Przez całą noc obserwowaliśmy ludzi podróżujących to w jedną, to w drugą stronę. Choć przechodzili tuż obok nas, nie zdawali sobie sprawy z naszej obecności, co wprawiało mnie w lekkie J zakłopotanie. Na szczęście my mieliśmy noktowizory, I a oni nie. Jeżeli dodać, że byliśmy zakamuflowani i stapialiśmy się z tłem, nie mogli nas odkryć.

Zadziwiało mnie, ilu ludzi jeździ lub spaceruje po nocy. Wszystkim nam wydawało się to podejrzane. Jak na okolicę, której mieszkańcy żyją z uprawy roli, zadziwiająco niewielu przestrzegało wiejskiego trybu życia.

Bycie żołnierzem w sporej części opiera się na siedzeniu gdzieś w terenie i nierobieniu niczego. Czekanie w zasadzce nie jest właściwie nieróbstwem, ale i tak daje sporo czasu do myślenia. W nocy temperatura była doskonała. Zostaliśmy tak wytrenowani, że potrafimy leżeć na brzuchu, nie ruszając się godzinami. Nigdy nie byłem w stanie przywyknąć do tego, że ciężko się w takiej pozycji rozgląda. Znalazłem sobie fajne miejsce, przesunąłem ekwipunek na spód plecaka i tak usiadłem. Trzymałem się nisko przy ziemi i obserwowałem teren dookoła nas. Mogę stwierdzić, że było mi całkiem wygodnie. Wiał lekki wiaterek, a ja po

raz pierwszy od kilku miesięcy nie pocilem się. Byłem wręcz zadowolony, że otrzymaliśmy rozkaz urzędzenia zasadzki tej nocy. Czułem, że

robię coś, co pochwalam i w co mogę się zaangażować. Kiedy służyłem na terenie Strefy Zero, największą satysfakcję dawało mi poczucie, że robię coś ważnego. Najbardziej nienawidzę siedzieć beczynnym w domu, kiedy na świecie dzieją się jakieś potworności, nie mogąc zrobić nic innego poza gapieniem się w telewizor. Gdyby istniało pogotowie broniące praw człowieka w każdym rejonie świata (nieważne, czy to Wschodni Timor czy Ruanda), organizacja, której nie obchodziłyby zyski z takich operacji, bez wahania bym do niej wstąpił. Jedną z niewielu rzeczy, w jakie wierzę z całej siły, jest ochrona i obrona podstawowych praw człowieka. Z mojego punktu widzenia rozważanie, czy nasza obecność w Iraku jest dobra, czy zła, nie ma żadnego znaczenia. Jesteśmy w tym kraju na dobre i na złe; jedyne, co naprawdę się liczy, to jakie będą efekty naszej obecności. Pojedynczy żołnierz, jednostka ludzka, nie ma praktycznie żadnej siły sprawczej. Odczuwam jednak satysfakcję z tego, że mogę wziąć udział w pewnym procesie, który sam w sobie jest onieśmielający i trudny do ogarnięcia.

Siedząc w rowie, spytałem siebie: Czy mogę w jakiś pozytywny sposób wpłynąć na świat? Trudno odpowiedzieć na to pytanie. Jest tyle spraw, o które należałoby się zatroszczyć i na które chciałbym mieć wpływ. Weźmy na przykład niekończący się konflikt Izraela z Palestyną albo stopniowy zanik rosyjskiej demokracji, która zмага się z nieludzką dzikością czeczeńskich separatystów. A co ze sporem Indii i Pakistanu o Kaszmir, w którego tle pobrzmiwa atomowa nuta? Nie można zapomnieć o Północnej Korei i Iranie,

które znajdują się na czarnej liście państw depczących prawa człowieka, a które już wkrótce mogą dysponować bronią nuklearną. Cały czas musimy także pamiętać o procesie instalowania demokracji w Iraku, który nie przebiega tak gładko, jakby się mogło wydawać. Choć ja osobiście nie mogę uczynić wiele, to rząd Stanów Zjednoczonych ma większe możliwości. Nie jestem pewien, czy wykorzysta je w dobry sposób, ale chcę wierzyć, że tak się stanie. Można się ze mną nie zgadzać, ale szczerze jestem przekonany, że nie ma organizacji, która broniłaby praw człowieka skuteczniej niż Armia Stanów Zjednoczonych.

Regularnie przekazuję czeki na Amnesty International, International Campaign for Tibet i na American Civil Liberties Union (ACLU). Czy moje dwadzieścia dolarów przywróci polityczną i religijną autonomię Tybetowi? Nie sądzę. Ale czy mój głos na prezydenta USA czy burmistrza Nowego Jorku ma znaczenie? Dalajlama, George W. Bush czy burmistrz Bloom-berg nawet mnie nie znają. Ale skoro mogę, to dorzucę swoje trzy grosze.

Mój pierwszy wkład w sprawy świata miał miejsce, kiedy ponownie zaciągnąłem się do Gwardii Narodowej. Kiedy wstąpiłem do niej pierwszy raz, zrobiłem to na złość rodzicom, bo wreszcie mogłem podjąć taką decyzję. Nęciła mnie perspektywa kilkuletniej zabawy w żołnierza. Uważam, że ludzie wstępują do wojska z wielu, często głupich powodów. Mówię poważnie, bo co może wiedzieć o wojsku siedemnastolatek? Wierzę jednocześnie, że ludzie zostają w czynnej służbie z poważnych pobudek. Służąc w wojsku, miałem

do czynienia z wieloma ludźmi o diametralnie różnych osobowościach. Łączyła ich jedna cecha: poczucie obowiązku. Nasz kraj potrzebuje żołnierzy. Skoro ktoś musi wykonywać tę pracę, to mogę to być równie dobrze i ja. No bo kto się zajmie wojaczką? Wy?

Szansę na to, że to ja złapię Osamę Bin Ladena, są dość nikłe, ale chcę robić coś więcej, niż paradować w mundurze i czasem wysyłać pieniądze na ACLU. Często myślę nad tym problemem

i rozważałem go w tamtą noc, kiedy przypadała rocznica najbardziej podłego ciosu, jaki zadano ludzkości, a ja kulilem się obok irackiej drogi, obserwując puste pole.

Ilekróć rozważam tę kwestię, zawsze dochodzę do tego samego wniosku: powinienem traktować ludzi tak, jak sam chciałbym być traktowany. Wydaje mi się, że nie mogę uczynić nic lepszego. Nie jestem pacyfistą ani nie uchylam się przed wojskiem, ale głęboko wierzę, że można pogodzić bycie piechurzem ze współczuciem wobec innych. Staram się jak mogę i przyznaję, że gdzieś w głębi duszy odczuwam instynktowną żądzę walki, ale potrafię także troszczyć się o ludzi, którzy znajdują się obok mnie. Zdaję sobie sprawę, że są to diametralnie przeciwstawne popędy, jednak nawet w walce, naturalnym środowisku dla gwałtu, jest miejsce na współczucie. Więc jeśli jedyną rzeczą, jaką mogę teraz zrobić, jest żyć w zgodzie z moimi przekonaniem, to będę postępował wedle Złotej Zasady.

. . .

11 września minął spokojnie i zaczął się 12 września.

19 września 2004

Kiedy jest się żołnierzem, wojna staje się potwor-! nie jednostronna. Człowiek widzi ją tylko ze swojej perspektywy, ale zawsze pozostają jakieś niedomówienia, luźne końcówki, sprawy niewyjaśnione. Nie jestem dziennikarzem, nie mogę przeprowadzić wywiadu z rebeliantami, który wyjaśniłby ich postępowanie, dlatego wymyśliłem (!) historyjkę tłumaczącą kilka spraw. Prawdę mówiąc, jestem już zmęczony opisywaniem walk. Zmieniają się tylko przymiotniki, którymi oddaję kolor eksplozji. Wiecie, o co mi chodzi? Przed wami historia Raeda, fikcyjnego Irakijczyka. Chciałbym go spotkać.

Raed

Opuściłem Uniwersytet Bagdadzki na miesiąc przed inwazją Amerykanów na mój kraj. Rząd nigdy by się nie przyznał, że naukę skrócono w obawie przed wojną, dlatego ogłoszono, że egzaminy zostały przyspieszone o miesiąc, ponieważ budynek wymaga remontu, który rozpocznie się natychmiast po zakończeniu zajęć. Rzeczywiście, kampus uniwersytecki wymagał odnowy. W niektórych miejscach tynk odpadał ze ścian całymi płatami, a sieć wodno-kanalizacyjna rzadko kiedy działała. Żaden robotnik nie postawił stopy w budynku. O pracach remontowych napisano nawet w gazetach, a plakaty propagandowe rozlepiono w promieniu pięciu osiedli od uniwersytetu. Hasła prosperity i bogactwa Bagdadu aż kłuły w oczy, podobnie jak zapewnienia, że uniwersytet

gwarantuje nam świetlaną przyszłość i stanowi wkład w przyszłe osiągnięcia Iraku.

Profesorowie nigdy otwarcie nie krytykowali przywódców naszego kraju. Studenci o polityce rozmawiali tylko w gronie najbliższych przyjaciół, którym mogli zaufać. Wszyscy byliśmy dumni z tego, że jesteśmy Irakijczykami, ale równocześnie nie mieliśmy złudzeń co do wyniku zbliżającej się wojny. Większość z nas chciała wrócić do rodzin, co oznaczało" opuszczenie Bagdadu. Choć nikt o tym głośno nie mówił, tajemnicą poliszynela było, że kadra pedagogiczna uważa podobnie. Kiedy usłyszeliśmy o skróceniu semestru, nikt się temu nie dziwił, a temat nawet nie był poruszany w rozmowach. Nauczyciele spokojnie ogłosili tę informację na początku zajęć, a potem dalej przeszli do tematu wykładów.

Każdego wieczoru ja i mój brat, Abdullah, spotykaliśmy się z naszymi kolegami, braćmi Barakiem i Kaliąiern, w ich salonie. Zwykle schodziliśmy się powoli, piliśmy herbatę i

rozmawialiśmy o minionym dniu, ale teraz, dziwnym trafem, spotkaliśmy się o jednej godzinie. Nie mogąc otwarcie rozmawiać w szkole, chcieliśmy podzielić się z przyjaciółmi naszymi planami i przemyśleniami. Od tygodni temat wojny przebijał się w rozmowach, ale wreszcie mogliśmy porozmawiać o nim wprost. Barak powiedział nam: „Kalią i ja wracamy do domu jeszcze tego samego dnia, kiedy odbędą się ostatnie egzaminy”. Siedzieliśmy w pokoju, a Kalią robił herbatę. „Nasza matka potrzebuje pomocy, chcemy zaopiekować się siostrami” - kontynuował Barak. Ich matka była właś-

Icicielką sklepu spożywczego i to za jej pieniądze stu-Idiowali na uniwersytecie. Ich ojciec służył w wojsku i został zabity w trakcie pierwszej amerykańskiej inwazji w 1991 roku. Dowodził wtedy czołgiem i zginął, uważając, że broni kraju. Barak i Kalią rozumieli, dla-

czego zaatakowali nas Amerykanie, ale nigdy nie wybaczyli im śmierci ojca.

Abdullah i ja wychowaliśmy się w prowincji Salah ad Din, na północ od Bagdadu. Nasza matka i jej siostry mieszkały w niewielkiej wiosce niedaleko miasta Ad Dujail. Kiedy nasi rodzice się pobrali, zamieszkali we wsi. Urodziło im się trzech synów: ja, Abdullah i Dawud. W 1982 roku dokonano zamachu na Sad-

dama, kiedy ten przejeżdżał przez miasto. W Dujail

mieszkał głównie szyici, więc partia Baas i Husajn nie byli zbyt popularni. Pomimo to nikt nie wiedział o planach zamachu. Saddam uszedł z życiem, a reperkusje były straszne. Domy zrównano z ziemią, a pola zasy-

pano solą, aby nic na nich nie wyrosło. Każdy, kogo podejrzewano o udział w zamachu, trafiał do więzienia. Ponad stu ludzi zostało zabitych na miejscu przez szwadrony śmierci, które dokonały rzezi w mieście. Więcej niż tysiąc ludzi było przetrzymywanych w więzieniach

nawet po cztery lata. Niezliczone kobiety pobito i zgwałcono, poniżając je na oczach własnych dzieci. Nasz ojciec, fryzjer i dentysta, był bardzo lubianym człowiekiem. Siepacze uznali, że musiał coś wiedzieć o planach zamachu, i zabili go na progu jego gabinetu. Nasza matka, kiedy dowiedziała się o śmierci męża, nie uroniła ani jednej łzy. Spakowała w pośpiechu trochę ubrań dla mnie i braci, po czym opuściła dom i zamieszkaliśmy

u ciotki, kilka kilometrów dalej na południe. Miałem wtedy pięć lat.

Matka była bardzo samodzielną i zasadniczą osobą. Nigdy nie widziałem, żeby płakała, choć czasami, nocą, ja i bracia słyszeliśmy, jak pochlipuje w poduszkę, zwykle kiedy przypadała jakaś rocznica lub urodziny ojca.

Niecały rok później matka ponownie wyszła za mąż. Jej wybrankiem okazał się cichy, ale dobry człowiek, posiadający kilka krów i winnic. Żył w tej samej wsi co ciotka, ale do tamtej pory jeszcze się nie ożenił. Urodził się ze szpotawą stopą, co dyskwalifikowało go w oczach ojców dziewczyn, o których rękę starał się jako młody mężczyzna. Kiedy pobrali się z moją matką, miał prawie pięćdziesiąt lat i mieszkał z dwoma bratanekami: Essamem i Ferranem, którzy wraz z żonami i dziećmi pomagali mu prowadzić winnice.

Moi bracia i ja dorastaliśmy, chodząc do odległej o kilka kilometrów szkoły, a popołudniami pomagając w winnicy i opiekując się zwierzętami. Szybko pokochaliśmy naszego ojczyma i błagaliśmy matkę, aby nie zmuszała nas do chodzenia do szkoły; chcieliśmy spędzać z nim więcej czasu, tak samo jak nasi przyjaciele. Powiedziała nam, że życzeniem jej i naszego zmarłego ojca jest, abyśmy któregoś dnia poszli na uniwersytet w Bagdadzie. Pomimo lania, jakie nam się dostawało w trakcie takich rozmów, przynajmniej dwa razy w miesiącu prosiliśmy ją, aby pozwoliła nam

rzucić szkołę.

Po dwóch latach małżeństwa ojczym i matka doczekali się córeczki. Nazwali ją Amira. Kiedy mała

podrosła, okazała się równie uparta i rozwinięta nad wiek jak jej matka w dzieciństwie. Dla mnie i braci była oczkiem w głowie i zaciekle broniliśmy jej przed chłopakami z sąsiedztwa.

Od wschodu z naszą winnicą graniczyła działka rodziny, która miała dziewczynkę w wieku Amiry, Ziję. Pierwszy raz spotkały się, zanim nauczyły się mówić, ale od razu zostały przyjaciółkami. Czasami matka Zii odwiedzała naszą i wtedy dziewczynki bawiły się razem godzinami. Kiedy tylko je rozdzielano, zaczynały płakać i drzeć się wniebogłose. Z czasem postanowiono, że raz jedna matka, raz druga, na zmianę, będą się opiekować dziewczynkami. Zija stała się częścią naszej rodziny w takim samym stopniu, jak Amira ich.

Przez lata naszej rodzinie udawało się utrzymać przyjemne *status quo*. Ojczym ciężko pracował w winnicy, aby utrzymać naszą rodzinę, ale z pomocą innych mieszkańców wsi dawaliśmy sobie nieźle radę.

W miarę jak z braćmi dorastaliśmy, byliśmy w stanie samodzielnie pracować w winnicy. Stan zdrowia ojczyma w tamtym czasie się pogorszył, dlatego na nas spadł obowiązek utrzymania rodziny. Pracowaliśmy ciężiej niż do tej pory, ale udawało nam się przeżyć. Wydaje mi się, że matka była zazdrosna o nasze uczucie do ojczyma, ilekroć prosiliśmy ją, aby pozwoliła nam rzucić szkołę, tłumaczyła nam, że w winnicy jest zbyt wiele pracy i możemy nabawić się szpotawej stopy. Kiedy dorosiliśmy, pojęliśmy, że nie można nabawić się tej choroby od pracy.

Osiągnęliśmy wiek nastoletni, a ja zacząłem zauważać pewną więź łączącą Abdullaha i Ziję. Zdałem

sobie sprawę, że istniała ona już od dawna, ale dotąd brałem to za opiekuńczość, którą mój brat otaczał Amirę i którą przeniósł na jej najbliższą przyjaciółkę. Jednak pewnego popołudnia byłem świadkiem takiej sceny: grupa dzieciaków na rowerach przemknęła obok Zii, drocząc się i zaczepiając ją. Abdullah, jak zwykle zresztą, krzyknął coś za nimi, a potem delikatnie zbeształ Ziję za to, że zwraca na siebie zbyt wiele uwagi, i delikatnie musnął jej dłoń. Nie było to nic niezwykłego ani niestosownego, ale zaskoczył mnie sposób, w jaki to zrobił. Tyle było uczucia w jego spojrzeniu i czułości w dotyku. Zamiast zwykłego chichotu, jaki następował po reprimendzie i pogadance

o unikaniu chłopców, Zija skromnie się uśmiechnęła i nieśmiało spojrzała na Abdullaha. Aż do tamtego dnia nie potrafiłem uświadomić sobie pewnej *rzeczy*.

Tak bardzo przywykliśmy do obecności Zii w naszym życiu, że prawie zapomnieliśmy, iż nie należy ona do naszej rodziny.

W 1990 roku do wsi przyjechali żołnierze, szukając poborowych do armii. Ja i Abdullah mieliśmy po trzynaście i czternaście lat i byliśmy za młodzi. Dawud, który skończył szesnaście, został wcielony do wojska. Tydzień później przyjechał samochód, który zabrał go na południe. Nigdy więcej nie zobaczyliśmy naszego brata. Zginął rok później zabity przez Amerykanów, którzy ostrzelali konwój pojazdów uciekających autostradą na południe od Bagdadu. O jego śmierci dowiedzieliśmy się miesiąc po fakcie od przyjaciela, z którym służył, a który przeżył tamten atak. Dawud zmarł dzień przed siedemnastymi urodzinami.

Kiedy osiągnęliśmy odpowiedni wiek, Abdullah i ja zaczęliśmy uczęszczać do szkoły średniej w

Taji, mieście położonym dwadzieścia kilometrów na południe od naszej wsi. Od lata matka szukała innych rodziców, którzy chcieli posłać swoje dzieci do szkoły i mogli pozwolić sobie na pokrycie części kosztów. Wspólnymi siłami zakupili samochód, którym codziennie dowozili nas do szkoły. Taka umowa była czymś bardzo niecodziennym w naszych okolicach i matka była z jej powodu wyśmiewana przez kobiety z innych rodzin. Obrażano ją, mówiąc o niej jako o dziwce, złodziejce czy Irance. Mimo to jej determinacja, aby nas wykształcić, była niezłomna.

W naszej winnicy, podobnie jak w wielu innych, mieliśmy niewielkie składziki, gdzie trzymaliśmy narzędzia i taczki; w razie potrzeby mogli tam nocować robotnicy sezonowi. Zija i Abdullah spędzali wiele czasu, pracując przy winoroślach, więc nic dziwnego, że składziki stały się częstym miejscem ich spotkań, w miarę jak ich związek się rozwijał. Zija była drugą, najmłodszą córką z trzynastki rodzeństwa. Te niezamężne żyły z rodzicami w domu, te, które wyszły za mąż, mieszkwały niedaleko. Winnica rodziny Zii była większa niż nasza i wszystkie kobiety pracowały nad uprawami. Każdy z mężczyzn miał swoją własną pracę i na barki żon spadło opiekowanie się winoroślami. Abdullah codziennie pracował w naszej winnicy, ale przynajmniej raz w tygodniu odwiedzał Ziję; nie było sposobu, aby jej siostry nie zorientowały się, co ich łączy. Muszę przyznać, że dobrze strzegły tajemnicy tego romansu.

Wszystkie dziewczęta z rodziny Zii wyszły za mąż zgodnie z wolą rodziców, nie serca. Nie było tajemnicą, że odnosiły się do tej tradycji z niechęcią. Te, które zostały wydane za mąż, tolerowały jej skutki. Niezamężne opierały się woli rodziców jak mogły. Ojciec Zii był szanowany ze względu na swój znaczny majątek i otwarcie przyznawał, że uważa aranżowanie małżeństw za swój przywilej i obowiązek.

Na tydzień przed ukończeniem przeze mnie szkoły średniej ojciec zapoznał Ziję z jej przyszłym mężem. Był to *mężczyzna*, po czterdziestce, który był pięciokrotnie żonaty i miał dwadzieścioro troje dzieci, niektóre starsze od oblubienicy. Był też bardzo bogaty i posiadał kilka domów w prowincji Sah ad Din. Zija została mu przedstawiona, nim cała rodzina zasiadła do kolacji. Kiedy zjedli, jej ojciec pozwolił przyszłym małżonkom spędzić kilka chwil w samotności. Nie była to oficjalna tradycja, ale często praktykowany zwyczaj, aby przyszła para młoda poznała się trochę bliżej przed ślubem.

Przez lata Abdullah nie powiedział mi, co się stało tamtego wieczoru, ale spotkanie ewidentnie się nie udało. Zaręczyny zostały zerwane, bogacz nigdy nie pokazał się w naszej wsi, a ojciec Zii zrezygnował z planów aranżowania małżeństwa dla swojej najmłodszej córki. Prosiłem Abdullaha prawie na kolanach, żeby opowiedział mi, co się stało, ale zawsze zbywał mnie, mówiąc, że sam nie wie. W końcu, kiedy poszliśmy na studia, opowiedział, że niedoszły pan młody usiłował zmusić Ziję, aby wykorzystywała usta do czegoś innego niż mówienia. Dziewczyna ugryzła go boleśnie.

Reputacja

mężczyzny mogła na tym bardzo mocno ucierpieć, podobnie jak opinia o ojcu Zii, że dopuścił do takiej sytuacji. Zija wymogła na ojcu, że on nigdy nie będzie próbował aranżować dla niej małżeństwa, a w zamian za to ona dochowa tajemnicę.

Kiedy skończyłem szkołę średnią, wyjechałem do Bagdadu. Dzięki pieniądzom mojej rodziny przeniosłem się do stolicy, jednak nie wystarczyłoby ich na opłacenie studiów. Mieszkałem w Bagdadzie od roku, kiedy Abdullah ukończył szkołę średnią i przyjechał, aby ze mną zamieszkać. Wtedy po raz pierwszy rozmawialiśmy poważnie o Zii. Spytałem go, jakie ma wobec niej zamiary. Nie wyglądał na zaskoczonego moją wiedzą i tylko odparł: „Chcę, aby była ze mnie dumna i żeby mogła żyć ze mną

godnie. Pobierzemy się, kiedy skończę studia".

Nigdy więcej nie wróciliśmy do tego tematu. Za dnia chodziliśmy na zajęcia, nocami się uczyliśmy, a raz w miesiącu pożyczaliśmy samochód i jechaliśmy do domu odwiedzić matkę. Siostry Zii, które chyba poprzysięgły strzec jej sekretu na zawsze, umożliwiały jej potajemne spotkania sam na sam z Abdullahem.

Choć mieszkaliśmy z bratem pod jednym dachem, to mieliśmy coraz bardziej różnych przyjaciół. Był taki moment, kiedy odwiedzali nasze mieszkanie fanatycznie religijni i bardzo antyzachodnio nastawieni ludzie.

Kiedy opuściliśmy uniwersytet, zamieszkaliśmy z matką. Abdullah spędzał coraz więcej czasu w biurze Al-Sadr w Dujaylu, gdzie poznał wielu nowych przyjaciół. Należeli do armii Mahdiego i podobnie jak on

spędzali tam sporo czasu. Ja z kolei zwykle zostawałem w domu, pomagając matce przy pracy w winnicy. Nasz ojczym zmarł rok wcześniej, a jego bratanek, Essam, razem z moim wujem prowadzili jakoś plantację.

Po amerykańskiej inwazji sprawy się skomplikowały. Dwie z sióstr Zii zginęły: jedna padła ofiarą strzelaniny, samochód drugiej został omyłkowo wzięty przez Amerykanów za wrogi. To jedynie podsyciło fundamentalizm Abdullaha. W Bagdadzie zwykle ubieraliśmy się na zachodnią modłę, w dżinsy i koszulki, jednak teraz mój brat zaczął się nosić tradycyjnie.

Pewnego wieczoru, po kolacji, Abdullah powiedział mi, że ojciec Zii robi się podejrzliwy. Co gorsza, jej najmłodsza siostra groziła, że wyjawia prawdę o ich romansie, jeśli ze sobą nie zerwą. Dziewczyna była ślepa na jedno oko po tym, jak pogryzł ją pies, i bardzo zazdrosna o uwagę, jaką wszyscy poświęcali najmłodszej siostrze. Słuchając Abdullaha, zrozumiałem, że jest na skraju załamania. Zwierzył mi się także, że od pewnego czasu trapią go wątpliwości natury religijnej i politycznej. Potem opowiedział mi swój plan.

Armia Mahdiego płaciła tysiąc dolarów za każdego zabitego amerykańskiego żołnierza. Z kolei Amerykanie oferowali tyle samo pieniędzy za informację, która doprowadzi do aresztowania któregoś z przywódców sadrystów. Abdullah postanowił podłożyć bombę przy drodze. Jeżeli w eksplozji zginie jakiś Amerykanin, będzie to znak od Allaha mówiący, że dobrze uczynił. Jeśli bomba zawiedzie, sprzeda Amerykanom wszystkie informacje, jakie posiada na temat armii Mahdiego. Tak czy inaczej, zdobędzie pieniądze, ożeni się z Ziją

i wyjadą do Bagdadu. Abdullah był zdesperowany. Próbowałem mu tłumaczyć, że jego plan jest idiotyczny, ale nie chciał mnie słuchać. Powiedział, że już wszystko zorganizował, ma mu pomóc przyjaciel i prosił mnie, abym i ja im towarzyszył. Zdawałem sobie sprawę, że mój brat potrzebuje kogoś, komu może zaufać, więc się zgodziłem. Nie chciałem, aby komukolwiek stała się krzywda ani żeby kolaborował z Amerykanami. Poza tym wiedziałem doskonale, że kiedy atak się nie powiedzie - a skoro mój brat nie chciał nikogo skrzywdzić, to był skazany na porażkę - porzuci fundamentalizm.

Kiedy nadszedł dzień zamachu, spotkałem przyjaciela Abdullaha, choć nigdy nie poznałem jego imienia. Był młodszy i niższy od nas, ale nosił gęstą czarną brodę. Kiedy mówił, patrzył rozmówcy prosto w oczy, zerkając spod ściągniętych brwi. Przyniósł ze sobą materiały do konstrukcji bomby domowej roboty, wyjaśnił nam, jak ją zrobić, gdzie podłożyć oraz jak wysadzić ją w powietrze. Powiedział nam także, że Iracka Gwardia Narodowa będzie ustawiać blokadę szosy niedaleko nas. Zapewne jeden z żołnierzy będzie stał na straży opodal dołu, który został wcześniej wykopany. Abdullah miał go zagadać, a następnie podrzucić bombę na miejsce. Tej samej nocy mieliśmy się spotkać z dwoma innymi ludźmi, którzy będą czekać na nas przed bramą i przekażą dalsze

instrukcje. Przekazawszy nam te informacje, mężczyzna pożegnał się, a my zabraliśmy materiały do składziku i wzięliśmy się do pracy.

Składając bombę, zdałem sobie sprawę, że kompletnie nie wiem, jak to się robi. Dla Abdullaha ważne

było, aby to on skonstruował ładunek. Kiedy zastanawialiśmy się, co zrobić, do składziku wszedł nasz wuj. Próbowałem ukryć materiały, ale Abdullah powiedział, że nie mam się czego obawiać; wuj o wszystkim wiedział. Nim zdążyłem się wściec, wuj przywitał się z nami i poprosił, abym dał mu materiały do konstrukcji bomby. Abdullah podał mu je, a wuj powiedział nam, co powinniśmy zrobić.

Godzinę po zmierzchu żołnierze ING ustawili blokadę drogi, tak jak nam powiedziano. Abdullah zaniósł bombę na skrzyżowanie i ukrył ją w wyznaczonym miejscu. Wszystko szło wedle planu.

Przez kilka godzin kręciliśmy się z Abdullahem po obejściu, pilnie obserwując bramę. Wuj co chwila kazał nam coś robić i sam także wyglądał przybyszów. Kiedy wszystkie kobiety i dzieci poszły spać, zamknęliśmy frontową bramę na łańcuch i wyszliśmy przez boczną furtkę na drogę.

Czekaliśmy przez dwie godziny, rozmawiając z wujem, który palił papierosa za papierosem. Opowiadał nam historie, jakich nigdy nie słyszeliśmy. Był członkiem nielegalnej partii Dawa z Dujajlu, która próbowała obalić reżim Saddama. Bałem się spytać, czy brał udział w nieudanym zamachu, ale bez wątpienia wiedział o przygotowaniach do niego.

W końcu pojawiła się dwójka nieznajomych. Jeden niósł AK-47, a drugi granatnik.

Jason

Reszta tej opowieści to stuprocentowa prawda, opowiedziana z mojego punktu widzenia.

Nasz oddział miał urządzić kolejną zasadzkę, a ja byłem nią niesamowicie podekscytowany. Ich planowanie i realizacja coraz lepiej nam wychodziły. Jeff wyznaczał punkt, do którego mieliśmy być transportowani, potem określał miejsce, z którego będziemy mieli dobry widok na okoliczne drogi lub skrzyżowania, a potem decydował, gdzie będą główne i zapasowe punkty zborne. Przez kilka miesięcy braliśmy udział w misjach, które ograniczały się do *jeżdżenia* humvee tam i z powrotem, i choć nie była to zła służba, to nie do niej byliśmy szkoleni. Jesteśmy oddziałem lekkiej piechoty, więc najlepiej czujemy się, maszerując przez okolicę na własnych nogach, szukając walki. Urządzanie zasadzek umożliwiło nam wreszcie jedno i drugie. Operujemy w niewielkich, pięcioosobowych oddziałach, dzięki którym zachowujemy wysoką mobilność i możemy łatwo koordynować nasze działania. Po incydencie z furgonetką pełną kurczaków byliśmy jeszcze bardziej żądni akcji niż poprzednio. Pragnęliśmy wreszcie walczyć z prawdziwym wrogiem. Jak do tej pory wystrzeliłem z mojej broni zaledwie dwa razy, za każdym razem w kierunku ludzi, którzy okazali się cywilami. Niezależnie od tego, czy mieliśmy walczyć z wrogiem czy w ogóle go nie spotkać, dobrze było znów wykonywać obowiązki żołnierza lekkiej piechoty.

Drużyną, której byłem częścią, dowodził Jeff. Uwielbiał nas nazywać „oddziałem szturmowym”, pewnie dlatego, że obejrzał zbyt wiele odcinków *The Shield*⁵⁶.

Oddział składał się z Jeffa, mnie, Richa, Jimmy'ego i Seana. Jimmy i Sean byli wyposażeni w M249, a ja w M203. Jako że byłem jedynym żołnierzem w drużynie, który był w stanie zapewnić osłonę ogniem z granatnika, trzymano mnie z tyłu, całkiem logicznie uważając, że będę mógł ostrzelać wroga ogniem pośrednim, ponad głowami moich kolegów, kiedy zajdzie taka potrzeba.

Sean, który należał do mojej drużyny, był jednym z żołnierzy przeszkolonych w obsłudze karabinu kaliber .50, zamontowanego na dachu humvee. Strzelec, który zwykle obsługiwał tę broń, miał przepustkę, więc porucznik zdecydował, że Sean musi go zastąpić w trakcie tej misji.

Wieczór zaczął się tak samo jak każdy, kiedy mieliśmy zaplanowaną zasadzkę. Humvee podwoziły nas na miejsce i wysadziły na poboczu drogi, niedaleko szosy. Wyszliśmy i ukryliśmy się na poboczu, a pojazdy odjechały, kierując się do punktu zbornego kilka kilometrów dalej. Coraz lepiej nam szło z opuszczaniem i wsiadaniem do samochodów. Wsiąść potrafiliśmy w ciągu kilku sekund, a wejście na pokład zajmowało nam niecałą minutę.

Kiedy humvee zniknęły za horyzontem, ruszyliśmy w kierunku miejsca, gdzie mieliśmy urządzić zasadzkę. Tym razem nie musieliśmy przekraczać żadnych kanałów; do kogoś w końcu dotarło, że taka przeprawa może być bardzo niebezpieczna i fatalnie się skończyć. Od celu nie dzieliły nas żadne sady czy winnice, tylko puste pole, co także było *znaczną* poprawą w stosunku do poprzednich misji. Jedyną

pozytywną rzeczą w łażeniu po krzakach jest to, że musimy pozostawać blisko siebie. Kiedy panują ciemności, naturalnym odruchem człowieka jest chęć zbicia się w gromadę. Teraz, kiedy poruszaliśmy się po otwartym terenie, cały czas musiałem zwalczać pokusę, aby zbliżyć się do żołnierza przede mną. Zamykałem szyk, dlatego bardzo mnie niepokoiło, kiedy nie widziałem Jeffa, który szedł na szpicie.

Dla żołnierza piechoty fazy księżycy są bardzo ważne. Tej nocy księżyc był w pełni, więc mieliśmy światła pod dostatkiem. Oznaczało to jednak, że wrogowie będą mieli mniejsze problemy z dostrzeżeniem naszej zasadzki. Biorąc pod uwagę otoczenie (otwarta przestrzeń, minimalna roślinność, kilka porozrzucanych domów) oraz czas (po północy), było mało prawdopodobne, aby ktoś się nami zainteresował. Gdyby jednak ktoś się na nas natknął, stałby się automatycznie podejrzanym.

Słuchając meldunków radiowych, dowiedziałem się, że w AO sporo się działo. Tu i ówdzie nasze oddziały były atakowane, ale do żadnych starć w pobliżu naszej lokacji nie dochodziło. Wszyscy mieliśmy tej nocy sporo emocji. Bandyci wychynęli ze swoich kryjówek.

Kiedy podczołgałem się do krawędzi zagłębienia, w którym się ukryłem, na niebie dostrzegłem jasne pasmo. Przez okulary noktowizora wyglądało to jak smuga płomieni, podobna do rakiety lub flary. Nie słyszałem jednak żadnego wybuchu, a kiedy jasny punkt przemknął nad nami, także nie dosłyszałem charakterystycznego odgłosu pocisku tnącego powietrze.

Serce zaczęło walić mi jak młotem i sam siebie zapytałem: „Co to może być?”. Z początku myślałem, że być może to flara, potem, że to pocisk z moździerza. Jednak te ostatnie nie zostawiają za sobą ognistych śladów. A więc pocisk z RPG. Podniosłem okulary i spojrzałem w niebo, a potem w kierunku, skąd zapewne strzelano. Nic. Byłem kompletnie zbity z tropu. Spytałem: „Czy ktoś widział flarę albo cokolwiek, co nad nami przeleciało?”. Jedyną odpowiedzią były spojrzenia pełne zdziwienia i kręcenie głowami. I nagle zrozumiałem. To była spadająca gwiazda, która przecięła nocne niebo, pozostawiając za sobą jasny ślad. Oglądany przez NVG, które odbierały też promienie podczerwone, był znacznie jaśniejszy niż w rzeczywistości. Nikt inny niczego nie zauważył. Przypadkiem spojrzałem w górę, kiedy gwiazda przelatowała nad nami. Trochę się uspokoiłem, ale nadal nerwy miałem napięte jak postronki.

W oddali majaczyło kilka domów oraz kępki drzew. Od ich strony biło słabe światło, którego źródłem były prawdopodobnie świece. Gołym okiem ledwie je można było zobaczyć, ale

przez NVG widziałem je wyraźnie jak w dzień. Czasami, kiedy ktoś przechodził obok źródła światła, widziałem, jak jego cień padał na pobliską roślinność. Choć większość domów była odległa od nas o kilka kilometrów, to poruszające się kształty wskazywały, że mieszkańcy nie śpią.

Na miejsce wybrane do urządzenia zasadzki dostaliśmy się praktycznie bez kłopotu. Nie mieliśmy po drodze żadnych problemów ani nie musieliśmy pokonywać strasznych przeszkód. Szybko zajęliśmy wyzna-

zione pozycje: dwóch ludzi obserwowało jedną z dróg, które przebiegały w pobliżu, kolejna para drugą, a ja pilnowałem naszych tyłów.

Wziąłem ze sobą montowane na hełm okulary do obserwacji w termowizji, które nasza kompania zakupiła dla sekcji snajperskiej. *Żaden* ze strzelców wyborowych nie chciał ich używać, więc pożyczyłem je od nich i od kilku tygodni używałem w trakcie patroli. Raz oglądałem okolicę za ich pośrednictwem, innym razem przy pomocy NVG. Okulary termowizyjne nosiłem na szyi, w taki sam sposób jak lornetkę. Wojsko od dawna próbuje opracować system, który łączyłby w sobie zalety noktowizora i termowizji. Mam nadzieję, że dożyję czasów, kiedy wejdzie on do służby. Korzystanie z obu trybów będzie dawało masę radości.

Z wolna opuszczało nas poczucie grożącego nam niebezpieczeństwa. Siedzieliśmy w ciszy i spokoju, słuchając przez radio, jak wszystkie problemy trapiące nasz AO rozwiązują się same, jeden po drugim. To była dobra noc na zasadzkę. Wiał delikatny wiaterek, temperatura była dość niska. Cieszyłem się pogodą, póki mogłem. Za kilka tygodni nadejdą chłody i w trakcie nocnych misji będziemy musieli ubierać się w cieplejsze rzeczy, zakładać więcej warstw ciuchów albo brać ze sobą koce.

Podobnie jak w przypadku innych zasadzek, tak i tym razem siedzieliśmy beczynn timer przez kilka godzin. Szansę na to, że nawiążemy kontakt z wrogiem, były minimalne i dawno porzuciłem wszelką nadzieję. Przynajmniej zrobiliśmy sobie dłuższy spacer

i przypomnieliśmy, co to znaczy być żołnierzem piechoty. Coraz lepiej radziliśmy sobie z nocną nawigacją według gwiazd. Pomimo obciążenia ekwipunkiem sprawnie się poruszaliśmy i coraz lepiej orientowaliśmy w terenie, *zwłaszcza* w okolicach szosy, gdzie rebelianci lubili podkładać IED.

Nadeszła pora, kiedy mieliśmy się już wycofać do punktu zbornego. Właśnie ruszaliśmy w drogę, kiedy dotarła do nas informacja, że na poboczu szosy, w pobliżu miejsca, gdzie miały nas podjąć hunwee, został znaleziony jakiś przedmiot, prawdopodobnie IED. Biorąc pod uwagę zmianę sytuacji, miałem nadzieję, że pozostaniemy w terenie trochę dłużej, ale skoro przyszła pora, by się wycofać, zdecydowano, że mamy trzymać się planu i wracać.

Do punktu, z którego miały nas odebrać humvee, było niedaleko, ale po drodze Jeff znalazł ścieżkę ciągnącą się wzdłuż kanału. Była położona na tyle nisko, że rów dawał nam osłonę. Aby pozostać niewidocznymi i jednocześnie szybko się przemieszczać, musieliśmy działać wbrew regułom prowadzenia walki, jakie przyjęto w piechocie. Sprawne poruszanie się i szybkość były w tej chwili najważniejsze. Była to kolejna z *rzeczy*, których nauczyliśmy się w Iraku. Szkoda, że opanowanie tej lekcji zajęło nam tak dużo czasu. Gdybyśmy byli bardziej pojętnymi uczniami, lepiej byśmy się spisywali w Iraku. Rozumiem przez to złapanie lub zabicie większej liczby łajdaków.

Szlak, który znaleźliśmy, prowadził do drogi, gdzie miały nas odebrać hunwee. Skrzyżowanie było puste i gdybyśmy na nim czekali, nie mielibyśmy żadnej

osłony przed wrogiem, dlatego postanowiliśmy zaczekać w ukryciu, na tyle blisko, aby dostrzegli nas kierowcy samochodów.

Nagle od strony drogi zaczął szczekać pies. Jego ujadanie mogło sprowadzić na nas kłopoty, ale nic nie byliśmy w stanie poradzić. Gdybyśmy strzelili do zwierzaka, cała okolica dowiedziałaby się o naszej obecności. Z drugiej strony szczekanie także wystawiało nas na niebezpieczeństwo. Ktoś z naszych włączył celownik IR i zaświecił nim psu w ślepią. PEQ-2 ma dwa tryby działania: słaby i mocny. Ten pierwszy używany jest w zasadzie tylko na treningach, drugi w walce. Siła światła lasera jest ogromna. PEQ-2 posiada także bardzo silną iluminację szerokostrumie-niową. Dla ludzkiego oka jest niewidoczna, ale przy wykorzystaniu NVG można ją zobaczyć jako świetlistą smugę. Podczas treningu wysoka intensywność lasera nie jest wykorzystywana, ponieważ istnieje niebezpieczeństwo uszkodzenia siatkówki oka. Zdając sobie z tego sprawę, kilku chłopaków zaczęło błyskać laserami w ślepią zwierzęcia. Nie mogłem powiedzieć, że bym pochwalał takie postępowanie, ale nie zamierzałem mówić tego na głos. Być może to moja wada, nie potrafię powstrzymać innych przed okrucieństwem. Chciałbym myśleć, że mogę przyczynić się do powstrzymania zbrodni przeciwko ludzkości, a tymczasem gdyby ktoś z PETA zapytał mnie, czy moi koledzy katowali zwierzęta, ciężko by mi było odpowiedzieć, nie kłamiąc.

Promienie lasera nie wywarły na psie żadnego wrażenia, a przynajmniej nie taki, aby przestał ujadać.

Daliśmy sobie z nim spokój i mieliśmy nadzieję, że znudzi go szczekanie. Skoro zachodziło podejrzenie, że w pobliżu drogi znajduje się IED, wiedzieliśmy, że humvee się spóźnią.

Kiedy tak czekaliśmy, zauważyłem błyski światła dochodzące od szosy. Światło poruszało się, kołysząc na boki. Nie byłem pewien, co to może być, ale znajdowało się około dwustu metrów od nas. Im dłużej się przyglądałem, tym bardziej byłem pewny, że to idzie ktoś przyświecający sobie latarką. IED został podłożony w tamtym rejonie, więc ktoś, kto stamtąd nadchodził, naturalnie obudził nasze zainteresowanie. Chciałem spytać Richa, co o tym sądzi, ale z jakiegoś powodu chłopcy zaczęli się przybliżać w stronę drogi. Byłem rozdarty. Nie wiedziałem, po co się ruszyli, przecież zajmowaliśmy bardzo dobre pozycje. Nie chciałem też stracić z oczu człowieka z latarką, ale nade wszystko do szału doprowadzało mnie szczekanie psa. Żałowałem, że nie mam kuszy albo tłumika. Pies znajdował się jakieś siedemdziesiąt pięć metrów od nas, a człowiek z latarką szedł wzdłuż drogi, przy której my się przyczailiśmy. Jeszcze chwila, a nas minie. Po cichu ruszyłem w ślad za resztą oddziału, chcąc przynajmniej jednego z chłopaków mieć w zasięgu wzroku. Poczuliśmy się ścieżką do miejsca, gdzie łączyła się z drogą. Byłem spory kawałek od pozostałej czwórki, ale przynajmniej ich widziałem. Cały czas nie spuszczałem wzroku z kołyszącego się światła latarki. Nagle, bez ostrzeżenia, moi kumple otworzyli ogień. Zupełnie zbaraniałem. Nie wiedziałem, po co strzelają. Najpierw pomyślałem, że to rozpoznanie

ogniem: ostrzelanie domniemanych pozycji nieprzyjaciela, aby zbadać jego reakcję. Może chcieli się przekonać, czy rebeliant ucieknie, *zacznie* strzelać do nas, krzyczeć, czy robi cokolwiek innego. To bardzo efektywna metoda, jeśli dowódca nie obawia się wyjawić swojej pozycji.

Nad przyczyną otwarcia ognia zastanawiałem się ledwie ułamek sekundy. Wiedziałem tylko, że strzelamy, więc spokojnie mogłem załatwić psa. Wycelowałem w środek jego klatki piersiowej, odbezpieczyłem broń i pociągnąłem za spust. POP! Trafiłem zwierzę, ale przeżyło. POP! POP! POP! POP! Pies zaczął się kręcić dookoła własnej osi, ścigając swój ogon. Pewnie nie rozumiał, co go tak zakłuło. POP! Ostatnia kula przeszła na wylot przez klatkę piersiową i położyła go trupem. Wystrzeliłem sześć naboju, z czego cztery trafiły. Serce mi się krajało, ale musiałem położyć kres

temu ujadaniu. Pies nie poddał się łatwo.

- Dawać mi tutaj 203! - ryknął nagle Jeff. Podbiegłem do pozostałej czwórki, która w równej linii stała na skraju drogi. Przykląkłem, wystrzeliłem kilka razy w stronę, w którą celowali pozostali. W dalszym ciągu nie miałem pojęcia, do kogo mierzyli.

- Podaj mi dystans i kierunek! - odkrzyknąłem.

- Siedemdziesiąt pięć metrów na dwunastej! - krzyknął porucznik. - Celuj obok bramy!

- Tak jest! - odparłem, załadowałem HEDP do lufy i usunąłem zabezpieczenie. Przez klębiący się dookoła dym i pył nasze lasery celownicze były doskonale widoczne. Ustawiłem broń tak, że laser był równo legły do ziemi, i wycelowałem w zamkniętą na kłódkę

bramę. Uniostłem karabin trochę do góry i strzeliłem. Doonk! BUUM! Granat eksplodował prawie natychmiast po opuszczeniu lufy.

- Strzelaj dalej! - krzyknął Jeff.

- Zrozumiałem - odparłem z entuzjazmem.

Jezu Chryste, o to przecież cały czas chodziło! Otworzyłem komorę M203 i dymiąca łuska wypadła na ziemię. Kiedy ładowałem następny granat, spytałem Richa, do kogo właściwie strzelamy. „Tam jest gość z cholerną wyrzutnią rakiet! Stał pod bramą z bandą swoich kumpli” - krzyknął do mnie. Boże! Przeładowałem broń, wycelowałem, tym razem mierząc odrobinę dalej, i nacisnąłem spust. Doonk! Chwila przerwy i znowu: BUUM! Tym razem trafiłem jakieś 150 metrów od nas. Znowu kolejna łuska upadła na ziemię. Załadowałem jeszcze jeden granat i wycelowałem. Podczas manewrów uczono nas, aby ogniem pośrednim, głównie z moździerzy, „obramować” nieprzyjaciela. Mamy strzelać raz blisko, potem daleko, to z lewej, to z prawej. Pomyślałem, że w przypadku granatów z M203 powinno być tak samo. Spróbowałem więc obłożyć ogniem kilka różnych miejsc, gdzie mogli się czaić rebelianci. Doonk! BUUUM! Tym razem trafiłem jakieś sto metrów od nas. Zużyta łuska upadła na ziemię, a ja załadowałem kolejny granat. Tym razem zamierzałem trafić bliżej nas, jakieś pięćdziesiąt do siedemdziesięciu pięciu metrów. Wycelowałem dokładnie w bramę. Doonk! BUUM! Pocisk eksplodował dokładnie w chwili, kiedy trafił w ziemię, jakieś dwadzieścia pięć, może trzydzieści metrów od nas. Minimalna odległość, na jaką można wystrzelić

z granatnika 40 mm wynosi trzydzieści pięć metrów. Jeżeli pocisk spadnie bliżej, mechanizm się nie uzbroi i nie nastąpi wybuch. Ta eksplozja miała miejsce najwyżej trzydzieści pięć metrów od nas. Podobno w sytuacjach stresowych występuje „syndrom wykluczania słuchowego”. Zmysł słuchu wyłącza się, ignorując szczególnie głośne dźwięki. Moją karabinką używałem w walce dwa razy i nie pamiętam, abym słyszał coś głośniejszego od syku, choć wystrzałom powinien towarzyszyć głośny huk. Pierwszy granat, który wystrzeliłem, wybuchł z cichym „pop!” i błyskiem światła. Cztery eksplodował z ogłuszającym hukiem. Naprawdę. Jimmy musiał to zauważyć, bowiem krzyknął do mnie:

- Za blisko!

Zacząłem ładować kolejny granat i spytałem:

- Mam strzelać dalej czy spróbujemy ich obejść?

Kiedy zarepetowałem broń, Jeff rozkazał:

- Wstrzymać ogień. Obrzucimy ich odłamkowymi i zajdziemy od tyłu.

Granaty odłamkowe? A po jaką cholere? Ci ludzie albo już nie żyją, albo dawno temu uciekli. Jeżeli wzięli nogi za pas, to chciałem za nimi ruszyć. Nieważne. Kiedy Jeff i porucznik szykowali granaty, ja ukryłem się za wzniesieniem. Nie lubię granatów odłamkowych. Jeśli człowiek coś schrzani i rzuci za blisko, ma jak w banku, że spotka go coś złego. Co więcej, odłamki fruwały we wszystkich kierunkach jednocześnie, więc lepiej ukryć się w bezpiecznym miejscu. Ze swojej kryjówki widziałem, że Jeff i porucznik stanęli na skraju drogi i ten pierwszy krzyknął:

- Granat!

Niemal jednocześnie cisnęli granaty i dali nura do rowu. BUUUM! Obydwa granaty wybuchły dokładnie w tej samej chwili. Spojrzałem do góry i zobaczyłem chmurę dymu w miejscu, gdzie wybuchł granat porucznika. Po chwili usłyszałem jego wołanie: „Dostałem!”.

No pięknie. Właśnie dlatego nienawidzę granatów odłamkowych. Zapewne odbił się lub go zniosło i wybuchł za blisko. Nie musiałem oglądać porucznika na oczy, żeby wiedzieć, iż będzie potrzebował MEDEYAC. Spojrzałem na Richa, który obsługiwał radio, i krzyknąłem: „Łącz z dziewiątką, natychmiast!”. (Linia dziewiąta jest wykorzystywana do wzywania pomocy w przypadku strat własnych). Rich wyglądał na nieźle wstrząśniętego, ale posłusznie zaczął wykonywać mój rozkaz. Nim wezwał pomoc, usłyszałem porucznika: „Nic mi nie jest! Wszystko w porządku. Nie wzywać dziewiątki”.

Kiedy dostałem się do niego, zobaczyłem, że po szyję tkwił w wodzie. Jeff ściągał z siebie ekwipunek i próbował go wyciągnąć. Pod drogą biegł kanał, o którego istnieniu nie mieliśmy pojęcia. Z obu stron był gęsto porośnięty krzakami i dlatego go nie zauważyliśmy. Choć nie był zbyt szeroki, to miał prawie dwa metry głębokości. Kiedy porucznik zeskoczył w dół, poślizgnął się i wpadł do wody. Pech chciał, że uderzył głową o coś twardego i na chwilę stracił orientację. Prąd ściągnął go pod drogę i kiedy chciał wypłynąć i zaczerpnąć powietrza, uderzył głową w cement. Walcząc z nurtem, porucznik zdołał się wydostać

spod drogi i w końcu odetchnął. Wydaje mi się, że był cholernie przestraszony, dlatego krzyknął: „Dostałem!”. Nasz porucznik jest mocno zbudowanym facetem i zdołał dokonać czegoś, co uważałem za niemożliwe, utrzymać się na powierzchni wody w pancerzu i z oporządzeniem.

Wyglądało na to, że faktycznie nic mu się stało. Jeff robił, co w jego mocy, żeby mu pomóc, więc powiedziałem do Richa: „Sprowadź tu natychmiast hunwee. Powiedz im, żeby przygotowali linę i wyciąg”.
Praktycznie wszystkie humvee wyposażone są w linę i kołowrót do holowania, na wypadek gdyby trzeba było pomóc w odtransportowaniu uszkodzonego pojazdu.

Cały czas nie spuszczałem z oczu bramy, którą ostrzelałem. Bardzo chciałem zbadać teren, ale wiedziałem, że z dwoma ludźmi i tonącym porucznikiem to się nie uda. Mimo wszystko ostrożnie podszedłem parę metrów w jej stronę.

Minęło kilka minut, nim przyjechały hunwee, ale gdy tylko zobaczyłem je na drodze, wezwałem Richa i Jimmy'ego. We trójkę ruszyliśmy ku bramie. Jeden z hunwee zatrzymał się obok kanału i jego załoga pomogła Jeffowi wyciągnąć porucznika z wody. My tymczasem zbliżyliśmy się do zamkniętej na łańcuch i kłódkę bramy. Po drugiej stronie wznosiły się zabudowania, które chciałem przeszukać. Przez chwilę zamierzałem przestrzelić łańcuch, ale

obawiałem się odłamków. Kiedy tak stałem i zastanawiałem się, co robić, podjechał do mnie hunwee Dana.

- Chcesz, żebyśmy staranowali bramę? - krzyknął.

Staranować bramę? No jasne!

- Dalej, stary! - krzyknąłem. - Do przodu!

Usunąłem się z drogi, a hunwee staranował bramę. Metalowe skrzydła upadły na ziemię, a samochód przejechał po nich. Kiedy tylko się zatrzymał, krzyknąłem do żołnierzy, aby wysiadali. Teraz miałem ich czterech, wystarczająco, aby przeszukać dom. Strzelcem hunwee był Sean, co dało mi poczucie bezpieczeństwa. Kiedy przechodziłem obok, powiedział: „Ubezpieczamy cię, Jason”.

Pierwszy budynek, który przeszukaliśmy, był niewielki i przypominał hydrofor. Poza kilkoma rurami wystającymi z ziemi był pusty. Rozejrzeliśmy się pobieżnie i ruszyliśmy dalej.

Kolejny budynek wyglądał na mieszkalny. Wzniesiono go z cegieł z suszonego na słońcu błota. Z jednej strony otaczały go krzaki i niewielki kanał. Ostrożnie obeszliliśmy budynek i przeszliśmy kawałek dróżką, która biegła w pobliżu. Kiedy wyszliśmy z drugiej strony, zobaczyłem widok, którego dokładnie się spodziewałem: ogromną rodzinę. Do mojej grupy dołączyła reszta żołnierzy, w tym sierżant plutonu. Znaleźliśmy kładkę przerzuconą przez kanał i zaczęliśmy przeszukiwać domy. Znaleźliśmy dwóch mężczyzn, kilka kobiet oraz całe tabuny dzieci. Było ich tuzin, jeśli nie więcej, nie mogłem ich policzyć. Mężczyzn od razu oddzieliliśmy od reszty domowników, a kobiety i dzieci zebraliśmy w jednym miejscu, na podwórzu przed wejściem. Obok znajdowało się kilka namiotów domowej roboty, w których spało jeszcze więcej dzieci. Jak mogły nie usłyszeć wybuchów i odgłosu upadają

cej bramy, nie potrafiłem powiedzieć. Jedna z kobiet trzymała w ramionach niemowlaka, który wyglądał na martwego. Próbowałem ją spytać, czy z dzieckiem wszystko w porządku, ale mnie nie rozumiała. Ja także nie miałem pojęcia, co do mnie mówi. Pokazałem ręką na dziecko, a ona mi je podała, jakby chciała, żebym je potrzymał. Nie zamierzałem tego robić, chciałem się tylko dowiedzieć, czy żyje.

Przez kolejne dwie lub trzy godziny przeszukiwaliśmy dom oraz jego okolicę. Jak okiem sięgnąć, wszędzie ciągnęły się winnice. Naszym wsparciem w trakcie tej misji miały być moździerze, którym podano koordynaty miejsca, gdzie miały czekać hunwee. Chłopcy byli gotowi w każdej chwili otworzyć ogień, gdybyśmy potrzebowali pomocy. To byłaby doskonała okazja do postrzelania pociskami burzącymi, ale starcie było zbyt krótkie i za blisko bazy, aby mogli nam pomóc. Kiedy przeszukiwaliśmy okolicę, spytałem, czy nie mogliby wystroić kilku flar oświetleniowych. Rich, który obsługiwał radio, wezwał ostrzał. Już pierwsza flara okazała się idealnie wymierzona.

W wojsku w trakcie rozmów przez radio nie mówi się „powtórz”, kiedy nie dosłyszysz się ostatniego zdania, ale „powiedz jeszcze raz”. Słowo „powtórz” jest równoznaczne ze „strzelcie jeszcze raz”. Jako że pierwsza salwa moździerzy była idealna, powiedziałem Richowi: „Każ im powtórzyć. Będą w siódmym niebie, kiedy im to powiesz”. Rich zrobił, jak mu kazałem. Do mikrofonu rzucił krótkie: „Powtórzcie”. Nie wiem, czy to docenili, ale mnie strasznie ucieszyło, że wreszcie mogłem poprawnie wykorzystać komendę „powtórzcie”.

Przeszukaliśmy rowy irygacyjne, drogę oraz okolicę, gdzie powinni skierować się uciekający, ale nie znaleźliśmy nic. Ani śladu broni, RPG czy krwi. Jedna z flar oświetleniowych spadła w krzaki i wywołała mały pożar, który, niestety, nie rozprzestrzenił się na resztę Iraku. Byłem wściekły. Miałem zbyt mało ludzi i nie mogliśmy porządnie przeszukać okolicy. Zmitrężyliśmy zbyt wiele

czasu i trzeba było wracać do bazy.

Z pomocą humvee porucznik wydostał się z wody i faktycznie, okazało się, że był cały i zdrowy. W wodzie musiał spędzić jakieś dziesięć minut, co było dla mnie niepojęte. Ja utonąłbym po pięciu sekundach. Teraz zacząłem rozumieć, dlaczego rangersi zabierają ze sobą na misję kawałek liny.

Spytałem Richa i Jeffa, kogo dokładnie widzieli. Obydwaj twierdzili, że przed frontową bramą stała grupka *mężczyzn*, którzy żartowali sobie w najlepsze, paląc papierosy. Jeden z nich miał RPG, inny AK-47. O takiej sytuacji marzyłem, odkąd przyjechałem do Iraku. Nie było żadnej wymówki ani powodu, dla którego ktoś mógłby posiadać granatnik. Była to jedna z rzadkich sytuacji, gdy mogliśmy strzelać bez pytania. Kiedy tylko zauważyli rebelianta, natychmiast przesunęli się tak, aby go zdjąć. Facet z AK-47 odpowiedział ogniem, ale szybko dał drapaka. Przynajmniej jeden z *mężczyzn* został trafiony, bowiem zarzuciło nim, jakby dostał kulkę w ramię.

Co mnie zupełnie zirytowało - ja nikogo nie widziałem. Najbardziej przeraziło mnie, że cztery granaty, które wystrzeliłem, mogły spaść na dom zamieszki-

wany przez dużą rodzinę. Dom znajdował się po drugiej stronie wzniesienia, za gęstymi krzakami, i był dla nas niewidoczny. Od miejsca ostrzału dzieliło go jakieś dwieście metrów. Jeden z moich pocisków eksplodował około 150 metrów od domu. Gdybym wycelował drobinę wyżej, mógłbym trafić któreś z dzieci lub kobiet. Ostrzeliwana przez nas droga nie była prosta, ale zakręcała lekkim łukiem. Zakładaliśmy, że granaty będą spadać wzdłuż niej, ale kiedy tylko buntownicy wydostali się z ostrzeliwanego obszaru, nic im nie groziło.

Kiedy skończyliśmy przeszukiwać teren, zebraliśmy się w jednym miejscu i ruszyliśmy do bazy. Dwóch *mężczyzn* zabraliśmy ze sobą i odtransportowaliśmy do centrum dowodzenia, gdzie poddano ich badaniom. Ich wyniki pokazały, że jeden z *mężczyzn* miał niedawno kontakt z TNT.

Bez przerwy myślę o tamtej nocy. Jest tyle rzeczy, które chciałbym, aby poszły inaczej. Biorąc pod uwagę sytuację, w jakiej się znaleźliśmy, uważam, że zrobiliśmy, co w naszej mocy. Dwa miesiące później inna kompania naszego batalionu znalazła ciało *mężczyzny* postrzelonego w głowę. Zwłoki ukryte były w opuszczonym budynku i leżały na łóżku. Lekarz określił, że człowiek ten nie żył od dwóch miesięcy. Bardzo chcieliśmy wierzyć, że był to jeden z *mężczyzn*, do których strzelaliśmy w trak. cię tej zasadki, ale wiedziałem, że ktoś ranny w głowę nie miałby sił odbiec tak daleko. Jeżeli został odciągnięty przez kamratów, to dlaczego nie pochowali go od razu, jak to Irakijczycy mają w zwyczaju?

Tamta noc była najbardziej ekscytującą w moim życiu, ale ciągle jej wspomnianie znudziło mnie. Zrobiliśmy to, potem tamto, bla, bla, bla, bla. Nie licząc *Paragrafu 22*, nie przeczytałem żadnej książki o wojsku, a wziąłem się za pisanie takiej. Nie jestem historykiem ani reporterem. Gdybym chciał wszystko dokładnie opisywać, musiałbym odszukać i sprawdzić wiele faktów. Zamiast tego opisuję wydarzenia takimi, jakimi je zapamiętałem. To nie jest wiarygodne źródło informacji. Weźmy za przykład granat, którym rzucił porucznik. Przez chwilę byłem pewien, że coś poszło nie tak, jak trzeba, i biedak sam siebie wysadził w powietrze.

Dużo myślałem o tym, jak przekazać wydarzenia tamtej nocy. Tyle razy już wspominałem o zasadkach, że z kolejnej relacji wiałoby nudą. Nie jestem Richardem Marcinko⁵⁷ ani Tomem Clancy⁵⁸. Nawet gdybym chciał, nie potrafiłbym z tej historii zrobić *heroic porno*. Nie działa się tyle, poza tym taka historia byłaby nudna. Pomyślałem, że może włączyć do niej krasnoludki, syrenki oraz zespół pieśni i tańca. Syrenki wyjaśniłyby, dlaczego porucznik nie utonął, krasnoludki wyniosłyby ciała zabitych przez nas rebeliantów, a pożar i strzelaninę dałoby się przerobić na musical. Wydaje mi się, że to tchnęłoby w tę opowieść trochę życia. Z drugiej strony nie chciałem, aby coś tak ważnego jak mój pierwszy

bezpośredni kontakt z wrogiem przerodziło się w eskapistyczną fan-

tazję. Dobrze jest opowiedzieć wszystkie szczegóły, które w ogólnym rozrachunku dają pełny obraz sytuacji. Dlatego zdecydowałem się włączyć do opowieści całą rodzinę kobiet, dobrodusznego kuternogę oraz smutny romans z dziewczyną imieniem Zija.

13 października 2004 **Tao Żołnierza**

- I. Naucz się cierpieć.
- II. Nie jesteś nikim wyjątkowym, znaj swoje miejsce.
- III. Zerwij krępujące cię więzy.

Dziś narodził się Pielgrzymi Zakon Piechoty.

Służba nie jest łatwa, ale dla żołnierza, który podchodzi do niej z odpowiednim nastawieniem, może być źródłem satysfakcji płynącej z dobrze wykonanej pracy. Aby odnaleźć spokój i zadowolenie z wypełniania zadań, które na pierwszy rzut oka mogą sprawiać wrażenie bardzo chaotycznych, trzeba po prostu odnaleźć tao i otworzyć przed nim serce.

Żołnierzom, których mdli na dźwięk słów: „otworzyć serce”, „pokój”, „spełnienie” oraz którzy nie wiedzą, jak wymówić słowo „tao” (a powinni mówić „doo”, co z grubsza oznacza „drogę”), wyjaśnię to w słowach, które zrozumieją wszystkie trepy. Bycie żołnierzem oznacza życie w morzu gówna. Na każdym kroku człowiek ma do czynienia z samymi dupkami. Musi znosić potok kretyństwów wymyślanych przez dowództwo, odwalać masę niepotrzebnej papierkowej roboty lub brać udział w głupich misjach treningowych i znosić

ograniczenia narzucane przez wojsko. Koniec końców nawet własny rząd olewa człowieka, w zamian zbierając samą śmietankę i przywileje. Jakby tego nie było dosyć, mogą wysłać człowieka na wojnę w jakimś zapomnianym przez Boga kraju (na przykład Irak), gdzie jaja urwie mu ładunek wybuchowy z pocisku artyleryjskiego, podłożony na trasie przejazdu hunwee przez jakiegoś dupka, który nie ma odwagi walczyć twarzą w twarz i kryje się daleko poza zasięgiem strzału z karabinu. Jednym słowem, wojsko jest do dupy. Nieważne, czy jest się obibokiem z kuchni polowej, praczką, pilotem apache'a czy zielonym beretem, jak z hollywoodzkiej megaprodukcji, życie żołnierza jest paskudne. Są jednak tacy, którzy znaleźli sposób, aby wytrzymać ten smutny los, a nawet więcej, czerpać z niego satysfakcję. Szczęście, zadowolenie, spełnienie, nagroda, pokój, sens, cel, zeń, droga, ścieżka środka, nirwana, wielka nicość, nazywajcie to, jak chcecie, jest na wyciągnięcie ręki. Wystarczy spróbować.

Naucz się cierpieć

Żołnierz zwykle skazany jest na same niewygody. Podczas służby dane jest mu poznać nieskończenie wiele rodzajów cierpienia: fizycznego, emocjonalnego i myślowego. Źródła problemów mogą też leżeć w finansach, prawie czy sądach, tak naprawdę wszystko może człowiekowi dopieć. Co gorsza, od cierpienia nie da się uciec, jest ono nieuniknione i nieuchronne. Nic nie przynosi od niego ulgi ani wytchnienia. Wyjścia z sytuacji są dwa: albo płacz i załamanie nerwowe, albo nauczyć się znosić niewygody.

Jedną z pierwszych rzeczy, jakich w trakcie podstawowego szkolenia uczy się o sobie żołnierz, jest to, że fizyczna wytrzymałość ma się nijak do kondycji. Ciało daje nam złudzenie, że

jesteśmy zdolni tylko do pewnego wysiłku. Na przykład wydaje ci się, że jesteś w stanie zrobić tylko pięćdziesiąt pompek. To całkiem prawdopodobny limit. Jesteś pewien, że nie zdołasz zrobić więcej, niż mogą znieść twoje mięśnie i kości. Prawda jest taka, że jedynym ograniczeniem są świadomość i wola. Pewnie uważasz, że sposobem na zwiększenie liczby robionych pompek będą intensywne ćwiczenia na siłowni. Kiedy nabierzesz mięśni i wzmocnisz kości, wtedy będziesz w stanie zrobić ich siedemdziesiąt. Po części to prawda, ale nie do końca. Jesteś w stanie zrobić te siedemdziesiąt pompek nie dlatego, że twoje mięśnie są mocniejsze, ale dlatego, że uważasz się za silniejszego. Rzeczywistość jest taka, że te siedemdziesiąt, a nawet tysiąc pompek mógłbyś zrobić od razu. Dokonanie czegoś, co leży poza granicami możliwości fizycznych człowieka, określamy jako „używanie Mocy”. Jeśli metafora Jedi do was nie przemawia, to może zrobi to cytat z Biblii? W Nowym Testamencie (Mt 17, 20) Jezus mówi, że wiara jest zdolna przenosić góry. Nieważne, czy podnosisz X-winga z bagna⁵⁹ czy rozstępuje się przed tobą Morze Czerwone, wystarczy silna wola, aby tego dokonać.

Żółtodziób nie musi od razu uwierzyć w to, co tutaj napisałem. Jednak kiedy będzie miał za sobą

dwadzieścia mil forsownego marszu w pełnym wyposażeniu, które waży prawie tyle samo co on, sam odkryje zupełnie nowe rodzaje cierpienia, których istnienia nawet nie podejrzewał. Kiedy wreszcie pojmiesz, że nie ma limitu ludzkiej wytrzymałości, zaczniesz zdawać sobie sprawę, iż możesz zrobić wszystko i przetrwać najgorsze rzeczy, dopóki masz w sobie wolę, aby tego dokonać. Najłatwiejszym sposobem, aby to pojąć, jest przejść przez prawdziwe piekło i je wytrzymać. Doznając wtedy nowego rodzaju udręki, będziesz w stanie spróbować nad nim zapanować. W końcu pojmiesz, że cierpienie nie ma końca, a ty jesteś w stanie przyzwyczaić się do wszystkiego. Ten proces jest stały i niezmienny. Nieważne, ile już w życiu przeszedłeś, zawsze czeka na ciebie jeszcze więcej bólu.

Nie jesteś nikim wyjątkowym

Jako Amerykanie, ludzie kultury Zachodu, cenimy sobie indywidualność bardziej niż cokolwiek innego. Jest ona podstawą naszej koncepcji wolności, a jej ochrona to filar demokratycznego społeczeństwa. Cywil może być indywidualnością, ale żołnierz już nie, bowiem służy do jej obrony.

Nasze społeczeństwo stworzyło doskonałe warunki do rozwoju indywidualnych osobowości. W armii sprawa ma się odwrotnie, koncepcja szczególności osoby jest jedną z pierwszych rzeczy, jakie są człowiekowi odbierane. Z początku bardzo trudno to zaakceptować. Instynkt samozachowawczy oraz miliony prawd, jakie wpajane są nam do głowy od małego dziecka, sprawiają, że chronimy nasze „ego” bardziej niż cokolwiek innego.

Jesteś tym, za kogo się uważasz. Przez całe życie tworzysz w swojej głowie obraz człowieka, którym myślisz, że jesteś. Masz imię, nazwisko, mieszkasz pod określonym adresem, wykonujesz jakiś zawód, posiadasz swoje gusta, opinie, przemyślenia. Z punktu widzenia społeczeństwa kapitalistycznego jesteś niczym więcej, jak konsumentem. Definiujemy naszą osobowość przez pryzmat tego, co konsumujemy. (Czasami konsument zaczyna zdawać sobie sprawę z tego procesu i zaczyna gustować w rzeczach, które określają go jako indywidualność. „Metal-lica jest do bani, poszli na komercję. Teraz słucham Mars Volta!”⁶⁰.) W Nowym Jorku żyje osiem milionów takich indywidualuów. Podobnie jak w college’u, gdzie po pytaniu: „Jak się nazywasz?” padało: „Jaką masz średnią?”, tak i w Nowym Jorku każdy nowo poznany człowiek chce od razu wiedzieć dwie rzeczy: czym się zajmujesz i gdzie mieszkasz. Byłem

skoczkiem spadochronowym i programistą mieszkającym w Nolita. Wątpię, aby znalazł się drugi taki typ, więc chyba jestem indywidualnością, czyż nie?

Za tysiąc lat nikt nie będzie zdawał sobie sprawy z naszego istnienia. Nawet teraz, kiedy żyjemy i oddychamy, tak naprawdę nic nie znaczymy. Mieszkasz w Ohio, jesteś sprzedawcą w sklepie z narzędziami, jeździsz saturnem, masz dwójkę dzieci i co roku na Dzień Matki wysyłasz kartkę z życzeniami? A może jesteś CEO⁶¹ kompanii z Fortune 500⁶², masz dom w Chelsea

i letni bungalow na Fire Island, pochodzisz z zamożnej rodziny, w każde święta Bożego Narodzenia odwiedzasz mamę, która mieszka w tym samym domu, w którym się samotnie wychowywałeś, i tego samego miesiąca byłeś na okładce „Out” i „Forbesa”? Czy to naprawdę ma jakieś znaczenie? Któregoś dnia umrzesz, a trumnę z twoimi zwłokami zakopią w płytkim dole, tak samo jak w przypadku każdego innego człowieka. Któregoś dnia słońce osiągnie masę krytyczną i pochłonie całe życie na Ziemi.

Któregoś dnia wszechświat zapadnie się pod ciężarem własnej masy i eksploduje, tworząc kolejne, zupełnie nowe uniwersum. Ale to też nie ma znaczenia, to są po prostu fakty, od których nie uciekniemy. Całkowicie bez znaczenia jest to, co lubimy, a czego nie. Bezsens naszego istnienia przyprawia o zawrót głowy. Trzeba pogodzić się z faktem, że nic nie znaczymy i nie pozostawimy po sobie śladu. We wszechświecie, który jest zaledwie jednym spośród niezliczonych i który, podobnie jak inne, zapadnie się i odrodzi na nowo, odgrywamy tak nikłą rolę, jak moje upodobanie do masła orzechowego.

Znaj swoje miejsce

Świadomość własnego braku znaczenia idzie w parze z tym, że człowiek musi znać swoje miejsce w szeregu. W przeciwieństwie do prywatnego przedszkola w Woodstock, gdzie każdy był wyjątkowy i równy innym, nawet Murzynka Tyrone czy Timmy na wózku inwalidzkim, w wojsku obowiązuje ścisła hierarchia, która ułatwia skuteczne wykonywanie rozka-

zów. Przez większość mojej kariery wojskowej byłem szeregowcem. Wynosiłem śmieci i zmywałem podłogę. Teraz jestem sierżantem, dlatego jak każę zamiatać kąty, to macie się, kurwa, zamknąć i to robić, jasne? W wojsku każdy ma swoje zadania i pełni określoną funkcję. Utrzymując ten porządek, można efektywniej wykonywać robotę. Wyobraźcie sobie tylko, co by się stało z samochodem, gdyby system wtrysku paliwa do silnika uznał, że chce pełnić funkcję zamka centralnego. Podział zadań wymyślono po to, aby nie trzeba było martwić się o wszystko naraz. Ludzie koncentrują się na swoich wytycznych i dopóki je wykonują, dopóty wszystko gra. Kiedy wchodzimy do jakiegoś budynku, to musimy wyważyć drzwi, przeszukać pokoje oraz zatrzymać znajdujących się wewnątrz ludzi. Podczas gdy my wykonujemy swoją robotę, nad nami krążą apache. W sumie nie wiem, jak mają zrealizować swoje zadanie, ale nic mnie to nie obchodzi. Potrzebuję wsparcia powietrznego, a śmigłowce mi je zapewniają. Goście z wywiadu przesłuchują zatrzymanych, wyciągają z nich informacje i ustalają kolejne cele dla mojego plutonu. Pamiętaj, jesteś szeregowcem Nikim, nie generałem Pattonem. Skup się na swojej robocie i wykonuj ją dobrze. Jako piechur masz strzelać do ludzi. Nie przejmuj się Abu Ghraib, Falu-dżą czy Michaeliem Moorem. Jeśli cel się porusza, pamiętaj, aby mierzyć odrobinę przed nim.

Zerwij krępujące cię więzy

To, do czego jesteś przywiązany, powoduje, że cierpisz. Im szybciej to zrozumiesz, tym prędzej

nauczysz się,

jak pokonać ból. Ludzie cywilizacji Zachodu, a Amerykanie w szczególności, uwielbiają przedmioty. Jako dziecko pewnie uwielbiałeś Gwiazdkę, prawda? Pamiętam, że kiedy byłem mały, żyłem tylko po to, aby doczekać Wigilii. Pod choinkę dostawałem całe stopy zabawek, a dla dziecka liczą się tylko one. Po dziś dzień nie znajduję porównania dla uczucia, które towarzyszyło oczekiwaniom na Gwiazdkę. Ale zabawki się psują, giną lub przestają w końcu interesować. Na czym *zależy* bardziej dorosłemu facetowi, jak nie na dobrym samochodzie albo na dużym, ładnym domu? Z takich przedmiotów człowiek czerpie ogromną satysfakcję. Skłamię, jeśli powiem, że nie lubię chodzić do Barnes and Noble albo sklepów z płytami, jednak prawdziwa satysfakcja nie bierze się z przedmiotów.

Więzy, które krępują człowieka, to nie tylko *rzeczy*. Związki z innymi ludźmi potrafią go ograniczać w równie wielkim stopniu. Więcej z nich opiera się na niepewności i ślepym przywiązaniu niż na miłości. Jednak najbardziej krępuje człowieka jego ego, poczucie własnej osoby, którego czepiamy się jak tonący brzytwy. Podstawą tao żołnierza jest uwolnienie się od takich więzów. Im mniej posiadasz, tym lepiej. Im mniej masz własnych przedmiotów, tym mniej masz problemów na polu walki. Dziewczyna, z którą chodziłeś, nie będzie na ciebie czekała osiemnastu miesięcy, więc odpuść ją sobie i idź do przodu. Nawet jeśli ty i twoja żona mieliście wspaniały układ, to nie będzie on już taki sam, kiedy wrócisz do domu. Nie mówię, że będzie gorzej, ale na pewno inaczej. W moim plutonie jest kilku gości, którzy nie widzieli narodzin własnych dzieci. Taka drobnostka

nie pozostała bez wpływu na nich, a z pewnością nie przeszła też bez echa w świadomości ich żon. Prędzej czy później to wpłynie na ich małżeństwa. Te źle dobrane pary nie przetrzymają takiej próby i rozpadną się. Te udane jakoś przejdą przez taki kryzys i ich związki przybiorą nową formę. Ludzie, którzy byli przywiązani do tego, jak się sprawy miały, znajdują się po powrocie do domu w poważnych tarapatach. Możesz uważać się za odpornego człowieka, ale kiedy zasmakujesz sporej dawki czystej, bezinteresownej przemocy na polu walki, to ideały, które były częścią twojej osoby, mogą się drastycznie zmienić i nie wytrzymać tej próby.

Lubię żołnierskie życie i kocham piechotę. Jest wiele rzeczy, które wkurzały mnie w Iraku, ale *żadna* z nich nie jest tak do końca ważna. Udział w tej misji jest najbardziej interesującym i najciekawszym epizodem w całym moim dotychczasowym życiu. Wojna jest okropna i mam nadzieję, że ludzkość *znajdzie* sposób, aby położyć jej kres, ale muszę przyznać, że lubię walczyć. Nie wiem, jak to możliwe, ale tak po prostu czuję. Kiedy chłopcy gadają o tym, jak to będzie po powrocie do domu, jest mi smutno. Nie chcę jeszcze kończyć.

28 października 2004 Frederick Segun Akintade

W daleko położonym zakątku naszego rewiru, dokładniej - w jego zachodniej części, znaleziono duży depozyt broni i materiałów wybuchowych. Zamiast od razu zlikwidować ten arsenał, teren został zabezpieczony

przez snajperów, którzy mieli zacząć się na kogoś, kto będzie chciał zabrać broń. Następnego ranka aresztowaliśmy dwóch mężczyzn i młodego chłopaka.

Ludzie z mojego plutonu pełnili obowiązki QRF i zostali wezwani, aby odtransportować zatrzymanych do bazy. Droga prowadząca do ukrytego składu broni była rozmiękła i długa, pełna

dziur, wybojów i dużych usypisk żwiru. Konwój, składający się z pięciu *pojazdów*, był niecałe pięćset metrów od szosy, kiedy z lewej strony trzeciego pojazdu eksplodował IED. Jeff, który był TC tego humvee, powiedział później, że wewnątrz samochodu wypełniło się dymem i iskrami. Przez radio doniósł, że jego humvee został trafiony. Yanko, który kierował pojazdem, zdołał przejechać *jeszcze* kilkaset metrów, zanim samochód odmówił posłuszeństwa i stanął. Siła wybuchu i odłamki na tyle uszkodziły pojazd, że padł wał napędowy.

Konwój się zatrzymał, a ludzie *zaczęli* wysiadać z humvee. Dowódca batalionu także wysiadł i zaczął strzelać do czegoś, co znajdowało się na południu. Sean, który obsługiwał wkm M2 na obrotnicy, obrócił broń w tę samą stronę i zaczął strzelać w to samo miejsce, które wskazywały pociski smugowe dowódcy. IED znajdował się po północnej stronie drogi i stamtąd dochodziły nas odgłosy wystrzałów. Jeff szybko sprawdził, czy z jego podkomendnymi wszystko w porządku. Jimmy siedział za Yanko i IED eksplodował tuż obok niego. Na szczęście opancerzone drzwi, które przyjęły na siebie impet wybuchu, wytrzymały i nic mu się nie stało. Był zdrowo oszołomiony, ale poza tym cały i zdrow. Jeden z więźniów znajdował się w samochodzie

Jeffa, który wyciągnął go na zewnątrz i kazał położyć się na ziemi. Przycisnął go kolanem do gruntu i wrzasnął: „Jeśli się, kurwa, ruszysz, to cię zastrzelę!”. Z samochodu wysiedli wszyscy oprócz Akintade, który nadal tkwił na stanowisku górnego strzelca. Kiedy Jeff zajrzał do wnętrza samochodu, zauważył, że ścieka stamtąd krew, zraszając radio. Z pomocą Jimmy ego i Yanka wyciągnęli strzelca na pobocze drogi i zaczęli go opatrywać. Ich hunwee był tak mocno opancerzony, jak się tylko dało. Drzwi zostały wzmocnione drugą warstwą blachy, a stanowisko strzelca obudowano dodatkowymi płytami, tak aby dawały maksymalną ochronę. Pomimo tych wszystkich zabezpieczeń odłamek trafiał Akintade w podstawę czaszki, tuż pod hełmem.

Yanko i Jimmy przeprowadzili IV i zaczęli CPR⁶³. Johnny-O przybiegł z połową apteczki ze swojego hunwee, aby im pomóc. Musieli utrzymać Akintade przy życiu, dopóki nie przyłeci MEDEYAC. Puls rannego był wyczuwalny (Yanko go zbadał), ale słabł z każdą chwilą. Akintade został zaintubowany, a chłopcy przez dwadzieścia minut utrzymywali go przy życiu, kiedy w końcu przyleciał śmigłowiec,

Akintade został ułożony na noszach i przeniesiony do blackhawka, który usiadł na drodze. Kiedy mieli go załadować na pokład, jeden z medyków palnął:

- Czy ten gość nie jest martwy? My nie przewozimy sztywniaków, tylko rannych.

Wybuchła krótkka, ale gorąca awantura i w końcu Jeff ryknął na całe gardło:

- BIERZESZ GO, KURWA, NA POKŁAD I LECISZ! Kilka chwil później śmigłowiec był już w powietrzu.

Podczas gdy ludzie z mojego plutonu mieli odebrać zatrzymanych, ja byłem z misją rozpoznawczą. Mieliśmy obejrzeć budynek, którego przeszukanie było zaplanowane na najbliższą noc. Inny pluton z mojej kompanii miał do załatwienia kilka spraw w mieście, więc zabrałem się z nimi, aby zrobić zdjęcia domowi i rozeznac się w okolicy. Było wczesne przedpołudnie, kiedy dotarła do nas informacja o ataku na konwój QRF.

Odstąpiliśmy od wykonywania misji i ruszyliśmy na pomoc. Kiedy mknęliśmy szosą, rozpędzając cywilne samochody dźwiękami klaksonu, zaczęło docierać do nas coraz więcej informacji. Dowiedzieliśmy się, że doszło do wybuchu IED i strzelaniny z broni ręcznej. Potem usłyszeliśmy o stratach po naszej stronie.

Na pomoc zaatakowanym przyszedł także inny oddział z naszego batalionu, który zabezpieczył najbliższą okolicę. Kiedy przyjechaliśmy na miejsce, konwój został otoczony, a strzelanina ucichła. Zajęliśmy pobliski budynek i na jego dachu pozostawiliśmy sekcję snajperską. W domu zastaliśmy czterech młodych, zapewne liczących sobie około dwudziestu kilku lat mężczyzn. Trzech z nich ubierało się i czesało na zachodnią modłę, a jeden miał wydany w amerykańskiej bazie identyfikator. Mężczyzna pełnił jakieś funkcje związane z bezpieczeństwem, ale nie wiedziałem dokładnie jakie. Wszyscy czterej zachowywali się bardzo nonszalancko i cały czas szeptali pomiędzy sobą, raz

po raz wybuchając śmiechem, jakby powtarzali żart, który znali tylko oni. Rozdzieliliśmy ich i kazaliśmy im usiąść na zewnątrz, pod ścianą.

Pomogłem przeszukać dom, a potem zacząłem sprawdzać ogród. Tam znalazłem pojemnik pełen ubrań. Pod nimi znalazłem jakieś kawałki rur i masę przeróżnych śmieci. Pośród nich dostrzegłem plastikowe pudełko z metalową tarczą, które przypominało stoper, pokrywkę od telefonu komórkowego, dwunastowoltową baterię oraz rękojeść latarki z miejscem na baterię. Wszystkie te przedmioty były przydatne przy konstruowaniu zapalnika IED. Zostawiłem je tam, gdzie leżały, i wróciłem do sierżanta, który obserwował więźniów. Po cichu poinformowałem go o znalezisku, nie chciałem bowiem, aby czwórka za trzymany dowiedziała się, że coś odkryliśmy.

Na miejscu spotkałem Johna, który w skrócie opowiedział mi o ataku. Usłyszał też, że Akintade został poddany CPR. To był zły znak. Jeżeli sanitariusze wykonują CPR na polu walki, oznacza to, że ranny umiera. Spróbowałem pozbyć się tej myśli.

Wokoło dużo się działo i nie miałem dotąd szansy poinformować kogoś z dowództwa o znalezionych materiałach do konstrukcji zapalnika IED. Po krótkiej chwili oczekiwania zebrano tylu żołnierzy, ilu się dało, i zaczęto przeszukiwać pole, gdzie zapewne ukrył się człowiek, który zdetonował IED. Operacją dowodził porucznik z innego plutonu, którego poinformowałem o znalezisku.

Przeszukując pole, znaleźliśmy kawałek ziemi osłonięty wysokimi krzewami porastającymi brzegi

kanału irygacyjnego, gdzie ktoś rozrysował na piasku prowizoryczną mapę okolicy. Przedstawiała punkt, w którym łączyły się droga i szosa, lokalizację IED oraz linie energetyczne przebiegające dokładnie ponad miejscem ataku. IED są wysadzane z dużej odległości i powszechnie uważa się, że rebelianci wykorzystują trakcje elektryczne jako odnośniki w terenie. Obok prowizorycznej mapy znaleźliśmy ślady butów, kół oraz stratowaną trawę. Dalej kontynuowaliśmy przetrząsanie okolicy, ale nie znaleźliśmy nic więcej.

Kiedy wyszedłem na drogę, zobaczyłem miejsce, gdzie opatrywany był Akintade. Dostrzegłem kałuże krwi, a wokoło walały się lateksowe rękawiczki, torebki z IV, strzykawki, opatrunki polowe oraz inne przybory medyczne. Z wolna opadało podniecenie i coraz więcej ludzi dostrzegało ten medyczny śmietnik i krew. Nim wróciłem do samochodu, uprzątnąłem trochę to miejsce: wrzuciłem resztki strzykawek i rękawiczek w krzaki i zasypałem krew piaskiem.

Przez resztę popołudnia przeszukiwaliśmy wszystkie okoliczne domy, jeden po drugim. Uważaliśmy, że człowiek, który zdetonował IED, musiał znaleźć w nich schronienie. Nasze wysiłki okazały się bezowocne, nie znaleźliśmy niczego. W każdym z domów zastaliśmy jedynie kobiety (ciężko powiedzieć, które były córkami, a które matkami) i hordy dzieciaków. Dobrze

było robić coś, co pozwalało mieć nadzieję na znalezienie mordercy, ale wiedziałem, iż szansę na schwytanie szaleńca w kraciastej arafatce, który spocony i dyszący ciężko, z szaleństwem w oczach będzie tulił do piersi urządzenie z wielkim czerwonym guzi-

kiem i etykietą „Domowej Roboty Detonator IED”, są niewielkie.

Cały czas myślałem o Akintade i miałem ogromną nadzieję, że wreszcie usłyszymy, że nic mu nie będzie, wyjdzie z tego, a jego stan jest stabilny. Pragnąłem jakiejś informacji, obawiając się jednocześnie, że będą to złe wieści.

Po tym jak Akintade został odtransportowany śmigłowcem, konwój QRF ruszył do bazy. Uszkodzony hunwee był w fatalnym stanie, ale jechał ciągnięty przez inny samochód, jedno z tylnych kół zostało uszkodzone przez wybuch i szybko się zwichrowało. Po przejechaniu kilku kilometrów szosą felga zaczęła trzeć o asfalt. Nie wiem, czy to za jej sprawą, czy iskier sypiących się z uszkodzonego wału korbowego, ale w pewnym momencie tył hunwee zajął się ogniem. Orlando był w humvee jadącym tuż za uszkodzonym pojazdem, więc kiedy konwój się zatrzymał, wysiadł z samochodu i gaśnicą zaczął tłumić płomienie. Każdy z nas chciał jak najszybciej wrócić do bazy i choć nie dbaliśmy o uszkodzenia drogi i humvee, to pożaru już nie mogliśmy olać. Było jasne, że trzeba poczekać na samochód, który odholuje hunwee do bazy w należyty sposób. Szosą poruszał się inny oddział z naszej bazy, który przystanął, aby nam jakoś pomóc. Kiedy ugasiiliśmy pożar, zepchnęliśmy uszkodzony hunwee na pobocze, aby zostawić go tam wraz z samochodem, który go ciągnął. Właśnie mieliśmy odjechać, kiedy ktoś z drugiego oddziału spytał: „Hej, zabieracie tego gościa ze sobą?”.

W spalonym samochodzie nadal siedział jeden z zatrzymanych, o którym wszyscy zapomnieli.

Kiedy skończyliśmy przeszukiwać domy, zmierzchało, a oddział, którego byłem częścią, musiał wziąć udział w zasadniczej misji. Nic nie znaleźliśmy i byliśmy potwornie wykończeni. Wróciliśmy do hunwee i ruszyliśmy z powrotem do miasta. Jechaliśmy spokojną drogą, biegnącą z dala od domów, kiedy w odległości półtora kilometra od celu dowódca kazał zatrzymać wszystkie pojazdy i wysiąść. Tylko strzelcy pozostali w wieżyczkach, podczas gdy reszta żołnierzy zgromadziła się wokół oficera. Kiedy zapadła cisza, obrzucił nas spojrzeniem i oznajmił grobowym tonem:

- Akintade nie żyje.

Nie pamiętani wiele z tego, co jeszcze powiedział, poza tym, że Akintade zmarł na pokładzie helikoptera i że powinniśmy nasz gniew spożytkować konstruktywnie, nie destrukcyjnie. Podczas gdy mówił, ja nie mogłem przestać myśleć o sposobie, w jaki przekazał tę wieść. Powiedział po prostu „nie żyje”. Nie „odszedł” czy „straciliśmy go”, ale po prostu „nie żyje”.

Jak powinienem się zachować w chwili, w której dowiedziałem się, że człowiek, którego znałem od lat, został zabity? Powinienem patrzeć na dowódcę, który przekazywał tę wiadomość, czy wbić wzrok w ziemię, jakbym głęboko zadumał się nad jej znaczeniem? Czy wypada, abym rozejrzał się dookoła ciekawo, jak na tę wiadomość zareagują inni? Może powinienem zapalać

żądzą zemsty? Nie czułem nienawiści, choć może powinienem? Trudno mi było pojąć, że już nigdy nie zobaczę Akintade.

Kiedy dowódca skończył mówić, wróciliśmy do hunwee i pojechaliśmy dalej. Dzieciaki w

mieście były tak samo wkurzające jak zwykle, a ja nie miałem do nich zdrowia i bałem się, że jeżeli mnie sprowokują, to któregoś z nich zatłukę na śmierć. Na szczęście żadne z nich nie przeięło pały. Kiedy stałem na ulicy, spojrzałem na Johna, który opierał się o swojego humvee; nasze oczy się spotkały, a ja spytałem się w duchu, cóż takiego on myśli. Pewnie przyszło mu do głowy to samo co mnie. Nie byłem w stanie dłużej na niego patrzeć ani tym bardziej rozmawiać. Byłem przygnębiony i bez sił. Zrobiłem zdjęcia domu, który mieliśmy przeszukać, i wróciliśmy do bazy.

29 października 2004

Akintade nie żył od czterech godzin, ale mnie nie było wolno o tym myśleć. Po raz pierwszy miałem dowodzić zwiadem i denerwowałem się jak diabli. Nie byłem dowódcą całej misji, ale skoro przeprowadzałem zwiad, to ja miałem prowadzić kolumnę przez miasto drogą, którą wybrałem w trakcie planowania misji.

Wywiad dostarczył nam bardzo jednoznacznych danych. Wiedzieliśmy, jak nazywa się poszukiwany przez nas człowiek, mieliśmy jego zdjęcie, a informator rozpoznał na fotografii bramę jego domu. Budynek

wznosił się w zatłoczonym centrum i było to typowe irackie otoczenie. Choć orientowałem się w topografii tamtej części miasta, nie znałem całej drogi, jaką będziemy musieli przebyć od głównej ulicy do domu podejrzanego. Podczas zwiadu zauważyłem rozłożyste drzewo na rogu ulicy, w którą mieliśmy skręcić. Mimo że znałem jego lokalację na siatce GPS, denerwowałem się, że je miniemy.

Był wczesny ranek i słońce jeszcze nie wstało. Z mojego miejsca w humvee nie mogłem za bardzo obserwować terenu po przeciwnej stronie ulicy. Obsesyjnie co chwila spoglądałem na wskazania GPS, odczytując z niego, że jesteśmy blisko zakrętu.

Skrzyżowania były bardzo blisko siebie; gdybym opierał się na wiecznie zmieniających się danych z GPS, z pewnością nie trafilibyśmy pod dobry adres. . Kiedy minęliśmy kolejną przecnicę, spytałem strzelca w wieżyczce:

- Widzisz po lewej drzewo? Takie rozłożyste, na prawdę duże drzewo?
- Co? Drzewo? Taaak - odparł zaskoczony. On nie wiedział, o czym ja mówię, a ja nic nie widziałem. Kurwa. Kazałem kierowcy skręcić i zdałem sobie sprawę, że zabłądziliśmy. Kurwa, kurwa, kurwa. Cały konwój poszedł w nasze ślady i wszyscy jechaliśmy nie wiadomo gdzie.

Nie mając pojęcia, gdzie się znajdujemy, zacząłem z lekka panikować. „Kurwa, to nie ten skręt - rzuciłem do kierowcy. - Jedźmy dalej". Na końcu ulicy było rozwidlenie w kształcie litery „T". Przed nami wznosił się budynek, na którego ścianie jaśniał jakiś napis.

Momencik, wyglądał znajomo. Przypomniałem sobie, że taki budynek stał przy tej samej ulicy co ten, którego szukaliśmy. Trochę mi ulżyło, choć zdałem sobie sprawę, że zbliżamy się do naszego celu z przeciwnej strony, niż planowałem. Sierżant, który miał dowodzić szturmem, jechał w moim humvee. Odwróciłem się do niego i powiedziałem o pomyłce, ale odparł tylko: „Nic się nie martw. Damy sobie radę". To było jedno proste zdanie, a uspokoiło mnie i pozwoliło spokojnie myśleć.

To była pierwsza misja, w której braliśmy wspólnie udział z Willym. On i Kirk mieli wyłamać

drzwi frontowe. Bez żadnych pomyłek dotarliśmy na miejsce, zaczepiliśmy hak i łańcuch o szczyt bramy, po czym hunwee ją otworzył. Kiedy tylko obydwie skrzydła się rozwarły, drużyny dostały się do środka. Wejścia do domu broniły mocne, stalowe drzwi. Kirk i Willy od razu zaczęli je wyłamywać przy pomocy różnych specjalistycznych narzędzi, a drużyny zebrały się pod ścianą i niecierpliwie czekały.

Podczas idealnego szturm frontowe drzwi powinny zostać wyłamane w ciągu kilku sekund. Te były najmocniejszymi drzwiami, jakie w życiu widziałem. Kirk i Willy mieli ciężki orzech do zgryzienia. Zaniepokojeni domownicy wyszli bocznymi drzwiami, których nie zauważyliśmy, żeby się przekonać, kto im demoluje dom. Tak się często zdarza, że kiedy człowiek myśli o jednej rzeczy, nie dostrzega innych. W tym przypadku tak bardzo skupiliśmy się na wyłamaniu frontowych drzwi, że nie pomyśleliśmy o bocznych.

Zgrupowaliśmy rodzinę w ogrodzie i przeszukaliśmy cały dom. Był to jeden z najfajniejszych, jakie

odwiedziłem. Nie znaleźliśmy żadnej broni oprócz jednego, legalnego AK-47, który był dokładnie wyczyszczony i naoliwiony. Głowa rodziny była lekarzem, zdecydowanie nie tym, którego szukaliśmy. Przeszukania nie tego domu, co trzeba, zdarzają się, co muszę z żalem przyznać, bardzo często. W tym przypadku sprawdziłem wszystko dwa razy. Kiedy było po akcji, wyszedłem nawet na zewnątrz, obejrzałem tabliczkę z adresem, a potem w najbliższym hunwee sprawdziłem naszą lokalizację na GPS. Wszystko się zgadzało, to był ten dom, który mieliśmy przeszukać. Mikę, który dowodził misją, kiedy zdał sobie sprawę z pomyłki, spytał mnie ostro:

- Jesteś pewien, że to *ten* dom?

Spojrzałem mu prosto w oczy i odparłem:

- Tak, jestem absolutnie pewien.

Jedyny powód przychodzący mi do głowy, dla którego ktoś podał nam ten adres, to zazdrość. Pewnie komuś nie podobało się, że tej rodzinie dobrze się wiedzie, i miał nadzieję, że przysporzymy jej trochę kłopotów, przeprowadzając rewizję i zatrzymując ojca rodziny do wyjaśnienia. Wszyscy mieliśmy podły nastrój, a kiepskie rezultaty tak dokładnie zaplanowanej misji nie poprawiły nam humorów. Akintade nie żył. To był pierwszy zabity w naszej kompanii. W dalszym ciągu nie mogłem uwierzyć, że człowiek, którego znałem od lat, nagłe... odszedł. Pragnąłem chwili spokoju, żebym mógł to przemyśleć, przeboleć. Wydaje mi się, że od chwili jego śmierci bez przerwy coś robiliśmy.

31 października 2004 **Wspomnienie o Akintade**

Ceremonia pogrzebowa Akintade, którą odprawiono w naszej bazie, była naprawdę dobra. Cała kompania stała na baczność przed centrum dowodzenia, gdzie na niewielkim postumencie ułożono buty, hełm i karabin, symbolizujące zabitego żołnierza. Takie uroczystości, kiedy mają miejsce w strefie wojny, zwykle są bardzo chaotyczne. Ta była na szczęście chlubnym i poruszającym wyjątkiem.

Na krótko przed jej rozpoczęciem w naszej bazie wylądował śmigłowiec z dowódcą brygady, starszym sierżantem brygady oraz ich otoczeniem. Kiedy tylko helikopter dotknął ziemi, wysypało się z niego kilku żołnierzy, którzy zabezpieczyli teren dookoła maszyny. Wszyscy przyklęknęli na jedno kolano i z bronią gotową do strzału obserwowali okolicę. Ten pokaz siły szczerze mnie rozbawił. Śmigłowce wylądowały na terenie bazy wojskowej Armii Stanów Zjednoczonych, ale dowództwo brygady musiało zabezpieczyć teren przy pomocy swoich ludzi. Po tym jak pretorianie

dali pokaz siły, ich dowódca majestatycznie wysiadł z helikoptera i ruszył przed siebie. Jego śladem podążała banda karykatur żołnierzy: niektórzy byli niscy, inni grubi, zdarzyło się też pomiędzy nimi kilka kobiet. Wszystkich łączyła jedna cecha: pod pachą nieśli czarne aktówki różnych rozmiarów.

Kiedy my staliśmy na baczność, oczekując na rozpoczęcie ceremonii pogrzebowej, starszy sierżant

wykorzystał chwilę na krótką inspekcję. Starsi sierżanci mają to do siebie, że ściśle trzymają się standardów wojskowych. Ten nie był wyjątkiem. Ilekroć nas odwiedzał, zawsze miał na sobie ochraniacze na kolana i żółte okulary balistyczne. Takie okulary powinniśmy nosić podczas każdej misji, co jest powodem do nieustających narzekań żołnierzy, chcących dostosować swój ekwipunek do własnych potrzeb. Ochraniacze są jak najbardziej opcjonalne i używa ich ten, kto chce. Ten starszy sierżant miał hopla na punkcie ekwipunku ochronnego.

Gdyby chodziło o zwyczajną okazję, zapewne każdy z nas prezentowałby się odrobinę inaczej: niektórzy mieliby gogle na hełmach, inne zasobniki na amunicję, różne kabury do broni i tak dalej. Na tę okazję specjalnie się przygotowaliśmy, dokładając wszelkich starań, abyśmy wyglądali możliwie jednakowo. Aby dopiąć swego, pousuwaliśmy z hełmów wszystko poza czarnymi montażami do gogli noktowizyjnych. Starszy sierżant obrzucił nas spojrzeniem, a potem zerknął na katafalk. Odciągnął na bok naszego sierżanta i oznajmił mu, że nie jesteśmy jednakowo umundurowani, każdy z nas miał mocowanie gogli na hełmie, podczas gdy brakowało go na hełmie Akintade. Starszy sierżant *zażądał*, abyśmy albo zdjęli nasze, albo przymocowali jakieś do hełmu na katafalku. Zdjęcie naszych *raczej* nie wchodziło w grę: są one przykręcone do hełmu, a biorąc pod uwagę liczbę zgromadzonych i dostępnych śrubokrętów, zadanie było niewykonalne. Nie pozostawało nam nic innego, jak *znaleźć* gogle i przytwierdzić je do hełmu

Akintade. Nie mogłem uwierzyć, że ten cymbał mówił serio. Miałem ochotę zastrzelić go na miejscu. *Zgoda*, mógł utrudniać nam życie, ale mógłby to sobie odpuścić podczas pogrzebu naszego przyjaciela. Jego zachowanie było pozbawione wszelkiego taktu i chamskie. Ogarnęła mnie wściekłość. Ceremonia była odprawiana ku pamięci Akintade, jednak przeznaczono ją dla nas, żołnierzy, jako początek procesu osvajania się ze stratą. Z psychologicznego punktu widzenia potrzebowałem tego pogrzebu. Śmierć Akintade była dla mnie tak abstrakcyjna, że coś związanego z pogrzebem pomagało mi lepiej się poczuć. Dzięki uroczystości jego śmierć stawała się oficjalna i potwierdzona. Podnosiło mnie na duchu, że mogłem okazać koledze szacunek i go pożegnać, a tymczasem ten dupek wszystko rozpieprzał. Nim zdążyłem położyć starszego sierżanta trupem na miejscu, ktoś znalazł montaż do gogli i szybko przytwierdził go do hełmu.

Obok mikrofonu ustawiono parę głośników oraz mównicę dla tych, którzy chcieliby wygłosić kilka słów. Byłem pewien, że w naszym batalionie nie ma trębacza, i głupio się czułem, wiedząc, że sygnał będzie odtwarzany przez kolumny z płyty CD. Ray opowiadał mi o pogrzebie, na którym kiedyś był. Ktoś źle wybrał utwór i zamiast marsza żałobnego z głośników poleciała pobudka. Miałem nadzieję, że tak się nie stanie.

Kiedy zaczęła się uroczystość, kapelan odmówił modlitwę, a potem wygłosił kilka słów. Podobnie zrobili nasi dowódcy. Dwóch żołnierzy odczytało potem panegiryki, z których jeden z dumą pomagałem napisać. Potem nastąpił salut dwudziestu jeden wystrzałów

pod dowództwem Chrisa. Żołnierze, którzy go oddali, ćwiczyli poprzedniego dnia całymi godzinami. Dla mnie było to godne podziwu poświęcenie, bowiem żaden z nas nie widział ich zza

barierek, którymi byli oddzieleni od reszty żołnierzy. Zrobienie czegoś dobrze, nawet jeżeli nikt inny tego nie widzi, daje poczucie wspólnoty; to odpowiedni symbol dla życia Akintade.

Podczas chwili milczenia nie mogłem przestać rozmyślać nad ironią faktu, że spośród wszystkich żołnierzy, którzy mogli zginąć, Akintade najbardziej współczuł Irakijczykom. Na własne oczy widziałem miejscowych traktowanych bez krzty szacunku, na jaki zasługiwali, i ze wstydem muszę przyznać: nie zrobiłem nic, aby temu zapobiec. Nie jest łatwo powiedzieć innemu żołnierzowi: „Ej, stary. Daj sobie spokój. Nie męcz tego człowieka”. Akintade nie bał się nalegać, aby innych traktować z szacunkiem.

Odegrano hejnał, a ja pomyślałem, że był naprawdę piękny. Stałem na baczność ze wzrokiem utkwionym w horyzont i pomyślałem: „Rany, niesamowite są te głośniki. Mógłbym przysiąc, że to gra orkiestra”. Spojrzałem w bok i ku swojemu zaskoczeniu zobaczyłem kwintet instrumentów dętych, włącznie z tubą! (Pretorianie sformowali wokół nich ochronny perymetr). Była to niezła niespodzianka, zwłaszcza że muzycy byli świetni. Potem zagrali *Amazing Grace*, a mnie to wykonanie poruszyło. Muzyka niosła się wraz z lekką bryzą, jakby nie chciała przebrzmieć.

Choć z Akintade znaliśmy się od lat, to nie miałem okazji się z nim zaprzyjaźnić. Był skrytą osobą, która

szczegóły życia prywatnego trzymała dla siebie. Niewielu ludzi (w tym ja) wiedziało, że miał narzeczoną. Akintade był imigrantem z Nigerii i kiedy spotkałem go po raz pierwszy, nosił nazwisko Okiwobe. Większość chłopaków miała kłopoty z jego zapamiętaniem, dlatego mówili na niego „Obi Wan”⁶⁴. Kiedy zmienił nazwisko na Akintade, równie trudne do wymówienia panięskie nazwisko swojej matki, pomyślałem, że to bardzo zabawne. Dlatego ułożyłem o nim krótką piosenkę, którą uwielbiałem śpiewać w jego towarzystwie, a której on nie znośił:

Akintade [śpiewane na melodię *Istanbul (Not Constantinople)* z repertuaru They Might Be Giants]

Akintade zwał się kiedyś Okiwobe,
Czemu to zmienił, nie wiem sam,
Może wolał być wołany w ten sposób.

Zawsze mnie martwiło, że Akintade uważał, iż go nie znośę. Podczas kilku pierwszych miesięcy naszej służby, kiedy stacjonowaliśmy w Fort Drum, miałem kłopoty z kilkoma żołnierzami mojej drużyny i plutonu, którzy nie okazywali szacunku i utrudniali mi życie. Pewnego ranka, zaraz po przebudzeniu, wyszedłem na korytarz baraku i stałem w paskudnym humorze obok drzwi do mojego pokoju. Gryzła mnie myśl, że za dwa miesiące rozpocznie się cholernie długa misja, a ja będę musiał użerać się z bandą dupków. Nagle podszedł do mnie Akintade, strzelił

klapsa w tyłek i swoim niskim, dudniącym głosem powiedział: „Dzień dobry, sierzancie!”. Akintade miał taki zwyczaj, że na powitanie klepał mnie w tyłek. Zwykle towarzyszyło temu głośne KLAP!, które sprawiało, że podskakiwałem w miejscu. Jako że przed chwilą wstałem z łóżka, miałem na sobie jedynie spodnie od piżamy z Kermitem Żabą. Normalnie nie przejąłbym się takim powitaniem, uważałem je za całkiem zabawne, sam niekiedy miałem ochotę strzelić kogoś w tyłek na dzień dobry, ale tym razem Akintade wybrał zły moment. Ten klaps był wyjątkowo mocny i głośny, równie dobrze mógłbym mieć goły tyłek, a jego świadkiem było kilku żołnierzy. Przez ostatni tydzień próbowałem mu wytłumaczyć, żeby przestał mnie tak często klepać, ale słowa nie miały na niego żadnego wpływu.

Moja cierpliwość się wyczerpała. Ryknąłem na niego, każąc mu zrobić dwadzieścia pompek pod tytułem: „Więcej nie będę klepał mojego sierżanta w tyłek”. Byłem wkurzony, a Akintade to wiedział. Normalnie staram się nie karać żołnierzy publicznie, ale skoro on strzelił klapsa przy innych, uznałem, że swoje dwadzieścia pompek ma zrobić przy świadkach. Czułem się paskudnie, ale wiedziałem, że muszę położyć kres famie, jakobym był człowiekiem, którego do woli można klepać po dupie. Tego samego dnia kilku chłopaków z jego oddziału powiedziało mi, że Akintade uważa, iż go nienawidzę. Poczułem się jeszcze gorzej. Chciałem go przeprosić, ale wiedziałem, że nie mogę. Okazywanie takich słabości przed żołnierzem jest nie na miejscu i prowadzi do narusze-

nią dyscypliny. Musiałem trzymać fason. Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej się dziwiłem, że powracam do sprawy, którą w ogóle nie powinienem się przejmować. Akintade nigdy więcej nie klepnął mnie w tyłek. Rzadko ze sobą rozmawialiśmy.

Z Akintade uczyłem się sposobu na rozgrzanie odmrożeń na stopach. Najlepiej jest położyć je na brzuchu kogoś ciepłego, najlepiej mającego trochę nadwagi. Nasza kompania odbywała nocne ćwiczenia na strzelnicy w Fort Drum. Było zimno jak cholera i niektórzy z chłopaków nabawili się odmrożeń. Moje stopy były lodowato zimne, jak nigdy dotąd, i nie miałem czucia w palcach. Oprócz mnie podobne dolegliwości zgłosiło kilku innych żołnierzy. Joel, nasz medyk, zaprowadził nas do ogrzewanego pomieszczenia, kazał zdjąć buty i skarpety i położyć stopy na brzuchu kolegi. Pomysł średnio mi się spodobał, ale kiedy tylko zrobiłem, co mi kazano, przekonałem się, jak skuteczna jest to metoda. Joel zdawał sobie sprawę, że nie znajdzie zbyt wielu ochotników do pomocy, więc wyszedł na zewnątrz i urządził łapankę. Zebrał kilku Bogu ducha winnych chłopaków i kazał im oddać swoje brzuchy do dyspozycji. Wygrzałem swoje stopy o brzuszek jednego z nich, ale sprawdzivszy je, Joel powiedział, że muszę powtórzyć cały proces. Zamiast torturować nieszczęśnika kolejnymi dwudziestoma minutami w towarzystwie moich zmarzniętych, śmierzących kulasów, wezwał Akintade i kazał mu mnie ogrzać. Akintade był niesamowicie zbudowany i gdybym miał takie ciało jak on, byłbym niepoprawnym kobieciarzem. Pierwszy brzuszek, o który się wygrzewałem, był miękki i odrobinę

obwisły, podobny do poduszki. Niestety, Akintade miał brzuch płaski i gładki, przez co moje stopy nie miały gdzie się grzać. Akintade czuł się nieswojo i co chwila wybuchał nerwowym śmiechem. Ilekroć to robił, napinał mięśnie brzucha, przez co przybierały formę bruku i „powierzchnia grzewcza” jeszcze bardziej się zmniejszała. Powiedziałem mu, żeby przestał i się odprężył, bo nie mogę się ogrzać, kiedy rehocze, ale on zareagował kolejnym chichotem; nie było sposobu, żebym wygrzał o niego stopy. W końcu dałem sobie spokój, założyłem skarpety i buty.

Nie widziałem Akintade tego ranka, kiedy zginął. Dłuższą chwilę zajęło mi przypomnienie sobie, kiedy ostatni raz rozmawialiśmy. Było to nocą, tuż przed ostatnim dniem jego życia. Siedziałem na mojej pryczy

pisalem na laptopie, kiedy podszedł do mnie Santo, jeden ze strzelców mojego plutonu. Spytał mnie o coś, a kiedy rozmawialiśmy, wszedł Akintade, który miał do Santo jakąś sprawę. Santo i Akintade byli głównymi strzelcami karabinów maszynowych naszego plutonu i, co zawsze ogromnie mnie bawiło, posiadaczami największych penisów w oddziale. Był to temat nieustają

cych żartów ze strony reszty chłopaków. Choć prycza Akintade stała nie dalej jak piętnaście metrów od mojej, rzadko kiedy do niej podchodził. Podobnie rzecz się miała z Santem, więc rozłożyłem ramiona i poważnym tonem spytałem:

- Czemu zawdzięczam ten zaszczyt, że dwa największe kutasy tego plutonu znalazły się obok mojej pryczy?

Akintade roześmiał się swoim niskim, dźwięcznym głosem, a Santo objął mnie ramieniem i odparł z ledwie nadającym się do zrozumienia dominikańskim akcentem:

- Przecież wiesz, że cię kochamy, sierżancie Hartley.

Wtedy widziałem Akintade po raz ostatni.

21 listopada 2004 Nerwowy tydzień

Na początku naszej służby w Iraku obowiązywała zasada, że 60 do 80 procentom żołnierzy przysługuje dwutygodniowy urlop za granicą. Pierwszeństwo mieli ci, których sytuacja życiowa wymagała powrotu do domu. Zwykle byli to ludzie, którym urodziło się dziecko lub zachorował ktoś z członków rodziny. Reszta miała losować kolejność, w jakiej otrzymają przepustki. Mnie przypadło jedno z pierwszych miejsc, ale zamieniłem się z jednym z chłopaków, którzy mieli wyjeżdżać pod koniec misji.

Jakoś dobrze się poczułem, robiąc przysługę młodemu chłopakowi, choć prawda była taka, że nie chciałem wyjeżdżać z Iraku. Jednym ze sposobów, w jaki można poradzić sobie z ciągłym zagrożeniem życia, jest lekkie wariactwo i polubienie swojej pracy. Byłem świadomy, że poczucie zadowolenia płynące z pobytu w Iraku jest ulotne i nie dam rady podtrzymać go w nieskończoność. Obawiałem się, że po powrocie nie będę w stanie znowu „cieszyć się walką”.

Kiedy minął półmetek naszej służby, zmieniono zasadę dotyczącą urlopów. Od tej pory urlop przysługiwał stu procentom żołnierzy. Spytałem, czy można odmówić jego wykonania, ale usłyszałem, że to rozkaz i nie mam wyboru. Jako że moje nazwisko znajdowało się na szarym końcu listy, wyjechać miałem na dwa miesiące przed końcem służby.

Oddział, który miał zastąpić nasz, powinien niedługo rozpocząć proces przejmowania naszej bazy. Wychodziło na to, że kiedy wrócę, będziemy im właśnie zdawać nasze obowiązki. Wiedziałem, że po powrocie będę brał udział w misjach, podczas których będziemy uczyć nowych, choć przekonywałem sam siebie, że istnieje niewielka szansa, że nie będę musiał tego robić. Rzadko myślałem o terminie mojego urlopu i nie martwiłem się, że zginę czy zostanę ranny. Kiedy zdałem sobie sprawę, że do wyjazdu pozostał mi tydzień, zacząłem się obawiać. To był mój ostatni tydzień w strefie walk, głupio byłoby dać się zabić. Denerwowałem się tak, jakbym dopiero zaczynał służbę.

Podczas pierwszej misji nerwowego tygodnia miałem dowodzić prowadzącym humvee, który eskortował konwój z betonowymi zaporami mającymi stanowić osłonę komisariatu policji. Dzień wcześniej przed ratuszem eksplodował silny ładunek wybuchowy i podjęto decyzję, że ważne budynki miały być chronione przed takimi atakami. Eksplozja pozostawiła po sobie głęboki krater w ulicy, a jej siła zawałiła część muru otaczającego posesję. Żołnierz Irackiej

Gwardii Narodowej, który pełnił wartę przy bramie, zginął na miejscu, podobnie jak kilku cywilów, którzy byli na ulicy. Większość z bomb podkładanych w samochodach jest zdalnie odpalana i zwykle niszczy jedynie auto, minimalnie uszkodzając budynki i drogę. Jeżeli zamachowcy się powiedzie, to odłamki trafią pojazd sił koalicyjnych i zabiją lub ranią kilku przechodniów. W tym przypadku zamachu dokonał terrorysta samobójca, a wybuch był potwornie silny. Ciało zamachowca zostało rozerwane na strzępy, a zidentyfikować dał się tylko kawałek żeber, kręgosłupa i głowa, która wylądowała w ogródku jednego z okolicznych domów.

Nasze zadanie było proste: mieliśmy odeskortować kilka ciągników i ciężarówek do miasta, a potem osłaniać inżynierów pracujących przy budowie zapór. Jechałem w pierwszym hunwee, więc moim obowiązkiem było wyszukiwanie ewentualnych IED. Choć każdy z żołnierzy powinien mieć oczy szeroko otwarte, to szczególna odpowiedzialność spada na pierwszy pojazd w konwoju.

Dojechaliśmy prawie na skraj miasta, szosa była umiarkowanie zakorkowana, kiedy spostrzegłem kawałek żużlu i podłączone do niego kable. Serce zabiło mi mocniej. Choć nie wyglądało to na zwykły IED, to przewody obok drogi nie oznaczają niczego dobrego. Zawiadomiłem przez radio resztę konwoju i kazałem się zatrzymać. Cały czas próbowałem nie okazywać, że jestem zdenerwowany. Whiskey jechał z nami i kiedy wysiadł ze swojego humvee, pokazałem mu

podjejrany przedmiot. We dwóch zauważyliśmy, że po przeciwnej stronie szosy znajduje się identyczny przedmiot. Nie wiedziałem, co to może oznaczać, ale byłem pewien, że nie chcę się *zbliżyć* do nich nawet na metr. Pomimo mojego sprzeciwu Whiskey podczołgał się bliżej. Okazało się, że była to trakcja energetyczna biegnąca pod szosą w kierunku pobliskich zabudowań. Kawałki żużlu miały chronić przewody w miejscu, gdzie stykały się z drogą. Ulżyło mi, że nie był to IED, ale nadal nerwy miałem napięte jak postronki.

Kiedy dotarliśmy do miasta, inżynierowie zabrali się do pracy przy ustawianiu barier. Zabezpieczyliśmy teren wokół placu budowy i czekaliśmy. Choć moja kompania przeprowadziła setki takich operacji, to poważnie się martwiłem. Zdawałem sobie sprawę, że ten dzień nie jest inny od wszystkich, jakie przeżyłem w Iraku. Kiedy się prawie uspokoiłem, wywiad przesłał nam informację, że istnieje wysokie prawdopodobieństwo ponownego ataku bombowego, tym razem z użyciem dwóch samochodów. Na szczęście opisano je dokładnie: jeden miał być biały, a drugi czarny. Wspaniale. Kolejne samochody-pułapki. Jak, stojąc w wąskiej uliczce, mam się obronić przed autem wyladowanym po brzegi materiałami wybuchowymi? Zdawaliśmy sobie sprawę, że rebelianci używają „zapalników martwej ręki”. Jest to detonator, który powoduje wybuch, kiedy lewarek zostanie opuszczony w dół lub zwolni się nacisk na guzik zapalnika, co dzieje się w przypadku śmierci terrorysty. To oznaczało, że jeśli zza zakrętu wyjedzie szalenciec z bombą w bagażniku, a ja go zastrzelę, to nie dość, że samo-

chód będzie nadal na mnie jechał, ale na dodatek wybuchnie, kiedy tylko zelżeje ucisk na detonatorze.

Poczucie bezradności wobec samochodu-pułapki doprowadzało mnie do wściekłości. W normalnej sytuacji w mieście nie załadowałbym granatu do M203, ale wiedziałem, że pocisk kaliber 5.56 ma niewielkie szanse wobec rozjeżdżonego samochodu. Umieściłem granat w komorze. Granat kaliber 40 mm także nie zwiększał drastycznie moich szans na przeżycie, ale byłem zdecydowany użyć wszelkich środków, aby się obronić.

Zacząłem się zastanawiać, jak powinienem zareagować w sytuacji, kiedy sprawdzi się jeden z hipotetycznych scenariuszy zagrożenia. Jeżeli zobaczę pasujący do opisu samochód prowadzony przez pojedynczego mężczyznę, który ignorując blokadę, popędzi w naszą stronę, powinienem

otworzyć ogień. Ale co, jeśli w samochodzie będzie dwóch mężczyzn albo kobieta? Powiedziałem strzelcowi mojego hunwee, że nie zamierzam dać się zabić pieprzonemu samobójcy na tydzień przed urlopem i ma strzelać do każdego samochodu, do którego każe otworzyć ogień. Dodałem, że to może nawet być auto prowadzone przez zakonnicę i pełne ośmiolatek, ale jeśli będę podejrzewał, że siedzą na dynamicie, to mamy je rozwalić w drobny mak.

Inżynierowie pracowali do późna, pieczołowicie ustawiając bariery. Ilekroć widziałem biały lub czarny samochód, serce podchodziło mi do gardła. Kiedy skończyli, powoli zapadał zmierzch. Wróciliśmy do bazy zmęczeni długim, ale wolnym od samochodów-pułapek dniem.

2 grudnia 2004

„Lecz nie byłem jeszcze na Barbados, więc muszę się stąd wydostać”

Ostatniego dnia przed wyjazdem byłem częścią oddziału osłaniającego CASEYAC i jedyne, co mi pozostało, to nie dać się zabić, nim wyjadę. Do końca warty pozostało mi kilka godzin, kiedy zostaliśmy wezwani do pomocy. Oddział irackich gwardzistów został zaatakowany na autostradzie i mieli rannego. IED eksplodował w pobliżu konwoju, którym jechali cywilni pracownicy, i uszkodził jeden z opancerzonych fordów excursion. Okolicę patrolował oddział bradleyów z naszej bazy, który natychmiast ruszył zaatakowanym na pomoc. Kiedy przybyli na miejsce, zobaczyli uciekającego człowieka z telefonem komórkowym. Kilka razy kazano mu się zatrzymać, ale nie usłuchał. Jeden z żołnierzy trafił go z karabinu, ale pomimo to człowiek biegł nadal. Powstrzymała go dopiero seria z karabinu maszynowego zamontowanego na wieżyczce bradleya. Kiedy nasi znaleźli uciekiniera, okazało się, że został ranny w stopę, nogi, oba ramiona i klatkę piersiową.

Wiedząc, że jestem o krok od wyjazdu, wrzuciłem na luz i powiedziałem sobie, że nie wzruszy mnie nic oprócz ataku nuklearnego albo odnalezienia Elvisa. Kiedy dotarliśmy na miejsce, ranny jeszcze żył i udzielono mu pierwszej pomocy, choć wymagał intensywnej opieki medycznej, jeśli miał przeżyć. Sanitariusze połowi odwalili kawał dobrej roboty, ale rana klatki piersiowej była bardzo groźna. Jeden z pocisków kalibru 5.56 mm trafił mężczyznę w plecy i wyszedł

z przodu, tuż poniżej obojczyka. Matt zajął się natychmiast rannym, zakładając jeden z tych półprzepuszczalnych opatrunków do ssących ran klatki piersiowej. (Uwielbiam tę nazwę. Podczas szkolenia podstawowego, kiedy uczono nas, jak się nimi posługiwać, myślałem, że sierżant żartował, tak je nazywając. Faktycznie, postrzał w klatkę piersiową to kiepska sprawa, jednak później dowiedziałem się, że kiedy ranny oddycha, przez otwór po kuli do jego klatki piersiowej dostaje się powietrze, które powoduje zapadanie płuc i śmierć).

Kiedy tak stałem nad rannym, zdałem sobie sprawę, że już dawno straciłem rachubę, ilu widziałem pokrzywdzonych Irakijczyków. Kiedyś zapewne taki widok by mną wstrząsnął, ale teraz chciałem jedynie, aby zapakowano faceta do śmigłowca i mój oddział mógł wracać do bazy. Nie wiedziałem, czy ten człowiek był terrorystą, czy niewinnym cywilem. Tak czy inaczej, nie dbałem o to ani nie czułem z jego powodu żalu. Jeżeli był zamieszany w atak, dostał to, na co zasłużył. Skoro brał się do wojaczki, to musiał ponosić konsekwencje. Jeżeli chciał zadzwonić do żony, że spóźni się na obiad, bo Amerykanie zablokowali ruch na autostradzie, a zamiast tego odkrył funkcję stopera w komórce i postanowił sprawdzić, jak szybki jest na setkę, to zapłacił za swoją głupotę. Jestem głęboko przekonany o słuszności praw obywatelskich i uważam, że człowiek może posługiwać się telefonem podczas najróżniejszych sytuacji, jednak powinien sobie zdawać sprawę, że dziwne i

podejrzane zachowanie w strefie działań wojennych może być przykre w skutkach.

Obok rannego klęczał młody człowiek i trzymając go za rękę, cicho się modlił. Nikt nie wiedział, skąd się ów młodzian wziął, ale jako że nam nie przeszkadzał, zostawiliśmy go w spokoju. Próbowałem sobie wyobrazić, co czuje ten człowiek. Gdyby ktoś ci bliski został postrzelony i umarł, to jak zapamiętałbyś ten dzień? Zastanawiałem się, jakie uczucia to miejsce, będące częścią wydarzeń, by zrodziło i czy pozostawiłyby one po sobie niezatarty ślad na całe życie? To bardzo dziwne, stać obok kogoś, kto najprawdopodobniej przechodził przez jedną z najcięższych chwil swego życia, i nic nie czuć.

Miesiąc wcześniej byłem częścią QRF, kiedy zostało zabitych dwóch miejscowych. Inny oddział z naszej bazy odwiedził dom jednego z informatorów, który regularnie udzielał nam bardzo cennych informacji. Jako wyraz wdzięczności przywieźli ubrania i buty dla jego dzieci. Brat naszego człowieka wściekł się, kiedy pojął, że jego krewniak przekazuje Amerykanom informacje o rebeliantach. Podczas wizyty, kiedy znajdowali się we dwóch w jednym pokoju, wyciągnął granat, krzyknął: „Zdrajca!” i cisnął go. Nie wiem, czy pocisk miał wylecieć przez okno i eksplodować pomiędzy żołnierzami, czy miał zabić informatora. Prawda była taka, że eksplodował wewnątrz domu, raniąc obydwu braci. Nasi pomyśleli, że to atak, i jeden z żołnierzy otworzył ogień, zabijając ich na miejscu. Przy ciele zamachowca *znaleźliśmy* drugi granat.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, nie było co zbierać. Nie doszło więcej do żadnych incydentów, a przeszukanie terenu nie dało żadnych rezultatów. Zwykle, kiedy znaj-

dujemy ciało cywila lub ten ginie w strzelaninie, zwłoki przewożone są na komisariat policji, gdzie się je identyfikuje i powiadamia rodzinę. W tym przypadku bliscy doskonale wiedzieli, co się stało, więc nie było potrzeby identyfikowania zabitych. Dowódca batalionu (który przyjechał razem z QRF) zrobił sobie zdjęcie, pozując jak myśliwy ze zwierzyną. Spytaliśmy ojca braci, co chce, aby zrobić z ciałami. Poprosił nas, abyśmy przenieśli je do ogródka, gdzie zajmą się nimi bliscy.

Pozostali domownicy i sąsiedzi odchodzili od zmysłów na tyłach domu. Kiedy zanieśliśmy tam ciała, wpadli w histerię. Większość dorosłych kobiet zaczęła odgrywać sceny żałoby, zawodząc, płacząc, rozdzierając suknie, bijąc się pięściami po twarzach i piersiach, a potem tarzając się po ziemi i obsypując głowę piachem. Ciężko było na nie patrzeć, ale z kulturowego punktu widzenia ich sposób okazywania żałoby był ciekawy. Jeszcze nigdy w moim dotychczasowym życiu nie widziałem czegoś takiego. Najbardziej poruszył mnie widok płaczących mężczyzn. Żadnego przesadnego dramatyzmu, po prostu łzy. Sprawy przybrały gorszy obrót, kiedy członkowie rodziny obejrzelili zwłoki. Dowiedzieć się, że ktoś bliski nie żyje, to jedno, ale zobaczyć ciało rozerwane kulami i odłamkami granatu to już coś, do czego nie można przywyknąć. W pewnym sensie i *dla mnie* to było bardzo ważne wydarzenie. Pomyślałem, że może powinienem zrobić zdjęcie żałobnikom, ale nie potrafiłem się do tego zmusić. Nie mogliśmy nic dla nich uczynić, a ja czułem, że coraz bardziej angażuję się emocjonalnie w sytuację. Przestałem zwracać

uwagę na szlochające kobiety i skupiłem się na mężczyznach. Zdałem sobie sprawę, że nasza obecność nie jest już dłużej pożądana, pchani gniewem ludzie mogą próbować się zemścić. Chciałem jak najszybciej odjechać, zanim ktoś dorwie w łapy AK-47 i da nam powód, aby wymordować całą rodzinę. Kiedy odjechaliliśmy, dziwnie się poczułem. Czy nie powinniśmy czegoś powiedzieć? Na przykład: „Przykro mi, że zabiliśmy waszych krewnych. Tutaj zostawiamy trochę ubrań i butów dla waszych dzieci. No, to do zobaczenia”.

Mężczyzna ze ssącą raną klatki piersiowej leżał tuż obok bradleya, z którego go postrzelono. Kiedy spojrzałem na wieżyczkę, zobaczyłem Karla, gościa, z którym spędziłem urlop w Katarze. Rzadko na siebie wpadaliśmy, więc radośnie się z nim przywitałem. Spojrzał na mnie, kiwnął dłonią na przywitanie i wzruszył ramionami. Dość dziwne zachowanie wobec kolegi, ale potem zdałem sobie sprawę, że najprawdopodobniej Karl postrzelił człowieka. Pamiętam, jak rozmawialiśmy i opowiadał, że bradleye praktycznie nie biorą udziału w starciach. Mają zbyt dużą siłę ognia i nie nadają się do większości operacji. Pewnie były to pierwsze strzały, jakie oddali w walce. Jak do tej pory nie wyjaśniło się, kim był ten człowiek, więc Karl nie miał zbyt dobrego humoru, siedząc i patrząc, jak umiera postrzelony przez niego mężczyzna.

Kiedy stan rannego się ustabilizował, został przetransportowany do bazy, gdzie ordynator szpitala polowego nakazał usunąć opatrunek klatki piersiowej. W wyniku tego zabiegu człowiek zmarł.

Stwierdziłem, że urlop spędzę na Barbados. Myśl o powrocie do Stanów nie wzbudzała we mnie zachwyty. Chciałem się pobyczyć, spędzić trochę czasu w samotności, nic nie robiąc. Gdybym wrócił do domu, przez cały urlop tylko bym odwiedzał znajomych, uprawiając seks i bawiąc się na imprezach. Więcej kłopotu niż pożytku, poza tym nie chciałem wracać do domu, dopóki nie skończy się moja służba w Iraku. Biorąc pod uwagę, ile mieliśmy czasu wolnego w Fort Drum, czułem się, jakbym miał za sobą setki pożegnalnych przyjęć. Nie chciałem przez to przechodzić przy okazji każdego powrotu do domu.

Kiedy przyszło do wyboru miejsca odpoczynku, pomyślałem o cichej i spokojnej okolicy. Karaiby były najlepszym wyborem. Nigdy zbyt wiele nie podróżowałem, dlatego na ślepo wybrałem, gdzie będę spędzał urlop. Po pierwsze, nie chciałem jechać w miejsce, które nazywało się od jakiegoś świętego. Po drugie, nazwa nie mogła być dziwna, jak Anguilla czy Nevis, dlatego na chybił trafił wybrałem Barbados. Kiedy później o tym myślałem, uznałem, że podświadomy wpływ mogła mieć na mnie piosenka Tori Amos *Me and a Gun*⁶⁵, gdzie śpiewa: „Ale nie byłam nigdy na Barbados, więc muszę się stąd wydostać”.

Sam proces opuszczenia Iraku był jak wrzód na dupie. Przez kilka dni musiałem słuchać nudnych instrukcji i przejść całą procedurę odsiewu, zanim opuściłem wreszcie Bliski Wschód. Najfajniejszą rzeczą było

jednak to, że armia bez pytania zapłaciła za przelot w dowolne miejsce na kuli ziemskiej.

Przez trzy dni czułem się jak zombie, który tylko wsiada i wysiada z samolotów. Chciałem zamknąć oczy, zwinąć się w pozycji embrionalnej, zacząć przez skórę wydzielać jakąś substancję, z której utkam sobie twardy kokon, aby w nim przeczekać aż do lądowania na Barbados. Prawie mi się udało. Cały ten czas nie odzywałem się niepytany, oczy otwierałem wtedy, kiedy nie miałem innego wyjścia. W Georgii i Teksasie miałem dwie nakładające się na siebie przesiadki, ale ludzie za każdym razem przepuszczali mnie na przód kolejki.

Powrót do Stanów był cholernie niesamowity. Ludzie zatrzymywali mnie na ulicy i dziękowali, mówili, że szanują mnie za to, co robię, i doceniają wysiłek. Poklepywali mnie po plecach, płacili za kawę i rogaliki, kupowali gumę do żucia i gazety. Czasem mówili do mnie: „Nie popieram wojny w Iraku, ale cenię twój wysiłek”. To było dziwne doświadczenie, ale doceniam szacunek i bezstronność ludzi, które napawały mnie dumą.

Zarezerwowałem przez Sieć pokój w domku w fajnej okolicy. Na miejsce dotarłem około dwudziestej trzeciej i zostałem przywitany przez właścicielkę domu, Niemkę w średnim wieku, oraz

jej męża, Turka. Facet nie mówił ani trochę po angielsku i chyba przestraszył się na widok munduru. Jego żona powiedziała, że jest ciekaw, czy leciałem przez Turcję lub czy poznałem jakichś Turków. Odpowiedziałem, że nie. Było już późno

i żadne z nas nie miało siły na pogaduszki, więc pokazali mi pokój i wrócili do siebie. Mieszkali po przeciwnej stronie ulicy. Ja usiadłem na tarasie, nalałem sobie pierwsze piwo na wolności i wsłuchałem się w szum fal. Kiedy usłyszałem je po raz pierwszy, pomyślałem, że to odgłos strzału. Jakie to typowe - żołnierz wraca z wojny i wszystko mu się z nią kojarzy.

Następnego ranka spotkałem parę Jamajczyków, którzy wynajmowali pokój w tym samym domku co ja. Młodszy, liczący sobie około dwudziestu lat, był cichy i zamknięty w sobie; starszy, liczący coś ponad trzydziestkę, wesoły i bardzo głośny. Obydwaj pracowali na budowie i mieszkali w domku od kilku miesięcy. Czasami, kiedy wracali z pracy, siadaliśmy na ganku i piliśmy wspólnie piwo. Byli miłymi gośćmi i dobrze nam się układało, choć były to typki spod ciemnej gwiazdy. Starszy handlował prochami i często odwiedzali go dziwni osobnicy, zazwyczaj o nieludzkich godzinach. Młodszy przyznał się, że ukradł pieniądze handlarzowi narkotyków w Kingston i nie mógł wrócić do domu. Kiedy przychodził z pracy, skręcał dwa jointy, wypalał je i kładł się spać na kanapie, ssąc kciuk.

Przez kilka dni włóczyłem się po plaży, oglądając wszelkie możliwe widoki. Jednak największą radochę dawało mi jedzenie, na które po prostu rzucałem się przy każdej okazji. Żarłem jak prosiak. Pokój był tani, dlatego pomyślałem, że z czystym sumieniem mogę przepuścić pieniądze na jedzenie.

Wyspa była piękna, a ludzie przemili, jednak czułem, że nie o to mi chodzi. Każdy tutaj mówi po

angielsku, co z jednej strony było bardzo pomocne, ale z drugiej sprawiało, że czułem się, jakbym był na Brooklynie. Nie ma w tym nic złego, jednak nie był to beztroski raj, jakiego szukałem. W Iraku nie miałem problemów ze snem. Teraz dręczyły mnie koszmary o karabinach, hunwee, helikopterach i wybuchach. Budziłem się co godzinę. Przez sen zaciskałem zęby tak mocno, że zrywałem się z obolałymi szczękami. Wilgotność i brak klimatyzacji sprawiały, że pociełem się, a sen przypominał gorączkową malinę. Którejś nocy na rynku odbywał się wiec, a jakiś człowiek krzyczał przez megafon o defraudacji pieniędzy z podatków i korupcji w rządzie. Innej padał deszcz tak rzęsy, że drogi zamieniły się w potoki. Normalnie nie przejmowałbym się tym zbytnio, ale nie potrafiłem uwolnić się od poczucia niepokoju i od strachu. Będąc nieuzbrojony, czułem się nagi. Co zrobię, jeżeli ktoś mnie napadnie? Nie miałem nawet noża. Nie mogłem znieść widoku ludzi, chciałem być sam. Pragnąłem uciec. Chciałem przestać martwić się o zamykanie pokoju przed wścibskimi sąsiadami. Nie chciałem już być turystą, Amerykaninem, białym. Pragnąłem stać się nikim, niewidzialnym duchem.

Odruch eskapistyczny był we mnie bardzo silny, nawet kiedy byłem w Iraku. Desperacko pragnąłem, aby totalnie mi odbiło, żebym mógł zostawić za sobą ciało i umysł. Na jawie śniłem o barze w New Paltz, gdzie w środowe wieczory grają muzykę z lat osiemdziesiątych, i pragnąłem upić się nostalgią i tanim piwem. Wyobrażałem sobie, że na urlop pojedę do

Amsterdamu, aby spędzić dwa tygodnie na haju, zażywając różne substancje, paląc trawkę, haszysz, pijąc wódkę, absynt, jedząc grzybki, biorąc meskalinę i ekstazy.

Skoro już o tym mowa, drugi dzień na Barbados spędziłem w towarzystwie byłej dziewczyny, Stacy. Z początku myślałem, że będzie zabawnie. W dawnych czasach, kiedy wypuszczaliśmy się

razem na miasto, świetnie się bawiliśmy, jednak tym razem wszystko poszło źle. Kłębił się we mnie stłumiony niepokój, który za jej sprawą się uwolnił. Plaża znajdowała się opodal portu lotniczego i samoloty podchodziły nad nią do lądowania. Ilekroć jakiś przelatywał nad naszymi głowami, byłem pewien, że zaraz eksploduje, zraszając nas i ocean deszczem krwawych odłamków aluminium i fragmentami ciał. Ludzie w strojach kąpielowych sprawiali wrażenie tak delikatnych, a ja nie potrafiłem przestać myśleć o tym, jak wyglądają ich flaki. Chciałem, aby zostali rozerwani na strzępy, poszatko-wani na miazgę z mięsa i kości. Czy kobieta w bikini nadal będzie piękna, jeśli się ją przetnie i wyciągnie na wierzch żółtawy tłuszcz lub ciemnoczerwone mięso? Zawsze zastanawiałem się, czy byłbym w stanie rozpoznać kogoś bliskiego po czaszce? Czy gdyby zginął ktoś przeze mnie ukochany, czy umiałbym poznać jego szkielet? To nie był strach, a raczej pragnienie, aby nigdy go nie było. Chciałem nie musieć martwić się o ludzi czy samoloty. Pragnąłem, aby wszyscy pomarli, a samoloty pospadały do morza. Nie mogłem znieść oczekiwania, marzyłem, aby plaża usłana była trupami i płonącymi wrakami. Oblał mnie zimny pot

i miałem wrażenie, że zaraz zapadnę się w sobie lub po prostu eksploduję. Nie mogłem się ruszyć, chodzić, byłem pewien, że wszyscy dookoła wiedzą, że się we mnie gotuje. Jakiś rastafarianin spacerował po plaży to w jedną, to w drugą stronę, nie zwracając uwagi na koszmarny piekła na ziemi. Uśmiechnął się do mnie i rozłożył ramiona, jakby cieszył się z wygranej. Nagle się rozpromieniłem. Ten dzień nauczył mnie czegoś: nie należy spotykać się z byłą dziewczyną, Stacy, zaraz po tym, jak wróciło się z wojny.

Kartkowałem przewodnik *Lonely Planet* po Karaibach, kiedy natrafiłem na wzmiankę o wyspie Saba. Była niewielka, ledwie pięć mil kwadratowych, a jej populacja liczyła pięćset osób. Próżno szukać jakichkolwiek plaż czy turystów. Brzmiało to jak opis wymarzonego dla mnie miejsca na ziemi. Zdecydowałem, że ostatni tydzień wolnego spędzę na Sabie. Z miejsca zadzwoniłem do biura podróży i zarezerwowałem bilety.

Pokój w domku gościnnym opłaciłem z góry i miałem nadzieję, że jeśli zwolnię go wcześniej, kobieta odda mi pieniądze. Poszedłem do niej wieczorem przedyskutować sprawę, ale drzwi otworzył jej mąż. Od pasa w górę był nagi. Prawda była taka, że nigdy nie nosił koszuli. Widywałem go kilka razy w tygodniu, czy to kiedy pracował w ogrodzie, czy przy myciu samochodu, ale nigdy nie nosił koszuli. Wyglądał naprawdę nieźle: miał długie, lekko kręcone włosy, owłosioną klatkę piersiową, doskonałą opaleniznę i był proporcjonalnie zbudowany. Mógłby

trafić na okładkę romansu. Jeżeli dodać, że nie ubierał się w koszule, wykonywał prace domowe i nie mówił ani słowa po angielsku, to odnosiłem wrażenie, że oglądam pornosa z lat osiemdziesiątych. Gość był ogrodnikiem, czyścicielem basenów i facetem od kablówki w jednej osobie. Jego starzejąca się żona nie była piękną, miała dwadzieścia lat więcej od niego, a jej wdzięki przywiędły, ale przynajmniej nie narzekała na brak pieniędzy i miała domek na plaży. I męża zabawkę. To cholernie zabawne, że tacy ludzie żyją na ziemi. Nie oddała mi pieniędzy.

Na lotnisku w Barbados dowiedziałem się, że nie polecę na Sabę, jeśli nie będę miał paszportu. Bez niego lub bez aktu urodzenia stwierdzającego, że jestem obywatelem USA, nie powinienem móc wyjechać poza Stany Zjednoczone. Nigdy nie zawracałem sobie głowy wyrobieniem paszportu, ponieważ nie jestem typem obieżyświata. Na lotnisku poradzono mi, abym udał się do ambasady Stanów Zjednoczonych, gdzie wyrobią mi tymczasowe dokumenty, i będę mógł polecieć na Sabę.

Załatwienie spraw w placówce dyplomatycznej było ciekawym doświadczeniem. Kiedy tylko pracownicy zobaczyli mój wojskowy identyfikator, z miejsca zaczęli mnie traktować jak VIP-a. Poczekalnia wypełniona była po brzegi oczekującymi, którzy pokornie przycupnęli na drewnianych ławeczkach. Panowała nabożna i pełna podenerwowania cisza. Podejrzywałem, że wszyscy czekali na rozmowę z urzędnikiem, który miał rozpatrzyć ich podanie o wizę na wjazd do

Ameryki. Zasady były proste: nie wolno było głośno rozmawiać, spacerować ani siedzieć gdziekolwiek indziej niż na ławeczce. Wszyscy byli ubrani, odpicowani tak, jakby przyszli na rozmowę o najważniejszą pracę w życiu.

Kiedy przysłała na mnie kolej, mój status z VIP-a zmienił się na dupka. Moją sprawę rozpatrywała młoda, całkiem atrakcyjna kobieta. Choć byłem od niej starszy, to miała w sobie więcej sceptycyzmu, niż ja zdążyłem nagromadzić w ciągu życia. Wyglądała na kogoś, kto skończył studia, miał głowę pełną ambicji na międzynarodową skalę i pomyślał, że praca w ambasadzie na Karaibach będzie dobrym pierwszym krokiem do ich realizacji.

- Jak to możliwe, że wjechał pan na teren kraju bez ważnego paszportu? - spytała, spoglądając na mnie podejrzliwie.

- A ja wiem? Gość na lotnisku wpuścił mnie do sa molotu. Powiedział, że kiedyś można było wjechać na podstawie identyfikatora z wojska, teraz zaś potrzebny jest paszport albo odpis aktu urodzenia, ale i tak po zwolił mi przejść. Nie sprzeczałem się z nim.

Potem spojrziała na mój identyfikator, który podałem jej przez okienko w szybie, i roześmiała się na głos.

- Chce pan, żebym uwierzyła, że to jest prawdziwy dokument?

Tutaj miała rację. Dokumenty, jakie wydano nam w Iraku, to kpina. Informacje o osobie zostały wypisane odręcznie na wyblakłym formularzu i zalaminowane. Zwykle noszę przy sobie ID, ale chciałem unik-

nąć takich sytuacji jak ta, więc kiedy byłem na urlopie w Katarze kilka miesięcy temu, wyrobiłem sobie nowe dokumenty. Te były już bardziej współczesne, to znaczy zostały wydrukowane, ale z kolei maszyna do laminowania przestała działać, więc dzieciak, który mnie obsługiwał, okleił dokumenty przezroczystą taśmą. Choć ten identyfikator był lepszy od poprzedniego, to nadal wyglądał fatalnie. Opowiedziałem tę historię pani urzędniczce, dodając, że jeśli nadal uważa te dokumenty za fałszywe, to powinna zobaczyć poprzednie.

Spojrziała na mnie jak na idiotę i rzuciła chłodno:

- Chce mi pan wmówić, że armia nie potrafiła wy stawić panu odpowiednich dokumentów?

- Tak, dokładnie to próbuję pani wytłumaczyć. Wszyscy myślą, że wojsko to doskonale naoliwiona maszyna. Prawda jest taka, że panuje tam naprawdę niezły burdel. Byłaby pani zdziwiona, widząc, jak wielki. Bywają takie chwile, kiedy sam się dziwię, że cokolwiek udało nam się zrobić. - Próbowałem ją rozbawić, mając nadzieję, że dziewczyna się trochę

odpręży.

- Zdaje pan sobie sprawę, że identyfikator wojskowy nie potwierdza tego, że jest pan obywatelem Stanów Zjednoczonych?

- Oczywiście, jestem świadomy, że w armii służą obcy z kosmosu.

Ha! Tu cię miałem, koleżanko!

- Wie pan zatem, że aby podróżować do innego kraju, musi mieć pan paszport. Podróżując z Iraku do USA, musiał pan przekraczać granicę z innymi krajami,

tak? - Spojrzała na mnie rozdrażniona i pokręciła głową z niedowierzaniem. - To bez sensu. Jakim cudem dostał się pan tutaj z Bliskiego Wschodu, nie mając paszportu?

- Takim samym, jak Stany Zjednoczone napadły na inny kraj bez pozwolenia Organizacji Narodów Zjednoczonych. Armia USA dostaje to, czego chce. Ot co!

Godzinę później został mi wydany czasowy paszport, ważny na rok. Jeden zero dla Metody Sarkazmu!

Pas startowy lotniska na Sabie jest najkrótszym na świecie lądowiskiem międzynarodowym. Wyspa to właściwie wygasły wulkan, a port lotniczy przycupnął u jego podstawy, gdzie kiedyś gromadziła się lawa. Na wyspę można dostać się jedynie małym samolotem, który kursuje z Wyspy Świętego Martena. Lot trwa piętnaście minut, a lądowanie to najbardziej niezapomniane przeżycie. Samolot leci niebezpiecznie blisko klifów, alarm zbliżeniowy błyska czerwoną lampką w kokpicie i kiedy człowiek myśli, że zaraz dojdzie do katastrofy, awionetka daje nura w dół, kierując się ku lądowisku, które pojawia się nagle znikąd. Kobiety płaczą, mężczyźni klną, wszyscy klaszczą.

Saba okazała się wszystkim, czego pragnąłem, a nawet więcej. Wyspa jest potwornie stroma, dlatego nieważne, gdzie się człowiek znajduje, zawsze ma zabójczy widok na okolicę. Zasiedlili ją Holendrzy, więc budynki mają pobielone ściany, czerwone dachy, zielone okiennice i są prześliczne. Drogi, wąskie, kręte i niebezpieczne, wprawiłyby w nerwicę nawet mieszkańców San Francisco.

Wilgotność była znośna, a temperatura przez cały rok oscyluje koło dwudziestu stopni Celsjusza. Nad górskim szczytem bezustannie unosiła się chmura, zupełnie jakby miała nadawać wyspie bajkowy charakter. Nie byłbym zaskoczony, gdybym spotkał jednorożca. Roślinność była soczyście zielona, a powietrze czyste i świeże. Irak potwornie śmierdzi. Cały ten pieprzony kraj cuchnie jak jedno wielkie wysypisko śmieci. Boże, jak ja nienawidziłem Iraku! Prawdę mówiąc, nienawidziłem wszystkiego. Saba była tak piękna, że nagle zdałem sobie sprawę, iż całe moje dotychczasowe życie to kupa gówna. Chciałem kupić sobie domek i żyć na wyspie do końca świata. To miejsce zdawało się być poza wszelką marność świata. Przemoc wydawała się koszmarem, który trapił odległą, małą Ziemię. Ja znajdowałem się zupełnie gdzie indziej.

Hotelik, w którym się zatrzymałem, nazywał się *Wrota Piekieł*. Jeszcze bardziej pokochałem tę wyspę. Prowadziło go francuskie małżeństwo: on był kucharzem, ona koneserem win. Mój pokój okazał się nasłoneczniony, z przepięknym widokiem na morze. Ilekroć wyglądałem przez okno, miałem ochotę wyć, taki był doskonały. Nie dostałem klucza do drzwi, bo go nie potrzebowałem. W raju nie było złodziei. To bardzo spokojne miejsce, praktycznie nie widywałem ludzi. Miałem

wszystko, czego potrzebowałem, ale najlepsze w pobycie na Sabie było jedzenie. Wstawałem o świcie i czekałem na śniadanie. Zjadałem jajka, czekoladowy rogalik z ciasta francuskiego i popijałem je kawą i szklanką świeżo wyciśniętego soku z pomarańczy.

Potem czekałem na lunch. Zwykle pochłaniałem talerz owoców morza. Kiedy skończyłem jeść, zaczynało się oczekiwanie na obiad, na który składały się: jagnięcina, homary, dziczyzna, kaczka, foie gras i ślimaki, a do tego wino o tak cudownym smaku, że łzy cisnęły mi się do oczu. Z pełnym brzuchem wracałem do łóżka i zasypiałem tylko po to, aby obudzić się następnego dnia i zacząć cały proces od początku. U *Wrót Piekiel* znalazłem niebo.

Myśl o powrocie do Iraku nie napawała mnie radością. Cieszyłem się każdą chwilą spędzoną na Sabie i nie myślałem o tym, co mnie czeka później. Byłem jednak przygotowany na koniec urlopu. Kiedy nadszedł ten dzień, spakowałem się, zapłaciłem rachunki, pomachałem na pożegnanie i wsiałem do samolotu.

28 grudnia 2004

Tylko niewolnicy są szczęśliwi

Kilka dni przed moim wyjazdem na urlop siedzieliśmy z Mattem przy stoliku oddzielającym nasze prycze. Obydwaj mieliśmy nosy utkwione w laptopach: ja pisałem, on oglądał na DVD *Alias*⁶⁶. Obydwaj raczyliśmy się przesznułowanym Jimem Beamem. Uwielbiam Jima. Wkroczyliśmy właśnie w „gadatliwą” fazę ubzdryngo-lenia, kiedy Matt spytał mnie, czy zamierzam przywrócić blog w Sieci. Odparłem, że owszem, chcę to zrobić, ale zastanawiam się nad odpowiednią chwilą. Zrobię to

albo tuż przed końcem misji w Iraku, albo tuż po powrocie do domu, żeby nie narażać się na niepotrzebne nieprzyjemności. Potem pomyślałem: „Po co czekać? Pieprzyć to. Raz kozie śmierć”.

- Co byś powiedział, gdybym zrobił to od razu?

Matt jest trzeźwo myślącym człowiekiem i każdy pomysł, który uznałby za głupi, należałoby wyrzucić do kosza.

- Kurwa, człowieku, zrób to - odparł.

Technicznie rzecz ujmując, blog był cały czas w Sieci, tylko ukryty, niedostępny dla internautów. Uruchomienie go z powrotem było jak pstryknięcie przełącznikiem od światła lub wykonanie kilku myków, jak mawiają programiści. Parę kliknięć i www.justanothersoldier.com powrócił do świata żywych. Kilka dni później znalazłem się na Karaibach.

Procedura W.R.W.

Wypić Jima Beama. Rzucić: „Pieprzyć to!”. Wprowadzić decyzję w życie.

Nie obawiałem się powrotu do Iraku tak bardzo, jak myślałem. W pewnym momencie czułem, jakbym wracał do domu. Wszystko było takie znajome: humvee zaparkowane tam, gdzie zwykle, skrzypiące drzwi do naszego bunkra, rząd łusek po irackich pociskach, które, zakopane do połowy w piasku, służyły nam za sedesy. Tęskniłem za Waziną. Dobrze ją było znowu trzymać w dłoniach. Uwielbiałem jej widok i zapach. To zabawne, jak

człowiek potrafi się przywiązać do broni. Chciałem ją zatrzymać po powrocie do Stanów i powiesić nad

łóżkiem. Karabin szturmowy to najlepsze ubezpieczenie. Mari-nes mają takie powiedzenie: „Beze mnie moja broń jest niczym. Bez mojej broni ja jestem niczym”.

Od powrotu do domu dzielił nas miesiąc i byłem przekonany, że jakoś go przetrzymam. Przez pewien czas zastanawiałem się, czy nie poprosić o przedłużenie służby, ale dawno temu porzuciłem ten pomysł. Nie tęsknię specjalnie za ludźmi ani nie ciągnie mnie do domu, ale byłem podekscytowany perspektywą powrotu. Urlop dał mi bardzo potrzebne poczucie wolności. Byłem gotów zakończyć służbę jako siepacz Wuja Sama i wrócić do domu, gdzie czekało mnie więcej studentek, za to mniej wybuchów.

Kiedy wróciłem do mojego bunkra, było późno i prawie wszyscy już spali. Rzuciłem bagaże obok pryczy i zobaczyłem papiery porozrzucone na łóżku. To był wydruk jednego z ostatnich wpisów mojego bloga. Poczulem dziwne ssanie w żołądku. Z tyłu znalazłem napisaną odręcznie notatkę: „Musimy jak najszybciej pogadać. Jeff”. Kurwa. Wiedziałem, że się zorientują, ale nie sądziłem, że stanie się to aż tak szybko.

Z Jeffem, który został nowym sierżantem plutonu, mogłem porozmawiać dopiero następnego ranka. Nie był wściekły, ale uprzedził mnie, że kapitan chce mnie natychmiast widzieć. Kiedy zgłosiłem się do dowództwa, starszy sierżant powiedział, że chce porozmawiać, zanim spotkam się z kapitanem. Zaprowadził mnie do pustego pokoju i kazał usiąść. Widać było, że coś go gryzie.

Powiedział, że nie wie, dlaczego kapitan chciał, aby to on porozmawiał ze mną jako pierwszy. Spytał, jak mogę wyjaśnić to, co zrobiłem.

- Chodzi panu o to, że udostępniłem blog?
- Tak, właśnie o to.

To było dobre pytanie. Po pierwsze, nigdy nie czułem się w obowiązku zdejmować go z Sieci, jednak powoływanie się na takie argumenty było jedynie stratą czasu. Sierżant nie chciał ze mną dyskutować ani angażować się w sprawę. Potrzebował tylko czegoś, co będzie mógł wpisać do idiotycznego formularza, który leżał na biurku przed nim. Odwali robotę i będzie wolny.

O ile dobrze pamiętam, zablokowanie dziennika było „przysługą” dla naszego dowódcy, więc co najwyżej wyszedłem na wała, który nie dotrzymuje danego słowa. Prawie rok temu w Fort Drum, kiedy dowiedział się o istnieniu bloga, zostałem tej samej nocy od- eskortowany do jego kwatery przez sierżanta plutonowego. Kiedy wszedłem do pokoju, dowódca szykował się do snu. Był ubrany w T-shirt i gatki, zdjął już buty. Sta na baczność, a on zbliżył się, stając twarzą w twarz ze mną. Nigdy wcześniej nie zdawałem sobie sprawy, że jest tak niski. Spojrzał na mnie morderczym wzrokiem i spytał głośniejszym głosem niż było trzeba: „CZYŚ TY, KURWA, ZMYSŁY POSTRADAŁ?” Kiedy mówił, akcentował ostatnie słowo każdego zdania, kiwając przy tym głową. Wydymał nerwowo usta, w których słowa zdawały się wrzeć, gotowe w każdej chwili wybuchnąć. Potem opieprzył mnie za treść moich obserwacji. Każdemu słowu towarzyszyły krople kwasu tryskające

z jego warg, które wżerały się w mój mundur. Z uszu dowódcy buchnęły kłęby dymu, kiedy wymieniał jedną po drugiej wszystkie moje winy. Oskarżał mnie już o to, że dzierżyłem w dłoniach włócznię, którą przebito Chrystusowi bok. Potem oświadczył, że nie powiadomił jeszcze swoich zwierzchników i ode mnie zależy, co się dalej stanie. W moich rękach pozostawała decyzja: usunąć dziennik czy pozostawić go w Sieci. Przez chwilę zastanawiałem się nad odpowiedzią, a potem oświadczyłem:

- Skoro stawia pan sprawę w taki sposób, wolałbym pozostawić blog dostępny w Sieci.

Starszy sierżant i sierżant plutonu, którzy byli obecni w czasie rozmowy, o mało co nie

zemdleli, słysząc moje słowa. Dowódcę też zamurowało, ale powiedział:

- Wychodzę i zostawiam cię z tymi dwoma dżen telmenami, którzy spróbują cię przekonać do zmiany zdania.

Kiedy zostaliśmy sami, sierżant plutonu powiedział:

- Słuchaj, Jason. Po prostu zrób to, co on mówi.

Potraktuj to jako przysługę dla mnie.

Choć uważałem, że powinienem pozostawić blog dostępny, to szanowałem tego człowieka, a jego prośba mnie przekonała. Zawołali dowódcę z powrotem i powiedzieli mu, że zgodziłem się nie udostępniać dziennika. Jasno powiedziałem, że robię to tylko i wyłącznie ze względu na prośbę obydwu sierżantów. Dowódca mógł powiedzieć: „Hartley, rozkazuję ci wyłączyć blog”, ale tego nie zrobił. Z jakichś powodów chciał,

abym to ja podjął decyzję. W *pevien* sposób wydał mi rozkaz, a ja go w *pevien* sposób posłuchałem.

Muszę przyznać, że chciałem być cwany, uruchamiając dziennik tuż przed końcem misji w Iraku; miałem nadzieję, że kiedy sprawa wyjdzie na jaw, będzie już za późno na wyciągnięcie konsekwencji albo nikomu nie będzie się chciało robić szumu. Głupio zrobiłem, czyniąc takie założenie. Chcecie wiedzieć, czemu uruchomiłem ponownie blog? Bo po prostu chciałem. W głębi serca chciałem wydać swego rodzaju oświadczenie. Nie naruszałem OPSEC⁶⁷ ani nie obsmarowywałem armii. Szczerze opisałem, co widziałem i co czułem. To moje życie, którym podzieliłem się z innymi. Dlatego ponownie umieściłem blog w Sieci. Czułem się do tego zobowiązany. Czy potrzebowałem jeszcze jakichś powodów?

Powiedziałem starszemu sierżantowi, że skoro kończy się nasza misja w Iraku, nie sądziłem, że będzie miało znaczenie, czy strona działa, czy nie. Założyłem, że dowódcy nie będzie to w tym momencie interesowało. Prawdę mówiąc, chciałem mu przypomnieć, że jej wyłączenie było przysługą, dobrowolnym ograniczeniem mojego prawa do swobodnej i nieskrępowanej wypowiedzi, z którego zamierzałem ponownie zacząć korzystać. To nie był czas ani miejsce na takie frazesy, dlatego odpowiedziałem krótko i zwięźle. Biorąc pod uwagę, że byłem żołnierzem na obszarze ogarniętym wojną, przesłuchiwanym przez zwierzchnika, stwierdziłem, że powoływanie się w obronie na pojęcia typu

„wolność słowa” jest fizycznie niemożliwe i bardzo nie na miejscu.

Podpisałem pisemne oświadczenie pod przysięgą, w którym wyjaśniałem, dlaczego to zrobiłem. Potem spotkałem się z dowódcą. Powiedział, że ma mi do przekazania kilka *rzeczy i nie zamierza* słuchać, co ja mam do powiedzenia. Prawda była taka, że w ogóle miałem nie zabierać głosu, to nie była rozmowa, a monolog. W spokojny i opanowany sposób wyjaśnił mi ze szczegółami, dlaczego uważa mnie za kawał największego gówna na świecie. To był drugi raz, kiedy musiałem wysłuchać takiego potoku obelg pod moim adresem. Kiedy skończył mnie opluwać, powiedział, że *zamierza dać mi* prezent. Miałem nie pytać dlaczego, ale mogłem zmienić moje zeznanie, jakie złożyłem w biurze batalionu. To była dla mnie największa obelga. Nie wiem, czy spodziewał się, że ukrywam jakiś straszny sekret, czy może chciał zobaczyć, jak zareaguję, ale grzecznie podziękowałem za jego propozycję. Zanim wyszedłem, starszy sierżant spytał, czy mam ponownie zdjąć dziennik ze strony. Przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią, a potem odparł, że może pozostać dostępny, tak aby specjaliści sprawdzili jego zawartość. Była to bardzo dziwna i zabawna sytuacja; oto *kazano* mi utrzymać stronę on-line.

Z początku zdziwiłem się, że dowódca przyjął wiadomość o uaktualnieniu bloga tak spokojnie.

Racja, był wściekły, ale nie tak bardzo jak za pierwszym razem. Kiedy przyszedł wieczorem do mojego bunkra, odkryłem, dlaczego tak się stało. Wydruki zawierały jedynie ostatnie wpisy. Zapewne dowódca myślał, że

tylko one są dostępne i nic poza nimi. Wiedziałem jednak, że zdaje sobie sprawę z istnienia cholemnego archiwum. Kiedy ludzie z naszego batalionu poczytali sobie więcej moich zapisków, dowódca wkurzył się i postanowił się ze mną rozmówić. Wydawało mi się, że bardziej niż kiedyś wkurzyć go nie można, ale okazało się, że nie wiem, do czego był zdolny. W stosunku do mnie zaczął używać takich słów jak „kłamca” czy „oszust”. Zarekwirowano mojego laptopa oraz zewnętrzny twardego dysku i cały sprzęt, który wyglądał na komputerowy. Natychmiast miałem się przenieść do kwatery głównej, więc spakowałem pościel, przybory toaletowe, broń i kilka innych potrzebnych drobiazgów, które musiały mi wystarczyć do chwili, kiedy będę mógł się w całości przeprowadzić. Choć starałem się, aby wszystko odbyło się dyskretnie i po cichu, to kiedy nad człowiekiem pakującym swoje manatki stoi sierżant plutonowy, starszy sierżant i dowódca kompanii, trudno ukryć, że coś się święci. Potraktowano mnie jak przestępcę.

Następnego dnia zostałem wezwany do TOC, gdzie podpisałem przygotowane wcześniej dokumenty, na podstawie których zgodziłem się dobrowolnie usunąć moją stronę internetową z Sieci. Komórka wywiadu naszego batalionu wydrukowała sobie zawartość błoga i na tej podstawie prowadziła dochodzenie.

Przez następny miesiąc, który pozostał nam do opuszczenia Iraku, nie robiłem praktycznie nic. Nie brałem udziału w misjach, a bazę miałem opuścić wtedy, kiedy będziemy wracać do domu. Wziąłem trochę nocnych wart i pełniłem funkcję radiooperatora.

To był mój wkład w działanie jednostki. Zazwyczaj, kiedy żołnierz jest karany, musi wykonywać dodatkowy karny przydział pracy. To coś strasznego. Najgorszą rzeczą, jaką można zrobić żołnierzowi, to kazać mu nie robić nic.

Mieszkałem w tym samym bunkrze co dowódca, a moje łóżko stało w pomieszczeniu przylegającym do sali dowodzenia. Praktycznie nie dawało się spać. Najbardziej upokarzające było, kiedy leżałem ubrany w piżamę w łóżku, próbując zasnąć lub czytając książkę, a obok odbywała się odprawa przed kolejną operacją. Bez dostępu do komputera nudziłem się jak mops. Większość książek wysłałem do domu, pozostało mi ich zaledwie kilka, więc przeczytałem je od deski do deski. Pożyczyłem odtwarzacz CD od Matta i słuchałem płyt, które ze swojej kolekcji mp3 nagrał mi John. To było żalosne.

Zupełnie nie wiedziałem, co się ze mną stanie. Po tygodniu zachodzenia w głowę dowódca kazał mi do siebie przyjść i wyjaśnić, co mnie czeka. Zażądał, abym stanął przed sądem polowym, ale po tym, jak obejrzał reportaż o żołnierzach, którzy odmówili udziału w konwojowaniu transportów paliwa, i jak zostali potraktowani przez trybunał, uznał, że zwróci się o „ukaranie mnie” na podstawie artykułu 15 kodeksu polowego, abym dostał za swoje. Dodał też, że jeżeli będę walczył, to „potraktuje sprawę osobiście” i dołoży wszelkich starań, żebym został skazany. Ta rada została poparta kolejnym potokiem obelg i oskarżeń pod adresem moim i mojego pisarstwa. Jeśli chodzi o wyzwiska, to był pełen pasji, emocji, inwencji i talentu.

Nasz spór dawno przekroczył ramy zawodowe. Biorąc pod uwagę opieprz, jaki dostał mi się w Fort Drum, już czwarty raz słuchałem pogadanki na ten sam temat. Za każdym razem obsesyjnie powracał do pewnego zdjęcia, które zrobiłem w Fort Drum. Przedstawiało ono mnie i Willyego, jak pewnego wietrznego dnia siedzimy w latrynie z gaciami opuszczonymi do kolan. Jedyne, co

mogłem zrobić, to patrzeć mu prosto w oczy, kiedy on wygłaszał kolejną tyradę. Znosiłem ją w milczeniu, aż powiedział:

- Wiesz, dlaczego to zrobiłeś? Bo nie dbasz o nas. Po prostu gównu cię obchodzimy! - Jak zwykle kiwnął głową i wydał usta, akcentując ostatnie słowo. Dość się już nasłuchiwałem. Krew mi się zagotowała, przerwałem mu i warknąłem:

- Nie podoba mi się, kiedy mówi pan, że mi nie zależy.

Mógłbym mówić dalej i udowodnić mu, że moje pisanie wzięło się z tego, że mi *kurewsko* zależy, ale on krzyknął:

- Nie dbam, kurwa, o to, co ci się podoba, a co nie!

Od tej chwili zupełnie przestałem go słuchać.

Oddział, który miał nas zastąpić, przejął naszą bazę i rozgościł się w bunkrach, które do tej pory zajmowaliśmy. My przeniesliśmy się do tych, które stały puste w odległym zakątku bazy. Zostały uprzątnięte i większość naszej kompanii w nich zamieszkała. Było nam ciasno. Wraz z dowództwem zostałem przeniesiony do jednego z nowych bunkrów. Nie wiedziałem,

co się ze mną stanie, i nie miałem nic do roboty, co zaczęło odciskać na mnie swoje piętno. Żyłem w ciągłym napięciu i dręczył mnie ból brzucha na tle nerwowym. Choć oddano mi laptopa, nie byłem w stanie skupić się na niczym dłużej niż przez trzy sekundy, co uniemożliwiało pisanie. Po szesnastu dniach nieróbstwa, spędzonych na paleniu papierosów, żuciu gumy, słuchaniu muzyki i oglądaniu filmów na DVD, zostałem wezwany do TOC, gdzie przedstawiono mi wyniki śledztwa.

To dosyć żalosna sytuacja, kiedy czeka się na karę. Ja zaczynałem wątpić, czy w ogóle do niej dojdzie. Prowadzącym śledztwo był oficer w stopniu kapitana, który czystym przypadkiem okazał się bratem Johnny'ego-O. Usiedliśmy w jego biurze i zaproponował mi kawę. Doceniałem jego gest, ale czułbym się jeszcze bardziej niezręcznie, gdyby przesłuchujący mnie oficer częstował mnie kawą. Był dla mnie miły i przyznał, że bardzo podobało mu się to, co napisałem. Cechowała go przyjacielska rzeczowość. Wyznał, że każdy żołnierz przynajmniej raz w życiu musi wdepnąć w jakieś gówno. Potem wyjaśnił mi zarzuty, jakie można mi postawić na podstawie udostępnionego przeze mnie tekstu. Największym problemem było to, że niektóre z opisanych przeze mnie rzeczy można było potraktować jako złamanie tajemnicy wojskowej. Po raz pierwszy od wybuchu całej afery mogłem wreszcie powiedzieć coś w swojej obronie. Wyjaśniłem mu, że podjąłem pewne starania, aby zachować OPSEC. Nie chciałem, aby moje listy były „wiadomościami” z Iraku, dlatego teksty wysyłałem z dwu-

trzymiesięcznym opóźnieniem względem opisywanych wydarzeń. Nie napisałem niczego, czego nie można dowiedzieć się z gazet. Nigdy nie podawałem nazwisk żołnierzy, numeru batalionu czy kompanii, w której służyłem, ani nazwy miasta, gdzie stacjonowaliśmy. Jednak na wszystko, co powiedziałem, on miał jakiś kontrargument. Choć mówił logicznie, to każde jego zdanie chciałem zbyć krótkim: „I co z tego?”.

„Napisałeś, że w każdym magazynku ostatni nabój to smugowy”.

„Napisałeś: »Jutro wyjeżdżamy do Luizjany«”.

„Napisałeś: »Wylatujemy do Kuwejtu przez Shan-non w Irlandii i Sycylię«”.

„Zdekonspirowałeś kryptonim »Słony Jęzor«”.

Oprócz naruszenia tajemnicy operacyjnej, publikując zdjęcia zatrzymanych Irakijczyków, złamałem zasady Konwencji Genewskiej oraz postąpiłem w sposób niegodny stopnia podoficera, udostępniając zdjęcie przedstawiające mnie na sedesie. Na tym skończyliśmy rozmowę, podpisałem dokument „Procedury naruszenia zasad”, w którym oświadczyłem, że zostałem przesłuchany w sprawie, w której „jestem podejrzany/oskarżony o naruszenie: bezpieczeństwa OPSEC, zachowania niegodnego NCO, złamania zasad Konwencji Genewskiej”. Upewniłem się, że jestem oskarżony na podstawie tych trzech zarzutów i potwierdziłem moje przypuszczenia. Potem dodał: „Twój dowódca uważa zapewne, że odmówiłeś wykonania bezpośredniego rozkazu”. Ten zarzut nie został dołączony do oskarżeń, jakie padły w śledztwie pod moim adresem.

Potem kapitan powiedział mi, że następnie spotkam się z dowódcą batalionu, który zadecyduje o sposobie ukarania mnie. Decyzję podejmie na podstawie informacji wynikających z prowadzonego śledztwa. Sytuacja nie rysowała się w różowych barwach, więc spytał mnie, czy chcę złożyć jakieś oświadczenie, które dokładniej wyjaśni sprawę z mojego punktu widzenia. Napisałem kilka słów, podkreślając, że „uwielbiam służyć w wojsku” i stąd moje próby pisarskie uważam za pozytywny wysiłek, choć „mógł on nie być do końca stosowny i zgodny z zasadami”, czego teraz „ogromnie żałuję”. Każde słowo było szczere, choć uważałem, że to, co zrobiłem, „nie mogło nie być” jak najbardziej słuszne. Słowo „móc” było kluczowe. Próbowałem nim kryć swój tyłek. Dowódca batalionu był miłośnikiem patriotyzmu pisanego, poza tym nie lubi się z dowódcą mojej kompanii. Miałem nadzieję, że te dwie okoliczności zadziałają na moją korzyść.

Liczyłem, że z dowódcą batalionu spotkam się w ciągu kilku dni, ale tak się nie stało. Przynajmniej wiedziałem, jakie ciężą na mnie oskarżenia, ale nie miałem okazji porozmawiać z JAG (*Judge Advocate General* - Wojskowe Biuro Śledcze) i nie wiedziałem, jak przebiega przesłuchanie w sprawie artykułu 15.

Zawsze powtarzam, że jeśli ktoś chce zapamiętać jedną rzecz o mnie, niech to będzie motto: „Tylko niewolnicy są szczęśliwi”. Wypowiedział je Keith Wood, mój nauczyciel angielskiego w dziesiątej klasie, parafrazując Tołstoja lub Dostojewskiego, nie pamiętam którego. Wiem, że to bardzo przygnębiająca i cy-

niczna myśl, ale ostatnio długo nad nią dumałem. Ten cielesny znój, który nazywamy śmiertelnością, opiera się na dokonywaniu wyborów i wolnej woli. W ten sposób definiujemy wolność: poprzez możliwość dokonywania wyborów. Co zaskakujące, bywają takie chwile, kiedy podejmowane przez nas wybory stają się źródłem cierpienia, dlatego odebranie nam możliwości ich dokonywania postrzegane jest jako zbawienne. Jak często mieliście okazję słyszeć zdanie: „Nie miałem wyboru”, którym ktoś próbował wykręcić się od odpowiedzialności? Ilekroć okoliczności odbierają nam możliwość swobodnego działania, stajemy się szczęśliwsi. Tyle czasu marnujemy na podjęcie decyzji, beztrąsko idziemy po linii najmniejszego oporu, aż nie mamy żadnego innego wyboru, jak samo przetrwanie. Przez wiele lat zastanawiałem się, czy nie lepiej użyć słowa „więzień” zamiast „niewolnik”. Jeżeli brak możliwości dokonania wyboru stwarza fałszywe poczucie szczęścia, to „więzień” lepiej pasuje do kontekstu.

Bycie żołnierzem to szczęśliwe niewolnictwo. Człowiek zawsze ma coś do zrobienia, służy jakiemuś celowi, gna go poczucie obowiązku, a jednocześnie nie ma wyboru co do tego, czy ma wykonywać zadania, czy nie. Co więcej, robi coś, co uważane jest za szlachetne i prawe (żołnierz: szlachetny niewolnik?). W walce, gdzie samo przeżycie jest najważniejsze i nie pozostaje jedynie czysto filozoficznym zagadnieniem, niewolnictwo przestaje być niewolnictwem, bowiem podstawową wartoś-

cią staje się zachowanie życia. Po miesiącu aresztu domowego, bycia więźniem bez celi, któremu nie wolno było opuszczać bazy, nadal nie mogłem wypełniać

zadań szlachetnego niewolnika. Dopiero wtedy przekonałem się, że „tylko niewolnicy są szczęśliwi”, nie „więźniowie”. Rozwiązanie tego problemu zakończyło filozoficzną dysputę, którą toczyłem ze sobą od kilku lat. To jedyny pozytywny, jaki wyniosłem z ostatniego miesiąca służby w Iraku.

Psychicznie byłem gotów do walki, ale zupełnie nie umiałem poradzić sobie z aresztem. Co gorsza, nie wiedziałem, kiedy zostanę zwolniony z czynnej służby. Byłem przekonany, że jeżeli odrzucę oskarżenia z artykułu 15 i zażadam rozprawy przed sądem polowym, wygram sprawę. To oznaczało, że będę w czynnej służbie jeszcze przez kilka miesięcy. Byłem tak wypalony i zmęczony, że pomysł tkwienia w Fort Drum przez kilka kolejnych miesięcy był nie do zaakceptowania. Istniało też prawdopodobieństwo, że zostanę zatrzymany w Iraku. Ciągłe dręczyły mnie nudności po jedzeniu czy wypaleniu papierosa. Bez przerwy się dławiłem, zupełnie jakbym wciąż musiał się drapać po swędzącym miejscu. Choć nie było podstaw do wymiotów ani nic nie stało mi w gardle, czułem fizyczne impulsy, których nie potrafiłem opanować. Potem nudności przerodziły się w znacznie gorszy stan. Czułem się, jakby moje ciało trawiło się od wewnątrz. Każdego dnia budziłem się, zastanawiając, czy dzisiaj zostanę wezwany do biura dowódcy batalionu na przesłuchanie w sprawie artykułu 15. Wątpiłem, aby opóźnienia proceduralne były skierowane przeciwko mnie, ale odciskały na mnie swoje piętno. Byłem pieprzonym wrakiem.

Nowi przejęli nasze obowiązki, więc mieliśmy sporo wolnego czasu. Dowódcy przebywali poza tere-

nem bazy, pomagając kolejnej zmianie zaznajomić się z terenem operacji. To oznaczało, że po bazie kręciło się sporo znudzonych żołnierzy bez nadzoru. Jeśli można było coś zniszczyć, podpalić, przejechać hunwee, wykorzystać jako sanki, zostało to zrobione. Ludzie pili i palili na potęgę. Sytuacja była kiepska. Lecz cóż ja, oskarżony o złamanie Konwencji Genewskiej, mogłem im powiedzieć? Dopóki nie popełniali zbrodni przeciwko ludzkości, dopóty musiałem siedzieć cicho. Kim ja byłem, żeby ich pouczać?

Każdy dzień był tak samo do dupy jak poprzedni. Nawet Gwiazdka. Potem dowiedziałem się, że przesłuchanie będzie miało miejsce w Fort Drum po powrocie do Stanów. Parę dni później, kiedy mój żołądek przetrwał kilka lat mojego życia, opuściliśmy FOB „Orion” na pokładach śmigłowców chinook.

DOM

8 stycznia 2005 „Zajebście!”

Naszym pierwszym przystankiem był Kuwejt. Przeszliśmy różne odprawy i procedurę wyjazdową, potem poddano nas dziwnym rytuałom i zamknięto w poczekalni, skąd mieliśmy odlecieć z Bliskiego Wschodu. Ten niewielki kawałek terenu, którego nie wolno nam było pod żadnym pozorem opuścić, ludzie nazywali „skwerem wolności”.

Lot do domu był potwornie długi, dlatego łyknąłem proszki nasenne. W pewnym momencie w kabinie wybuchła walka na poduszki. Cisnąłem swoimi w dowódcę i starszego sierżanta, kiedy nie patrzyli. Ulżyło mi i poczułem się lepiej.

Wylądowaliśmy na lotnisku w Maine piętnaście minut po północy pierwszego stycznia. Powitały nas dziesiątki ludzi, którzy mieszkali w okolicy i regularnie przychodzili witać żołnierzy powracających z wojny. Większość z nich stanowili weterani. Wzruszyło mnie, że postanowili spędzić Nowy Rok na witaniu żołnierzy. Pewnie ściskali ręce wracających setny raz z rzędu. Ciekawe, skąd wiedzieli, że przylecimy?

Przerwa w podróży była krótka. Willy i ja oraz kilku innych chłopaków potajemnie wymknęliśmy się do hotelu, który przylegał do lotniska, i wypiliśmy kilka piw. Zrobiliśmy to wbrew prośbom starszego sierżanta. Potem wróciliśmy do samolotu i poleciliśmy do Fort Drum. Przez okrągły tydzień przechodziliśmy badania, odprawy i odwalaliśmy masę papierkowej roboty. Wieczorem praktycznie wszyscy się upijali. Moja nerwowość osiągnęła apogeum. Zbliżały się moje urodziny i nie chciałem spędzać ich w mundurze. Zdecydowałem, że zażadam sądu polowego. Wiedziałem, że nie zrobiłem niczego złego, więc nie musiałem się obawiać. Nie mogłem znieść zastraszania i zdawałem sobie sprawę, że dopóki nie stanę przed sądem, będę musiał pozostać w bazie, nawet jeśli reszta chłopaków wróci do domu.

Oskarżenie o naruszenie OPSEC nie było problemem. Każdy ma swoją własną wizję tego, jak chce wspominać wojnę i jak chce, aby myśleli o niej inni. Większość żołnierzy, zwłaszcza służących w piechocie, chce, aby inni patrzyli na nich jak na macho realizujących fantazje z filmów Jerry'ego Bruckheimera⁶⁸. W swoim dzienniku dodałem kilka szczegółów, które zbliżyły ten obraz do prawdy, z humorem i szczerością pokazując, jak naprawdę wygląda służba w wojsku. Mógłbym napisać tak: „Dokonałiśmy dzisiaj rekonesansu. Rozwaliliśmy bramę i przeszukaliśmy dom, ale poszukiwanego

tam nie było”. Wtedy nie naraziłbym się na żadne kłopoty. Jednak zamiast tego napisałbym raczej: „Dziś w nocy przeprowadziliśmy zwiad. Nie mogłem zasnąć, więc onanizowałem się do trzeciej rano. Po drodze mało brakowało, abyśmy się zgubili. Po kilku godzinach krążenia po okolicy dotarliśmy na miejsce. Usiłowaliśmy wyłamać bramę, ale po kilku próbach zawaliliśmy cały mur. Po przeszukaniu domu okazało się, że trafiliśmy pod zły adres. Później wyszło na jaw, że znaleźliśmy właściwy dom, ale wywiad przekazał nam złe dane. Spytałiśmy ojca rodziny, która mieszkała w przeszukiwanym domu, o człowieka, którego szukaliśmy, a on pokazał na inną posesję przy tej ulicy. Przeszukaliśmy ten drugi dom, ale ściganego tam nie było. Pracował na nocną zmianę jako ochrona naszej bazy. Kiedy stałem na czatach w uliczce, chciałem puścić bąka, ale narobiłem w gacie. Wszystko przez nieświeże jedzenie w stołówce. Załadowaliśmy się do hunwee i ruszyliśmy do bazy, kiedy okazało się, że prosta droga do domu kończy się kanałem irygacyjnym. Podczas zawracania jeden z hunwee zarył się w błocie. Większość misji nie idzie nam tak źle. Wyciągnęliśmy go i wróciliśmy do bazy dumni z siebie. Śmierdziało ode mnie gównem, więc wziąłem prysznic, zrobiłem sobie dobrze i poszedłem spać”. (Swoją drogą, to prawdziwa historia).

Gdybym coś takiego napisał, dowódca oskarżyłby mnie o szkalowanie wojska, przedstawianie oddziału jako bandy niekompetentnych idiotów. Powiedziałby, że moje wtrącenia dotyczące fizyczności i wydalania są niegodne podoficera. W raporcie oskarżyłby mnie

zaś o złamanie tajemnicy operacyjnej za sprawą opisu, w jaki sposób wyłamujemy drzwi.

Ceremonia uświetniająca nasz powrót do domu miała miejsce w sali gimnastycznej w Fort Drum, tej samej, gdzie nas żegnano przed wyjazdem. Z Salt Lake City przylecieli moi rodzice i młodsza siostra. Brat Matta podrzucił mi kilka dni wcześniej samochód. Byliśmy w stanie poruszać się własnym środkiem transportu (znów, wbrew życzeniom starszego sierżanta). Matt, Sean i ja przyjechaliśmy razem na uroczystość. Kiedy zaczęły się schodzić rodziny żołnierzy i zajmowano miejsca w sali, Sean powiedział:

- Stary, patrz! Ale ta dziewczyna ma fajny tyłeczek!

Rozejrzałem się dookoła, szukając tej cudownej pupy, i nagle zdałem sobie sprawę, na kogo patrzy Sean.

- Stary, opanuj się! - odparłem. - To moja siostrzyczka! Jezu, ona ma dopiero szesnaście lat, zbeczeńcu!

Zakradłem się za mamę i zaskoczyłem ją od tyłu. Ucieszyła się jak nigdy dotąd i rozplakała ze szczęścia. Przytuliła mnie mocno, jeszcze bardziej się rozczuliła i wyściskała za wszystkie czasy. Wspaniale było ją widzieć. Cieszyłem się, że nie musi się o mnie więcej bać.

Uroczystość wyszła „zajebiście”, jak mawialiśmy w Iraku.

Jak używać słowa „zajebiście!”

Kiedy ktoś mówi: „Stary, twoja kolej palić gówno”, odpowiadasz: „Zajebiście!”.

- O cholera, ci idioci z kompanii Delta znowu ostrzelali drugi pluton.

Odpowiedź? - Zajebiście!

• Rebelianci wysadzili w powietrze autobus pełen absolwentów irackiej szkoły policyjnej!

• Zajebiście!

Trybuny sali pełne były gości, członków naszych rodzin i przyjaciół. Wszyscy żołnierze naszego batalionu stali pośrodku na baczność i w formacji. Kiedy wmaszerowaliśmy, z głośników leciała muzyka: *Bad Company*, *Boys Are Back in Town*, *Welcome to the Jungle*⁶⁹ i kilka innych fajnych kawałków.

Wydaje mi się, że wojskową tradycją jest, że podczas uroczystości publicznych szwankuje sprzęt nagłaśniający. Nie słyszeliśmy większości mszy, którą odprawił kapelan, właśnie przez tandetny sprzęt PA. Kiedy on się modlił, ludzie z trybun krzyčili: „Nic nie słyhać!”. Wreszcie, w połowie pacierza, ktoś naprawił głośniki i druga część modlitwy była głośna jak diabli. Po ceremonii Willy, Matt i ja pojechaliśmy na obiad z moimi rodzicami.

Oskarżenie z tytułu artykułu 15 zostało mi oficjalnie przedstawione rankiem 5 stycznia 2004 przez dowódcę garnizonu w Fort Drum. Napisano w nim, że odmówiłem wykonania bezpośredniego rozkazu i naruszyłem tajemnicę operacyjną. Usunięto zarzuty złamania zasad Konwencji Genewskiej i zachowania

niegodnego podoficera, ale pojawiło się oskarżenie o nieposłuszeństwo.

Zapoznawszy się z treścią artykułu 15, wniosłem o spotkanie z prawnikiem JAG. Zanim mogłem się z nim zobaczyć, musiałem odczekać swoje w kolejce. Znalazłem się w poczekalni pełnej żołnierzy, którzy podobnie jak ja mieli kłopoty z artykułem 15. Zauważyłem, że większość z nich ma podbite oczy. Kiedy przyszła moja kolej, wszedłem do biura i usiadłem na krześle przy biurku, naprzeciwko prawnika. Był w stopniu kapitana. Otworzył teczkę z aktami, grubą na cztery cale za sprawą wydruków całego błoga i zdjęć, i zaczął je czytać kartka po kartce. Spytałem go, czy zna moją sprawę, a on odparł, że nie. Zaproponowałem, że ją przedstawię, na co on się zgodził. Zrelacjonowałem całą aferę.

Kiedy skończyłem mówić, powiedział, że przed sądem polowym na pewno przegram. Co gorsza, do tej pory nie wiedziałem, że sprawa przed sądem polowym traktowana jest na równi z przestępstwem federalnym. Zaczął mi opowiadać o tym, jak poważne mogą być konsekwencje, i ledwie zdołałem coś zrozumieć z jego gadaniny. Kapitan powiedział, że lubi walczyć, ale tylko wtedy, kiedy wie, że może wygrać. Tę sprawę można było tylko przegrać. Jego rada okazała się nic niewarta. Powiedział, iż mam zeznać, że jestem dobrym żołnierzem, ale błoga pisałem pod wpływem chwilowych emocji, aby odreagować stres związany z walką. Kapitan chyba za bardzo przywykł do prowadzenia spraw żołnierzy, którzy wpakowali się w tarapaty po pijaku. Twierdzić, że przez piętnaście miesięcy

prowadziłem pamiętnik „pod wpływem chwili”, było niedorzecznością.

Po bezowocnym spotkaniu z prawnikiem postanowiłem, że sam zapoznam się z artykułem 15. Wedle dokumentów przesłuchanie przez oficera prowadzącego śledztwo zakończyło się o pierwszej rano 20 grudnia. Mieliśmy omówić postawione mi zarzuty i ani słowem nikt nie wspomniał o złamaniu bezpośredniego rozkazu. Pod koniec spotkania podpisałem dokumenty. Tymczasem 19 grudnia o dwudziestej trzeciej jeden z moich przełożonych podpisał oświadczenie, że złamałem rozkaz wydany mi jedenaście miesięcy wcześniej w Fort Drum. Do niego dołączono zeznanie o podobnej treści podpisane przez innego z moich dowódców o siódmej rano 20 grudnia. Dochodzenie przeprowadzono dalej i zamknięto o ósmej rano dwudziestego grudnia. Zostałem oskarżony o złamanie bezpośredniego rozkazu.

Zostało mi półtora dnia do rozprawy i musiałem zdecydować, co chcę zrobić. Byłem pewien, że uda mi się obalić zarzut naruszenia tajemnicy OPSEC, jednak nie mogłem nic poradzić na zarzut niewykonania bezpośredniego rozkazu. Skoro mój dowódca zeznał, że mi go wydał, miałem przerąbane. Jeżeli dodać do tego, że jego wersję popierały inne oświadczenia, nie było sposobu, abym się wywinął. W dalszym ciągu mogłem domagać się procesu, aby udowodnić moją wersję wydarzeń, ale nie chciałem ryzykować niekorzystnego wyroku i, w razie jego zapadnięcia, zostania kryminalistą z powodu jakiegoś głupiego błoga. Poza tym, nawet

gdybym był pewien wygranej przed sądem, trzeba by było przesłuchać wszystkich zaangażowanych w sprawę ludzi (dowódcę kompanii, starszego sierżanta, plutonowych, dawnych i obecnych sierżantów plutonowych, oficera śledczego i każdego, kto podpisał oświadczenie). Nie bez znaczenia było, że w czasie procesu nadal byłbym w czynnej służbie. Jak mogłem zrobić takie świństwo ludziom, którzy pragnęli wrócić do swojego życia.

Uznałem, że się ugnę i przyjmę artykuł 15. Teraz musiałem wymyślić, jak się wyłgać. Podczas przesłuchania będę mógł wygłosić mowę obrończą, prosić o złagodzenie kary i/lub ułaskawienie. Innymi słowy, mogłem błagać o łaskę. Po moim wystąpieniu oficer prowadzący przesłuchanie zadecyduje o wymiarze kary. Mógł zasądzić przepadek żołdu na okres miesiąca, degradację o jeden stopień, do czterdziestu pięciu dni dodatkowej służby lub ograniczenie wolności.

Spodziewałem się, że zapłacę karę, ale skoro nie służyłem w wojsku dla pieniędzy, nie przejmowałem się tym zbytnio. Wiedziałem też, że degradacja mnie nie ominie. Ale czy szewrony na rękawie były aż tak ważne? Mogłem prosić o to, by mnie nie degradowano, jednak nie chciałem dać mojemu dowódcy takiej satysfakcji. Kiedy dłużej się nad tym zastanowiłem, stwierdziłem, że nie służę w wojsku dla stopnia. Pozbawienie wolności i dodatkowa służba oznaczały, że pozostanę dłużej w czynnej służbie, jednak pułkownik nie był aż tak mściwy, żeby tego zażądać. Jedyne, o czym musiałem teraz pomyśleć, to co powiedzieć w trakcie przesłuchania.

Rozprawa miała miejsce 6 stycznia 2005 i zaczęła się kilka minut po 10 rano. Stałem na baczność przed pułkownikiem Davidem Grayem, który siedział za dużym dębowym biurkiem. Obecni byli dowódca mojej kompanii, plutonowy, obecny i dawny sierżant plutonowy oraz starszy sierżant. Nie było powodu, żeby musieli się tu wszyscy stawić, ale z jakiejś przyczyny nasz dowódca ich ściągnął. Zasalutowałem pułkownikowi, a on zaczął czytać postawione mi zarzuty. Kiedy go słuchałem, pomyślałem o piosenkarzu Davidzie Grayu. To nie w porządku, zostać skazanym przez kogoś, kto tak samo się nazywa. Nagle dębowy, dopasowany do biurka zegar, który stał za pułkownikiem, zaczął złowrogo wybijać godzinę. „Co, do cholery, taki antyk robi w biurze?” -pomyślałem. Ile razy wybijał godzinę w trakcie procesu? A może pułkownik zwykł wydawać wyroki w samo południe? Kiedy zegar wybił dziesiąty raz, Gray skończył czytać akt oskarżenia.

„Tym samym, otrzymawszy ważny i prawomocnie wydany rozkaz dotyczący dezakty wowania strony www.justanotherSoldier.com...” - perorował pułkownik. A czy nie byłoby lepiej, gdyby wtrącił fragment piosenki *Babylon* z repertuaru Davida Graya: „Jeśli tego chcesz / Chodź i weź / Zawołaj głośno / Miłość, którą byłem / Ty byłaś oddaniem / Bez najmniejszej wątpliwości / Uwolnij swoje serce / Uwolnij swoje myśli / I oddaj się uczuciom”? Tymczasem sędzieja dalej czytał: „...nie dopełnił pan swoich obowiązków i świadomie naruszył zasady tajemnicy wojskowej, której dochowania miał pan dopilnować. Jest

to złamanie artykułu dziewięćdziesiątego dziewiątego UCMJ”.

Kiedy skończył czytać akt oskarżenia, zapytał mnie, czy chcę się domagać sądu wojskowego. Odparłem, że nie. Zapytał mnie, czy chcę, aby przesłuchanie odbywało się przy drzwiach zamkniętych czy otwartych. Mogłem odpowiadać przy świadkach, ale nie widziałem powodu, żeby ich zatrzymywać, więc wybrałem rozprawę za drzwiami zamkniętymi. Jak na komendę wstali i ruszyli do wyjścia, ale pułkownik nagle powiedział:

- Tylko od ciebie zależy, czy chcesz, aby byli obecni.

- W takim razie wolę, aby zostali, sir.

Następnie pułkownik spytał, czy chcę wygłosić mowę obrończą, prosić o złagodzenie lub zmniejszenie kary. Powiedziałem, że nie. Wydawał się zawiedziony, więc zapytał:

- Czy chcesz jeszcze coś dodać, zanim zapadnie wyrok?

- Wszystko, co chciałem powiedzieć, znajduje się w dwóch podpisanych przeze mnie zeznaniach - odparłem.

Nic, co mógłbym dodać, nie pomogłoby mi w tej sytuacji, a jedynie wyszedłbym na skończonego dupka. Najwidoczniej moja odpowiedź nie usatysfakcjonowała pułkownika, bo postanowił dalej drążyć temat i spytał:

- Dlaczego zatem nie usłuchał pan rozkazu?

Mój dowódca stał tuż obok pułkownika i kiedy padło pytanie, zaczął się wiercić. Nerwowo spoglądał

pod nogi, szurał butami i dopiero po chwili spojrzał na mnie.

- Jaki rozkaz? - odpowiedziałem. - Gdyby wydał mi rozkaz, usłuchałbym go. Jaśniej tego nie mogę po wiedzieć, więc powtórzę. NIGDY MI, KURWA, NIE WYDAŁ ŻADNEGO PIEPRZONEGO ROZKAZU!

Oczywiście, nic takiego nie powiedziałem, ale Bóg mi świadkiem, że miałem to na końcu języka. Zamiast tego odparłem:

- Źle zrozumiałem rozkaz, który wydał mój do wódca, sir.

Na szczęście pułkownik nie drążył dalej tego tematu. Przeszedł do sprawy złamania przeze mnie OPSEC. W przesłuchanie włożył całe serce, dokładnie analizując, czy którakolwiek z niewinnych informacji zamieszczonych przez mnie w dzienniku mogła pomóc rebeliantom w zdobyciu nad nami przewagi. Słyszałem już takie gadanie setki razy. To, że ja nie potrafię wykorzystać takiej wiedzy, nie oznacza, że nikt inny nie potrafi zrobić z niej pożytku. Słuchając takiej gadaniny, pomyślałem, że jedynym sposobem zabezpieczenia jest całkowity brak przepływu informacji.

Kiedy pułkownik skończył swoją tyradę, ogłosił wyrok. Zostałem zdegradowany do stopnia specjalisty i *zarządził* przepadek pięciuset dolarów z mojego żołdu przez okres dwóch miesięcy. Zasalutowałem, podpisałem artykuł 15, mruknąłem pod nosem: „Za-jebicie!” i opuściłem biuro.

Następnego popołudnia zwolniono nas z czynnej służby.

21 stycznia 2005 Alamo, GAP i Hooters

Połowa składu mojej pierwotnej kompanii z Manhattanu nie została wysłana do Iraku ze mną, ale wraz z innym batalionem niecały rok później. Stacjonowali w Bagdadzie. Częścią tej jednostki był Felix Yargas, bliski przyjaciel mój i Willy'ego. Felix nie służył w Iraku nawet dwóch miesięcy, kiedy obok jego humvee eksplodował IED. Chłopak przeżył wybuch, ale został ciężko ranny w nogę i przewieziono go do szpitala w San Antonio. Zbliżały się urodziny Feliksa i postanowiliśmy z Willym złożyć mu wizytę.

Spędzałem wakacje na Sabie, kiedy znajomy przysłał mi wiadomość, że Felix został ranny. Prawie dostałem ataku serca. Co gorsza, przez pewien czas istniało niebezpieczeństwo, że trzeba będzie amputować mu nogę. Felix ma bzika na punkcie fitness i taka operacja oznaczałaby dla niego życiową katastrofę. Dla ludzi mojego pokroju, którzy spędzają przed komputerem dwanaście lub więcej godzin dziennie, strata nogi nie byłaby tragedią. Dla Feliksa świat miał się zawalić.

Zarezerwowałem bilety i miejsca w hotelu, po czym w dzień jego urodzin wyjechaliśmy z Willym do San Antonio. Przybyliśmy na miejsce późnym wieczorem i obawiałem się, że nie zostaniemy wpuszczeni. Kiedy przyjechaliśmy do szpitala, okazało się, że godziny odwiedzin nie są tam przestrzegane. Byłem prawie zawiedziony. Po cichu czekałem na scenę, jaką zrobiłby Willy, gdyby nas nie wpuszczono. Szpital był sterylnie czysty.

Zwykle panuje w nich porządek, ale ten był wyjątkowy pod tym względem. Dostaliśmy identyfikatory odwiedzających i windą wjechaliśmy na piętro, na którym przebywał Felix. Pielęgniarka pełniący

dyżur pokazał nam, gdzie znajduje się jego pokój, i powiedział, że Feliksa nie wolno dotykać, że należy unikać wszelkiego kontaktu fizycznego, aby wykluczyć możliwość infekcji. Roześmiałem się na głos. Nie widziałem tego człowieka półtora roku, jest jednym z moich najbliższych przyjaciół, prawie zginął na wojnie, a ja przyjechałem odwiedzić go w urodziny i nie wolno mi go uściskać, bo coś złapie?

Ulubionym powiedzonkiem Feliksa jest: „Co jest, kurna?”. To jego znak rozpoznawczy. Tak bardzo je lubi, że zwykle witał nim mnie i Willy'ego. Kiedy wpa-rowaliśmy do jego pokoju, Willy krzyknął: „Co jest, kurna?”. Felix leżał na łóżku i rozmawiał przez telefon komórkowy. Spojrzał na nas i szczęka mu opadła. Ta chwila była warta wszystkich starań i żmudnej drogi. Podciągnął się na łóżku, powiedział, że wspaniale nas widzieć, uściskał i ucałował na przywitanie. (Felix nie jest gejem, ale Latynosem). Następnie powiedział do telefonu: „Mamo, muszę kończyć. Przyszli do mnie jacyś durnie. Kochani cię, do usłyszenia później”. Kiedy się rozłączył, spojrzał na nas jeszcze raz i spytał: „Czego ode mnie chcecie, smu-tasy?”. Innym zwyczajem Feliksa jest podśpiewywanie na mój widok: „Hartley to dupek, lubi grzanie w pupę”. Tym razem też mi nie darował. Pewnie myślicie, że żołnierze mówią samymi fajnymi tekstami

rodem z *Top Guń*, ale prawda jest taka, że przeważnie plotą same głupoty, jak wierszyki Feliksa.

Willy i ja spędziliśmy z nim kilka godzin. Pokazał nam swoją nogę, odwiązał nawet bandaż. Prawie zemdlałem na widok jego obrażeń. Wyglądały tak, jakby operację przeprowadzał doktor Frankenstein.

Willy posiada nieoceniony dar sprowadzania wszystkich na ziemię. Spojrzał na nogę Feliksa i powiedział: „Nie wygląda źle. Prawdę mówiąc, jest całkiem dobrze”.

„Człowieku - powiedziałem, nie mogąc dojść do siebie - ale cię, kurde, urządzili. Dlaczego to tak paskudnie wygląda?”. Na nodze Feliksa była brzuchata wypukłość w kształcie diamentu, która wyglądała, jakby doszyto ją do goleni. Wyjaśnił, że w ranę wdała się gangrena i chirurdzy musieli usunąć spory fragment zainfekowanej tkanki. Potem z pleców i łydki pobrali odcinki zdrowej i wszczepili w miejsce usuniętej. Jedyne, co mogłem powiedzieć, to: „Rany boskie!”.

Felix opowiedział o ataku. Jechał ostatnim humvee w konwoju, kiedy zostali trafieni. Pod drogą została zakopana ważąca 113 kilogramów bomba i kiedy wybuchła, ostatnią rzeczą, jaką Felix zapamiętał, był tuman piasku wyrzucony w górę przez eksplozję. Jej siła była tak duża, że humvee poleciał w górę, przekoziółkował i spadł na dach. Nim pojazd spadł na ziemię, pękł na pół, a Felix wyleciał z niego jak z procy. Pech chciał, że jego noga zakleszczyła się w samochodzie i prawie ją urwało. Kiedy go znaleźli, ledwie trzymała się ciała.

Ludzie ze starej kompanii zawsze żartowali z Feliksa z powodu jego szczęki. Jest wydatna, jak u superboha-tera. Kiedy Felix się ocknął, stał nad nim jeden z kumpli z plutonu, który powiedział: „Wydziesz z tego. Szczęka cię osłoniła”.

Dwóch żołnierzy jadących w humvee zginęło w ataku: Wilfredo Urbina i Christian Engeldrum. Urbina miał dwadzieścia dziewięć lat i był strażakiem z Baldwin na Long Island. Engeldrum miał trzydzieści dziewięć lat i też był strażakiem, tyle że z Nowego Jorku, z Bronksu. To był pierwszy pracownik miasta, jaki poległ w Iraku. Znałem ich obydwu, byli wspaniałymi ludźmi.

Następnego dnia zdecydowaliśmy z Willym, że musimy zrobić to, co każdy Amerykanin powinien uczynić przynajmniej raz w życiu: zwiedzić Alamo. Z jakiegoś powodu zawsze myślałem, że to ruina wznosząca się gdzieś na pustyni. Okazało się, że znajduje się kilka przecznic od naszego hotelu, pośrodku San An-tonio.

Poszwendaliśmy się po budynku, obejrzelśmy okolicę, a potem usiedliśmy i wysłuchaliśmy prezentacji historycznej o Alamo. Nie mają tam piwnicy.

Obok fortu znajduje się... hipermarket! Jako porządni Amerykanie wiedzieliśmy, że jeżeli nie kupimy jakiegoś badziewia, terroryści wygrają wojnę. Nie ma niczego bardziej amerykańskiego niż marka odzieży GAP⁷⁰, dlatego nabyliśmy trochę tandetnych ubrań za

niewygórowaną cenę. Potem zjedliśmy lunch w Hoo-ters⁷¹, gdzie zamówiliśmy jedzenie z przewidywalnego menu i wypiliśmy po bezalkoholowym piwku z plastikowego kubka. Obsługa była skandaliczna, ale dziewczyna próbowała nas poderwać. Oto Ameryka. O to przecież walczyliśmy, prawda?